

Régine Deforges

Pod niebem Nowogrodu

Od redakcji

Bohaterką tej historycznej powieści Régine Deforges, doskonale znanej naszym Czytelnikom autorki „Niebieskiego roweru”, jest Anna, córka księcia kijowskiego Jarosława Mądrego.

Rzecz dzieje się w połowie XI wieku. Piękna, pełna radości życia kniaziówna wyrusza w daleką podróż do Francji, by poślubić Henryka z rodu Kapetyngów. Koronowana na królową, godnie wypełnia obowiązki wobec przybranej ojczyzny, ale w marzeniach wciąż wraca do kraju swego dzieciństwa. Przez długie lata spędzone na francuskim dworze czuwa nad nią z daleka tajemniczy rycerz w srebrnej masce. Wielokrotnie ratuje ją z opresji, ale pytany o imię uparcie milczy. O tym, że jest to Filip, wojownik z drużyny jej ojca i jej młodzieńcza miłość, dowiaduje się Anna niemal u progu śmierci. Razem wyruszają do Nowogrodu, gdzie zgodnie z ostatnim życzeniem chora i zmęczona królowa umiera w ramionach ukochanego. Wierny Filip postanawia towarzyszyć jej i w tej ostatniej podróży...

*Piotrowi, Lei i Annie
na pamiątkę ich prababki
We krwi goreje płomień szalu,
dusza przez ciebie jest zraniona,
całuj mnie: słodszy mi twój całus
niż wino i niż mirra wonna.
Schyl ku mnie głowę swą uroczą,
iżbym frasunków próżny spoczął,
nim dzień wesoly wyda tchnienie
i nocne się podźwigną cienie.*

Puszkin, 1825

tłum.

Włodzimierz Słobodnik

Prolog

— A więc jeśli trzeba, niech mi ją sprowadzą od samego diabła! — wykrzyknął król Henryk blady ze złości.

Roger, biskup Châlons, przeżegnał się szybko, a Walter, biskup Meaux, wzruszył ramionami. Obaj nie mieli już siły walczyć.

Od śmierci królowej Matyldy w 1044 roku wnuk Hugona Kapeta nie chciał słyszeć o powtórny ożenku. Liczył sobie trzydzieści dziewięć lat; nie miał ani kochanki, ani konkubiny. Jego dziewczęce miny obrzydły już matce, królowej Konstancji, a zniewieściałe gesty przyjmowano jako afront wobec godności królewskiej. Tym, którzy mu przypominali, że należy dać potomka koronie, przedkładał ten sam niepodważalny i bardzo wygodny argument. Mawiał: „Wszystkie kobiety, które mi proponujecie, są moimi krewnymi. Rzym zabrania takich związków. Nie chcę być wyklęty jak mój ojciec Robert Pobożny”.

— Ale któż mówi o ekskomunie? — wykrzyknął któregoś dnia biskup Meaux.
— Posłuchaj mnie, panie. Na krótko przed swą śmiercią Odylon, święty opat Cluny, pokazał mi list od króla Polski, Kazimierza, z którym prowadził wielce uczoną korespondencję...

— Do czego zmierzasz? Czy on ma kogoś na wydaniu?

— Nie, ale ożenił się z siostrą księcia Rusi, księżniczką Marią Dobronegą...

— Jaki to ma związek ze mną?

— Panie, pozwól mi skończyć. Jarosław, wielki książę Kijowa i Rusi, syn Włodzimierza Wielkiego, spokrewniony dzięki swemu małżeństwu z cesarzem Bizancjum, z królestwami Danii, Szwecji, Węgier i Niemiec, ma córkę, księżniczkę Annę. Król Kazimierz mówi, że to skończona piękność, bardzo pobożna, mądra, wykształcona i hojna dla biednych.

— Czy dobrze jeździ konno?

— Od najmłodszych lat dosiada koni i odważnie poluje w towarzystwie braci.

— Tym lepiej.

— Nie to jest najistotniejsze — wymamrotał milczący dotąd biskup Roger. —

Ważne, żeby dała królestwu potomstwo. Jej rodzina jest liczna: dziad Włodzimierz miał dwunastu prawowitych synów i tyleż samo córek, nie licząc bękartów. Jej ojciec ma dziewięcioro żyjących dzieci. Poza tym księżniczka Anna pochodzi ze starego i wielkiego rodu Filipa Macedońskiego.

— A któż to był ten Filip i co to takiego Macedonia?

— To ojciec Aleksandra Wielkiego. Francja potrzebuje nie tylko spadkobiercy, ale musi także wzmocnić sojusze i zwiększyć prestiż wśród innych krajów.

— Również w oczach papieża rzymskiego — dodał biskup Walter.

Naburmuszona twarz Henryka rozjaśniła się. Zmrużył powieki, wyciągnął się na miękkich poduszkach i spróbował wyobrazić sobie tę przyszłą żonę, która miała wzmocnić słabą i młodą dynastię Kapetyngów.

— A więc, królu?

— Wasze wielmożności, przychylam się do waszych racji. Chcę tylko, abyście wy, biskupie Rogerze i wy, biskupie Walterze, sami udali się po nią. Przywieźcie ją z honorami należnymi przyszłej królowej Francji.

W oczach biskupów zajaśniał triumf. Ukłonili się i opuścili komnatę.

Rozdział I

Nowogród

Na równinie rozciągnął się długi sznur jeźdźców podążających ze Smoleńska. Za nimi jechały wozy.

— Anno, Anno, zaczekaj!

Pochylona nad błyszczącą od potu szyją konia dziewczyna nie słyszała nic. Wiatr rozwiązał jej warkocze, zaróżowił policzki i wysuszył wargi. Na zachodzie słońce powoli nabierało czerwonych barw. Chciała szybko ujrzeć gwiazdę oświetlającą rzekę i jej rodzinne miasto. Stada gęsi i dzikich kaczek wzlatywały wzdłuż jeziora Ilmen nad wodą, która rozbijała się o końskie kopyta. Nagle Anna ujrzała drewniany sobór, zbudowany na rozkaz jej ojca Jarosława w miejscu, które legenda wiązała z założycielem Rusi. Przez chwilę myślała o Ruryku, swym wielkim przodku. Zbliżała się jesień. Żółkły liście brzoź i trawa złociła się w promieniach zachodzącego słońca. Jego czerwony krąg sprawiał, że niebo wydawało się jeszcze większe. Nagle, jakby wynurzając się z otaczającej go wody, ukazał się Nowogród.

Anna ściągnęła mocno wodze, aż koń stanął dęba. Zarżał z bólu, potrząsnął grzywą, lecz czując silną rękę swej pani szybko uspokoił się i znieruchomiał z pianą na pysku. Przed nią rozciągało się miasto położone nad rzeką Wołchow i otoczone potrójnym pasem murów obronnych. Widziała liczne łodzie zdążające do portu. Z kominów unosiły się dymy, słychać było bicie dzwonów. Z wież kościołów i pałaców skąpanych w czerwonym jak krew świetle, przypominającym raczej boga Peruna niż boga chrześcijan, spływał nieskończony spokój. Nad miastem górowała nowa katedra o pięciu kopułach.

Z zadumy wyrwały Annę okrzyki i śmiechy. Po chwili stał przy niej Wsiewołod wraz z drużyną.

— Siostrzyczko, dlaczego na nas nie zaczekałaś? Pamiętasz, obiecałaś ojcu, że nie będziesz oddalać się ode mnie.

— Braciszku, nic mu nie powiesz — odrzekła przymilnie, pochylając ku niemu głowę.

Wsiewołod uśmiechnął się. Nie potrafił niczego odmówić najładniejszej ze swych sióstr.

— Patrz, nasz brat Włodzimierz podąża nam na spotkanie.

Dwudziestu jeźdźców wyjechało właśnie przez Bramę Kijowską i pędziło w ich stronę, wznosząc gromkie okrzyki. Ich czarne sylwetki odcinały się na tle rozognionego nieba.

— Wyglądają jak aniołowie Sądu Ostatecznego — szepnął Wsiewołod.

Dzieci Jarosława i towarzyszące im drużyny czyniąc radosny rwetes spotkały się w chwili, gdy na horyzoncie znikło słońce. Wszystko zgasło. Anna zadrzała. Nie przyzwyczai się nigdy do zmierzchu. O tej porze wracały strachy z dzieciństwa. Przypominała sobie o bogini śmierci, która wciąga ludzi do czeluści piekielnych. Była ochrzczona, ale nie mogła zapomnieć o starych bóstwach, choć wierzyła, że czuwa nad nią anioł stróż. Ale to nie była pora, by rozpamiętywać smutne sprawy. Liczyła się tylko radość z ponownego ujżenia najstarszego brata, kniazia miasta, które tak kochała — Nowogrodu!

Kiedy wjechali w bramy, było już całkiem ciemno. Kagańce, które nieśli mieszkańcy miasta, tworzyły świetlisty i tańczący szpaler. Z obu stron drewnianego mostu, łączącego mury obronne, ubrani w kolorowe stroje chłopcy i dziewczęta klaskali, machali wiązkami kwiatów i wołali wesoło:

— Witaj, Anno Jarosławno!

— Niech żyje siostra naszego kniazia!

— Niech żyje Włodzimierz Rurykowicz!

— Chwała kniaziom Kijowa!

Przed ostatnią bramą, uwieńczoną kopułą, przy wejściu na kreml, stali przedstawiciele bractw kupieckich i rzemieślników. Przybyli, by złożyć uszanowanie nadjeżdżającym gościom. Anna zeskoczyła z konia, nim ktoś zdążył jej pomóc, i rzuciła się w stronę starca ubranego w ciemne szaty.

— Swejnaldzie, ojczulku! Żyjesz, dzięki Bogu!

— Dlaczego miałbym nie żyć, moja gołąbko! Udam się do Boga, ale najpierw muszę ujrzeć ciebie, uściskać przed twoim wyjazdem do dalekiej Francji.

Kniazionna zdjęła ręce z szyi starca. Swejnald pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Nie martw się, Annuszko, wszystko będzie dobrze. Patrz, myślałem o tobie. To, co chcę ci ofiarować, przyniesie ci szczęście i będzie pamiątką z Nowogrodu...

— Nigdy nie zapomnę Nowogrodu i nie potrzeba żadnej pamiątki.

— Wiem, ale spórz.

Dwaj służący podali kufer, na którym wymalowany był święty Jerzy walczący pod murami miasta ze smokiem.

— Och, jakie to piękne! — wykrzyknęła Anna, otwierając pudło.

Wyrzeźbiona z kła morsa Matka Boska z Dzieciątkiem ukazywała na dłoni... Nowogród! Wszystko tu było, niczego nie brakowało: czterdzieści dwie wieże strażnicze, dwadzieścia sześć kościołów, sobór Świętej Zofii, pałac Jarosława, most na rzece, fosy i mury obronne. Długo patrzyła z zachwytem, a potem podniosła oczy na starca.

— Swejnaldzie, to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś.

— Też tak myślę — odpowiedział skromnie starzec, u którego sam cesarz Bizancjum zamawiał posążki z kości słoniowej do ozdobienia swych apartamentów.

— Dziękuję ci, nigdy nie otrzymałam piękniejszego daru i nigdy nie otrzymam. Wiedząc, że Nowogród jest pod opieką Najświętszej Matki Bożej, będę mogła spokojnie opuścić mój kraj.

— Masz rację, moje dziecko, jedź bez trwogi. Z pomocą bożą lub bez niej nasz kraj przezwycięży wszelkie niebezpieczeństwa.

— Musimy jednak zachować czujność — dodał książę Włodzimierz — bo zewsząd otaczają nas wrogowie, których przyciąga bogactwo naszego grodu.

— Niech przybywają, kniaziu, czekamy na nich! — krzyknęli jego młodsi towarzysze, potrząsając mieczami.

— Wiem, moi dzielni wojownicy, że mogę na was liczyć. Ale nie czas teraz na okrzyki wojenne, lecz na ucztę i tańce.

Słowa te ucieszyły zwłaszcza młode dziewczęta, ubrane we wspaniałe stroje wyszywane złotem, srebrem i kolorowym jedwabiem. Wsiewołod pomógł siostrze dosiąść konia i oddał drogocenny podarek jednemu ze swych wojowników.

Tłum zatrzymał się przed trzecią bramą. Jedyne panowie, kniaziowie oraz ich świty udali się do cerkwi Świętej Zofii, gdzie na progu czekał biskup Łuka Chidiata w otoczeniu całego duchowieństwa. Kniaziowie pokłonili się przez prałatem. Ten pobłogosławił ich, a następnie poprowadził procesję.

Choć prace w świątyni nie były jeszcze ukończone, przybysze z Kijowa przystanęli olśnieni. Oświetlone setkami drżących płomieni świec postacie widniejące na freskach wyglądały jak żywe, a złocenia podkreślały świeżość i żywość barw. Czuć było mocny zapach farb i wosku. Gdy orszak wkroczył do cerkwi, ku barwnym sklepieniom wznosiły się radosne hymny. Goście, choć zakurzeni, uklękli na wspaniałych kobiercach rozłożonych na kamiennych płytach.

Anna, znużona długą podróżą i olśniona pięknem hymnów, ikon i fresków,

usnęła. Delikatny kuksaniec jednej ze służek przywołał ją do rzeczywistości. Kończyło się właśnie nabożeństwo. Biskup udzielił wiernym błogosławieństwa i oddalił się.

Annę, ożywioną oparami pachnącej kąpieli, która czekała na każdego podróżnego, masował w komnatach kobiet ulubiony eunuch Włodzimierza. Służące i niewolnice wyjmowały ze skórzanych kufrów stroje kniaziówny, wydając okrzyki zachwytu na widok cienkich materii, bogatych haftów ze złota, pereł i drogich kamieni, miękkich skórzanych pantofli i delikatnych futer.

— Jaką suknię włożysz, córko? — zapytała piękna i wysoka czterdziestoletnia kobieta o szerokiej twarzy, okolonej jasnymi włosami przykrytymi krótkim welonem. To była Helena, piastunka córki wielkiego kniazia Kijowa. Nigdy nie odstępowała Anny i była całkowicie jej oddana. Uważała kniaziównę za swe dziecko i była gotowa uczynić wszystko, by podążyć za nią do Francji. W Nowogrodzie, swym rodzinnym mieście, zamierzała pożegnać się z rodzicami, znanymi kupcami.

Służące, na wyścigi z niewolnicami, pokazywały kniaziównie suknie, w większości przywiezione z Bizancjum. Anna wybrała tę przypominającą gwiazdziste niebo nad Nowogrodem, takie jak na początku lata, zanim nastąpią białe noce, podczas których dziewczęta z trudem bronią się przed umizgami chłopców. A niektóre nie mogą się oprzeć, kuszone przez wiły w czasie letnich świąt, obchodzonych ciągle mimo zakazów wielkiego Włodzimierza i przyjęcia chrześcijaństwa przez lud Rusi.

— Dosyć, zostaw mnie. — Anna odepchnęła dłonie eunucha.

Gruby masażysta wstał sapiąc. Helena, zniecierpliwiona jego powolnością, wygoniła go z komnaty. Dwie młode niewolnice, prawie dzieci, zawinęły kniaziównę w długie, cienkie płótno i pomogły usiąść na stołku przykrytym futrem. Delikatnie gładziły jej gęste, rude włosy, piszcząc z zachwytu. To prawda, że córka Jarosława była piękna. Gdy tak siedziała, jej rozpuszczone włosy w kolorze płomieni sięgały ziemi. Prześcieradło okrywające kniaziównę opadło, odsłaniając białe, kształtne, jędrne ciało, sterczące wysoko piersi, kępki gęstego, ognistego runa pod pachami i na wzgórku łonowym. Anna wstała, potrząsnęła włosami, tak że aż uderzyły pochylone u jej stóp niewolnice trzymające zwierciadło. Jedna z nich szepnęła coś do ucha swej towarzysze.

— Co jej powiedziałaś? — spytała Anna.

Dziewczyna spłoneęła rumieńcem i spuściła głowę.

— Powiedz, albo każę cię wychłostać.

— Nie czyn tego, pani — odpowiedziała druga niewolnica. — Powiedziała tylko, że przypominasz rusałkę.

— Wielkie dzięki, rusalki mają zielone włosy. Czy chcesz powiedzieć, że ja też?

— Oczywiście, że nie, kniaziówno, ale jesteś piękna jak one i jak one cała...

— No, mów dalej, czemu się śmiejesz?

Niewolnica odpowiedziała za swą towarzyszkę:

— Ona chciała powiedzieć... naga.

Anna i Helena wybuchnęły śmiechem. Piastunka wytarła oczy rąbkiem sukni i zapytała:

— Oczywiście widziałyście rusalkę, tak jak ja was widzę?

— O tak, i bardzo się przestraszyłyśmy. Schowałyśmy się w sitowiu. Widziałyśmy ją z didkiem. *

— Bawili się w chowanego z wodnikiem.

— Wstyd opowiadać takie bajki — rozgniewała się Helena. — Jesteście przecież ochrzczone?

— Zostaw je i pomóż mi się ubrać. Też jesteś ochrzczone i mimo to czcisz stare bóstwa.

— To nieprawda, opowiadam tylko stare legendy.

— Czy możesz przysiąc na Świętą Dziewicę, Przenajświętszą Matkę Bożą, że nigdy nie składałaś ofiar bogom miłości? — zapytała po cichu Anna.

— Tylko dlatego, żeby zapewnić ci szczęście.

Jasne, niebieskozielone oczy Anny zrobiły się prawie czarne, uśmiechnięte usta znieruchomiały, a jej ładna twarz oblała się rumieńcem.

— Nie mów mi o tym, zabraniam ci o tym wspominać!

Wszyscy zamilkli, słysząc ten wybuch gniewu. Służące ubierały kniaziównę w skupieniu, uważając na swe ruchy. Helena ostrożnie czesała jej włosy, wpinając w warkocze podarowane przez królową Ingegerdę wstążki i perły. Gdy skończyła, włożyła na głowę Anny wysoką koronę, taką, jaką nosiły ruskie kniaziówny.

— Uśmiechnij się, córko, nie przystoi ci taka mina.

Drżące usta próbowały uśmiechnąć się, ale oczy zalane były łzami.

— Och, Heleno!

— Wiem, dziecko, wiem. Twój ojciec i matka smucą się na myśl o rozstaniu z tobą, lecz musisz im być posłuszna. Ludzie mówią, że Francja to piękny kraj, a król Henryk to przystojny mężczyzna...

— Ale to tak daleko...

— Niestety! — westchnęła Helena.

— Och, wybacz mi, zapomniałam, że i ty wszystko porzucasz, by jechać ze mną.

— Nie mów nic. Nie ma mowy, żebyś tam pojechała beze mnie. A i moja córka Irena nie zostanie tu bez matki.

— Żeby ci wynagrodzić, poproszę króla, mojego małżonka, aby bogato wyposażył mą mleczną siostrę i dał jej przystojnego męża.

Myśl o ewentualnym małżeństwie Ireny odsunęła na plan dalszy jej własny ślub, a oczy nabrały zwykłej łagodności.

Rozdział II

Wojna z Bizancjum

Sala, w której zwykle ucztowano, była usłana brzożowymi liśćmi i oświetlona pochodniami przymocowanymi do ścian lub trzymanymi przez niewolników. Jaskrawe malowidła na drewnianych ścianach opowiadały o czynach kniaziówny Olgi. Babka zawsze imponowała Annie swą odwagą, okrucieństwem, a także mądrością. Kniaziówna marzyła, by jej dorównać. Na długich stołach przykrytych czerwonymi obrusami, wśród gałązek i różnego kwiecia, stała pozłacana i srebrna zastawa, czekając w kolorowym nieładzie na gości Włodzimierza.

Do sali wkroczyli grajkowie a za nimi Włodzimierz wraz z siostrą. Ręka Anny spoczywała na ramieniu brata. Dalej kroczyła małżonka kniazia, księżniczka Sigrid ze Szwecji, i Wsiewołod, potem biskup Łuka Chidiata, wiecownicy, ich żony i córki ubrane w ciężkie, haftowane suknie o żywych kolorach, ze wstążkami we włosach, w tiarach różnej wysokości, przyozdobionych drogimi kamieniami. Na końcu szli wojownicy z drużyny kniazia.

Włodzimierz wskazał siostrze miejsce po prawej stronie, żona zasiadła po jego lewicy. Na jego znak młody wojownik przyprowadził liczącego sobie czterdzieści lat człowieka o zniszczonej twarzy, ubranego w tunikę haftowaną srebrem i jasnoszare spodnie, wpuszczone w wysokie buty z ciemnoczerwonej skóry.

— Witaj, Wyszato. Anna Jarosławna będzie zaszczycona, jeśli zasiądziesz u jej boku.

— Cały zaszczyt po mojej stronie, wielki kniaziu — odparł mężczyzna i uklonił się, zwracając oblicze o pustych oczodołach w stronę kniaziówny.

Anna omal nie krzyknęła na widok tej okaleczonej twarzy.

— Dlaczego mu wykluto oczy?

— Nie tylko wykluto mi oczy, Anno Jarosławno — odrzekł ślepiec i podniósł ku niej prawe ramię z obcięta dłonią.

— Nie tylko oczy! — powtórzyło za nim kilkunastu wojowników, którzy też podnieśli prawe kikuty. Byli to dawni jeńcy, którzy wrócili z długiej niewoli.

Zapadła grobowa cisza. Wojownicy powrócili na swe miejsca.

— Dlaczego okaleczono tych szlachetnych żołnierzy? — zapytała Anna.

Teraz zabrał głos Włodzimierz.

— W ten sposób w Bizancjum traktuje się jeńców. Pamiętasz, to działo się w roku tysiąc czterdziestym trzecim, siedem lat temu. Byłaś jeszcze dzieckiem. Wszystko zaczęło się od bijatyki między ruskimi i bizantyjskimi kupcami na bazarze Świętego Mammasa w Carogrodzie. Zabito wówczas jednego z bogatszych kupców z naszego miasta. Jego przyjaciele zebrali się i poprosili naszego ojca Jarosława, by zażądał odszkodowania od cesarza Konstantyna. Ten zaś odmówił. Oburzony lud Nowogrodu głosował za wojną. Stałem na czele wojska. Kazałem ogłosić aż w Islandii, że Nowogród werbuje wojowników, by wyruszyć na wojnę przeciwko bogatemu Carogrodowi. Przybyli całymi klanami z Norwegii, ze Szwecji, z Grenlandii. Każdy otrzymał zapłatę w dobrej złotej monecie. Wkrótce sto tysięcy mężczyzn wsiadło na łodzie, których było tyle, że nie dało się zliczyć. Wraz z oddziałem piechoty pod dowództwem dzielnego Wyszaty popłynęliśmy w dół Dniepru, snując mrzonki o skarbach miasta, strzeżonego przez Boga. Był pogodny czerwiec. Aby umożliwić zebranie wszystkich naszych sił przed przeprawą przez Bosfor, zakotwiczyliśmy u stóp fortecy w Hieronie, którą opuścili strażnicy, przerażeni widokiem tylu dzielnych wojowników gotowych do ataku na to dumne miasto.

— Ta zwłoka dużo nas kosztowała, wielki kniaziu — przerwał wzburzony wojewoda Wyszata.

— Tak, należało przypuścić szturm natychmiast!

Wśród rosnącej wrzawy każdy wojownik, który powrócił z tej wojny, starał się powiedzieć, co należało wówczas uczynić.

— Uciszcie się! — krzyknął Włodzimierz, wstając i uderzając w stół ręką i mieczem. — Teraz nie czas to rozpamiętywać. Wspólnie podjęliśmy tę decyzję, dając niestety cesarzowi czas na przygotowanie obrony. Przypomnijcie sobie, że nie chcieliśmy wysłuchać własnych posłów, którzy nalegali, byśmy nie zrywali pokoju między naszymi państwami. Skoro tylko tak się stało, tysiące naszych rodaków wypędzono z miasta wraz z wieloma przybyszami z Północy, których podejrzewano o to, że nam sprzyjają. O świcie trzeciego dnia, a była to niedziela, flota nasza popłynęła w stronę Morza Czarnego, ku cieśninie. Flota nieprzyjaciół czekała już po stronie europejskiej, a na jej czele znajdowała się cesarska galera w kolorze purpury, dowodzona przez samego Konstantyna. Cały dzień spędziliśmy stojąc naprzeciw siebie. Wieczorem cesarz przekazał nam nowe propozycje zawarcia pokoju. W zamian za złożenie broni zażądałem po trzy sztuki złota dla każdego z mych wojowników. Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Noc

zeszła na czekaniu. Nad ranem linia naszych okrętów ciągnęła się od jednego końca cypla do drugiego. Grecy stali u wejścia do Bosforu. Przez jakiś czas, wydawało się, że trwa to bardzo długo, obie floty stały w miejscu, kołysząc się na lekkiej fali. Nagle ruszyły na nas trzy szybkie galery. To był sygnał do ataku. Nasze statki w ciasnych szeregach płynęły naprzód. Wojownicy dziurawili burty nieprzyjacielskich łodzi długimi włóczniami, obcinali wrogom głowy, ramiona, nogi, choć ognisty deszcz strawił siedem naszych statków. Wydawało się, że nasza odwaga i siła zapewnią nam zwycięstwo, gdy nagle burza o niezwykłej mocy przyniosła wraz ze strasznym wiatrem od wschodu sztorm tak gwałtowny, że nasze łodzie zostały odepchnięte aż do skał, na urwisty brzeg, gdzie się roztrzaskały. Wojownicy, którzy dotarli na ląd, zostali wycięci przez oddziały skoncentrowane wzdłuż wybrzeża. Morze było czerwone od krwi. Huragan zniszczył mój okręt. Iwan, syn Tworimira, zabrał mnie na pokład swej łodzi. Nagle burza ucichła. Dałem rozkaz, by zebrano to, co zostało z naszej floty. Ścigani przez Greków, znaleźliśmy schronienie w małej zatoczce u wybrzeży Tracji. Z ukrycia zaatakowaliśmy dwadzieścia cztery galery wroga. To była bezlitosna walka gigantów. Zdobyliśmy pięć okrętów, w tym statek admirałski dowodzony przez patrycjusza Konstantyna Kabaluriosa, którego zabiliśmy. Inne poszły na dno. Ogarnięci wściekłością, wszak tylu naszych żołnierzy zginęło, masakrowaliśmy wroga bez litości. Tylko nieliczni zdołali uciec. Po tym zwycięstwie ruszyliśmy w drogę powrotną. Mieliśmy za mało łodzi, by przewieźć sześć tysięcy wojska. Zdecydowano, że część pójdzie lądem. Razem z moją drużyną wsiadłem na statek. Ze ściśniętym sercem patrzyłem na swych walecznych towarzyszy, których zostawiałem w tak niebezpiecznym położeniu. Miałem właśnie dać rozkaz podniesienia kotwicy, gdy wojewoda Wyszata rzekł do mnie: „Idę z nimi. Czy przeżyję, czy umrę, to razem z moją drużyną”.

— Tak powiedziałem — potwierdził wojewoda. — Pomaszerowaliśmy ku ziemi ruskiej, ale nie uszliśmy daleko. Pod Warną wpadliśmy w ręce słynnego zwycięzcy spod Messyny, Katakalona Kekaumenosa. Biliśmy się jak lwy, ale ulegliśmy jego przewadze. Pojmano ośmiuset jeńców. Zakuto nas w łańcuchy i posłano do cesarza Konstantyna. W obecności zgromadzonego tłumu wykłuto nam oczy i obcięto prawice. Odrąbane ręce zatknięto na murach Carogrodu obok innych dłoni, które tam wisiały od początku wojny.

Zgromadzeni słuchacze westchnęli.

— Wielki Jarosław podpisał pokój — ciągnął Wyszata. — Po trzech długich latach odesłano nas do kraju. Oto dlaczego, Anno Jarosławno, wykłuto nam oczy.

Anna wstała, uklękła przed wojewodą, podniosła jego okaleczoną rękę i ucałowała ją.

Wyszata cofnął się.

— Nie chcę twej litości, kniaziówno.

— To nie litość, wojewodo. To wyraz mojego szacunku i wdzięczności, uwierz mi.

— Twój głos mówi mi, że jesteś szczerą. Chodź, niech cię uściskam.

Anna przytuliła się do niego.

— Czy jesteś ciągle tak samo piękna jak ostatnim razem, gdy cię widziałem? Byłaś jeszcze dzieckiem. Pamiętam dobrze twoje czerwone policzki i ogniste włosy, gdy wracałaś z polowania u boku ojca. Ma szczęście ten król Francji, że bierze za żonę najpiękniejszą pannę z naszego kraju.

Anna zeszywniała. Ślepiec wyczuł to.

— Czyżbyś była niezadowolona z tego małżeństwa? — spytał cicho. — Wystarczy jedno słowo, a nie będziesz musiała wychodzić za mąż.

— Ach nie, wielki Wyszato, jestem bardzo szczęśliwa...

— A więc — zawołał — zapomnijmy o wojnach i masakrach! Pijmy za przyszłą królową Francji. Nie zasmucajmy ostatnich wspólnych chwil opowiadaniem o bitwach, a zwłaszcza o klęskach — dokończył, zwracając się do kniazia Nowogrodu.

— Wojewoda Wyszata ma rację — powiedział Włodzimierz, wznosząc puchar. — Pijmy za wesele i przyszłość naszej siostry!

Wszyscy podnieśli puchary i wypili za zdrowie Anny, która zaledwie umoczyła usta w kielichu z winem.

Nastąpiła nie kończąca się uczta, przeplatana muzyką, pokazami tresury niedźwiedzi, tańcami, zapasami. Wino z Bizancjum sprawiło, że goście oddali się wesółemu i głośnemu pijaństwu.

Anna, czując zmęczenie, wymknęła się z sali.

Rozdział III

Większa

Na murach Nowogrodu noc wydawała się wspaniała, a powietrze było słodkie i pachnące. Anna z rozkoszą wdychała zapach mięty i bagna. Księżyc oświetlał tę krainę jezior, moczarów, majestatycznej rzeki, tak bliską jej sercu. Bracia i siostry woleli wielki Kijów, który Jarosław kazał wznieść na podobieństwo Carogrodu. Podróżni twierdzili, że cerkiew Świętej Zofii ze swymi trzynastoma kopułami i pięcioma nawami mogła śmiało rywalizować z harmonią katedry bizantyjskiej. Niezliczone rzesze malarzy i rzeźbiarzy upiększały ją co miesiąc, zdobiąc ściany scenami religijnymi i świeckimi, opisującymi łowy i zabawy. Ona sama wraz z siostrami pozowała malarzowi greckiemu, który na ścianach świątyni zaczął malować potężny fresk przedstawiający wielkiego kniazia i jego rodzinę.

W Kijowie najbardziej podobały jej się olbrzymie lasy wokół miasta, pełne zwierzyny. W polowaniu żadna kobieta nie dorównywała Annie. Jak nikt dosiadała konia, tropiła wilki, jelenie i dziki. W Kijowie niektórzy pamiętali jeszcze, jak szarżowała na tura, błakającego się po lesie z dala od swej kryjówki. Złamała włócznię na karku zwierzęcia, które oszalałe z bólu zaatakowało konia, raniąc go w brzuch. Kniaziówna spadła na ziemię i uderzyła o drzewo. Choć była ranna w głowę, podniosła się i trzymając sztylet w ręku stanęła naprzeciwko bestii. Krew ciekła jej po twarzy. Uratował ją młody, odważny wojownik z drużyny ojca. Jeszcze dziś widzi, jak skacze na kark zwierzęcia, dźga kilkakrotnie nożem, a następnie podrzyna gardło. Jarosław obsypał go podarkami w podzięce, a kniaziówna przyjęła na towarzysza łowów.

Anna rosła razem z braćmi, uczestniczyła w ich zabawach i nauce. Nie robiono różnicy między nią a chłopcami. Tym mocniej odczuła zmianę, gdy matka jej, Ingegerda, odesłała ją do komnat niewieścich, gdzie miała nauczyć się haftować, praść wełnę i zachowywać jak panna jej stanu. Przebywając tam z siostrami, matką, z rzeszą służących i niewolnic, słuchała legend, które stare kobiety opowiadały sobie podczas nie kończących się zimowych wieczorów. W takich chwilach obszerna, ciepła sala, wymoszczona miękkimi poduchami, kobiercami i futrami, zaludniała się dawnymi bóstwami, boginkami i duchami Rusi. Najpierw

pojawiał się Perun ze swą złotą maską i srebrnymi wąsami, któremu przysięgali wierność książęta ruscy i ich drużyny. To był bóg wojny i błyskawicy, bóg straszliwy. Składano mu ofiary z ludzi. Kobiety drżały, słuchając opowieści o jego napadach gniewu. Milszy był Swaróg, bóg słońca i ognia, Niektóre kobiety mówiły, że chodzi on po niebie. Wołos, bóg poezji i przypowieści, bóg bydła i złota, raz był bogiem dobrym, a raz, gdy kumał się z Perunem, złym. Mocosz, nie zawsze przychylna, czuwała nad pracami domowymi i tkactwem. Wszyscy pozostawali pod urokiem nimf, ulubionych duszków mieszkańców Rusi, z którymi biskupi nie mogli sobie dać rady. Mieszkały w lasach, w jeziorach, a także w domach, gdzie lubiły psocić, chować przedmioty i różnić kochanków. W ciepłej izbie słyhać było śmiechy i wesołe okrzyki, a wszystko to pod pobłażliwym wzrokiem Ingegerdy. Anna śmiała się wraz z siostrami, ale bardzo szybko usypiała z wrzecionem w ręku, marząc o polowaniach i szalonych gonitwach. Czasem udawało jej się wymknąć do komnat ojca, gdzie było mnóstwo drogocennych przedmiotów i ksiąg. Jarosław dużo czytał i wiele czasu spędzał w pałacowej bibliotece w towarzystwie tłumaczy, kopistów, poetów, historyków i iluminatorów. Często powtarzał:

— Księgi są jak rzeki, które nawadniają całą ziemię. Są źródłem mądrości.

Ojciec i córka czytali Pismo Święte, dzieła ojców Kościoła, a także kroniki i dzieła świeżo przetłumaczone z greki lub języka cerkiewnego.

Matka i siostry, nawet Helena, śmiały się z niej, że woli towarzystwo uczonych starców, którymi otaczał się Jarosław i od których, jak mawiała Elżbieta, wionęło starym capem i kadzidłem. Najgorzej śmierdział uczony mnich Hilarion. Jego było czuć już z daleka.

Na myśl o tym Anna roześmiała się. To prawda, że Hilarion śmierdzał jak cap.

— Dlaczego się śmiejesz?

Dziewczyna podskoczyła.

— Filipie, to ty? Przestraszyłeś mnie!

— Wybacz, ale goście kniazia dziwią się, że ciebie nie ma. Obawiają się, że znudzili cię opowiadaniem o wojnach.

— Co za pomysł! To mnie nigdy nie nudzi.

— Myślałem, że dziewczęta wolą opowieści o miłości.

Na szczęście było ciemno i nie mógł zauważyć rumieńca na jej twarzy. Odpowiedziała swobodnie:

— Być może, ale nie ja. Dziwi cię to?

— Tak — wyszeptał.

Noc skrywała twarz młodzieńca. Tylko oczy błyszczały i chciały dojrzeć, co kryje się w źrenicach dziewczyny.

— Nie patrz tak na mnie.

— Wybacz, ale już wkrótce nie będę cię oglądał.

— Milcz! Rozkazuję ci, milcz!

— Rozkazuj, jeśli chcesz. I tak cię nie posłucham.

— Filipie, zapomniałeś, do kogo mówisz?

— Nie, Anno Jarosławno. Nie zapomniałem, że jesteś córką mojego pana ani też, że masz poślubić innego. Ciągle jednak przypominam sobie tę słodką chwilę, gdy trzymałem cię w ramionach.

— Byłam nieprzytomna.

— Tak, ale kiedy otworzyłaś oczy, spjrzałaś na mnie z takim uczuciem...

— To normalne, uratowałeś mnie przecież przed rogami tura.

— ...i wyszeptowałaś: „dziękuję”.

— To drobiazg — dodała z sarkazmem.

Młody wojownik, zatopiony we wspomnieniach, nie zauważył tego.

— Zapytałaś: „Jak się nazywasz?”

— Filip...

— Powiedziałaś to z taką samą słodyczą jak wtedy. Powtórz jeszcze raz.

— Filip...

Anna opuściła ramiona; stała w półmroku omdlewająca i ogarnięta słodkim odrętwieniem i patrzyła na swego towarzysza łowów tak, jakby widziała go pierwszy raz. Był niewiele wyższy od niej, miał jasne włosy i brodę, ogromne niebieskie oczy, prosty i wydatny nos, białe zęby, usta o pełnych wargach, szerokie ramiona, umięśnione nogi i ręce. Wyglądał na bardzo zwinnego. Często Anna w żartach porównywała go do wiewiórki, co nie podobało się Filipowi.

— Nie sądzę, aby wiewiórka mogła uratować cię spod kopyt tura — oburzał się.

Jego wściekła mina tak ją bawiła, że nazwała go „Większa”. Wkrótce młodzieniec przyzwyczał się do tego przezwiska i śmiał się z niego.

Dlaczego ręka, którą próbowała unieść w jego stronę, była taka ciężka? Gdy palce dotknęły jego policzka, wydawało się, że są z kamienia. Po chwili jednak ożyły i przesunęły się do brody tak jedwabistej, że Anna aż zadrzała. Ojciec miał zupełnie inny zarost; drapał jej delikatne ręce, gdy jako dziecko przytulała się do niego. Ze strachu, że Anna przerwie pieszczotę, Filip wstrzymał oddech.

Stali tak w milczeniu, przestraszeni. Śmiechy dochodzące zza murów sprowadziły ich z powrotem na ziemię. Podniósł się wiatr. Nagle zrobiło się zimno.

Zeszli szybko po stromej drabinie, u stóp której stała Helena. Rzuciła ostre spojrzenie w stronę Filipa.

— Co tam robiłeś z kniaziówną?

— Wybacz, Heleno... Po raz ostatni spoglądałam na równinę.

— Czy wypada, aby panna spoglądała na równinę w towarzystwie chłopca w przeddzień ślubu?

— Och, przestań mi mówić o ślubie. Od przyjazdu francuskich biskupów mówisz tylko o tym.

— Twój ojciec też tylko o tym mówi. Czy myślisz, że byłby zadowolony, gdyby wiedział, że jego córka pozwala sobie zawracać w głowie, gdy on dał już swoje słowo?

Anna spojrzała z gniewem na piastunkę. Helena nawet nie drgnęła, gdy poczuła na twarzy uderzenie zimnej dłoni.

— Wiem, kim jest mój ojciec i jakie jest moje pochodzenie. Obrażasz mnie, myśląc, że mogłam przez moment o tym zapomnieć. Zostałam wychowana na królową i z pomocą Boga będę godna miejsca, w którym mnie postawił.

Zapominając o Filipie, który usunął się w cień, odwróciła się i powoli wróciła do pałacu. Czekał tam na nią zatroskany Wsiewołod.

— Siostrzyczko, gdzie byłaś? Nasz brat Włodzimierz rozgniewał się z powodu twej przeciągającej się nieobecności, a i goście się dziwią.

— Nie martw się, powiem im, gdzie byłam. Zrozumieją mnie.

W sali, gdzie ucztowano, panował zaduch. Twarze biesiadników zrobiły się czerwone i błyszczące od potu. Woń potraw, wina i ciał była tak mocna, zgiełk tak duży, że Anna zatrzymała się w progu. Dowódca drużyny kniazia zauważył ją, uklonił się i dał znak, by podążała za nim. Gdy doszła do Włodzimierza, poprosiła go, by uciszył zebranych. Na znak kniazia dowódca drużyny wydał odpowiedni rozkaz trębaczom. Gdy biesiadnicy umilkli, Anna wstała i przemówiła:

— Bracia, przyjaciele! Wiem, że zdziwiła was moja nieobecność. Niektórych może nawet zasmuciła. Proszę was o wybaczenie. Byłam na murach, skąd po raz ostatni podziwiałam szlachetny Nowogród. Pomyślałam, że nic na świecie mi go nie zastąpi i że nigdy go nie zapomnę. Wszystkim wam powierzam ten skarb, który głosi całemu światu wielkość naszego ludu.

Wzruszona Anna usiadła. Zabrzmiały oklaski i okrzyki:

— Niech żyje Anna Jarosławna! Niech żyje Nowogród!

Włodzimierz wstał i zawołał:

— Niech żyje Nowogród! Niech żyje królowa Francji!

— Niech żyje królowa Francji! — powtórzył tłum.

Uczty, polowania i festyny trwały jeszcze parę dni. Mieszkańcy Nowogrodu i ich książ nie wiedzieli, jak jeszcze umilić ostatnie chwile Annie, która miała opuścić ich na zawsze. Kiedy nadszedł czas odjazdu, chcieli ją odprowadzić starzy i młodzi. Wszyscy ją błogosławili, wielu płakało. W dwóch wielkich wozach z trudem mieściły się podarki, jakie otrzymała od kupców, biskupa i Włodzimierza.

Anna po raz ostatni spojrzała na miasto, które spowite w lekkiej porannej mgle jakby się unosiło. Spięta konia ostrogami. Filip ruszył za nią.

Rozdział IV

Kijów

Anna próbowała modlić się w kaplicy przylegającej do komnat jej matki. Ciągle jednak wracała myślami do wczorajszej uczty, podczas której ojciec podejmował z honorami wysłanników z Francji, biskupów Waltera i Rogera. Przybyli razem z rycerzem Gosselinem z Chauny prosić oficjalnie o jej rękę w imieniu króla Franków.

Ich wygolone twarze i tonsury na głowach wprawiły wszystkich w zdziwienie. Jakże inne były obyczaje w Kijowie! Jednak znajomość greki szybko zyskała im przychylność kniazia i Hilariona. Wzruszył ich także dar przesłany przez króla Henryka dla Świętej Zofii. Był to złoty kielich delikatnej roboty, ozdobiony rubinami i szafirami, zawierający fragment Krzyża Świętego.

Królewscy wysłannicy złożyli uszanowanie narzeczonej, po czym wręczyli jej dary: sukna z Reims, brokaty z Flandrii, koronki z Orleanu, skórzane napierśniki z Étampes, pozłacane kapy z Corbie. Wyrazili życzenie jak najrychlejszego powrotu do Francji razem z kniaziówną, gdyż, jak twierdzili, król i jego poddani z niecierpliwością czekają na nową królową.

Wyruszyli z Francji wiosną 1050 roku. Parę tygodni spędzili w Polsce na usilną prośbę króla Kazimierza, który lubił wspominać opata Odyłona oraz czas spędzony w opactwie w Cluny, gdzie o mało co nie został mnichem. Zatrzymali się też i w Chersoniu, gdzie modlili się u grobu świętego Klemensa z Rzymu i gdzie opatowi Oldarykowi przekazali cenne relikwie świętego. Z powodu złej pogody i licznych potyczek z rozbójnikami dalsza droga do Kijowa okazała się bardzo ciężka.

Po cóż wracać tak szybko? KNiaź Jarosław namawiał biskupów do wypoczynku. Zimą nie należy podróżować, wkrótce nastanie wiosna, a i wówczas podróż powrotna do Francji zabierze im cztery do pięciu miesięcy.

— Ale król pragnie poślubić kniaziównę na Zielone Świątki.

Na te słowa wszyscy oniemieli.

— To przecież za trzy miesiące! — krzyknął Jarosław.

Biskup Roger, który prowadził pertraktacje w sprawie małżeństwa, tłumaczył to wolą króla.

— Rozumiem jego pragnienie — ciągnął Jarosław — ale czy nie lepiej poczekać na poprawę pogody? A i podróż będzie wtedy lżejsza dla mojej córki.

Kochany ojciec! Chciała go za to ucałować! Wysłannicy królewscy byli jednak nieugięci.

— Król przysięgał na święte relikwie, że pojmie żonę w dzień Zielonych Świątek. Musimy więc wyruszyć za tydzień, powiedział biskup Roger.

Choć wszyscy wydawali się przerażeni tą decyzją, musieli się przed nią ugiąć.

Ubrana w skromne szaty Anna w towarzystwie swej młodszej siostry Ireny i Filipa po raz ostatni odwiedziła liczne bazyliki Podola, na których sprzedawano żywność, przyprawy korzenne, wełnę i jedwabie, naczynia gliniane i miedziane, broń, futra i klejnoty. Zapragnęła ujrzeć raz jeszcze zręcznych żonglerów i akrobatów, śmiać się z zapasów tresowanych niedźwiedzi. Każda dzielnica miała swój targ: targ rzeźników z mocnym i doprowadzającym do mdłości fetorem, z muchami i psami, które handlarze przepędzali kopniakami; targ rybny, gdzie lała się woda i gdzie królowały koty podniecone zapachami morza; targ korzenny, na którym kupcy przybyli z dalekiego Bagdadu sprzedawali kijowiankom ich ulubione pachnidła oraz kadzidła, zapalane przed ikonami. Na targu z sukniami spotykali się szlachetni rycerze i bogaci kupcy w towarzystwie małżonek lub córek. Brały one w ręce jaskrawe jedwabie, wielobarwne wstążki i przezroczyste błyszczące welony. Sobie Anna kupiła welon, dobrany do koloru oczu. Dla Heleny wyszukała sztukę brązowego aksamitu przypominającego jej ulubionego rumaka. Wreszcie dla Filipa wybrała sztylet u słynnego podolskiego kowala. Była to kopia bardzo modnego wówczas i trudnego do zdobycia sztyletu arabskiego. Na jego klindze kazała wyryć swoje imię.

— Jeśli spotkasz jakąś pannę, którą ściga tur, możesz być pewien zwycięstwa — roześmiała się, wręczając mu nóż.

Czerwieniąc się, ze spuszczoną głową Filip przyjął prezent.

— Nigdy już nie będę ratował żadnej panny ściganej przez tura — wymamrotał, wsuwając sztylet za pas.

— Matko Najświętsza, módl się do Twego Syna, by dał mi siłę opuścić ojca, matkę, braci, piękną ojczyznę i zapomnieć o Filipie. Spraw, Boże, bym była małżonką wierną i kochającą, godną córką Jarosława i Włodzimierza Wielkiego.

Jej myśli znów uleciały gdzieś daleko. Przypominała sobie, jak odwiedzała z ojcem monastyr Świętego Jerzego, jedną z licznych szkół, założonych przez niego w Kijowie, Złotą Bramę, cerkiew Zwiastowania, grotę Ławry wykute w skałach na

brzegach Dniepru i zamieszkiwane przez świątobliwych zakonników, cerkiew górującą nad Ławrą oraz fundamenty wielkiego monasteru, który kazał wznieść i który miał być najpiękniejszy i największy w całej Rusi. Jarosław Mądry, zwany przez swych wrogów „Przetracona Goleń”, gdyż podczas jednej z wojen koń wysadził go z siodła, po czym zwałił się na niego, łamiąc mu nogę w paru miejscach, przekształcił swe miasto w miejsce wymiany i handlu. Bogate pałace i cerkwie robiły wrażenie na przybyszach. Kijowianie dumni byli ze swego grodu, choć mieszkali za murami miasta, w biednych ziemiankach na Podolu. Sławili kniazia za to, że kazał wznieść mury obronne, za którymi mogli się schronić w razie napaści wroga.

Nagle Anna podskoczyła. Poczowała, że ktoś położył rękę na jej ramieniu. Był to Hilarion, biskup Kijowa. Całkowicie zatopiona we wspomnieniach nie wyczuła tej charakterystycznej woni — mieszaniny wosku, kadzidła, nie mytego ciała — która zawsze towarzyszyła świętemu starcowi.

— Nie modlisz się, córko?

Czyż on nie wie, jak trudno się modlić, gdy wciąż cisną się przed oczy wizerunki tych, których trzeba opuścić, wspomnienia miejsc, w których wzrastała?

— Odwagi, moje dziecko, wiem, co czujesz. Jednak obowiązkiem córki jest słuchać rodziców, założyć rodzinę. Gdy nadchodzi pora, musi opuścić swych rodziców i rodzinę męża uczynić swoją. Wielki zaszczyt uczynisz Panu, wychowując dzieci w wierze chrześcijańskiej. Pamiętaj, aby szanować sługi boże i rozdawać część twego bogactwa Kościołowi. Bądź miłosierna dla ubogich. Niech twoje siostry, które przyczyniły się do szczęścia swych małżonków i poddanych, będą wzorem dla ciebie.

Jakże za nimi tęskniła! Najstarsza, Elżbieta, poślubiła Haralda Norweskiego, w którym Anna kochała się będąc małą dziewczynką. Potrafił tak zajmująco opowiadać o swych przygodach na całym świecie, że Jarosław i cała rodzina z zapartym tchem słuchali owych opowiadań. Anastazja poślubiła Andrzeja Węgierskiego. Za jej przyczyną ochrzczono cały lud węgierski. Ciotka, Maria Dobronega, została małżonką Kazimierza, króla polskiego. Teraz zaś biskupom francuskim śpieszno było sprowadzić ją do swego kraju!

Dziewczyna rozplakała się, co wielce zirytowało mnicha, który w jej małżeństwie widział tylko jedno: umocnienie sojuszu Rusi z innymi krajami Europy. Łzy kniaziówny nie mogły przeszkodzić polityce Jarosława!

— Twój smutek obraża Boga i ojca — rzekł sucho i ostro. — Nie zachowujesz się ani jak dobra chrześcijanka, ani jak posłuszna córka.

Anna wstała, wycierając ręką mokrą twarz. Zagniewana, chciała coś odpowiedzieć, lecz Hilarion uprzedził ją:

— Ugnij się, kniaziówno! Kobieta znajduje ukojenie w uległości wobec Boga, ojca lub męża.

Dlaczego nie urodziła się chłopcem! Czyż nie jest tak samo mądra jak jej bracia, z wyjątkiem Wsiewołoda? Czyż nie jeździ konno tak samo dobrze jak oni? Czyż nie dorównuje im na polowaniach, w pływaniu, w rzucie oszczepem?

— Klękniemy i pomódlmy się.

Nazajutrz Anna, przyodziana w ciężkie bizantyjskie stroje haftowane złotem i przyozdobione drogimi kamieniami, uczestniczyła w mszy odprawianej w soborze Świętej Zofii z okazji jej zaślubin.

Gdy skończyła się długa liturgia, Anna wstała niespiesznie. Była oszołomiona śpiewami i zapachem kadzideł. Wraz z biskupami Rogerem i Walterem udała się przed ołtarz, u którego stóp zgromadziło się całe duchowieństwo oraz rodzina. Uklękła najpierw przed biskupem Kijowa, Grekiem Teopemptem, który ją pobłogosławił, następnie przed mnichem Hilarionem, a w końcu przed ojcem i matką, którzy ją ucałowali. Łzy Ingegerdy spływały na twarz Anny. Jej siostra Anastazja, która sama była młodą mężatką, na próżno starała się uśmiechać. Płakała. Bracia zaś mieli tak poważne miny, że Anna o mało co nie wybuchnęła śmiechem. Jedynie bratowe, Olga, żona Światosława, i Gertruda, żona Izasława, cieszyły się z jej bliskiego ślubu.

Orszak na czele z Anną i biskupami opuścił sobór Świętej Zofii. Kniaziówna szła wyprostowana w swej ciężkiej sukni. Na rudych włosach miała wysoką bizantyjską koronę. Za kniaziówną maszerowało około dwudziestu rycerzy z Gosselinem z Chauny na czele. Ich ostrogi głośno uderzały o marmurowe płyty katedry. Za nimi szedł Teopempt, Hilarion, Jarosław, Ingegerda, kniaziowie, wojownicy. Parę kroków dalej podążały dwie damy dworu, które przysłał król Henryk, by towarzyszyły przyszłej królowej.

Choć wiał mroźny wiatr i bez przerwy padał deszcz ze śniegiem, przed katedrą czekał zgromadzony lud Kijowa. Na widok Anny zerwał się okrzyk radości. Poczowała wszechogarniającą falę ciepła i miłości. Na widok tysięcy twarzy zaczerwienionych od mrozu i wyciągniętych rąk zatrzymała się, by rozkoszować się tą chwilą radości i bólem zarazem. Złożyła ręce na piersiach i modliła się. Po jej policzkach popłynęły łzy.

— Boże Przenajświętszy, chroń lud ruski i błogosław mu!

Na znak dany przez biskupa lud rzucił się na kolana. Szerokim gestem Teopempt pobłogosławił ciżbę.

Deszcz padał coraz większy i powrót do pałacu na piechotę nie był już możliwy. Ku rozczarowaniu zgromadzonych rodzinę oraz gości Jarosława uniosły wozy i lektyki. Uczta, która potem nastąpiła, trwała kilka godzin. Anna nie była w

stanie nic przełknąć. Nie mogła opuścić sali, tak jak to uczyniła w Nowogrodzie, gdyż wszyscy na nią patrzyli. Filip, siedzący wśród drużyny, nie spuszczał z niej płonących oczu. Wysilała się, by śmiać się z żartów braci, ze sztuczek błaznów, z akrobacji niedźwiedzi. Po mocnych trunkach rozpoczęły się tańce. To był znak dla niewiast, biskupów i mnichów, że czas opuścić ucztę. Książówna wróciła do swych komnat w towarzystwie francuskich dam i swych służących. Po raz ostatni miała spędzić noc w pałacu ojca.

Rozdział V

Wyjazd

Książęcy powóz zaprzężony w cztery przysadziste, płowe konie o krótkich nogach już czekał. Był to prezent Jarosława dla córki. Niewolnicy podwinęli skórzane zasłony. Parę kroków dalej stał Filip i trzymał za uzdę Mołnię. Na widok swej pani rumak potrząsnął głową i zarżał radośnie. Anna wyrwała się z rąk rodziców i podbiegła do konia. Choć miała na sobie ciężką szubę podbitą sobolami, wskoczyła nań i ruszyła galopem, przewracając po drodze trzy osoby, które nie uskoczyły w porę. Filip, mianowany przez Jarosława dowódcą eskorty kniaziówny aż do bram Krakowa, podążył za nią.

Zapanował powszechny rozgardiasz. Biskup Meaux rozkazał Gosselinowi z Chauny ruszyć za przyszlą królową wraz z jej dwórkami, które z żalem spoglądały na oddalające się wygodne powozy. Pożegnanie kniazia odbyło się w pośpiechu, w zupełnym nieładzie, bez zachowania należytego ceremoniału. Jarosław i jego synowie z trudem zachowali powagę, widząc rozbieganych dostojników. Wreszcie biskupi dosiedli koni i oddalili się truchtem, błogosławiąc po drodze tłum, który padł na kolana. Za nimi ruszyła karawana: lektyki, wozy załadowane darami dla króla Francji, bagaże, zapasy żywności dla ludzi i obrok dla koni. Gdy ostatni rycerz minął Złotą Bramę, słońce stało już wysoko na kijowskim niebie.

Filip dogonił Annę przy murach obronnych miasta. Mołnia miała zakrwawione boki. Rumak, zdziwiony ostrymi ukłuciami ostróg, do czego nie był przyzwyczajony, gnał coraz szybciej. Oszalały z bólu poniósł w końcu swoją panią, która nie robiła nic, by go uspokoić. Filip zrównał się z Anną, chcąc powstrzymać jej konia. Popuścił strzemiona, stanął na siodle i jednym skokiem znalazł się za kniaziówną. Usiadł okrakiem na jej wierzchowcu i chwycił za wodze. Pomimo tego dodatkowego obciążenia Mołnia jeszcze przez czas jakiś galopowała jak szalona. Wreszcie zwolniła kroku. Nogi jej się trzęsły, z pyska ciekła piana zmieszana z krwią, pot spływał z boków. Anna i Filip zsiadli. Kniaziówna, bez tchu, zachwiała się. Zamknęła oczy, oddychała ciężko, serce mocno jej waliło. Nie zwracała uwagi na drgawki konia. Filip zanurzył dłonie w mokrej od potu grzywie Mołni i patrzył na kniaziównę ze złością.

— Dlaczego to zrobiłaś? Przecież mogłaś się zabić!

Anna zaprzeczyła. Nie chciała umrzeć, lecz uciec z tej ziemi, która nie należała już do niej. Ponieważ musiała odjechać, trzeba było to uczynić jak najszybciej, nie oglądając się za siebie.

— Nie zasłużyłaś na Mołnię! Zobacz, w jakim jest stanie. Odejdź, muszę się nią zająć.

Odepchnął ją gniewnie.

— Dlaczego tak mnie popychasz? Ach, Mołnio, wybacz mi!

— Nie czas teraz na płacz. Pomóż mi zdjąć z niej uprząż.

Ostrożnie zdjęli siodło i wytarli brzuch konia, po którym spływała krew.

— No, spokojnie, nie chciałam ci zrobić nic złego. Wiesz przecież... Zimno ci?

Anna odpięła szubę i zarzuciła ją na Mołnię w chwili, gdy nadjeżdżali ruscy i francuscy rycerze.

Ostry wiatr smagał jeźdźców, a mimo to zsiadający z konia Gosselin z Chauny, rycerz o smagłej cerze, był blady jak śmierć.

— Książniczko, najadłem się przez ciebie strachu jak nigdy dotąd! Słowo rycerza i chrześcijanina!

Anna nie pojęła tego, co rzekł, ale domyśliła się znaczenia jego słów. Uśmiechnęła się i oparła ubrudzoną krwią dłoń na ramieniu rycerza, który uklonił się z zażenowaniem. Opanował się jednak i oglądał zranionego konia. Spojrzenie, jakie rzucił swej przyszłej królowej, sprawiło, że teraz ona się zaczerwieniła.

— Mam nadzieję, pani, że lepiej traktujesz swych poddanych niż wierzchowce — wyszeptał.

Nadjechała cała świta. Z pomocą giermków biskupi zsiadali z koni.

— Pani, dzięki tobie zyskaliśmy trochę czasu — zauważył biskup Walter, poprawiając swój strój.

— Nasz król ucieszy się, gdy się dowie, z jaką niecierpliwością chcesz go, pani, ujrzyć — dodał biskup Roger. — Co się zaś tyczy ciebie, rycerzu Filipie, dziękujemy ci, że uratowałeś życie naszej przyszłej królowej.

Anna była już spokojna. Nadjechała właśnie Helena z Ireną i pozostałymi dworkami, co pozwoliło zmienić temat.

— Szybko dajcie mi

płaszcz. Zimno mi.

Na widok swej „córki”, trzęsącej się z zimna, Helena zapomniała o gniewie i ponaglała służące:

— Pospieszcie się! Kniaziówna się przeziębi!

Opatuliła ją w końcu pelisą z lisa; jego srebrne futro uwydatniało płeć i kolor włosów Anny.

Gosselin z Chauny podszedł z tłumaczem Gerberem, uklonił się przed kniaziówną i zapytał:

— Czy możemy już ruszyć w drogę, pani?

— Jak się czuje mój koń?

— Zupełnie dobrze. Zajął się nim twój rycerz. Za parę dni nie będzie już śladu. Ruszamy?

Anna wyraziła zgodę i podeszła do swej lektyki. Odesłała dworki, które chciały zasiąść obok niej.

— Heleno, idź z nimi. Chcę zostać sama. Jestem senna.

Piastunka oparła ją o poduszki, przykryła futrami i zapięła skórzane zasłony. Ciepło i kołysanie uspiły ją szybko. Nie spojrzała ani razu w stronę Kijowa.

VI

Podróż

Podróż do Włodzimierza, gdzie rządził Wsiewołod, trwała dziesięć dni. Anna wysiadała z lektyki tylko po to, by kryjąc się za zasłonami rozpostartymi przez służące załatwić swoje potrzeby. Podczas nocnych postojów spacerowała trochę wraz z Heleną i Ireną wokół obozu i odwiedzała Mołnię, która wracała do zdrowia i drżała z radości, gdy Anna głąskała jej kark. Każdego ranka Filip przychodził pytać o jej zdrowie, ale nie chciała go widzieć.

Orszak dotarł do Włodzimierza w niedzielę. Kniaziównę, biskupów i ich świtę w imieniu Wsiewołoda przywitał z szacunkiem Igor, kuzyn Anny. Choć pragnął zatrzymać swą piękną kuzynkę parę dni we Włodzimierzu, nazajutrz podróżni udali się w dalszą drogę.

Pogoda była piękna i mroźna. Bułgarscy przewodnicy okładali batami konie i muły, które co dzień pokonywały ogromne odległości. Podróżni dotarli do okolic górzystych i odtąd poruszano się ostrożnie, tak ze względu na groźbę lawin, jak i ze strachu przed rozbójnikami. Wzdłuż drogi, po której podążały karawany, wykute były grotty. Bandyty mogli się w nich schronić przed wiatrem i śniegiem. Były to jednocześnie świetne punkty obserwacyjne i miejsca zasadzek. Gosselin z Chauny rozkazał, by przewodnicy i strażnicy wzmocnili swe posterunki. Dzięki czujności rycerzy frankijskich dotarli bez kłopotów na szczyt przełęczy, gdzie godni zaufania mnisi prowadzili gospodę. Ziębnięci podróżni z wdzięcznością przyjęli gościnę oraz gęsty kapuśniak, który im podano.

Nazajutrz jazda w dół okazała się nadzwyczaj niebezpieczna: drogę zagradzały zwaliska, a ziemia wymykała się spod stóp. Jeden muł spadł w przepaść wraz z przewodnikiem. Przez długi czas słychać było krzyki nieszczęsnego mężczyzny. Wobec takiego niebezpieczeństwa Gosselin z Chauny kazał zatrzymać orszak. Anna uchyliła zasłony swej lektyki i zapytała:

— Co się stało?

— Księżniczko, nie możemy jechać dalej. Twoja lektyka może w każdej chwili runąć w przepaść. Lepiej, żebyś szła piechotą lub żeby ktoś cię przeniósł na plecach.

— Na plecach? — krzyknął Roger z Châlons, który zbliżył się, ciężko stąpając w swej lisiej szubie. — Nie ma mowy. Nasza królowa nie może siedzieć okrakiem na mężczyźnie. To obraza przyzwoitości i godności królewskiej.

— Księżę biskupie, czasem lepiej zapomnieć o przyzwoitości. Jestem pewien, że król wybrałby to rozwiązanie, byle tylko nie narazić życia księżniczki na niebezpieczeństwo.

— Nie widzę nikogo godnego...

— Owszem, ja!

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku śmiałka.

— Ojciec kniaziówny, mój pan, książę Jarosław, powierzył mi ją aż do granic królestwa Polski.

Filip ukląkł przed Anną, mówiąc:

— Anno Jarosławno, czy zgodzisz się, bym zastąpił Mołnię?

Lekki rumieniec zakwitł na policzkach kniaziówny, co nie umknęło uwagi Gosselina. Gdy tłumacz przedstawił prośbę Filipa, wyraził, acz niechętnie, zgodę.

Droga była trudna, ale Filip szedł śmiałym krokiem, nie czując wcale tego drogiego ciężaru, pijany z radości, że może trzymać Annę na ramionach. Kniaziówna była szczęśliwa, że znowu czuje tak znane sobie ciepło. Oparła głowę na karku Filipa i dała się nieść, nie zważając na nic. Liczyło się tylko to, że czuje każdy ruch jego, a wraz z nim swoje własne ciało. Walter z Meaux, który trzymał się kurczowo karku potężnego mnicha, nie spuszczał z nich oka.

Przybyli wreszcie do Krakowa, gdzie bojarzy z ojcowskiej drużyny winni byli pożegnać Annę. Od tej pory miała podróżować już tylko pod opieką rycerzy króla Henryka i wuja Sudysława, kniazia Pskowa, którego Jarosław, po wieloletnim więzieniu za bunt, mianował swym przedstawicielem na uroczystościach zaślubin córki. Razem z nim jechało dwudziestu rycerzy, którzy mu służyli i strzegli zarazem, a także Ostomir z Czernihowa, namiestnik książęcy z Kijowa. Po raz ostatni Francuzi i Rusini spotkali się na wspaniałej uczcie.

Król Kazimierz i królowa Maria Dobronega przywitani bratanicę z przepychem niezwykłym dla surowego dworu polskiego. Wiadomo było, że król przedkłada długie dysputy teologiczne nad wystawne uczy. Ale teraz to nie były odwiedziny bratanicy, lecz królowej Francji, Francji, gdzie niegdyś król Kazimierz i jego matka znaleźli schronienie i którą opuścił z żalem. Dzięki temu związkowi, którego był twórcą, dzięki dobrym stosunkom, jakie utrzymywał z wysłannikami króla Henryka, żywił nadzieje na zacieśnienie więzów między oboma królestwami i utrzymanie dystansu wobec cesarza niemieckiego.

Podczas uczy Anna z trudem znalazła parę chwil, by pożegnać się z Filipem. Dzięki pomocy swej mlecznej siostry umknęła uwadze Gosselina, który obserwował ją kątem oka od czasu burzliwego wyjazdu z Kijowa.

Wyznaczyli sobie spotkanie w małym kościółku nad Wisłą. Przyjaciele Filipa trzymali strażę na zewnątrz.

Czy to sprawiło drgające światło lampy, że twarz młodzieńca wydała się jej zmieniona, rysy wydłużone i surowe? Nie zaprotestowała, gdy przyciągnął ją do siebie.

— Nie powinnam tu przychodzić... Serce mi pęka na myśl, że już cię więcej nie ujrzę!

— Anno, pozwól mi jechać z tobą. Ogołę brodę i zetnę włosy. Powiesz, że jestem jednym z twych sług, twoim niewolnikiem...

— To niemożliwe. Wiesz o tym dobrze. Pan z Chauny i biskupi nigdy się na to nie zgodzą. Zauważyli, jak na mnie patrzysz, i domyślili się, że cię kocham.

Filip objął ją mocno, aż krzyknęła.

— Nie rób tego!

Przytuliła się do niego, szepcząc:

— Większa! — Niczym wiewiórka schwymana podczas zabawy przez dzieci chciał jej się wyrwać i zostawić samą. — Większa, miły Większa, pocałuj mnie.

Pocałował ją i całowałby jeszcze, gdyby nie Irena, która wpadła do kościoła,

— Szybko, musimy iść, nadchodzą zakonnicy!

— Filipie, weź ten pierścień. Niech będzie pamiątką po mnie. Nie smuć się, Większa. Nie zapomnę cię nigdy.

— Kniaziówno, szybko, chodźmy!

Irena wyrwała Annę z ramion, które chciały ją zatrzymać, i poprowadziła wzdłuż śliskich brzegów rzeki. W samą porę, bo właśnie nadchodzili zakonnicy, a wśród nich Walter, biskup Meaux, by odprawić wieczorne nabożeństwo. Walter rozpoznał Filipa. Rozejrzał się wokół podejrzliwie, ale w drżącym świetle lampek

zobaczył tylko trzech towarzyszy bojara Jarosława.

— Co ty tu robisz, synu? — spytał Filipa po grecku. — Skąd te łzy?

Filip z wściekłością wytarł oczy.

— Czy nie można się tu modlić?

— Jak najbardziej, synu. Modlitwa przynosi pociechę. Mam nadzieję, że znalazłeś ją w tym świętym przybytku.

Młodzieniec patrzył na niego z taką rozpaczą w oczach, że biskup aż poczuł litość.

— Idź w pokoju, będę się modlić za ciebie.

Dobroć okazana przez duchownego przybiła Filipa. Wyszedł bez pożegnania.

Walter z Meaux patrzył w zamyśleniu za wychodzącym.

Anna bez tchu wpadła do komnaty, gdzie czekała na nią zagniewana ciotka Maria Dobronega.

— Król wzywał cię już dwukrotnie. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Przyszłam sama do ciebie, by ukrócić wszelkie plotki. Czy można wiedzieć, gdzie byłeś?

— Och, Mario, nie gniewaj się. Pamiętasz, jak mnie pocieszałaś, gdy ojciec mnie karcił, kiedy byłam mała?

Anna rzuciła się w ramiona królowej, która sama była niewiele od niej starsza. Tym razem królowa odepchnęła ją.

— Anno Jarosławno, nie możesz już się tak zachowywać. Jesteś teraz królową jak ja i nic nie może liczyć się bardziej niż sława twego królestwa, honor twego małżonka i wychowanie twoich dzieci. Musisz myśleć tylko o tym. Zapomnij o ojcu i matce, o braciach i siostrach, o przyjaciołach, o twym kraju...

— Nigdy! — Anna krzyknęła tak głośno, że małżonka króla Kazimierza, która zadawała sobie wiele trudu, by wyłożyć jej tę wyuczoną lekcję, podskoczyła ze strachu. — Nigdy, słyszysz, nigdy nie zapomnę o moim kraju!

Maria westchnęła z ulgą: a więc to nie jakaś grzeszna miłość, tylko tęsknota za krajem powodowała to dziwne zachowanie bratanicy.

Objęła dziewczynę.

— Nie płacz, gołąbko, ja również często wspominam nasz kraj ojczysty, ale moim obowiązkiem i moim szczęściem jest być tu. Mój małżonek, który zna króla Henryka, powiedział, że to mężczyzna delikatny, lubiący ładne stroje, klejnoty, tańce i polowania. Zupełnie jak ty.

Anna uśmiechnęła się przez łzy.

— Ale on jest dużo starszy ode mnie.

— Starsi mężczyźni są lepszymi mężami, bardziej dbają o swe żony.

— Z pewnością.

Powiedziała to z takim smutkiem, że Marię znów ogarnęły wątpliwości.

— Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

— Oczywiście.

— Czy nie zostawiasz tu jakiegoś ukochanego?

Za odpowiedź wystarczyło złane rumieńcem czoło Anny.

— Nieszczęsna, pragniesz zguby?

— To nie to, co myślisz. Kocham Filipa jak brata, nie jak kochanka. Mój ojciec wie o tym. Inaczej nie pozwoliłby, by mi towarzyszył.

— Brat mój zna pewnie twoje uczucie, ale nie wie nic o uczuciach Filipa. Wszyscy o nich wiedzą, nawet biskupi.

— I co z tego? Nic na to nie poradzę.

Po raz pierwszy od początku ich rozmowy surowa twarz królowej rozjaśniła się i zawitał na niej ironiczny uśmiech.

— Chyba nie chcesz, żebym w to uwierzyła. Nie zapomnij, że też jestem kobietą i miałam zalotników. Zresztą jutro odjedzie eskorta przysłana przez twego ojca, a wraz z nią piękny Filip.

Anna odwróciła głowę i przesuwała bez końca palcami po ustach, które nosiły jeszcze ślady jego pocałunków. Maria Dobronega klasnęła w dłonie. Ukazała się służąca.

— Przynieś wodę dla księżniczki.

Po chwili dziewczyna powróciła ze srebrną misą wypełnioną pachnącą wodą.

— Obmyj twarz.

Potem królowa poprawiła długie, rude włosy Anny i wygładziła fałdy jej sukni.

— Chodź, król już się niecierpliwi.

Po pięciu dniach spędzonych w Krakowie podróżni ruszyli w dalszą drogę. Anna nie widziała już więcej Filipa.

Rozdział VII

Spotkanie

Podróż do Pragi była straszna. Wciąż padał deszcz ze śniegiem. Wozy grzęzły w błocie. Wilki napadały na konie, a wygłodniali rozbójnicy na ludzi. Chorzy rycerze nie mogli utrzymać się w siodłach. Pomimo grubych futer niewiasty i biskupi trzęśli się z zimna.

Annę zmęczyły narzekania dwórek oraz Heleny i Ireny, które nękała wysoka gorączka. Woląca stawić czoło złej pogodzie i jechać konno u boku Gosselina z Chauny, do którego czuła trochę sympatii mimo jego mrukliwego charakteru. Gosselin podziwiał jej wytrwałość, co rozbawiło Annę, która nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na pogodę. Nigdy też nie odmawiała napoju z wina, korzeni i miodu, w którym zanurzano rozpalony do czerwoności miecz. Ten czarodziejski napój sprawiał, że ludzie mogli wytrzymać przenikliwie zimno. Chauny dostał nań przepis od pewnego wędrownego mnicha, który powierzył go mu w sekrecie w podzięce za uratowanie życia. Pierwszy kielich napoju rozgrzewał całe ciało od stóp do głowy, drugi wprawiał w wesołość i życie stawało się piękne. Trzeciego, mimo próśb, Anna nie dostała nigdy.

Podróżni posuwali się z trudem, jadąc przez kraj wyniszczony i wyludniony, zamieszkały jedynie przez duchy i niedobre nimfy. Tak twierdziła Helena, która wciąż czyniła znak krzyża. Piastunka utrzymywała, że widziała błędzącego Świętopelka, mordercę synów Włodzimierza, Borysa i Gleba, który oszalał, cierpiąc tysiące mąk zesłanych przez niebo za ten haniebny czyn. Jego przeklęta dusza unosiła się nad orszakiem i przynosiła burze. Aby uspokoić duchy, biskup Walter kazał odprawić modły przepędzające demony i zawracające przeklętych do piekieł.

Gdy dotarli do Pragi, wylała właśnie Wełtawa. Na wodzie unosiły się olbrzymie lodowe bryły, o które rozbijało się na brzegu to, czego nie zabrała rzeka. Brzetysław I składał właśnie wizytę cesarzowi Henrykowi III, do czego namówił go papież Leon IX. Roger z Châlons i Walter z Meaux okazali swe rozczarowanie

biskupowi Pragi, który zarzucany zewsząd prośbami o pomoc nie mógł przyjąć swych braci w biskupstwie i narzeczonej króla Francji z należytą atencją i powierzył ich niższymi rangą duchownym. Dwa dni po przybyciu do Pragi, mimo chorób i utrzymującej się złej pogody, orszak ruszył w dalszą drogę.

Droga do Norymbergi minęła spokojnie. Księżę Bawarii wysłał na powitanie przyszłej królowej Francji liczną delegację z arcybiskupem Norymbergi na czele. W imieniu księcia wyraził ubolewanie, że władca osobiście nie może przyjąć córki Jarosława, gdyż zatrzymują go obowiązki u boku cesarza. Zaprowadzono Annę wraz z jej świtą do komnat królewskich pałacu arcybiskupiego. Z rozkoszą zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Jakże przyjemnie było włożyć na siebie świeżą bieliznę!

Przypomniała sobie, że jej matka, księżna Ingegerda, otaczała szczególną czcią pewnego pustelnika, świętego Sebalda, do którego modlił się lud niemiecki, uważając go za jednego ze swych apostołów. Mawiano, że u jego grobu zdarzały się liczne cuda. Anna zapragnęła udać się tam sama, bez żadnej eskorty, jedynie w towarzystwie Heleny, dwóch giermków i przewodnika. Gosselin z Chauny nie bez oporu zgodził się spełnić życzenie księżniczki, choć kościół, gdzie pochowano świętego, nie był zbyt oddalony od katedry. Anna wsiadła na Mołnię i mały oddział ruszył stępa.

Pogoda była piękna i mroźna. Jadąc za przewodnikiem, minęli bramy miasta, po czym przyspieszyli i galopem przejechali przez małą polanę. Zanurzyli się w lesie, w którym wysokie drzewa zasłaniały niebo. Helena zapytała przewodnika, czy jadą w dobrym kierunku. Wydawało się jej, że grób mnicha jest w mieście. Przewodnik zaprzeczył, kręcąc głową. Ponieważ ani jej pani, ani giermkowie nie zdradzali niepokoju, pomyślała, że być może się pomyliła.

Anna, szczęśliwa, że może znów cwałować, wyprzedziła towarzyszy pomimo ich nawoływań. Wkrótce nie słyszała już krzyków. Zwolniła, rozkoszując się tą chwilą samotności i ciszy. Nagle Mołnia zatrzymała się, nastroszyła uszy i zadrżała na całym ciele. Kniaziówna usłyszała tętent kopyt w lesie i wnet stado jeleni i saren wraz z małymi przebiegło obok w szaleńczym tempie. Stado liczyło nie mniej niż dwadzieścia sztuk, a prowadził je wspaniały dziesięcioletni jeleń. Instynktownie rzuciła się za zwierzętami. Pochyliła się nad szczyt Mołni, nie zważając na gałęzie, które ją chłostały po twarzy. Znów poczuła się jak na polowaniu w Kijowie. Pochłonięta pogonią, nie zauważyła, że podąża za nią jakiś jeździec. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy ten chciał ją wyprzedzić. Najpierw zdziwiona, a potem już wściekła, uderzyła bok konia, który przyspieszył, i dogoniła bezczelnego jeźdźcę. Przez jakiś czas galopowali tak razem, pierś w pierś, w szaleńczym tempie. Doganiali już stado jeleni, gdy Anna krzyknęła coś do ucha Mołni. Koń jednym susem przesadził głęboki rów, zostawiając z tyłu przeciwnika. Gałąź zerwała Annie

z głowy wyszywaną opaskę, która przytrzymała welon, i uderzyła z całej mocy jeźdźca w twarz. Uderzenie było tak silne, że ten stracił równowagę i runął na kamienie leżące na dnie rowu. Anna dogoniła stado, które rozbiegło się na wszystkie strony. Zatrzymał się tylko mały jelonek na drżących nogach i z załzawionymi oczami. Wierzchowiec Anny przystanął przed małym zwierzątkiem, prychnął, sapał i parował. Anna zeskoczyła na ziemię i przyklęła.

— Chodź tu, malutki, nie bój się.

Jelonek nie ruszył się, gdy Anna wzięła go na rękę. Serce mu waliło i drżał na całym ciele, więc otuliła go swym płaszczem i przemawiała czule.

Usłyszała ciężkie stąpanie na zamarzniętej ziemi. Przed nią stał rycerz. Jego twarz była złana krwią zmieszaną z ziemią. Anna spojrzała na niego bez zaciekawienia. Spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę: on, wściekły, że przegrał wyścig i dał się pokonać kobiecie; ona zaś, zamiast zająć się rannym, głaskała jelonka. Szaty miała w nieładzie, głowę bez nakrycia. Włosy, na które mógł patrzeć tylko małżonek, były rozwiane. Anna zastanawiała się, czemu nieznajomy stoi, zamiast pójść swoją drogą. W końcu przemówił do niej zachrypniętym głosem. Powiedział coś, ale nie zrozumiała. Nagle usłyszeli ryk, na dźwięk którego jelonek podskoczył i cienko zapiszczał.

— Matka cię woła. Wracaj do niej!

Anna pocałowała delikatny pyszczek i puściła zwierzątko. Gdy znikło w zaroślach, wstała i zbliżyła się do mężczyzny. Rana wyglądała groźnie. Dotknęła palcami jego twarzy, po której przebiegł grymas bólu. Spojrzała uważnie na ziemię wokół siebie. U stóp drzewa zerwała kępkę mchu i zamoczyła ją w strumyku tryskającym spod kamieni. Dała znak rycerzowi, aby usiadł, zdjęła mu hełm, po czym zaczęła delikatnie przemywać mu twarz. Gdy oczyściła ją z ziemi i krwi, rany okazały się mniej groźne, z wyjątkiem jednej przecinającej twarz od oka do ucha. W zakłopotaniu spoglądała na ciekącą bez przerwy krew z rany.

— Połóż się — powiedziała.

Zdziwiony rycerz wyciągnął się na ziemi. Był to postawny i silny mężczyzna raczej wysoki, młody, o twardych i ostrych rysach. Nosił strój jednocześnie bogaty i prosty. Był ogolony i miał krótkie włosy. Patrzył na dziewczynę o rozpuszczonych włosach, która szukała czegoś w sakwie zawieszanej przy siodle. Wyjęła w końcu jakiś flakon, otworzyła go i powąchała zawartość. Była zadowolona, widać znalazła to, czego szukała. Wylała parę kropel płynu na garść mchu i przyłożyła ten opatrunek na ranę. Trzymała tak długo, aż krew przestała lecieć. Mężczyzna przymknął oczy i przyglądał się pochylonej nad nim dziewczynie. Jej włosy dotykały jego torsu. Nie przypominała mu żadnej ze znanych kobiet. Była wyższa, silniejsza, miała bardzo zuchwałe spojrzenie, ruchy

pewniejsze, włosy gęstsze, a przede wszystkim była bardzo piękna! Chciał ją przyciągnąć do siebie, ale w jej ręku nie wiadomo skąd pojawił się sztylet.

Nagle polana zapełniła się nawoływaniem i rżeniem koni. Nadjechała Helena wraz z giermkami i przewodnikiem. Pomimo swej tuszy piastunka zeskoczyła w biegu z wierzchowca.

— Dziecko moje, nic ci się nie stało? Ale się wystraszyłam! Nie masz dla mnie litości!

— Nie krzycz na mnie, Heleno, ścigałam się z tym rycerzem. Wyścig wygrałam, ale on upadł i teraz go pielęgnuję.

— Widzę, że go pielęgnujesz! Czy jest ciężko ranny?

Anna podniosła opatrunek.

— Krew już nie leci... panie — Helena zwróciła się do rannego — miałeś szczęście, że spotkałeś moją panią. Zna się tak dobrze na leczeniu, że nasz lud przezwiał ją Mora.

— Mora — wymamrotał ranny i zemdłał.

Helena szybko pochyliła się nad nim.

— Stracił dużo krwi... Trzeba odnaleźć jego ludzi.

W tym momencie na polanę nadjechał duży oddział i otoczył ich.

Mężczyzna w stroju duchownego pochylił się nad rannym.

— Co się stało księciu?

— Wygląda na to, że spadł z konia — rzekł jeden z jego giermków.

— Jesteście z Francji. Co robicie w tych okolicach?

— A ty, opacie, co tu porabiasz?

— Jesteś bezczelny, młokosie. Wiesz, z kim mówisz?

— Nie, ale domyślam się, że mam do czynienia z potężnymi panami. Nazywam się Arnault z Laon, a oto mój brat Wiktor z Dampierre. Należymy do świty biskupów Châlons i Meaux. Jesteśmy gośćmi arcybiskupa Norymbergi. Ale gdzie ona znowu jedzie? Pani! Pani, zaczekaj na nas...

Giermkowie wskoczyli na konie i rzucili się za księżniczką, którą znudziła ta gadanina.

— Żegnaj, księżo opacie — zdążył wykrzyknąć Arnault, po czym zniknął w gęstym lesie.

Zakonnik wzruszył ramionami i odwrócił się do rannego, który otworzył oczy.

— MORA!

— Co mówisz, panie?

— Gdzie jest ta dziewczyna, która mnie opatrzyła?

— Odjechała. Byli z nią francuscy giermkowie.

— Chcę ją ujrzeć ponownie.

— To niemożliwe, panie. Musimy wyruszyć co rychlej na dwór cesarza. Tylko on może wstawić się za wami u papieża.

Mężczyzna, do którego zwracał się zakonnik, z trudem wstał.

— Masz rację, opacie. Ale oddałbym z chęcią nawet jedno z moich miast, żeby dowiedzieć się, kim była owa dziewczyna.

— To z pewnością ktoś ze świty tej ruskiej księżniczki, po którą posłał nasz król Henryk, aby się z nią ożenić.

Książę roześmiał się.

— Przy takim mężu dziewictwo tej biednej księżniczki nie jest w niebezpieczeństwie. Ale jeśli jest taka piękna jak ta dziewczyna, to słowo daję, że mogę mu trochę pomóc w zamian za me dawne zasługi.

— Panie, jesteś tu, bo chcesz poślubić księżniczkę Matyldę. Nie myśl więc o innej kobiecie.

Książę i zakonnik wsiedli na konie, które przytrzymywali giermkowie.

— Jak zwykle masz rację, księżu opacie. Zapomnijmy o kobiecie, którą zważ Mora.

— Mora?

— Tak ją nazwała ta druga kobieta.

— Mora, Mora... czarodziejka!

— Co mówisz? Nic nie rozumiem.

— Przypomniałem sobie, że Mora to imię jednej ze słowiańskich wrózek. Bez końca zaplata swe włosy, by zwabić tych, którzy się do niej zbliżają.

— Czarodziejka Mora... pasuje do niej to imię. Zapach jej włosów zauroczył mnie. Wio!

Ukłucie ostrogami i okrzyk poderwały konia, który rzucił się przez las, rżąc z wściekłości i bólu.

Anna i jej towarzysze dotarli w końcu do małej drewnianej kapliczki, gdzie staruszek mnich sprzedawał relikwie świętego Sebalda.

— Czy to jest grób świętego? — zapytała Helena przewodnika.

— Nie, tę kaplicę wybudowano na miejscu jego chatki. Grób jest w mieście.

Myślałem, że księżniczka pragnie się pomodlić właśnie tu.

Helena o mało nie uderzyła przewodnika, który rzucił się na kolana, zdając sobie sprawę ze swej pomyłki.

— Błagam, nie mów nic arcybiskupowi! W przeciwnym razie każe mi wykluć oczy!

— Zasłużyłeś na to — odpowiedziała gniewnie Helena. — Masz szczęście, że nic złego nie przytrafiło się kniaziównie, inaczej ja bym tobie wyklęła oczy, wyrwała język i serce!

Anna weszła już do kaplicy i modliła się u stóp grubo ciosanej Madonny, oświetlonej migocącym blaskiem świec.

Rozdział VIII

Koniec podróży

Jechali teraz przez gęste niemieckie lasy, tak mroczne, że wydawało im się, że te ciemności nie mają końca.

W Ulm, podobnie jak Wełtawą w Pradze, płynęła Dunajem kra. Pod Tybingą napadli na nich rozbójnicy. Byli to biedacy, ale uzbrojeni w potężne drągi i dobre miecze. Ludzie z orszaku Anny zabili z tuzin rozbójników, a spośród Francuzów tylko jeden został ranny. Najdzielniejszy okazał się pewien wojownik o zniekształconej twarzy, który dołączył do nich w drodze. Zaciekłość, jaką wykazywał w walce, zwróciła uwagę Gosselina. Gdy mu gratulował, mężczyzna mruknął coś i odszedł, wycierając swój sztylet o podarte odzienie.

Dni były teraz dłuższe, wydawały się nie mieć końca. Od wyjazdu z Norymbergi deszcz padał prawie bez przerwy. Potykały się konie, wozy grzęzły w błocie, ogniska dymiły, lecz nie dawały ciepła. Nic już nie bawiło Anny: ani opowiadania piastunki, ani paplanina Ireny, ani pieśni dwórek, ani muzyka paziów, ani lekcje francuskiego udzielane jej przez biskupa Waltera, ani nawet małe zwierzątka, które znosił dla niej Gosselin.

Często łajał on przewodników, że jechali inaczej niż w drodze na Ruś. Bułgarzy zaś wrzuszali jedynie ramionami i podróżowali dalej na swych niskich, żółtych konikach. Były one niezwykle wytrwałe, co wprawiało w podziw francuskich rycerzy. Dotarli wreszcie do szerokiej rzeki, przez którą przepłynęli na tratwach. Na drugim brzegu powietrze było jakby cieplejsze, słońce mocniej grzało. Panowała wczesna wiosna, Anna zrzuciła futrzane narzuty i podbiegła zbierać małe, pachnące kwiatki, których nazwy nie znała.

— Są to fiołki — powiedział biskup Roger.

— Fioł_ki — powtórzyła w zabawny sposób.

Po wyjeździe z Pragi Anna poprosiła biskupów i dworki, by ją nauczyli języka przyszłego męża. Była niezwykle zdolna i po miesiącu potrafiła już porozumieć się i zamienić parę słów ze służbą i Gosselinem z Chauny, którego zdążyła zupełnie zawojować. Był pierwszym na długiej liście rycerzy oddanych duszą i ciałem tej,

którą nazwano później: „nasza pani z dalekiego kraju”.

Po wyjeździe Filipa i bojarów Anna była zrozpaczona. Próbowwała zabić smutek i nudę długimi konnymi przejażdżkami w towarzystwie rycerzy z eskorty pod czujnym, acz życzliwym okiem biskupów. Jedynie Helena, która dbała o zdrowie i reputację swej wychowanki, patrzyła na te eskapady niechętnym okiem. Na postojach Anna brała do ręki swoje gęśle i śpiewała razem z Heleną i Ireną piosenki, wprowadzając słuchaczy w nieokreśloną melancholię.

Pewnego wieczoru, gdy przygnębienie podróżnych było większe niż zwykle, Gosselin z Chauny wykrzyknął:

— W waszym kraju są same płaczki!

Córka Jarosława nie rozumiała tych słów i zwróciła się do tłumacza o pomoc. Posłała Gosselinowi gniewne spojrzenie i powiedziała coś w swym języku, klasnąwszy w dłonie. Helena i Irena wstały, podeszli rycerze ze świty wuja. Jedni trzymali w rękach sopilki, inni gęśle, jeszcze inni cymbały i na znak dany przez kniaziownę zagrali dziką i szaloną melodię, a potem odtańczyli coś, co wyglądało na błazenadę. Anna przyłączyła się do nich, śpiewała, grała, śmiała się przed osłupiałymi Francuzami, którzy nigdy nie słyszeli i nie widzieli czegoś podobnego.

Biskup Walter, który znał się na literaturze — nie bez przyczyny przezywano go „Wszehwiedza” — i utrzymywał w Meaux grajków i śpiewaków, spuścił głowę z konsternacji, gdy usłyszał te dźwięki, które mu raniły uszy, i gdy ujrzał, z jaką poufałością Rusini odnosili się do księżniczki. Biskup Roger powiedział zaś sobie, że z takim temperamentem przyszła królowa z pewnością uwiedzie króla i rychło da spadkobiercę królestwu Francji.

— Panie Gosselinie, widzisz teraz, że nie jesteśmy krajem płaczek. My też potrafimy się śmiać — rzekła do rycerza Anna, lekko zdyszana i z zaróżowionymi policzkami.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i wróciła do lektyki.

Od tego czasu grała na zmianę pieśni wesołe i smutne, wystawiając na próbę nerwy i uczucia swej francuskiej publiczności.

Gerard z Alzacji, książę Górnej Lotaryngii, powitał narzeczoną króla Francji w towarzystwie biskupów Metz, Toul i Verdun w imieniu swego suwerena, cesarza Niemiec. Po dwóch dniach uctowania podróżni opuścili Toul oczarowani przyjęciem, jakie im zgotowano.

— Księżniczko, oto Francja!

A więc to jest jej nowa ojczyzna? Mimo sprzeciwu biskupów Anna jechała konno u boku Gosselina. Bez ustanku zadawała mu pytania:

— Dlaczego ludzie są tak nędznie ubrani? Dlaczego są tak mizerni? Czy jest

dużo szkół? Co jedzą? Widzę same lasy. Czy u was nie rośnie zboże?

Gosselin trudził się, by na nie odpowiedzieć. Nie zauważył do tej pory, by wieśniacy byli mizerni. Były wprawdzie lata głodu i nędzy, ale teraz wszystko jest już w porządku. Co zaś się tyczy szkół, to jest ich mało i są dostępne wyłącznie dla szlachty.

— Na Rusi jest inaczej. Mój ojciec dba o to, by dzieci prostych ludzi umiały czytać.

Dojeżdżali do Reims, gdzie miało nastąpić spotkanie Anny i Henryka. Wysłannicy donieśli o zniecierpliwieniu króla, który pragnął, by ślub i koronacja odbyły się tego samego dnia. Roger z Chalons podzielał to zdanie w przeciwieństwie do Waltera z Meaux.

— Ślub powinien odbyć się jak najszybciej — przekonywał pierwszy z nich.

— Rozsądniej będzie odczekać parę dni, aby księżniczka mogła wypocząć — mówił drugi.

Spór rozstrzygnął Gosselin:

— Czy zapomnieliście o ślubowaniu króla?

Duchowni zgodzili się z nim. Zaczęli się przygotowywać do przekazania w ręce królewskie księżniczki, po którą pojechali tak daleko, nie licząc się z trudami i niebezpieczeństwami. W zamian za to mieli dostać, jak mniemali, wysokie sumy dla swych diecezji...

Przed murami Reims zaprowadzono Annę i towarzyszące jej kobiety do klasztoru, którego przeoryszą była krewna króla.

— Kuzynko, witaj w domu naszego Pana Jezusa Chrystusa. Zostaniesz tu do jutra, do dnia, w którym Duch Święty zstąpił na Apostołów. Król, mój kuzyn, przybędzie po ciebie osobiście.

— Dziękuję ci.

— Mam nadzieję, że ten krótki czas spędzony u nas upłynie ci przyjemnie. Kazałam przygotować kąpiel. Służące czekają już na ciebie.

Anna wymyta, wymasowana, zлана pachnidłami, uczesana i ubrana w suknię podbitą popielicą, spędziła wigilię swego wesela słuchając legend Rusi i kołysanek znanych jej z dzieciństwa. Dopiero nad ranem zaczęła się modlić.

Rozdział IX

Ślub i koronacja

19 maja 1051,r

dzień Zielonych Świątek

Król pojawił się nazajutrz, zaraz po porannej mszy, w której uczestniczyła Anna. Choć nie spała całą noc, jej świeża, dziewczęca twarz jasno świeciła pod wysokim czepkiem kijowskich księżniczek. Na spotkanie z Henrykiem postanowiła włożyć jedną z sukien przywiezionych z kraju.

— Jej krój nie jest ważny — powiedziała biskupom.

Tak więc król Francji ujrzał księżniczkę ubraną na podobieństwo cesarzowej Bizancjum. Była piękniejsza, niż mu powiedzieli biskupi, imponująca w swym stroju wysadzonym drogimi kamieniami. Anna uklękła i ucałowała dłoń swego przyszłego małżonka. Henryk podniósł ją i uklonił się.

— Witaj w swym królestwie, księżniczko Anno.

— Dzięki ci, panie.

A więc to był mąż, któremu oddawał ją ojciec. Podczas nie kończącej się podróży wyobrażała go sobie na różne sposoby: raz był duży, raz gruby, mały, chudy, stary, brzydki i piękny na przemian, ale zawsze miał tę męską pewność, która cechowała jej braci. A król Francji nie był, ani mały, ani duży, ani gruby, ani chudy, ani piękny, ani brzydki. Miał za to zadziwiająco wysoki głos, miękkie ruchy i czerwone usta. Czarne oczy, małe i przenikliwe, błyszczały pośrodku nijakiej twarzy, zakończonej wesołą, rudawą bródką przetykaną siwymi włoskami. Na długie włosy nałożoną miał szeroką koronę wysadzaną drogimi kamieniami, topornie szlifowanymi. Wstążki zdobiące jego tunikę oraz rękawy haftowane były złotem i białym jedwabiem. Na zielonej tunice nosił czerwony płaszcz spięty broszą w kształcie lwa. Pludry w czerwone i zielone pasy opinały jego raczej zgrabne łydki. Anna westchnęła, myśląc o Filipie.

Służący przynieśli dary od księcia kijowskiego dla króla Francji. Był tam między innymi wspaniały hiacynt oraz bardzo cenny ewangeliarz, na widok

którego podniosły się okrzyki zachwytu.

Przed wyjazdem do Reims uczesniczyli we mszy odprawionej w przyklastornym kościele, wzniesionym dzięki hojności króla. Czyste głosy zakonnic wznosiły się wysoko do bogato zdobionych sklepień. Po nabożeństwie para królewska w otoczeniu świty skierowała się do wyściełanych wspaniałymi materiałami lektyk, niesionych przez białe woły o rogach ozdobionych czerwonymi i złotymi wstążkami. Henryk pomógł Annie zasiąść w lektyce, w której poduszki zasypane były kwieciami.

Pochód ruszył powoli, w rytm stąpania wołów, Wśród wiwatów gawiedzi, czekającej już od poprzedniego dnia, by ujrzeć swą nową królową, by podziwiać sznur powozów, w których zasiadały szlachetne panie rywalizujące między sobą elegancją i urodą oraz biskupi w długich wyszywanych pelerynach. Król jechał na czele rycerzy na bogato przyozdobionym stępaku, za nim giermek prowadził jego rumaka. Lud nie ukrywał swej radości z takiego widowiska. Za królem kroczyli hrabiowie Francji wraz ze swymi rycerzami. Na głowach nosili skórzane czapki wysadzone gwoździami, ubrani byli w kolorowe tuniki i płaszcze, nogi mieli oplecione rzemykami, przytroczone miecze, w lewych dłoniach trzymali okrągłe tarcze o geometrycznych wzorach, a w prawych krótkie żelazne włócznie. Tak kroczyli wspaniali Enguerrand, hrabia Ponthieu, wraz z synem Hugonem, Walter III, hrabia Vexin, Gotfryd Martel, hrabia Andegawenii, Thibaud III, hrabia Chartres, Galeran, hrabia Meulan, Rainard III, hrabia Sens. Przemaszzerowali bez jednego spojrzenia na tłum. W pochodzie wyróżniał się wzrostem Raul z Cr~epy, hrabia Valois i Amiens. Na jego widok okrzyki prawie ustały, niektórzy nawet czynili znak krzyża. Był cały ubrany na czarno i dosiadał czarnego konia. Obok niego kroczyli członkowie jego straży w hełmach i kolczugach z ciemnej skóry nałożonych na czerwone tuniki. Na nogach mieli żelazne nakolanniki, a w rękach tarcze ozdobione smokiem zionącym ogniem. Nad tą grupą unosiła się jakaś brutalna i zła moc. Gdy nadeszli biskupi Walter z Meaux, Roger z Ch~alons i B~eroud ze Soissons, lud rzucił się na kolana, wnosząc prośby o błogosławieństwo. Złote ozdoby, stalowa broń i hełmy iskrzyły się w słońcu, błyszczała trawa i wszystko aż do murów Reims. Gdy zabiły dzwony w kościołach, otworzyły się bramy miasta. Ukazało się ono ustrojone flagami na cześć od tak dawna oczekiwanej panny młodej.

Pochód przejechał pod łukami triumfalnymi, a wzdłuż całej trasy żołnierze oddawali honory. Mieszkańcy grodu świętego Remigiusza wnosili okrzyki radości. Anna patrzyła z zaciekawieniem na swych nowych poddanych, cisnących się, by ją zobaczyć. Nie różnili się niczym od kijowian, może tylko stroje mieli mniej kolorowe i mężczyźni nie byli tak wysocy jak tam. Kobiety za to były ładniejsze. U wąskich drewnianych okien domów wisały kawałki sukna i innych

kolorowych materiałów, do których podoczepiano kwiaty, zielone gałązki albo też herb miasta lub różnych korporacji. Nie zważając na strażników biegły za pochodem hordy obdartych dzieci z wyciągniętymi rękami. Anna dała znak Gosselinowi z Chauny, który jechał obok lektyki. Zbliżył się zdziwiony.

— Panie, czy możemy rozdać jałmużnę tym biednym dzieciom?

— To jest przewidziane, pani, ale po uroczystościach. Wszyscy miejscowi biedacy są zaproszeni na ucztę wydaną przez króla na cześć jego zaślubin.

Anna uśmiechnęła się w podzięcie.

Tłum stawał się coraz gęstszy, dźwięk dzwonów silniejszy. W powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa. Anna pożałowała, że nie przyjęła miseczki rosółu, którą zaproponowała jej przeorysza po nabożeństwie.

Wreszcie lektyka zatrzymała się na placu, gdzie wznosił się nowo wybudowany kościół. U wyjścia stał arcybiskup Reims, Guy z Ch~atillon, wraz z licznymi biskupami ubranymi w kapy, w mitrach, z pastorałami w ręku, symbolami autorytetu i łagodności.

Henryk osobiście pomógł Annie wysiąść z lektyki. Dworki przypięły jej na ramionach ciężki królewski płaszcz w kolorze purpury, a Helena wygładziła jego fałdy. W oczach obu kobiet malowało się wzruszenie. Miały chęć rzucić się sobie w objęcia. Uśmiechając się Anna wyszeptała w ojczystym języku:

— Jestem głodna.

Następnie odwróciła się i podała energicznie dłoń królowi, który zaplątał się w fałdach płaszcza, nałożonego nań przez baronów. Para królewska szła teraz po ziemi zasłanej liśćmi. Gdy doszli do kobierców leżących na schodach katedry, uklękli. Arcybiskup pobłogosławił ich kolejno, po czym wyciągnął dłoń w rękawiczce. Anna i Henryk ucałowali pierścień biskupi. Kanonik podał im następnie do pocałowania Pismo Święte. Wstali z klęczek i weszli do katedry za Guyem z Ch~atillon.

Rozbrzmiały śpiewy. Za parą królewską szedł Li~ebert z Cambrai, który miał otrzymać święcenia biskupie z rąk arcybiskupa Reims. Za nim postępowali inni prałaci oraz reszta duchowieństwa. Choć paliło się mnóstwo świec, Annie wydawało się, że w tym świętym przybytku jest ciemno. Nic nie przypominało cerkwi Świętej Zofii. Madonna, która na nią spoglądała znad ołtarza, miała niemiły wyraz twarzy, daleki od dumnej łagodności ikony kijowskiej. Mało tu było złota, mało bogatych ozdób. Zamiast tego widziała naiwne freski w krzykliwych kolorach.

Anna i Henryk klęczeli przed tronem i modlili się z zamkniętymi oczyma. Wysłannicy królów, księżęta, biskupi, dygnitarze, rycerze, którzy odbyli daleką

podróż na Ruś, wreszcie lud, który przecisnął się do środka, wszyscy zajmowali miejsca w katedrze, uważając, by nie nadebrać na biskupa Cambrai, leżącego krzyżem. Gdy zapanował spokój, arcybiskup zaintonował „Veni Creator” przed klęczącym tłumem. Po odmówieniu litanii do wszystkich świętych wierni powstali. Do Li~eberta podszedł arcybiskup Guy, niosący w rękach Ewangelię, w towarzystwie dwóch świadków, biskupów Loeteryka z Laon i Deodata ze Soissons. Pomogli mu oni położyć księgę Słowa Bożego na ramiona Li~eberta. Wśród głębokiej ciszy Li~ebert podniósł się, następnie przyjął mitrę biskupią, pastorał, pierścień oraz Ewangelię. Dziękczynne śpiewy wzniosły się do Boga.

— Raduję się, że kościół w Cambrai zostaje tobie powierzony. Dzięki tobie, a znam twoje zasługi, słowo Boże będzie zawsze szanowane. Niech Bóg przyjdzie ci z pomocą w tym trudnym zadaniu, za które modlimy się co dzień — zwrócił się do Li~eberta arcybiskup Guy z Ch~atillon, po czym dodał: — Bogu niech będą dzięki.

— Bogu niech będą dzięki — powtórzyli zebrani.

Arcybiskup zwrócił się teraz do Anny i do Henryka. Wyraził swoją radość, że może połączyć tak wielkiego króla z tak wielką księżniczką. Przypomnił im, że są przede wszystkim dziećmi Bożymi i że powinni żyć w bojaźni, by nie uczynić czegoś, co Mu się nie spodoba.

Anna wybrała na swych świadków Gosselina z Chauny oraz namiestnika Ostromira z Czernihowa, druha jej ojca. Ze strony Henryka zaszczyt ten przypadł Baldwinowi z Flandrii, jego szwagrowi, i Elbe z Roucy. Świadkowie podeszli do ołtarza razem z parą królewską. Walter z Meau przyjął przysięgę małżeńską i po wymianie pierścieni pobłogosławił nowożeńców. Arcybiskup Reims, w mitrze na głowie i pastorałem w lewej ręce, zwrócił się do księżniczki kijowskiej, która podeszła i uklękła przed duchownym. Szlachetne damy odchyliły jej suknię, odkrywając ramiona.

— Panie, prosimy Cię, byś raczył pobłogosławić Twą tu obecną sługę Annę, którą koronujemy na królową. Wysłuchaj prośb naszych.

Arcybiskup usiadł przed kniaziówną, oddał swój pastorał księdzu i wziął do lewej ręki patenę z olejem świętym. Prawym kciukiem uczynił znak krzyża na czole i piersiach Anny mówiąc:

— Namaszczam cię tym świętym olejem jako królową, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Módlmy się. Niech Pan nasz, Jezus Chrystus, Syn Boży, namaszczony przez Ojca olejem radości w sposób doskonalszy niż wszyscy ci, którzy uczestniczą w Jego chwale, poprzez ten święty olej rozleje nad twoją głową błogosławieństwo Ducha Świętego i niech wejdzie w twe serce, ażebyś poprzez ten dar widoczny i namacalny miała dostęp do dóbr niewidzialnych. Niech tak się stanie.

Wziął następnie pierścień, pobłogosławił, pochylił się nad Anną i wsunął go na serdeczny palec jej prawej ręki.

— Przyjmij ten pierścień, który jest znakiem wiary i godności królewskiej, oznaką twojej siły, abyś z jego pomocą zwyciężała wrogów i z uporem trwała przy wierze swych przodków.

Potem wziął z rąk biskupa Meaux berło, trochę mniejsze od berła króla, i włożył je do prawej dłoni narzeczonej.

— Przyjmij to berło, które jest znakiem władzy królewskiej, berło prawości i regułę cnoty, abyś dobrze się sprawowała, abyś za pomocą Tego, którego królestwo i chwała sięgają poza wsze czasy, przeszła z królestwa ziemskiego do królestwa wiecznego. Niech tak się stanie.

Teraz podszedł Roger z Ch~alons, wziął koronę z ołtarza i trzymając ją nad głową Anny rzekł:

— Niech Bóg nałoży ci tę koronę chwały i sprawiedliwości. Niech cię umocni siłą i odwagą, abyś błogosławiona naszymi rękoma, pełna wiary i dobrych uczynków doszła do korony wiecznego królestwa dzięki Temu, którego królestwo i panowanie są wieczne. Niech tak się stanie.

Po tej modlitwie włożył koronę na głowę królowej, mówiąc:

— Przyjmij koronę twego królestwa w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, abyś wyrzekając się czarów wroga ludzi, wystrzegając się zarazy grzechów, była tak gorliwa w sprawiedliwości, tak chętna w wyrozumiałości i tak sprawiedliwa w sądach, byś zasłużyła na koronę w królestwie wiecznym razem ze świętymi i otrzymała ją z rąk Pana naszego Jezusa Chrystusa. Trwaj nieugięcie na straży królestwa, które Bóg ci powierza. Niech Chrystus, pośredniczący między Bogiem i ludźmi, znajdzie w tobie wierną królową, która będzie czuwać nad Jego ludem. Módlmy się, Boże wieczności, źródło wszelkiej cnoty, zwycięzco naszych wrogów, pobłogosław Twą służebnicę, która pochyła głowę przed Twym majestatem. Zachowaj ją w zawsze kwitnącym zdrowiu i mnoż jej radości. Niech służebnica Twoja, o Wszechpotężny, otrzyma łaskę płodności i niech będzie jak Sara, Rebeka, Lea i Rachela, i inne święte niewiasty, które wiernie tobie służyły, na chwałę królestwa i potęgi Kościoła Bożego. Bądź jej pomocą i opoką w każdej chwili, jak i dla tych, o których będzie się do Ciebie modliła. Niech uczestniczy w bogactwach Twej chwały. Wysłuchaj jej modlitw. Otocz ją swym miłosierdziem i łaską. Niech zawsze pobożnie Tobie służy. Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, niech tak się stanie.

Nowa monarchini złożyła tradycyjne ofiary: chleb, baryłkę wina, gołębicę i trzynaście złotych monet, oraz dary dla biednych niesione przez czterech rycerzy na tuwalni z czerwonej satyny ze złotymi frędzlami.

Król i królowa zasiedli na swych miejscach, by wysłuchać sumy odprawianej przez arcybiskupa. Kapelan królewski odprawiał jednocześnie mszę w bocznej kaplicy. Anna przystąpiła do komunii pod dwiema postaciami, prosząc Matkę Bożą o siły w dźwiganiu korony. Siedzący obok niej Henryk wyglądał na przygnębionego.

Po nabożeństwie król i królowa wstali z tronu i udali się w orszaku do komnat królewskich w pałacu arcybiskupim. Orszak prowadzili proboszcz, strażnicy, muzycy, heroldowie, mistrz ceremonii i czterej rycerze, którzy nieśli dary złożone podczas mszy. Za nimi szła gwardia i oficerowie. Na widok takiej procesji tłum nie szczędził ani okrzyków, ani braw.

Rozdział X

Uczta królewska

Po powrocie do komnat Henryk złożył uszanowanie Annie i zostawił ją z jej służkami. Odetchnęła z ulgą, kiedy zdjęto z niej ciężki płaszcz. Zamyślona, pozwoliła rozebrać się bez słowa. Nikt nie przerywał ciszy. Helena włożyła na ciało królowej cienką, chłodną i pachnącą koszulę. Po raz kolejny Anna odmówiła włożenia jednej z sukien ofiarowanych jej przez Henryka. Woląła stroje, które dał jej ojciec. Wybrała suknię pasującą do jej koloru oczu, z wycięciami wokół szyi i rękawami ozdobionymi szerokimi wstążkami haftowanymi złotem, oraz płaszcz w białym kolorze malowany w wiejskie sceny. Na nogach miała wysokie buty ze złoconej skóry, a na skroniach koronę wysadzaną szmaragdami, do której przyczepiony był sznur pereł i drogich kamieni. Francuskie dworki aż krzyknęły z zachwytu na widok tych wspaniałych klejnotów pochodzących z kraju, który niejedna z nich uważała za dziki. Wnuczka Włodzimierza Wielkiego z pewnością uśmiechnęłaby się, gdyby tylko potrafiła czytać w ich myślach.

Po królową przyszedł mistrz ceremonii, by ją zaprowadzić do wielkiej sali pałacu arcybiskupiego, gdzie miała się odbyć uczta.

Gdy weszła, wszyscy zamilkli, podziwiając urodę królowej przybyłej z tak daleka. Szła wyprostowana, sama wśród dworu, którego obyczajów nie znała.

Annę zaprowadzono do stołu. Zasiadały tam już siostra króla, księżna Adela, małżonka hrabiego Flandrii, i jej córka Matylda, narzeczona Wilhelma, księcia Normandii, przezywanego przez wrogów Bastardem, dalej hrabina Cr~epy, urodziwa hrabina Andegawenii, hrabina Chartres oraz hrabina Meulan. Wszystkie nosiły suknie w żywych kolorach haftowane złotem, a na głowach miały welony, przytrzymywane złotymi koronami lub opaskami. Anna usiadła na krześle o pięknie rzeźbionym oparciu. Hrabiowie siedzieli osobno, podobnie jak biskupi i członkowie domu królewskiego. Przy piątym stole, królewskim, bo zasiadał tam władca, zajęli miejsce arcybiskup Reims, wysłannik króla Szwecji, jarl Vasterg~otlandu Ragnwald, który wśród darów ofiarowanych przez swego pana przekazał Annie naszyjnik z jaspisu podarowany przez jej siostrę Elżbietę, a Henrykowi miecz z Namsos od króla Haralda, następnie wysłannik króla Węgier,

Andrzej, ban Temesvar_Koppany, Hugon, opat Cluny, reprezentujący króla Polski i cesarza Niemiec, hrabia Sussex przybyły w imieniu króla Edwarda z Anglii oraz książęta biskupi Arnold z Rodez i Ebeherard z Trewiru, namiestnik Ostomir i książę Pskowa Sudysław.

Heroldowie zapowiedzieli przybycie króla. Arcybiskup pobłogosławił zebranych. Na znak Henryka rozpoczęła się uczta. Goście umoczyli dłonie w miseczkach z ciepłą wodą, podanych przez służących. Rozpoczęła się powolna procesja dań. Najpierw dziczyzna: bażanty o długich piórach, drżących przy wnoszeniu, pieczone sarny, które, umiejętnie przygotowane przez kucharzy, wydawały się jak żywe i gotowe do skoku, danie w gęstym sosie, dziki w wieńcach z cukrowych kwiatów. Na ich widok goście krzyknęli z zachwytu. Kroczy odcinał porcje, służący na kolanach podawali je królowi. Henryk wybrał kawałek sarniny, położył go na dużym placku i podał królowej.

Następnie wniesiono drób, który wyglądał tak, jakby był gotów do lotu: gęsi o rozłożonych skrzydłach, tłuste kapłony, nadziewane pulardy, gołąbki z rusztu. Potem były węgorze, minogi w ciemnym bulionie, szczupaki z otwartymi pyskami, łososie tak świeże, jak gdyby dopiero co wyciągnięte z wody. Na koniec desery: przeróżne placki, pączki, lekkie kremy, kandyzowane owoce ze Wschodu, a do tego białe, aromatyzowane wino na miodzie, które uderzało do głowy.

W sali panował wesoły rozgardiasz. Baronowie, biskupi, rycerze przywoływali swoich służących i kazali sobie podawać coraz to inne dania. Służba biegła we wszystkie strony, by spełniać rozkazy.

Anna jadła z apetytem, co zauważyli i komentowali ze śmiechem goście.

Pod koniec uczty arcybiskup Reims podniósł się, odmówił modlitwę dziękczynną i opuścił salę w towarzystwie biskupów i swej świty. Nadeszli żonglerzy i komedianci. Pomimo uprzejmości Matyldy z Flandrii, zarzucającej Annę pytaniami, których nie rozumiała i na które odpowiadała uśmiechem, pomimo zabawnych min hrabiny Andegawenii, Anna nudziła się i zakrywała ręką usta przy coraz częstszym ziewaniu. Nie mogła oprzeć się pokusie i rzucała zazdrosne spojrzenia w stronę królewskiego stołu, przy którym po odejściu duchowieństwa panowała wesoła atmosfera. Henryk wyglądał na wielce rozbawionego grymasami trzech młodych giermków, którzy dosiedli się do niego po wyjściu biskupów. Anna zauważyła zniecierpliwienie i zły humor Waltera z Meaux i Rogera z Ch~alons. Wydawało się jej, że teraz biesiadnicy spoglądali na nią z większym zaciekawieniem niż na początku uczty. Potem wzrok ich wędrował w stronę króla i znowu wracał ku niej.

Następnie uwaga gości skupiła się na muzyku, którego wejście zostało przywitane okrzykami i oklaskami, do czego zachęcił sam król, podnosząc się na

jego widok. Oblicze muzyka było anielsko piękne. Jego loki w kolorze miodu sływały miękko na ramiona i otaczały gładką twarz o dziecięcych i wydętych ustach. Nie mógł liczyć sobie więcej niż piętnaście lat. Niósł z gracją pozłacaną harfę ozdobioną głową barana. Jego delikatna ręka przypominała dziewczęcą dłoń. Ubrany był w krótką tunikę rozciętą z przodu i z tyłu, do której przyczepione były małe złoczone breloczki. Nogi opinały pludry z ciemnoróżowego jedwabiu, a małe stopy obute były w pantofle z kurdybanu w takim samym zielonym kolorze, jak i jego tunika.

— Nosi twoje barwy — zauważyła Adelajda z Cr~epy, zwracając się do królowej.

Służący podali stołek. Młodzieniec usiadł, z wdziękiem odpiął instrument i wziął do ręki plektron z kości słoniowej. Król usiadł wygodnie i zamknął oczy.

Wśród całkowitej ciszy chłopiec zagrał melodię, jakiej Anna nigdy nie słyszała. To była muzyka lekka i wesoła, przypominająca jej wiatr igrający na wiosnę w młodych listkach brzozy w Nowogrodzie. W tej sali wyłożonej ciężkimi zasłonami, gdzie unosiły się jeszcze zapachy korzennych sosów i wina, to był powiew świeżego powietrza.

Chłopiec zaśpiewał ciekim i miłym głosem. Anna nie rozumiała wyrazów, ale z min dam wywnioskowała, że była to pieśń miłosna. Potem zaśpiewał pieśń rycerską, bo mężczyźni podnieśli się z płonącymi oczyma i zaciśniętymi pięściami. Gdy skończył, wybuchły oklaski i okrzyki entuzjazmu. Ukłonił się przed Anną, potem przed królem, który dał mu znak, by się zbliżył. Władca wstał i objął chłopca. Ten oblał się rumieńcem jak dziewczyna. Hrabina Cr~epy szepnęła coś do ucha hrabinie Andegawenii, po czym obie wybuchnęły śmiechem. Matylda spuściła głowę i ukradkiem spoglądała w stronę Anny. Nadeszli następni muzycy, a młody śpiewak usiadł za królem, promieniejącym z ukontentowania.

Widząc zaciekawienie królowej, nachyliła się ku niej urodziwa hrabina Andegawenii.

— Ten chłopiec nazywa się Oliwier z Arles, pochodzi z kraju królowej Konstancji, matki naszego króla, który go uważa za syna.

— Dlaczego to cię tak śmieszy? — spytała Anna.

— Przestańcie wreszcie głupio plotkować — odezwała się księżna Adela. — Nie zapominajcie, że mój brat jest królem!

— Jest królem, bo my tego chcemy — odpowiedziała jej hrabina Cr~epy. — Nie zapomnij, księżno, że ziemie mojego męża są rozleglejsze niż całe jego królestwo.

— Wiem o tym — westchnęła księżna. — Nie ma dnia, żebyś ty albo ktoś z

twych krewnych nie przypominał mi o tym. Nie zapominaj jednak, że jest on namaszczony przez Pana naszego i że jest waszym władcą.

— Piękny to władca, który woli towarzystwo chłopców niż dam!

— Milcz! Czy zapomniałaś, że mówisz w obecności królowej?

— Ona tego nie rozumie — wzruszyła ramionami hrabina Cr~epy.

Matylda uśmiechając się wzięła Annę za rękę. Była niską brunetką, raczej szczupłą, o pięknych oczach i łagodnym uśmiechu. Annie spodobał się jej gest. Odpowiedziała uśmiechem. Król zbliżył się do ich stołu. Na jego twarzy widniał znów ten sam grymas znudzenia, jaki dostrzegła w chwili spotkania. Czyżby mu się nie podobała? Czy nie była piękna i godna dać spadkobiercę królestwu Francji? Od dzieciństwa hołubił ją ojciec i bracia, ubiegali się o nią ich przyjaciele. Wszak mąż jej siostry Elżbiety, waleczny król Harald Norweski, który wiecznie szukał przygód miłosnych, przezwał ją Morą, czarodziejką. Nazwę tę przywiózł ze swych licznych podróży. Lubiła, gdy składano hołdy jej urodzie. Czyż nie zauważyła z niepokojem, za co natychmiast prosiła Boga o wybaczenie, odważnych spojrzeń, jakie rzucił w jej stronę ubrany na czarno hrabia Cr~epy, mąż hrabiny, która tak rozgniewała siostrę króla? Nawet mrukliwy Gosselin z Chauny, czyż nie stał się najukochańszym towarzyszem podróży, a biskupi Roger i Walter, czyż nie poddawali się jej urokowi?

— Pani, czas się oddalić.

Anna ujęła wyciągniętą dłoń króla z lekkim uśmiechem.

Rozdział Xi

Królowa

W komnacie królowej w pałacu arcybiskupim palił się wielki kominek. Po kąpieli Anna, skropiona pachnidłami i uczesana przez służące, spożywała lekką kolację w towarzystwie Heleny i Ireny. Odesłała damy dworu, pragnąc spędzić ostatnie chwile panieństwa razem ze swymi krajankami.

Helena, skoro tylko ujrzała króla Henryka, nabrała wstrętu do jego zniewieściałych gestów, cienkiego głosu i łagodności, z jaką odnosił się do giermków i lokai. Lecz najbardziej rozgniewało ją to, że tak mało uwagi poświęcił Annie, jej ukochanej córeczce. Z trudem ukrywała swe oburzenie i czuła się jak na torturach, gdy musiała wychwalać takiego jak on człowieka, nawet jeśli był królem.

Anna nie dała się oszukać. Za dobrze znała piastunkę, ale udała, że wierzy jej pochlebstwom. Gdy Helena w prosty sposób chciała jej opisać przebieg nocy poślubnej, przerwała jej z rozdrażnieniem w głosie:

— Nie wysilaj się, moja droga, wiem, co mnie czeka. Widziałam, jak moi bracia przewracali na ziemię służące i wkładali im swe członki w brzuch. Widziałam i słyszałam, z jakim upodobaniem to robili. Czekam na tę chwilę z niecierpliwością. Gdybym nie była córką wielkiego księcia kijowskiego i tak bardzo nie obawiała się gniewu Boga, już dawno straciłabym dziewictwo!

— Dzięki Bogu, nie uczyniłaś niczego takiego!

Helena popatrzyła na nią, z ulgą kiwając głową, a Irena czerwona jak piwonia zachichotała.

— Czasem to było naprawdę trudne — westchnęła Anna, w której kochał się bojar Filip.

— Tak, to bardzo trudne — westchnęła jeszcze głośniejszą piastunka, która od wielu lat była wdową.

— Tak, tak — westchnęła Irena.

Te westchnienia rozbawiły je bardzo, aż wybuchnęły śmiechem tak donośnym,

że zagłuszyły pukanie do drzwi.

Mistrz ceremonii stukał wielokrotnie, aż w końcu usłyszały, jak uderza laską w podłogę. Odwróciły się w końcu. W komnacie był król, obok niego stał arcybiskup, biskupi i hrabiowie Francji. Wszystkie trzy zaczerwieniły się ze zmieszania. Helena i Irena pochylili się w nie kończącym się ukłonie, a Anna podniosła na przybyłych pytający wzrok. Jej oczy zatrzymały się na hrabim Valois, którego wysoka postać górowała nad innymi. Patrzył na nią bezwstydnie, tak że Anna poczuła się jak naga i instynktownie skrzyżowała ręce na łonie. Arcybiskup na opak zrozumiał ten gest i z trudem opanował lekki uśmiech. Zwrócił się do królowej:

— Królowo, przybywamy pobłogosławić łoże weselne, aby Bóg udzielił tobie, w swej wielkiej łaskawości, radości poczęcia.

Anna cofnęła się. Miała na sobie jedynie długą koszulę z cienkiego płótna, prawie przezroczystą, przepasaną w biodrach szerokim, złożonym pasem wysadzonym kolorowymi kamieniami. Jej długie, rude warkocze spływały po koszuli jak dwa złote węże. Jakże piękna była ta królowa przybyła z zimnych stepów! Król zwrócił się do niej i wziął za rękę. Oboje uklękli przed duchownymi zwróceniu twarzą do łoża zaścienionego delikatnymi prześcieradłami. Guy z Ch~atillon modlił się:

— Panie, zmiłuj się nad tym mężczyzną i tą kobietą, których połączyliśmy węzłami małżeństwa. Niech staną się jednym ciałem i niech się kochają, by powiększać trzodę sług Twoich. Amen.

Po ojcowsku pobłogosławił ich, a następnie łoże, na którym mieli wkrótce leć, aby mogło stać się to, po co stworzył ich Bóg: by rozmnażali się na jego wielką chwałę.

Duchowni, hrabiowie, Helena i jej córka opuścili komnatę.

Anna i Henryk zostali sami.

Serce dziewczyny biło mocno. Oto nadeszła ta upragniona i straszna chwila, w której mężczyzna uczyni z niej kobietę! Przeróżne wspomnienia kłębiły się bezładnie w jej głowie: widziała dziewczęta umykające przed chłopcami do lasów nowogrodzkich lub kijowskich, wspominała zasłyszane ukradkiem opowieści, przypominała sobie orgie braci i bojarów drużyny ojcowskiej, nieprzyzwoite opowiadania piastunek, westchnienia przymuszanych kobiet, postękiwania mężczyzn leżących na tłustych i białych ciałach, gryzione sutki, rozwarte uda, wzdęte członki, szerokie piersi pokryte bliznami, potargane włosy, rozplecione warkocze...

Anna spojrzała na króla. Pił miód dużymi haustami ze złotego kubka. Nie wyglądał na wygłodniałego jak inni mężczyźni, którymi targa płomień żądzy. Był

raczej zasepiony i znudzony. Wypił jeszcze jeden kubek i wreszcie spojrzął na nią. To prawda, że była piękna. Sami hrabiowie i biskupi gratulowali mu słusznego wyboru, a Raul z Cr~epy miał czelność powiedzieć królowi, że jeśli jej nie chce, to on go chętnie zastąpi! Ta rubaszna uwaga rozśmieszyła hrabiów, nawet duchowni się uśmiechnęli. Gdyby szło tylko o niego, pozwoliby temu kobiecierzowi pozbawić królową dziewictwa. Ale trzeba zapewnić potomstwo koronie. Król Henryk, który czuł do płci niewieściej jedynie odrazę, tego jednego był świadom. Dla zapewnienia ciągłości królestwa Francji otrzymanego od przodków musi wejść do łoża tej kobiety i dać jej syna. W przeciwnym razie hrabiowie, jego brat Odon, Bastard Normandzki i cesarz Niemiec znów będą je sobie wrywać z wielką szkodą dla poddanych, od tak dawna cierpiących z powodu nie kończących się wojen, przechodzących z rąk do rąk, z jednej do drugiej biedy, znajdujących ukojenie jedynie w śmierci.

Henryk podszedł do niej i wziął za rękę.

— Pójdź, królowo.

Odpiął złoty pas, a następnie zaczep przytrzymujący koszulę, która miękko osunęła się na ziemię. Anna nie starała się ukryć swej nagości. Pozwoliła zaprowadzić się do łoża, na którym legła. Król spojrzął z podziwem na tę smukłą piękność, wzruszył się widząc mały trójkąt w kolorze starego złota na podbrzuszu królowej i zdziwił się, że mu sztywnieje członek na widok tej dziewicy. Odpiął purpurowy płaszcz i zdjął koszulę. Był nagi jak w chwili narodzin. Położył się na ciele, które mu się oddawało, i przebił je jednym ciosem. Ta brutalność przeraziła Annę. Krzyknęła i starała się go odepchnąć, jednak król ciążył na niej całym ciałem i zagłębiał się w nią z mocą, która zadziwiła jego samego, aż do chwili, gdy postępując z przyjemności pozostawił swe nasienie. Anna, ukrywszy twarz we włosach, dusiła w sobie jęki bólu.

Król, zadowolony ze spełnienia obowiązku wobec swego rodu, uniósł się i roześmiał, rad z widoku krwi, która spływała po udach Anny.

— Wykonaliśmy wspólnie dobrą robotę, pani, i z pomocą Bożą damy koronie potomka.

Anna nie rozumiała, co mówi. Było jej wszystko jedno. Odczuwała ból i pragnęła tylko jednego, żeby sobie poszedł. Lecz Henryk miał inne zamiary. Aby zapewnić potomstwo, aż trzykrotnie zaszczycił swą panią. Gdy opowie o tym wyczynie miłemu Oliwierowi i swym ładnym giermkom, dopiero się zdziwią!

Nazajutrz królową obudziły głośne rozmowy i wybuchy śmiechu. Henryk oparty o poduszki, w otoczeniu faworytów, żartował popijając korzenne wino. Widząc, że otworzyła oczy, podał jej kielich, mówiąc:

— Pij, pani, to cię pokrzepi po wyczynach ostatniej nocy.

Anna poczuła się zażenowana obecnością towarzyszy małżonka. Pochyliła twarz nad pucharem i napiła się pachnącego napoju. Był gorący i bardzo mocny. Natychmiast poczuła się lepiej i na jej policzki powróciły kolory. Król wstał i wciągnął na siebie koszulę podaną przez lokaja, którego uszczypnął w nos. Nie spojrzał więcej na królową i wyszedł obejmując wpół dwóch giermków.

Gdy Anna została sama, opadła na poduszki. Rozkoszowała się ciszą. Spokój jej był jednak krótkotrwały, gdyż nadeszły damy dworu, a wraz z nimi Helena i cztery służki, które przyniosły każdą wypełnioną pachnącą i parującą wodą.

— Czy dobrze spałaś, pani? — spytała mizdrząc się Hildegarda z Roucy, jej pierwsza dama dworu.

— Królowo, czy przyjemnie spędziłaś noc? — spytała chichocząc druga, Izabela z Boutigny.

— Powiedz, ile razy zaszczyił cię król? — zapytała niedyskretnie Irena, która będąc jej mleczną siostrą mogła sobie na to pozwolić.

— Bądźcie wreszcie cicho! Nie widzicie, że królowa jest zmęczona i pragnie odpocząć?

Mówiąc to Helena wsunęła rękę pod prześcieradło. Anna aż podskoczyła, gdy poczuła chłodne palce, które szukały czegoś między jej udami. Nie zaprotestowała jednak. Wiedziała, że wuj Sudysław czeka na wyniki tego badania, by powrócić na Ruś i powiadomić wielkiego księcia kijowskiego, że jego córka wypełniła swe zadanie i od tej chwili jest kobietą i królową Francji.

Helena pokazała jakiejś grubej kobiecie zakrwawione palce. Starucha pokiwała głową i zbliżyła się do łóża. Gwałtownym ruchem zerwała przykrycie. Ukazało się piękne, białe ciało, tak zakrwawione, że wyglądało jak zranione. Położna rozchyliła nogi Anny i długo macała jej łono, kiwając głową z zadowolenia.

— Dobrą robotę wykonał nasz król — powiedziała, wycierając palce w białe płótno. Uroniła przy tym dużą łzę, która spływała teraz po jej tłustej szyi. — Pomagałam królowej Konstancji przy urodzeniu jej czterech synów i nie myślałam już, że nasz król Henryk okaże się takim zuchem. A teraz, dzięki łasce pańskiej i Najświętszej Paniencie, nasza młoda królowa da nam synów. Bądź błogosławiona, królowo.

Starucha odeszła, zgięta wpół, trzymając przed sobą jak trofeum zaplamione prześcieradło, symbol utraconego dziewictwa królowej.

Z oczu Heleny biła duma, gdy patrzyła na „swoje” dziecko. W końcu ten król o kobiecych manierach potrafił zachować się jak należy! Kniaziówna przestała być dziewicą, a jej bolesciwy wygląd świadczy, jaki z niego chwyt. Odsunęła damy dworu, pomogła Annie podnieść się i zanurzyć w balii. W cieplej wodzie Anna

poczuła się tak dobrze, że o mało co nie wybuchnęła płaczem.

— Płacz, gołąbko, łzy radości czy smutku zawsze przynoszą ukojenie dla tych, którzy płaczą.

— Zamilcz! Nie mam ochoty płakać ani z radości, ani ze smutku. Jestem tylko zmęczona. Niech Irena przyprowadzi mi tłumacza. Chcę dowiedzieć się, co mam dzisiaj robić.

Anna wychodziła właśnie z kąpieli, gdy nadeszła Irena z tłumaczem, który wpadł w sam środek komnaty popychany przez kogoś.

— Na brodę Chrystusa, ta mała Brygida nie powiedziała prawdy! Jesteś, pani, piękniejsza, niż mówiła. Król ma szczęście! Udało ci się to, czego nie potrafiły inne... Brawo, pani, musisz być też po trosze czarownicą!

Anna stała bez ruchu, okryta jedynie płaszczem swych włosów, i patrzyła zdumiona, a potem rozgniewana na przybysza, który wtargnął do jej komnaty i mówił coś, czego nie rozumiała. Czowała jedynie instynktownie, że nie powinna tego słuchać.

Hildegarda z Roucy i Izabela z Boutigny uczepiły się ramion Raula z Cr~epy, usiłując wyprowadzić go z komnaty.

— Dosyć, moje piękne panie. Zostawcie mnie. Nie mam żadnych złych zamiarów. Do moich obowiązków należy upewnić się, czy król wypełnił swe zadanie.

— Panie, wyjdź, przez ciebie będziemy ukarane!

— Nie lękajcie się, miłe panie, już odchodzę. Królowo, jeśli to ci się nie spodobało, błagam na kolanach o przebaczenie.

Mówiąc to, hrabia Cr~epy uklęknął przed Anną.

— Gdyby byli tu moi bracia, nie wyszedłbyś żywy z tej komnaty. Moja ojczyzna jest daleko, ja nie znam waszych obyczajów, ale je poznam i jeżeli mnie obraziłeś, to na mojego przodka Włodzimierza przysięgam, że się zemszczę!

— Co rzekła? — spytał hrabia tłumacza, potrząsając go za ramiona.

Tłumacz odpowiedział drżącym głosem. Hrabia roześmiał się głośno.

— Takie kobiety lubię, piękne i płochliwe. Powiedz królowej, że nie znajdzie sługi bardziej oddanego i wiernego niż Raul z Cr~epy i tylko od niej zależy, bym został jej rycerzem.

Anna wysłuchiwała z uwagą tłumacza, nie spuszczając z oczu hrabiego, który wciąż klęczał u jej stóp. Nie był piękny, lecz spojrzenia jego błękitnych jak stal oczu nie dało się znieść obojętnie. Z postaci emanowała brutalna siła, która przypominała Annie okrutnych druhów jej braci. Pokaże im, panom Francji, na co

stać księżniczkę kijowską, pokaże, że nie jest panną, która zamyka się w izbie niewiast, by słuchać bająć piastunek.

— Powiedz temu wielkiemu panu, że mnie obraził, ale że mu wybaczam. Powiedz mu także, że moim małżonkiem jest król i że nie mogę mieć innego rycerza niż on. A teraz niech odejdzie.

Po wysłuchaniu tłumacza hrabia wstał, złożył głęboki ukłon i wyszedł z szyderyczym uśmiechem na ustach.

— Ukarzę tego bezczelnego człowieka — powiedziała zadziwiająco spokojnie Anna.

— Królowo, czas się szykować do mszy w katedrze, a potem do wyjazdu do Senlis.

— Co ona powiedziała? — spytała Anna tłumacza.

— Hrabina Roucy mówi, że królowa ma udać się do katedry.

Zamyślona Anna pozwoliła ubrać się damom dworu, które włożyły na nią spódnicę haftowaną w kwiaty i ciężką suknię z purpurowego weluru, upięły na przybranych perłami warkoczach welon, a na nim złotą koronę, na ramiona zaś włożyły jasnoblękitny płaszcz wyszywany złotymi i purpurowymi tasiemkami.

Biskup Roger przybył po królową w towarzystwie Gosselina z Chauny. Anna ucieszyła się na widok tych mężczyzn: lubiła ich i ceniła. Ucałowała pierścień biskupi i uśmiechnęła się do Gosselina kłaniającego się jej z szacunkiem. Otoczyła ją kolorowa gromada dam i szlachciców. Nie zauważyła wśród nich hrabiego Crepy.

Arcybiskup Reims przywitał ją u stóp ołtarza. Uklękła przed nim, by przyjąć błogosławieństwo. Wkrótce potem przybył król. Rozpoczęło się nabożeństwo.

Anna zauważyła spojrzenie króla, przepelnione mieszaniną samczej dumy i zdziwienia. Zażenowana, zaczerwieniła się po czoło i spuściła oczy. Gdy je podniosła, napotkała wzrok hrabiego, który stał przed ołtarzem zwrócony twarzą do zgromadzonych. To, co zobaczyła w jego oczach, wydało jej się tak bezwstydne, że aż wzdrygnęła się z gniewu. Henryk przytrzymał ją za rękaw.

— Co ci jest, pani? Czy jesteś cierpiąca?

— Nic to.

Ta krótka scena nie umknęła hrabiemu i hrabinie Flandrii. Tak jak wszyscy zgromadzeni i oni obawiali się potężnego pana, jakim był Raul z Crepy, hrabia Pironne, Valois oraz innych miejscowości, zawsze gotów popierać bunty wszczynane przeciwko wnukowi Hugona Capeta. Pamiętali wciąż o długiej wojnie między Henrykiem a hrabim Blois, którą popierał Odon, brat króla, z zazdrości, że nie otrzymał żadnej znaczącej ziemi. Wojna ta zrujnowała i spustoszyła cały kraj i

zamiast zakończyć się wraz ze śmiercią hrabiego w roku 1037, rozgorzała na nowo za przyczyną jego synów, Stefana i Thibaulta, którym hrabia Valois pomagał z całej mocy. Hrabia, wzięty do niewoli, odzyskał wolność dopiero po zapłaceniu wysokiego okupu. Od tej pory Henryk i Raul zawarli sojusz i pomagali sobie wzajemnie w wojnach. Księżciu Flandrii Baldwinowi odpowiadał taki stan rzeczy i potrafił z tego korzystać, lecz siostra króla, Adela, odczuwała wciąż do tego „przekłętego”, jak go nazywała, silną nienawiść, jakiej nie mogły tłumaczyć nieporozumienia z przeszłości.

Adela była bardzo przywiązana do brata i cierpiała z powodu zachowania ich matki, która na próżno starała się odsunąć go od tronu i nie zawahała się nawet oskarżyć syna o grzech sodomii. By postawić na swoim, w tych wiecznych kłótniach król Robert, ich ojciec, strawił swe ostatnie siły. Henryk został królem.

Z miłości do brata zgodziła się wziąć za małżonka hrabiego Flandrii, który tym samym stał się jego sojusznikiem. Aby zapewnić pokój królestwu, gotowa była oddać swą córkę Matyldę nieślubnemu synowi Roberta Wspaniałego, księciu Wilhelmowi Normandzkiemu. Nie chciała, by powróciły cierpienia związane z wojną. Wystarczyło, że głód i epidemie zabijały tylu biedaków. Adela była mocną kobietą, ale do Henryka czuła słabość. Dla ukochanego brata ta dobra i wrażliwa kobieta mogła wydawać wyroki i mordować. Po opuszczeniu weselnej komnaty król szybko udał się do niej, by opowiedzieć ze szczegółami przebieg ostatniej nocy. Adela gorąco mu gratulowała. Gdyby przynajmniej ta obca księżniczka mogła dać mu syna i oddalić od brata tych ładnych giermków! Sukces pierwszej nocy sprawił, że Adela stała się przyjaciółką i sojuszniczką Anny. Hrabina Flandrii postanowiła wziąć młodą królową pod swoją opiekę. Tymczasem trzeba oddalić hrabiego Valois. Jej mąż Baldwin z pewnością znajdzie jakiś pretekst.

Nabożeństwo skończyło się po ostatnim błogosławieństwie i para królewska opuściła katedrę. Wokół rozbrzmiewały okrzyki mieszkańców Reims. W pałacu arcybiskupa Anna pożegnała się z wujem, kniazem Sudysławem, namiestnikiem Ostromirem, z bojarami, wysłannikami królów Szwecji i Węgier. Ze ściśniętym sercem wręczyła im prezenty dla rodziców oraz list do Wsiewołoda, w którym prosiła o wiadomości o Filipie.

Długo patrzyła za odjeżdżającymi przedstawicielami ziemi ruskiej. Zostały z nią jedynie Helena i Irena.

Anna, przebrana w lżejsze szaty, nie chciała zasiąść w lektyce, lecz jechała konno obok króla.

Długi orszak ruszył wśród zachwyconego ludu, który przybył podziwiać nową królową. Tłum, urzeczony jej urodą i młodością, otoczył ją z entuzjazmem, podsycanym, gwoli prawdy, hojnie rozdawaną jałmużną i żywnością.

Podróż do Senlis trwała dziesięć dni.

Rozdział XII

Senlis

Z uczuciem ulgi Anna zamieszkała w Senlis na zamku, w którym dziad jej męża został ogłoszony królem. Zmęczyły ją festyny i uczyty wydawane na jej cześć, gdziekolwiek się zatrzymywali. Ona, która tak lubiła śmiać się, śpiewać, tańczyć i polować, nudziła się wśród Francuzów skorych do drwiny i kłótni, co szybko zauważył Gosselin z Chauny. Nie wiedział, co czynić, by ją zabawić. W przeddzień przyjazdu do Senlis Anna zniknęła na długie godziny. Hrabiowie, baronowie, giermkowie, wszyscy ruszyli na jej poszukiwanie. Odnaleźli ją siedzącą pod drzewem, gdzie śpiewała z Oliwierem z Arles. Król uniósł się strasznym gniewem wobec młodzieńca i królowej. Anna przyjęła jego wymówki z podniesionym czołem i ze spokojem, co według Gosselina i Heleny nie wróżyło niczego dobrego.

Henryk był obrażony aż do przybycia do Senlis i po raz pierwszy od dnia ślubu nie spał w łożu królowej. Zły humor króla trwał jeszcze przez tydzień. Przez ten czas Anna zdążyła przyzwyczać się do nowego otoczenia, które było według niej smutne i surowe. Spodobało jej się za to miasteczko, uroczę i wesołe, rynek wypełniony żywnością, ładna rzeka, kościoły, a zwłaszcza polowania w leżącej nieopodal puszczy.

Helena, Irena oraz damy do towarzystwa: milutka Izabela, kokietka Hildegarda i uczuciowa Matylda, robiły wszystko, by zabawić królową. W nagrodę otrzymywały uśmiech, do którego się zmuszała. Jedynie wtedy, gdy gonila razem z Gosselinem z Chauny za zwierzyną w ciemnym lesie domeny królewskiej, stawała się na powrót beztroską dziewczyną z Nowogrodu.

W krótkim czasie królowa stała się ulubienicą rycerzy i giermków, którzy podziwiali jej zręczność w podrzucaniu sokoła i w ściganiu jeleni. Wszyscy chwalili jej odwagę i zwinność. Jeden przez drugiego podsadzali ją na wierzchowca, trzymali konia, podawali kielich, by mogła się orzeźwić. Codziennie aż do zmęczenia cwałowała, zostawiając w tyle swe damy, które, choć były wybornymi amazonkami, nie mogły jej dogonić. Anna przebywała więc sama w otoczeniu mężczyzn, w większości brutali żyjących z rabunków, gwałtów i morderstw. Mimo to każdy z nich oddałby swe życie za jedno spojrzenie Anny i

zabiłby śmiałka, który by nie okazał jej należnego szacunku. Wśród nich była bezpieczna i w ich towarzystwie czuła się lepiej niż z królem, hrabiami, biskupami i szlchetnymi damami z dworu w Senlis. Henryk zazdrościł jej popularności i wyruszał osobno na łowy. Coraz bardziej nie podobało mu się, że rycerze woleli polować z królową niż z nim.

Hrabina Flandrii i biskupi patrzyli na te polowania złym okiem. Miejsce małżonki króla nie jest w lesie, lecz na zamku, gdzie ma czuwać nad dworem, odwiedzać biednych, uczestniczyć w nabożeństwach, słuchać pobożnych kazań, dla rozrywki grać czasem na instrumentach, haftować, prząść w towarzystwie Matyldy i dworek, a przede wszystkim podobać się małżonkowi.

W połowie czerwca dwór przeniósł się do Meulan. Anna zapragnęła, by towarzyszyła jej Matylda z Flandrii, której cicha łagodność wydawała się kojąca w porównaniu z gadatliwością innych dam z jej otoczenia.

Pewnego dnia, gdy obie kobiety wraz z innymi damami zażywały kąpieli w Sekwanie, usłyszały hałas dochodzący zza wierzb, które skrywały je przed niepożądanym wzrokiem. Wśród śmiechów i pisków mała gromadka kobiet, damy i ich służki, wyszła na brzeg. Anna i Matylda, które tego nie zauważyły, zabawiwały się jeszcze w wodzie, gdy jakiś rycerz wszedł do rzeki. Królowa zmarszczyła brwi z gniewu, a Matylda zakryła swe drobne piersi rękoma. Mężczyzna mocno chwycił ją za rękę,

— Mówią mi, moja panno, że nie chcesz mnie za małżonka, bom bastard. Czy wiesz, że szlchetniejsze damy niż ty pragną mnie poślubić?

— Panie, zostaw mnie! Wstydzę się... Jestem naga.

— Widzę i konstatuje, że jesteś trochę chuda.

Matylda zaczerwieniła się, ale złość dodała jej sił i uwolniła się z brutalnego uścisku.

— Panie, oddal się. Znieważasz królową i mą córkę! — rzekła matka Matyldy.

— Pani Adelo, razem z twym małżonkiem obiecałaś mi waszą córkę, tak czy nie?

— Przecież wiesz, że tak.

— To co za różnica, czy zobaczę ją nagą teraz, czy podczas nocy poślubnej?

— Panie Wilhelmie, jesteś, jesteś...

— Bastardem. Wiem o tym. Już mi mówiono i nie zdzierzę...

Słowa utknęły w gardle księcia Normandii, gdy spojrzał na towarzyszkę Matyldy. Zamknął powieki i potrząsnął głową, tak jakby chciał odegnąć zły sen. Nie, to niemożliwe! Może to tylko podobieństwo, ale te rude włosy, to pogardliwe i

dzikie spojrzenie? Mora!

— Mora!

Anna spojrzała na rycerza, który się jej przyglądał. A więc to jest ten narzeczony, o którym opowiadała Matyllda, ten gwałtownik, który ośmielił się je niepokoić, a teraz pozwala sobie oglądać ją nagą. Zdjął hełm i szedł niezdarnie przez wodę.

— Mora!

Co on mówi? Jakim prawem tak ją nazywa? Nigdy go nie widziała, chociaż... Te grube rysy, ta czerwona ze złości i z upału twarz przypominały jej kogoś... Ach tak, to ten myśliwy, który spadł z konia i którego niegdyś opatrzyła. Powinna go była zostawić, żeby się wykrwawił do końca! Jaki zbieg okoliczności sprawił, że znalazł się właśnie tu, w wodzie po pas, zaplątany we własne ubranie? Na brzegu grupka na wpół rozebranych niewiast, siwych służących, giermków i lokai czekała, tłumiąc śmiech, jak zakończy się to niezwykle spotkanie. Matyllda, którą matka okryła płaszczem, była nie mniej ciekawa. Biedny Wilhelm, co za pokraczna postać! Królowa, jej przyjaciółka, musiała to samo pomyśleć, bo choć była okryta jedynie płaszczem swych długich włosów, wybuchnęła śmiechem. Nagle Anna zniknęła pod wodą. Książę odwrócił się, próbując odgadnąć, gdzie jest, lecz niespodziewanie stracił równowagę i upadł na plecy. Tłum wstrzymał oddech z przejęcia, lecz po chwili roześmiał się widząc, że Wilhelm kaszląc i plując wy dostał się na powierzchnię. Tymczasem królowa wyszła z rzeki i wykręcała włosy. Śmiechy ucichły. Wszyscy spoglądali na tę młodą kobietę, która nie czyniła nic, by skryć swoją nagość. Helena narzuciła na nią długie prześcieradło i zaprowadziła do namiotu.

Gdy Anna się oddaliła, książę wyszedł na brzeg. Śmiechy znów rozbrzmiały, a teraz dołączył do nich tubalny głos Wilhelma, górujący nad innymi. Na dany znak giermek rozebrał go, co było nie lada sztuką, gdyż książę bez przerwy podskakiwał, z radości.

Wreszcie stanął nagi jak go Pan Bóg stworzył, wszedł do wody i wypłynął na środek rzeki, gdzie przewrócił się na plecy i dał ponieść prądom.

Do namiotu Anny weszła Matyllda. Przez chwilę milczały, podczas gdy służące układały im włosy. Rzuciły jedynie spojrzenia w swym kierunku. Matyllda pierwsza przerwała ciszę.

— Nie wpadł sam do wody. Chwyciłaś go za nogę?

— Tak. Widziłaś, jak wyglądał? — roześmiała się Anna.

— Tak, widziałam — odpowiedziała czerwieniąc się Matyllda.

— Nie smuć się, zasłużył sobie na to.

— Możliwe, ale go ośmieszyłaś.

Anna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Mam być jego żoną — mówiła dalej Matylda — i nie podoba mi się, że mój przyszły małżonek jest pośmiewiskiem dla innych. A poza tym odkąd ciebie ujrzał, nie spuszcza z ciebie oczu. Odniosłam wrażenie, że już gdzieś się spotkaliście.

— Zapomniałam o tym, to prawda. Ścigałam się z nim podczas podróży i wygrałam.

— Wygrałaś?

— Tak, spytaj go. Wydaje mi się, że to było gdzieś w pobliżu Norymbergi. On polował, ja go dogoniłam, prześcignęłam, a on spadł z konia...

— Spadł z konia? Wilhelm?

— I cóż w tym dziwnego? My na Rusi jesteśmy najlepszymi jeźdźcami na ziemi.

— To prawda — przytaknęła Helena.

— I nie spotkałaś go już więcej? — pytała dalej Matylda.

— Nie. Opatrzyłam go, bo był ranny, i odjechałam. Zupełnie zapomniałam o tej przygodzie.

— Ale on chyba nie — powiedziała ze smutkiem w głosie narzeczona Wilhelma.

Anna spojrzała na nią zaskoczona i wybuchnęła śmiechem.

— Czyżbyś była zazdrosna?

— Przecież mam prawo, bo jesteś piękna, taka biała i krągła. A ja jestem mała, chuda i czarna.

— Cicho bądź, masz najpiękniejsze i najśodsze oczy na świecie i cudne ciało.

— Naprawdę tak myślisz?

Królowa ucałowała ją w odpowiedzi.

— Będę cię kochać tak długo, jak długo nie stanę się zazdrosna o ciebie — odpowiedziała Matylda.

— Czy to prawda, że go nie przyjął, bo jest bękartem?

— Tak powiedziałam, bo nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić za mąż. Chciałam iść do klasztoru, ale mój ojciec mimo sprzeciwu papieża pragnie sojuszu z Normandią.

— Czemu papież się sprzeciwia?

— Jesteśmy blisko spokrewnieni. Jeśli dojdzie do tego małżeństwa, to Rzym

grozi ekskomuniką — powiedziała, czyniąc znak krzyża. Królowa i wszystkie obecne kobiety też się przeżegnały.

— Papież Leon jest na usługach cesarza niemieckiego, któremu nie podoba się związek naszych dwóch krajów. Ale do tego małżeństwa dojdzie. Mój mąż i król, mój brat, bardzo tego pragną. Papież nie ośmieli się obłożyć ich ekskomuniką. Nasi szpiedzy zapewniają nas o tym — powiedziała Adela z Flandrii.

Słodka Matylda, z wilgotnymi czarnymi kosami okalającymi jej głowę i odsłoniętą delikatną szyją, spuściła oczy.

Jakże się one różniły: pierwsza olśniewająca, w długiej ciemnoniebieskiej sukni, o rudych włosach upiętych wokół głowy, przez co wydawała się jeszcze wyższa, i druga, nie większa niż dwunastoletnia dziewczynka, w czerwonej sukni, podkreślającej jej śniadą cerę.

Nie chciały wracać w lektyce i poszły do zamku przez pola, obejmując się w pół.

Na zamku pod rozłożystą stuletnią lipą siedzieli przy stole popijając król, ksiązę Normandii, biskup Melun oraz hrabia Flandrii. Wszyscy z wyjątkiem biskupa wstali, by przywitać damy.

— Myślę, że znasz już królową — zwrócił się do Wilhelma.

Książę, czerwony jak suknia jego narzeczonej, uklonił się w milczeniu.

— Pani, książę opowiedział mi o waszym spotkaniu. Czy w twym kraju księżniczki jeżdżą po lesie bez eskorty?

Anna zachmurzyła się, co wszyscy zauważyli, lecz Adela pośpieszyła jej na ratunek, mówiąc:

— Bracie, nie gniewaj się. Królowa zgubiła swą świtę w drodze do świętego miejsca.

— Dziwne spotkania zdarzają się w drodze do świętego miejsca — wymamrotał król.

U stóp drzewa ułożono na kobiercach poduszki, by damy mogły odpocząć w cieniu.

Słońce powoli zachodziło. Był piękny letni wieczór. Rozlegało się brzęczenie owadów i śpiew ptaków. Na polach pokrzykiwali żniwiarze. O tej porze wszystko milkło, ociężały przez upał umysł słodko błędził, odprężone ciało kosztowało odświeżającego wieczoru, podczas gdy lokaje podawali napoje. Panował spokój. Każdy rozkoszował się radością tej chwili, puszczając w niepamięć w tym słodkim odpoczynku kłótnie, nienawiści, zazdrości, wyrzuty, spiski, w które na co dzień obfitował dwór króla Francji. Anna wyciągnęła się leniwie i czuła w sobie rosnącą rozkosz.

Leżąca obok niej Matyllda podniosła się i oparła głowę na jej ramieniu.

— Wiesz, czego pragnę? Żebyś zaśpiewała jedną z twych pieśni.

— Później, teraz jest tak dobrze.

— Poproszę Oliwiera z Arles, żeby przyniósł twój instrument.

— Jak chcesz — odpowiedziała tęsknym głosem Anna.

Córka księcia Flandrii podniosła się i powiedziała coś na ucho chłopcu, który gdzieś pobiegł. Matyllda usiadła obok przyjaciółki. Po chwili chłopiec wrócił z gęslami królowej i swoją harfą.

— Królowo, może byśmy razem zaśpiewali pieśń żeńców, której mnie nauczyłaś?

Anna bez słowa wzięła swój instrument i usiadła wygodnie. Po paru taktach zaśpiewali w jej ojczystym języku pieśń sławiącą lato i słońce, przy którym dojrzewa zboże i dziewczęta.

Skończyło się odrętwienie, uleciało letnie lenistwo i niejasne marzenia. W wieczornym spokojnym powietrzu unosiła się pieśń, przy której tańczyliby nawet najbardziej ociężali rycerze i najskromniejsze damy. Przyciągała ona służbę zamkową, strażników i kucharzy, bieliźniarki i służące, mnichów, kopistów i ogrodników, świniopasów i prządki. Wszyscy przerwali swe prace i stanęli u wrót, opierali się o wieże, wychylali z okien lub siadali na ziemi, by słuchać królowej, która śpiewała wysokim i jasnym głosem w nieznanym i pięknym języku.

Matyllda, którą Anna nauczyła tej pieśni, przyłączyła się do nich, klaszcząc w dłonie. Gdy skończyli, zaśpiewali inną pieśń, potem jeszcze jedną. Noc już prawie zapadła, gdy skończyli, z trudem łapiąc oddech, wśród okrzyków i oklasków. Nawet król wyglądał na zadowolonego i podszedł do małżonki, czule całując ją w policzek. Księżę Normandii, który jeszcze nie doszedł do siebie po ponownym ujrzeniu tej szalonej amazonki, o której od chwili pierwszego spotkania śnił co noc, on, niegdyś tak elokwentny, milczał i nie mógł oderwać oczu od tej kobiety, którą nazywał Mora.

To zachowanie, tak niecodzienne u mężczyzny, który bywał na zmianę wesoły i mrukliwy, jowialny i kłótlivy, tolerancyjny i podejrzliwy, surowy i sprawiedliwy, lecz zawsze opanowany, dla wszystkich było widoczne.

— Wilhelmie, patrzysz na królową, jakbyś zobaczył ducha.

— Można i tak to ująć, Henryku.

Król spojrział na niego nieufnie. Nigdy nie lubił tego bękarta, którego powierzył mu ojciec, hrabia Robert Wspaniały zimą 1034 roku, zanim ruszył z pielgrzymką do Ziemi Świętej, by błagać Boga o wybaczenie za swe liczne grzechy. Hrabia zmarł w drodze powrotnej. Według słów swego pokojowca Toustain oraz Dreu,

hrabiego Vexin, został otruty. Pochowano go w Nicei w lipcu 1035 roku w bazylice pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Pokojowiec, który wysłuchał ostatniej woli swego pana, przekazał ją królowi Francji wraz z jedną z relikwii przywiezionych z Ziemi Świętej. Pozostałe zostały złożone w opactwie w Cerisy, które Robert Wspaniały obdarzał szczególnym uczuciem.

Wilhelm miał zaledwie osiem lat, gdy umarł ojciec. Od tego czasu upłynęło lat szesnaście. Dziecko wyrosło na rycerza, którego wszyscy podziwiali za odwagę. Sam król Henryk przekonał się o tym podczas bitwy pod Val_l~es_Dunes latem 1047 roku. Przyniosła ona zwycięstwo armii francuskiej i normandzkiej nad zbuntowanymi oddziałami, których dowódcy chcieli usunąć młodego księcia. Wyjątkowo gwałtowna bitwa trwała zaledwie parę godzin, ale wielu rycerzy straciło w niej życie. Król, wyrzucony z siodła przez piechura, uratował się dzięki swej mocnej kolczudze i dzięki pomocy Wilhelma, który nie zawahał się poderżnąć gardła żołnierzowi Renoufa z Briquessart, gdy rzucił się na niego. Pomimo tego świadectwa odwagi i wierności Henryk wciąż czuł nienawiść i nieufność do tego, którego był opiekunem. Wilhelm zaś nie ufał nikomu, gdyż nauczył się za młodu, że żaden książę nie może na nikim polegać, a on sam najmniej. Ponadto irytowała go nadzwyczaj zniewieściałość króla. Na dodatek, żeby jeszcze bardziej pogłębić ich wzajemną nienawiść, przypadek sprawił, że człowiek, którym potajemnie gardził, był mężem kobiety doskonalszej i piękniejszej niż wszystkie inne. Zatopiony w swych myślach nie usłyszał pytania króla.

— O czym myślisz, Wilhelmie? Jesteś gdzieś daleko?

— Wybacz mi, Henryku...

— Pytałem, kiedy zamierzasz poślubić moją siostrzenicę, Matyldę?

Książę wciąż był daleko myślami i spojrzał ze zdziwieniem na króla.

— Czy zapomniałeś już o swym przyrzeczeniu? — spytał gniewnie Henryk.

Matylda skryła się w ramionach królowej, która przyciskała do siebie jej drżące ciało.

— Oczywiście, że nie! Kocham Matyldę i spieszno mi, by została moją żoną.

— Mimo braku zgody papieża i biskupów?

— Jestem posłusznym synem Kościoła i pierwszy wykonam polecenia mego pasterza, jeśli tylko są one sprawiedliwe i słuszne. Co zaś się tyczy mego małżeństwa, to decyzja Rzymu jest niesłuszna. Nie ma więc mowy, abym się jej podporządkował. Cesarz nie będzie rządził w Normandii.

— Słusznie powiedziałeś, a sojusz między Francją, Normandią i Flandrią musi trzymać naszych wrogów na dystans. Dobrze by było, gdyby ten związek był zawarty jeszcze przed końcem roku.

— Henryku, sam wyznacz termin.

— Co myślicie o miesiącu winobrania? — spytał Henryk, zwracając się do siostry i szwagra.

— Jeśli Wilhelm się zgadza, to data ta mi odpowiada — powiedział Baldwin z Flandrii.

— Odpowiada mi jak najbardziej. A co na to pani Matylda?

Przytulona do Anny dziewczyna patrzyła na wybranego dla niej męża, którego pokochała od pierwszej chwili.

— Panie, jeśli tobie odpowiada ten termin, to i mnie również.

Anna uściskała ją, ciesząc się z jej szczęścia. Matylda wyznała jej swą miłość do Wilhelma, której nie śmiała otwarcie okazywać, bojąc się nienawiści ze strony nieprzychylnego księciu otoczenia.

— Zobaczysz, twój pierworodny będzie synem, słowo Mory!

Wydana tego wieczoru uczta zaręczynowa trwała całą noc. O świcie król przyszedł do łoża królowej.

Rozdział XIII

Ślub Wilhelma i Matyldy

Pod koniec września 1051 roku król Anglii Edward, z powodu wielkiej pobożności przewany przez swych poddanych Wyznawcą, kazał ogłosić arcybiskupowi Canterbury, że w razie braku potomka w linii prostej uczyni swego bratanka Wilhelma, księcia Normandii, jedynym spadkobiercą korony angielskiej.

Wilhelm przyjął tę nowinę bez specjalnego zdziwienia czy radości. Zmieniło się tylko jedno: dłużej modlił się po niesporach.

Na zamku Eu matka księcia Arletta wraz ze swym mężem Hellouinem z Conteville czynili przygotowania do ślubu. W Lille Matylda między dwoma nabożeństwami przymierzała suknie, które podarował jej ojciec.

Był piękny i gorący październik, a na dworze Flandrii panował klimat kłótni, złorzeczeń, nagłej ciszy i złośliwości, co ciążyło na wszystkich. Ze względów politycznych hrabia Baldwin użył gościny hrabiemu Wessex i jego dwóm synom, Gyrthowi i Tostiemu, których wygnał król Anglii Edward. Co więcej, oddał rękę swej przyrodniej siostry, Judith, porywczemu Tostiemu.

Matylda nie lubiła tych Sasów, którzy dużo pili, kłócili się i uganiali za jej dworkami aż do komnat niewieścich. Jej matka Adela podzielała tę antypatię i bez przerwy namawiała męża, by odesłał ich z powrotem do domu.

— Moja droga, prawo azylu to rzecz święta. Nie byłbym dobrym rycerzem, gdybym odmówił im swej gościny. Nie zwracaj mi tym głowy.

Wilhelmowi śpieszno było do ślubu. Chciał wybrać się na wojnę przeciw hrabiemu Andegawenii Gotfrydowi Martelowi, który zagarnął jego twierdzę w Alençon i Domfront. Ponaglał więc hrabiego Flandrii, by mu przysłał jak najszybciej Matyldę. Orszak wiozący narzeczoną wraz z jej matką i ojcem wyruszył w końcu z Lille. Poseł normandzki czekał na nich na granicy księstwa.

Urodziwa Flamandka ukazała się w czerwonej sukni przyozdobionej lamówkami z zielonego i srebrnego jedwabiu i w biało_złotym płaszczu. Na nogach miała czerwone pantofle z zielonymi wypustkami. W czarne włosy wplecione były zielone i czerwone wstążki, na głowie nosiła długi welon i złotą

koronę. Gineła pod tym strojem, zbyt drogocennym i zbyt ciężkim dla jej drobnej postaci.

Na zamku w Eu przywitał ich w imieniu księcia Turoid, co zdziwiło hrabiego Flandrii.

— Gdzie jest książę? Dlaczego nie przybył, by nas przywitać?

— Panie, książę udał się na spotkanie królowej, która przybywa w imieniu króla na uroczystości zaślubin.

— Słyszałeś, ojcze? Królowa Anna przybywa na mój ślub! Co za szczęście. Prawie mi to obiecała, ale nie myślałam, że król wyrazi zgodę.

— Podzielam twą radość, córko — powiedział w zamyśleniu Baldwin.

Matylda wysiadała właśnie z lektyki, gdy na dziedziniec zajechał powóz królowej. Z boku podskakiwał bogato ustrojony stępak Wilhelma. Książę w paradnym stroju zeskoczył z wierzchowca, którego z trudem przytrzymał giermek. Ostrożnie pomógł wysiąść królowej.

— Wilhelmie, zostaw. Spójrz na Matyldę, która czeka i tęskni do ciebie!

Książę poczerwieniał, puścił dłoń Anny w aksamitnej rękawiczce niebieskiego koloru, tak jak i płaszcz, który nosiła na ciemnoczerwonej sukni, i ruszył w stronę hrabiego Flandrii.

— Witajcie, Matyldo, i ty, księżno Adelo, i hrabio Baldwinie. Królowa Anna czyni nam wielki zaszczyt, przybywając na połączenie naszych domów. Wiem, że czyni to z przyjaźni, i jestem tym bardzo wzruszony.

W kaplicy zamkowej przystrojonej sztandarami z herbami Normandii i Flandrii zebrało się małe grono osób jak na taki ślub. Obecni byli jedynie członkowie rodziny księcia, jego matka, ojczym, dwaj bracia przyrodni, Odon, młody biskup Bayeux, i Robert, któremu podarował właśnie hrabstwo Mortain odebrane hrabiemu Avranches, Wilhelmu Werlenc, oskarżonemu o zdradę. W uroczystości uczestniczyli też bliscy przyjaciele Wilhelma, jak Lanfranc, przeor opactwa Bec, Wilhelm z Poitiers oraz najwierniejsi rycerze. Nie było innych osobistości świeckich ani kościelnych, poza królową Anną i rodziną księcia Flandrii. Wielka uroczystość, a odprawiona na chybcika... Czy ta dyskrecja wynikała z zakazu papieża, czy też spowodowana była obecnością Arletty, którą arystokracja normandzka zawsze traktowała z pogardą, czy też w końcu ze ślubów Wilhelma?

Kapelan księcia udzielił narzeczonym sakramentu małżeństwa mimo zakazu papieskiego. Podczas nabożeństwa Wilhelm modlił się żarliwie, a Matylda, choć pobożna, nie mogła oderwać od niego pełnego czułości spojrzenia.

Małżonkowie pokłonili się hrabiemu i hrabinie Flandrii, a następnie Arletcie i

Hellouinowi z Conteville, po czym skierowali się w stronę Anny. Książę przyklęknął przed nią i rzekł:

— Królowo, dzisiaj przed Bogiem i ludźmi wziąłem tę oto panią Matyldę za małżonkę. Ślubowałem jej opiekę, wierność i miłość. W jej obecności i wszystkich tu zgromadzonych głoszę, że chcę służyć tobie i kochać cię miłością czystą i rycerską za jej i twoją zgodą. Czekam na twoją odpowiedź.

Zapadła głęboka cisza. Dosyć często zdarzało się, że szlachcic stawał się rycerzem zameżnej kobiety, lecz propozycja księcia złożona w dzień jego ślubu była zadziwiająca. Młoda księżna Normandii pobladła i łzy zabłysły w jej oczach. Uklękła, wzięła rękę królowej i położyła ją na dłoni Wilhelma, po czym obie te ręce przykryła swoją.

— Królowo, nie tylko daję moją zgodę memu małżonkowi, ale ogłaszam, że także pragnę cię kochać i służyć ci.

Wzruszenie Anny było widoczne. Wszyscy wiedzieli o jej przywiązaniu do Matyldy i o miłości, jaką ta darzyła królową, ale nikt nie podejrzewał uczuć księcia.

— Zgadzam się z radością — powiedziała królowa, podnosząc ich i przyciskając do siebie.

Podczas uczy, wydanej później w wielkiej sali na zamku w Eu, promieniujący z dumy i szczęścia Wilhelm siedział między rudowłosą Anną i kruczcarną Matyldą. Jego matka z trudem ukrywała wzruszenie. Nareszcie syn, o którego tak drżała, obawiając się, że zginie podstępnie zaszytowany lub otruty, był szczęśliwy, uśmiechnięty i otoczony zaszczytami, tak jak zasługiwał na to potomek księcia Roberta, mężczyzny, którego kochała i szanowała. Dziś na obliczu syna nie widziała już tych brzydkich zmarszczek, tego ostrego i nieufnego spojrzenia, tego gorzkiego i okrutnego grymasu. Dziś przyszedł władca Anglii, niepodzielny książę Normandii, w otoczeniu trzech kobiet, które kochał najbardziej na świecie, matki, żony i królowej Francji, on, który nigdy nie zapominał niczego, ani żadnej usługi, ani afrontu, zdawał się nie pamiętać ani strachu, ani obrazy czy zdrady, ani nawet imion swych wrogów. Był zadowolony, spokojnie kosztował następujących kolejno po sobie dań, on, niegdyś głodomór, nigdy nie zaspokojony, pił z umiarem, usługiwał Annie i Matyldzie, podawał matce najlepsze kąski. Oklaskiwał akrobacje i zręczność zonglerów, słuchał grajków i śmiał się jak dziecko z podskoków tresowanych psów.

Po uczcie na prośbę Wilhelma odprawiono w kaplicy nabożeństwo dziękczynne, podczas którego wszyscy zauważyli, że modlił się gorliwie.

Królowa poczuła zmęczenie i udała się do przygotowanych dla niej komnat. Towarzyszyła jej księżna, hrabina i matka księcia. Gdy znalazły się na miejscu,

Anna zażyczyła sobie, by Matylda została z nią na chwilę. Przyjaciółki rzuciły się sobie w ramiona.

— Anno, jak ci dziękować za twe przybycie?

— Pamiętaj o mej miłości do ciebie.

— Będę pamiętała, tak jak i ty o miłości mojej i mego małżonka do ciebie.

— Przysięgam, że nigdy o niej nie zapomnę.

— Niech cię wysłuchają niebios, królowo!

Patrząc sobie w oczy, kobiety przeżegnały się.

— Przysięknij, że będziesz mnie często odwiedzać. Nudzę się w Senlis i w Paryżu.

— Wybacz mi. Czy król nie jest dla ciebie dobry?

Anna wzruszyła ramionami. Na twarzy jej malowała się bezradność.

— Woli towarzystwo giermków niż moje.

— Ale ty jesteś królową!

— Królową małego królestwa, mniejszego od najmniejszej prowincji mojego ojca, gdzie hrabiowie mają więcej ziemi i więcej władzy niż mój małżonek, gdzie są bardziej szanowani i respektowani niż król!

— Byłoby z pewnością inaczej, gdyby mój kuzyn miał syna.

— Syna! — mówiąc to Anna odwróciła się do Matyldy.

Tego dnia królowa Francji oznajmiła księżnej Normandii, że jest przy nadziei.

Nazajutrz książę i księżna udali się do Rouen, gdzie przywitał ich radosny tłum.

Królowa powróciła do Senlis. Król czekał na nią w komnacie dam razem z Oliwierzem z Arles, który śpiewał, by zabawić króla.

— Zostaw nas samych — zwróciła się do niego królowa.

Chłopiec skłonił się i wyszedł, a za nim pozostałe damy.

— Panie, mój mężu, modlitwy moje zostały wysłuchane. Jestem przy nadziei.

Nadaśana twarz Henryka rozjaśniła się.

— Czy jesteś pewna, pani?

— Tak, panie. Za parę miesięcy dam ci syna.

— Bogu niech będą dzięki, pani! — Pocałował ją w czoło i wyszedł, krzycząc:

— Królowa jest przy nadziei, królowa jest przy nadziei!

Matylda, choć taka drobna, była silna i wytrzymała. Pozwalało jej to znieść natarczywość Wilhelma, który znał tylko szybkie i brutalne uściski pasterek z Falaise i zbieraczek muszli z F~ecamp. W miarę upływu czasu Matylda nabrała

upodobania do igraszek miłosnych, wychodząc naprzeciw życzeniom męża.

W tydzień po weselu Wilhelm oznajmił jej, że zamierza zaatakować oddziały hrabiego Andegawenii Gotfryda Martela, stacjonujące na zamku w Domfront i w Alencon. Potajemnie zebrał prawie pięćdziesięciu rycerzy i nie zwlekając ruszył na Domfront. Jego zamiary zdradził pewien baron normandzki i garnizon andegaweński zdążył czmychnąć z zamku. W rezultacie Wilhelm i jego ludzie znaleźli się w okrążeniu. Bili się z odwagą i nienawiścią, jaką wyzwalała zdrada, i zdołali odeprzeć wroga. Książę rozkazał wznieść cztery wieże i otoczyć je wałami i fosami. W wiosce, u stóp zamku, rozbił swój obóz, dokąd przybyła Matylda.

Oblężenie trwało parę miesięcy. Były to dla młodej księżnej Normandii najszczęśliwsze chwile w jej życiu. W obozie Wilhelm stworzył stolicę swego księstwa, w której osiedlił się z rycerzami i ich rodzinami. Dzieci biegały po błocie między skórzanymi namiotami i bawiły się w wojnę drewnianymi mieczkami. Lokaje służyli panom, a giermkowie zajmowali się końmi. Kobiety zaś przędły bądź haftowały. Matylda towarzyszyła mężowi na polowaniach, składała wraz z nim wizyty w okolicznych zamkach lub też pokazywała damom i służącym ścięgi, jakich się nauczyła u najlepszych hafciarek i koronczarek Flandrii. Gdy słota i zimno zatrzymywały kobiety w namiotach, wyszywały złotymi nićmi tuniki dla swych panów i herby na ich sztandarach, by mogli się rozpoznać na polu walki.

Trzy miesiące po ślubie Matylda z dumą oznajmiła, że jest w ciąży. Ta nowina napełniła Wilhelma radością. Kazał odprawić we wszystkich kościołach normandzkich msze dziękczynne, widząc w zapowiedzi tych narodzin aprobatę niebios dla jego małżeństwa zawartego mimo zakazu papieskiego.

Chcąc zakończyć oblężenie i oszczędzić życie ludzi, książę Normandii wysłał Rogera z Montgomeri i Wilhelma Fitz_Osberna do hrabiego Andegawenii, by ostatecznie zdecydować o losie Domfront. zaproponował hrabiemu, by stanął z nim w szranki. Gotfryd Martel przekazał wiadomość, że się zgadza. Lecz nazajutrz o świcie wcale się nie zjawił! Wilhelm czekał na próżno... Hrabia uciekł nocą, by bronić swych ziem przed królem Francji i rabusiami, którym przewodził Neel z Saint_Sauveur. Wilhelm powierzył dowództwo nad oblężeniem jednemu ze swych rycerzy, a sam ruszył nocą na Alencon, by zaskoczyć nad ranem jego mieszkańców, jednak nie miał szczęścia — znowu go zdradzono i ostrzeżony garnizon zamknął bramy twierdzy. Mieszkańcy Alencon przywitali księcia i jego ludzi wesołymi, bezczelnymi i ironicznymi kpinami. Ojcowie miasta, by okazać swą pogardę dla Bastarda, kazali rozwiesić na drewnianym ogrodzeniu skóry świeżo zabitych zwierząt. Chcieli też w ten sposób zabezpieczyć je przed ogniem pocisków rzuconych przez najeźdźców. Słyszając okrzyki: „Skóra, skóra garbarza”, stanowiące obraźliwą aluzję do zawodu ojca jego matki, Wilhelm, oszalały z gniewu, przypuścił atak.

Parę dni później krzykacze poddali się. Nastąpiły okrutne represje. Twierdza została spalona, a zwycięzca polecił przyprowadzić trzydziestu dwu ludzi wybranych spośród jeńców, rycerzy, mieszczan i rzemieślników. Kazał im obciąć dłonie i stopy na oczach tych, którzy się jeszcze bronili. Następnie okaleczonych, zabitych i rannych rzucono na drogę. Na ten widok ostatni obrońcy poddali się. Takie okrucieństwo nie było w zwyczaju Wilhelma. Wydawało się, że chce, by miasto Alencon zapłaciło za wszystkie zdrady, których doznał w przeszłości, i za upokorzenia, przeżyte przez matkę i jego samego w dzieciństwie.

Choć wasalowie uroczyście uznali Bastarda, a sam król Francji zgodził się być jego opiekunem podczas nieobecności ojca, rodzina Henryka nie mogła znieść, by księstwo Normandii przeszło w ręce wnuka garbarza.

Księżę zostawił oddział w pokonanym mieście i wrócił do Domfront, które poddało się na wiosnę.

By umocnić swą pozycję, podjął decyzję o budowie u zbiegu rzek Mayenne i Varenne zamku w Ambrières, choć pan z Mayenne parokrotnie próbował mu w tym przeszkodzić.

Księżę odesłał Matyldę do matki do Falaise. Pozwolił jej jednak odwiedzić po drodze królową Francji, której termin rozwiązania był już bliski.

Księżna Normandii znalazła przyjaciółkę pogrążoną w wielkim smutku. Królowa dowiedziała się właśnie o śmierci swej matki Ingegerdy i brata Włodzimierza. Po ślubie Anny z królem Francji córka króla Szwecji, za zgodą męża Jarosława, zamieszkała w żeńskim klasztorze w Nowogrodzie w pobliżu ukochanego syna. Choroba nie pozwoliła jej długo cieszyć się tym szczęściem i umarła wkrótce po przybyciu. Niedługo potem w jej ślady poszedł Włodzimierz. Matkę i syna pochowano obok siebie w soborze Świętej Zofii w Nowogrodzie.

Radość z ujrzenia Matyldy ukołysała ból Anny, a nowina o ciąży przyjaciółki napełniła ją szczęściem.

— Nasi synowie będą braćmi.

— To jest nasze największe pragnienie, Wilhelma i moje. Czy twój syn będzie nosił imię swego dziada, króla Roberta?

— Nie. Mój małżonek wyraził zgodę, by nazywał się jak mój słynny przodek, Filip, król Macedonii.

— Filip... to nie jest imię króla Franków.

— I co z tego? Tak ma być. A ty jak nazwiesz swego syna?

— Robert. To imię ojca Wilhelma.

Parę tygodni przed terminem królowa powiła tłustego chłopca, którego nazwano Filipem na pamiątkę ojca Aleksandra Wielkiego.

Rozdział XIV

Spadkobierca

— Pani, dziękuję ci za ten tłuściutki prezent, jaki mi ofiarowujesz — rzekł Henryk, biorąc noworodka z rąk Heleny, która nie dopuściła nikogo, by pomagał rodzącej królowej. — Siostrzo, przyjaciele, patrzcie, oto przyszły król Francji. Zuch, czyż nie jest dobrze zbudowany? Jego rynsztunek z pewnością gwarantuje przyszłość naszego rodu. Co o tym myślisz, Baldwinie?

— Henryku, jest jak wszystkie zdrowe dzieci płci męskiej.

— Żartujesz chyba, jest o wiele silniejszy...

Baldwin aż wybuchnął śmiechem:

— Panie, masz w zupełności rację.

— Bracie, oddaj dziecko niańce, bo się przeziębi — zwróciła się do króla hrabina Flandrii.

— Och, wuju, czy mogę go potrzymać? — poprosiła Matylda. — Jaki on mały!

Mały? — zachnął się Henryk. — Mój syn jest mały? Czy myślisz, że twój będzie tak samo piękny?

Matylda i jej matka szybko przeżegnały się.

Zasłona oddzielająca sypialnię od reszty sali odsunęła się i ukazał się zabłocony, ziejący odorem stajni i nie mytego ciała mężczyzna. Wchodząc zdjął hełm.

— Gdzie on jest? Powiedziano mi, że narodził się nam król... Chcę natychmiast złożyć mu cześć.

— Hrabio Valois, mógłbyś pójść do łaźni, zanim staniesz przed królową i królem. Śmierdzisz jak cap! — krzyknęła rozzłoszczona hrabina Adela z Flandrii.

— Hrabino, jestem tak niecierpliwy, że nie pomyślałem o toalecie. Przepraszam za ten pośpiech.

— Ja ci wybaczam — powiedział król — tym bardziej, że to zapowiada na przyszłość dobre stosunki między naszymi domami.

— Dzięki ci, królu — odpowiedział Raul z Cr~epy, kłaniając się niedbale, czego Henryk zdawał się nie zauważać. Przeciwnie, wziął nawet noworodka z rąk Matyldy i podał go hrabiemu.

— Trzymaj, oto mój syn.

Baldwin i Adela rzucili się jednocześnie, by odebrać Raulowi dziecko. Czy król oszalał, żeby oddawać do rąk tego Valois spadkobiercę korony? Czyż ludzie nie mówią, że nie ma on sobie równych w truciach tych, którzy mu przeszkadzają?

— Piękne dziecko, wykapana matka! Jak się będzie zwał?

— Filip.

— Filip, pierwszy tego imienia. Czemu nie? Niech Bóg da ci długie życie, Filipie!

— Amen — odpowiedzieli chórem zgromadzeni.

Helena zabrała dziecko i zniknęła za zasłonami.

— Czy mogę pokłonić się królowej, złożyć jej gratulacje i zapewnić o swym przywiązaniu?

— Później, królowa jest cierpiąca — powiedziała hrabina.

— Siostrze, królowa jest dzielną i silną kobietą. Hołd złożony przez takiego człowieka jak hrabia Valois będzie dla niej przyjemnością. Chodź, sam cię do niej zaprowadzę.

Król uchylił ciężkie zasłony oddzielające łożo od pozostałej części komnaty.

Anna, oparta o poduszki, odpoczywała. Była bardzo blada, miała sińce pod oczami i rozczochrane włosy. Leżała z zamkniętymi powiekami, przykryta futrem, spod którego wystawały nagie ramiona.

Na krew Chrystusa, jakże piękna była ta kobieta nawet w parę godzin po porodzie! I ta skóra tak biała, że każde dotknięcie musi zostawiać na niej ślad! Na samą myśl o tym członek Raula naprężył się. Nawet gdyby musiał skończyć w piekle, będzie miał tę kobietę! Obojętnie, ile czasu to zajmie, poczeka, ale, na Boga, będzie jego! Przysięga! Niech niebo mu wybaczy, ale dla niej gotów jest zabijać, nawet robić gorsze rzeczy...

Anna zadrzała w półśnie. Nagle zrobiło się jej zimno i poczuła jakby nadchodzące niebezpieczeństwo. Nie otwierając oczu podciągnęła narzutę pod brodę.

— Heleno — wymamrotała.

Helena podeszła i wyszeptała jej parę słów do ucha w ich ojczystym języku, głaszcząc po włosach.

Hrabia Valois oddałby P~eronne, by móc chwycić pełną garścią te ogniste

włosy. Z trudem opanował się, by nie odepchnąć tłustej kobiety, która nigdy nie opuszczała swej pani i pilnowała jej, gdy tylko pojawiał się na królewskim dworze. Dwukrotnie próbował ją przekupić, by zostawiła go samego z królową. Dwukrotnie odmówiła, nawet nie starając się ukryć swej pogardy do niego. Tylko ona, pomyślał, tak jak hrabina i hrabia Flandrii, odgadła jego marzenie. Nawet Bastard, który publicznie ogłosił, że będzie rycerzem Anny, niczego nie zauważył. Co zaś się tyczy jej męża, to wystarczy mu podesłać jednego lub dwóch giermków ładnych jak panny, żeby niczego nie spostrzegł.

Powoli położnica podniosła powieki. Zobaczyła wpatrzone w siebie oczy o spojrzeniu płonącym jak u drapieżnika. Im bardziej starała się uwolnić od tego spojrzenia, tym mocniej czuła, jak ją przyciąga. Mimo tych wysiłków nie mogła ani ruszyć się, ani przemówić. W jej zmęczonej głowie kołatały się strzępy myśli. Ktoś ją schwytał... bracia, przybądźcie mi na ratunek... ojcze, nie zostawiaj mnie samej z tym człowiekiem... co robisz, mężu... książę Wilhelmie, mój rycerzu! Panie Boże, oddał ode mnie tego człowieka! Większa... Filipie...

— Filipie!

Anna podniosła się na łożu, nieprzytomna, wyciągając przed siebie ręce, tak jakby chciała odepchnąć wroga.

— Odejdźcie, panie, królowa potrzebuje spokoju i domaga się syna.

Helena z głębokim smutkiem na twarzy ułożyła królową na pościeli, starła pot z jej skroni i nie zwracając uwagi na osobistości, które kręciły się wokół łoża, oparła tę ukochaną głowę o swoją pierś i zanuciła kołysankę, odpędzającą złe sny. Powoli Anna uspokoiła się i usnęła z uśmiechem na ustach. Raul przyglądał się uśmiechniętej królowej. Dzika zazdrość rozdarła mu pierś. Nikt nie ma prawa oglądać tego uśmiechu, tylko on może go przywoływać lub przeganiać!

Przyklęknął na jedno kolano i nie spuszczać oczu z Anny, rzekł głuchym głosem:

— Królowo, przyjmij moje najszczerze gratulacje z okazji narodzin twojego syna, Zaiste, wielki czynicie honor królowi i koronie Francji. Chwała tobie, pani.

— Hrabio, proszę, królowa usnęła i nie słyszy cię. Król i ja sama przekazemy jej twe miłe słowa. Będzie zapewne bardzo wzruszona — wyszeptwała Adela, ciągnąc go za rękaw.

A on ciągle się nie ruszał. Helena instynktownie przytuliła mocniej swą ukochaną córeczkę do siebie. Anna jęknęła. Głęboka cisza zapadła wśród zgromadzonych. Z zażenowaniem patrzyli na tę scenę. Z osłupienia wyrwał ich krzyk noworodka.

— Hrabio, chyba ktoś cię zaczarował. Skamieniałeś jak żona Lota.

Raul podniósł się z trudem.

— Wybacz mi, Henryku, to nie są czary. Jechałem przez cały dzień i jestem trochę zmęczony.

— To już lepiej. Przez moment myślałem, że porwiesz królową w naszej obecności.

— Och, panie! Niejeden mężczyzna chciałby porwać kobietę tak piękną jak królowa.

— Valois, zapominasz, do kogo mówisz!

— Nie, Henryku, to był tylko komplement. Taki sposób mówienia, nic ponadto.

— Twoje maniery nie podobają mi się, hrabio. Od tej pory musisz je zmienić, jeśli chcesz bywać na dworze.

Hrabia bez słów uklonił się królowi tak nisko, że Henryk, zniecierpliwiony, dał mu znak, by powstał. Baldwin i Adela oschle odpowiedzieli na jego ukłon. Tylko Matylda uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Oto życzliwa twarz! Niech Bóg ma cię w opiece, miła księżno, i niech da tobie i księciu Wilhelmowi szlachetne potomstwo...

— Kim jest ten rycerz, który prosi o błogosławieństwo dla mnie? Niech Bóg też go błogosławi. Ach, to ty, hrabio Valois — odezwał się książę Normandii, wchodząc do komnaty.

— Nie wygląda na to, byś był zachwycony.

— Nie przepadam za tobą, hrabio, wiesz o tym. Ale w tym radosnym dniu chcę zapomnieć o naszych waśniach. Henryku, jak tylko się dowiedziałem o tej szczęśliwej nowinie, chciałem osobiście ci pogratulować. Każę odprawić nabożeństwa w całej Normandii.

— Dzięki ci, kuzynie. Niech przyniosą mi syna!

Położna pokazała księciu dziecko, które właśnie zasnęło.

Wilhelm patrzył na nie bez słowa, wzruszony.

— To piękne dziecko — powiedziała podchodząc do niego Matylda. — Prawda? — Wydawało się, że jest pogrążony w marzeniach. Patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. — Prawda?

— Tak, oczywiście. A jak się ma królowa?

— Bardzo dobrze, odpoczywa.

— Czy mogę ją zobaczyć?

Matyldzie nie spodobał się jego błagalny ton. Odpowiedziała jednak spokojnie:

— Myślę, że król pozwoli.

Teraz Wilhelm odsłonił zasłony i uklęknął przed młodą kobietą, która drzemała oparta o pierś swej piastunki. Podobnie jak hrabia na widok tego piękna poczuł, jak rośnie w nim fala pożądania. Aż zbladł z przejęcia. Myślał, że zemdleje niby panna, gdy królowa otworzyła oczy i wyszeptwała słabiutkim głosem:

— Wilhelmie, jestem szczęśliwa, że cię widzę.

— Mora!

Stojący w pobliżu król zwrócił się do siostry:

— Dlaczego ją tak nazywa? Już raz słyszałem to imię.

— Matyllda powiedziała mi, że to imię jakiejś ruskiej wróżki.

— Wróżki! Tam są też wróżki?

— Wuju — powiedziała Matyllda — wszędzie są wróżki.

— Jak możesz mówić takie bzdury, księżniczko? Jesteś przecież dobrą chrześcijanką mimo twego małżeństwa — wtrącił się Froland, biskup Senlis.

Aluzja do zakazu papieskiego zasmuciła córkę księcia Flandrii. Kościół wciąż nie godził się na ten związek i groził ekskomuniką, co napawało ją strachem. Jak żyć bez sakramentów, codziennej mszy, bez miłości bożej? Czy Lanfranc, który długo sprzeciwiał się temu związkowi i którego Wilhelm wysłał do Rzymu, zdoła przekonać papieża? Przeor z Bec był dobrej myśli. Dziecko, które nosiła pod sercem, poruszyło się po raz pierwszy. Uznała, że to dobry znak. Chciała podzielić się dobrą nowiną z przyszłym ojcem, ale książę wciąż patrzył na królową, której razem ślubowali miłość i wierność. Matyllda kochała Annę czule, głęboko i wiernie. Kiedy Wilhelm opowiedział jej o spotkaniu i uczuciu, które się z tego zrodziło, nie tylko zrozumiała, ale była nawet szczęśliwa.

— Będziemy ją bardzo kochać — powiedziała.

Książę ucałował ją i podarował dużą posiadłość pod Falaise. Codziennie wspólnie modlili się za królową.

Teraz po raz pierwszy poczuła się wyzuta ze wszystkiego i ogarnęła ją zazdrość.

— Matylldo! Chcę zobaczyć Matylldę!

Wezwanie Anny przegnało jej czarne myśli.

— Jestem tu!

— Moja dobra Matylldo, jakże się cieszę, że widzę was razem przy mnie — powiedziała królowa, ujmując ich za ręce. — Miałam zły sen. Śnił mi się czarny mężczyzna, który pochylił się nade mną i chciał mnie porwać. Wołałam o pomoc, ale nikt nie nadchodził. Sama z nim walczyłam, ale on był silniejszy i pokonał mnie.

— Anno — przerwała jej Adela z Flandrii — to zmęczenie przynosi złe sny. To normalne w położu. Musisz odpocząć. Matylde, Wilhelmie, wyjdźcie.

Książę i księżna Normandii usłuchali i opuścili komnatę, a za nimi król i cała świta gości. Zostały jedynie położne i służące, które Helena szybko odesłała.

— Znow śniłam o Filipie, prawda?

Rozdział XV

Filip

Pomimo nalegań towarzyszy Filip nie podążył za nimi, gdy Anna, pożegnawszy eskortę złożoną ze swych rodaków, ruszyła w dalszą drogę z Polski do Francji.

Bez żalu patrzył za tymi, którzy od dzieciństwa dzielili jego radość i smutki, którzy tak jak i on mieli zaszczyt należeć do drużyny kniazia kijowskiego, gdzie przyjmowano tylko najlepszych, najdzielniejszych, najszlachetniejszych. Filip zdecydował, że nie wróci na Ruś. Oznaczało to, że staje się zdrajcą i uciekinierem. Modlił się, by Bóg go oświecił, i już teraz prosił o wybaczenie.

Nocą zrzucił swe bogate i rzucające się w oczy ubranie i włożył łachmany — przyodziewek nędznych rekrutów, których rycerz Gosselin z Chauny przyjmował w miarę potrzeby podczas podróży. Z dawnej świetności został mu jedynie sztylet, niegdyś podarowany mu przez Annę, nóż otrzymany w prezencie od Jarosława i kilka złotych i srebrnych monet ukrytych w sakiewce pod koszulą. Nie zauważony podążał za karawaną. Postanowił, że nikt go nie rozpozna, a zwłaszcza Ona. Ucałował więc ostrze sztyletu i obciął włosy. Zgolił kark, zostawiając tylko długi kosmyk z tyłu, tak jak to robią wojownicy tatarscy. Zgolił też wąsy i brodę.

— Wielki Włodzimierzu i święty Jerzy, patronie mój, dajcie mi siły, bym doprowadził do końca moje przedsięwzięcie!

Z przerażającym spokojem przeciął sobie czoło i policzki oraz gardło od prawego ucha do podstawy szyi. Zlany krwią, chwając się z bólu, potknął się o korzenie i upadł prosto w ognisko, które rozpałił, by się rozgrzać. W parę chwil niesamowite cierpienie doprowadziło go do utraty przytomności. Gdy się ocknął, był jak żywa pochodnia. Cała twarz mu płonęła. Zawył tak, że usłyszała go nawet, mimo odległości, tylna straż orszaku książęcego. Jego głos przejął strachem ludzi, przyzwyczajonych przecież do krzyków śmiertelnie rannych. Przytknął ręce do oczu, które wydawały się roztopiać, i padł w śnieg, by zgasić płonące ubranie. Ale to nie przyniosło mu ulgi. Znów stracił przytomność.

Ile godzin tak przeleżał? Na wpół martwy z zimna przywłókł się do swego konia, który drżał, gdyż ciało jego pokryła już cienka warstwa lodu, i po omacku

odpiął bukłak z alkoholem. Wypił jednym haustem i poczuł, że w jego członki wraca życie. Chciał się podnieść, lecz upadł na ziemię. Prawa kostka, którą wcześniej skręcił, odmówiła posłuszeństwa. Parskając jak zwierzę, wyciął parę szerokich pasów z peleryny i obwiązał nimi sobie głowę. Jego prawie zamarznęta twarz nie bolała już tak bardzo. Zdrętwiałymi i poparzonymi palcami dotykał opuchniętego i porytego oblicza: oczy były wąskimi szczelinami, a usta, nos...! Wzbierał w nim jęk, wydobywające się z głębi trzewi wycie, aż wrzasnął jak szalenciec. Krew trysnęła z szyi. Podniósł kępę mchu i przyłożył na ranę.

Ostatnim wysiłkiem wspiał się na wierzchowca, który ruszył galopem przed siebie. Cudem jakimś utrzymał się w siodle, wiedziony instynktem doskonałego jeźdźca. Po długim biegu rozgrzany i uspokojony już koń zaczął iść stępa.

Przez parę dni trawiony gorączką i bólem, Filip szedł śladem karawany, pociągając wykreconą nogą. Pił jak zwierzę wodę z zamarznętych kałuż, a później, gdy już na dobre odzyskał wzrok, karmił się krwią zajęcy, które zabijał z procy. Aby ochłodzić palącą go twarz, nosił maskę z mchu. Był wychudzony i osłabiony. Pewnego dnia gorączka spadła i mimo rany mógł przełknąć parę kęsów surowego mięsa jelenka. To dodało mu sił.

Jeździec i koń jechali dniem i nocą, aż dotarli do karawany. Nadszedł czas pożegnania z wiernym towarzyszem. Filip nie miał odwagi go zabić. Przywiązał wierzchowca do drzewa, przytulił się do niego po raz ostatni, po czym oddalił się utykając. Długo słyszał rzenie, potem zapadła cisza. Czyżby wilki?

Tej nocy Filip cierpiał tak bardzo, że targnąłby się z pewnością na życie, gdyby nie usłyszał w swym delirium wołania:

— Większa! Większa!

Trzy dni później zabił człowieka ze świty biskupa i został przyjęty na jego miejsce, pomimo odrazy, jaką wzbudzał. Zapytany o imię, pokazał tylko swoją cuchnącą ranę na szyi. Przewano go „kulawy niemowa”.

Wydawało się, że rany powiększyły dziesięciokrotnie jego siły. Dlatego też powierzano mu najcięższe prace. Przesuwał drzewa tarasujące drogę, podnosił grzęznące w błocie lektyki, podkładał olbrzymie kamienie pod koła, polował na dziki i jelenie przeznaczone na stół książęcy, na wilki atakujące podróżnych, walczył z rozbójnikami, którzy bardziej lub mniej dyskretnie śledzili karawanę, czekając na odpowiedni moment, by ją zaatakować.

Dwa razy uratował wyprawę przed zasadzkami i sam jeden zabił pięciu bandytów. Gosselin z Chauny posłał po niego i osobiście mu gratulował. Jego postać i zmasakrowana twarz wydawały mu się dziwnie znajome, lecz, dzięki Bogu, żaden z jego ludzi nie miał takiej dzikiej i pokiereszowanej twarzy. Nieszczęśnik nie mógł mówić, z pewnością z powodu rany, której ślad nosił na

szy. Był to prawdopodobnie jakiś żołnierz porzucony na polu walki. Ale kimkolwiek był, okazał się dobry i silny. Jeżeli nie umrze i będzie się dobrze sprawował, zawiezie go do Francji.

Po tym spotkaniu Filip trzymał się z dala od Gosselina i biskupów, obawiając się zwłaszcza przenikliwości Waltera.

Pewnego dnia, gdy wyciągał Annę z wozu, który wpadł do rzeki, o mały włos się nie zdradził. Trzymał nieprzytomną kniaziównę w ramionach dłużej niż to było konieczne. Helena wzięła delikatnie z jego rąk ten drogi ciężar i zaniósła przemoczoną księżniczkę do najbliższej lektyki. Tam Anna, rozebrana, natarta i rozgrzana przy ognisku, oprzytomniała. Jej wesoły uśmiech uspokoił piastunkę oraz biskupów, którzy natychmiast nadbiegli.

— Śniło mi się, że niośł mnie w ramionach młody i silny mężczyzna — rzekła, zwracając się do nich.

— Takie sny nie przystoją narzeczonej! — wykrzyknął Roger z Ch~alons.

Biskup Meaux z trudem powstrzymywał szyderczy śmiech. Rozbawiła go fałszywa skromność kolegi, który w młodości nie należał do najbardziej cnotliwych.

Wkrótce potem Helena posłała Filipowi maść na rany. Ze wzruszeniem rozpoznał lek, którego sekret znała tylko Anna. Nie wie o mnie, ale czuwa nade mną, pomyślał.

W krótkim czasie zjednał sobie towarzyszy, dając dowody odwagi i lojalności. Przyzwyczajali się stopniowo do jego milczącej obecności, pokiereszowanej twarzy, barbarzyńskiego i niezwykłego wyglądu. Nie mówił nic, ale dużo słuchał i wkrótce rozumiał język żołnierzy.

Codziennie, schowany za drzewem lub wozem, spoglądał na kniaziównę. Codziennie powstrzymywał się, by nie krzyknąć:

— Zobacz, to ja. Większa!

Pewnego dnia pod wieczór przybyli nad szeroką rzekę zwaną Ren. Gosselin z Chauny przywołał go do swego namiotu.

— Nazywają cię Niemową lub Pokiereszowanym. To nie są chrześcijańskie imiona. Trzeba znaleźć ci inne. Niemowo, rozumiesz nasz język?

Filip kiwnął głową, że rozumie.

— Dobrze. Wkrótce przybędziemy do Francji. Zauważyłem cię, bo jesteś dzielny. Nie wiem, skąd pochodzisz, ani nawet czy jesteś ochrzczony...

Filip stanowczo pokiwał głową.

— A więc jesteś ochrzczony. To ułatwia wiele rzeczy. Nic o tobie nie wiem, ale

znam się na ludziach. Mimo twej twarzy ufam ci, choć nie potrafię powiedzieć dlaczego. Czy chcesz jechać ze mną do Francji i wstąpić w służbę u mnie? Później, jeśli okażesz się godzien, może zostaniesz giermkim i kto wie, choć nie jesteś szlachetnego rodu...

Filip zachnął się, co nie uszło uwagi Gosselina.

— Mógłbyś zostać rycerzem. Co o tym sądzisz?

W odpowiedzi młody bojar przyklęknął na ziemi, trzymając w wyciągniętych rękach miecz, który odebrał hersztowi rozbójników.

— Dobrze więc, jesteś mój. Teraz musimy dać ci imię.

Pod zdziwionym wzrokiem Gosselina Filip nakreślił parę liter na piasku.

— Umiesz pisać?! I czytać?!

Filip skinął głową, ale wkrótce pożałował tego, widząc nieufność na twarzy Gosselina.

— Czy jesteś może mnichem, który porzucił swe szaty? Nie? A więc nie rozumiem. Ja nie umiem czytać — dodał z dumą — rycerz wcale tego nie potrzebuje. Idź, muszę się zastanowić.

Z zadumy nad literami nakreślonymi przez tego obcego żołnierza o zniekształconej twarzy wyrwał go Walter z Meaux.

— Wyglądasz na zamyślonego, Gosselinie. Czemu się przyglądasz z taką uwagą?

— Biskupie, czy możesz mi powiedzieć, co znaczą te litery?

Walter przykucnął i po chwili wstał.

— To są litery greckie. Znaczą „Jerzy”.

— To chrześcijańskie imię?

— Oczywiście! Święty Jerzy był jednym z siedemdziesięciu dwóch uczniów Chrystusa. Umarł śmiercią nagłą i zmartwychwstał po sześciu dniach, gdy laska świętego Piotra dotknęła jego grobu. To święty bardzo czczony przez chrześcijan greckich i ruskich. Dlaczego o to pytasz?

— Nie wiem, znalazłem te znaki i zastanawiałem się, co mogą znaczyć.

— Czy widziałeś, kto je rysował?

— Nie, nie widziałem nikogo.

Ponieważ Gosselin miał ogorzałą twarz, biskup nie mógł zauważyć rumieńca, który wystąpił nagle na jego policzkach.

— To z pewnością jeden z naszych mnichów — rzekł biskup i oddalił się.

Po jego odejściu Chauny wrócił do obozowiska niepewny. Dlaczego ten

człowiek skłamał? Myśl ta dręczyła go przez cały wieczór. Zamęt, który zapanował w jego prostym umyśle, był tak wielki, że zrazu nie zauważył Filipa, który nie opodal lektyki księżniczki oparty o lancę trzymał straż. Drgający płomień ogniska, przy którym wyciągnął się Gosselin, sprawiał, że obrażenia młodzieńca wyglądały jeszcze straszniej i podkreślały jego dziki wygląd. Jak ze zwykłego tragarza stał się jednym ze strażników? Kto zgodził się na ten awans? Nie przypominał sobie, żeby na to wyraził zgodę.

Zasnął ciężkim snem, w którym ludzie z pokiereszowanymi twarzami ścigali go, wydając nieartykułowane dźwięki i znacząc swą krwią znaki, których nie można było zmazać.

Rano kazał przyprowadzić do siebie niemowę, ale nikt nie mógł go znaleźć. Pokazał się dopiero trzy dni później, blady, zmęczony, z wielkim jeleniem na barkach, którego z uśmiechem rzucił pod nogi Gosselinowi. Chauny wzruszony tym podarkiem nie pytał już o nic. Na dodatek doniesiono mu, że banda rozbójników podąża za nimi od dwóch dni.

— Rycerze i wy, żołnierze, miejcie się na baczności. Bandyci mogą nas zaatakować w każdej chwili. Czego chcesz?

Filip dotknął ręką Gosselina i wycharczał:

— Zabici.

— Ach, ty mówisz! Co chcesz powiedzieć?

— Wszyscy... zabici...

— Ilu?

Wystawił siedem palców.

— Gdzie?

Filip pokazał kierunek.

— Prowadź nas.

Filip wszedł do lasu, za nim Gosselin i kilkunastu rycerzy. Sto metrów dalej oddział zatrzymał się. Przed nimi leżało siedem ciał skostniałych już na zimnie. To, co zobaczyli, świadczyło o tym, że walka była zaciekle. Dwóch bandytów miało odrąbane głowy, dwóch innych rozprute brzuchy. Na widok tej jatki Gosselin spojrział na Filipa z podziwem i ze strachem. Jak jeden człowiek mógł zabić siedmiu innych w taki sposób, że żaden krzyk, żaden odgłos walki nie dotarł do obozu? W tym było coś dziwnego i diabelskiego.

Gosselin ukląkł, przeżegnał się i zatopił w modlitwie. Jego ludzie uczynili to samo. Po chwili wahania Filip dołączył do nich. Potem rozkazano zabrać broń i odzież z ciał zabitych.

— Nazywasz się Jerzy?

— Nie.

— Więc jak się nazywasz?

— Nie mam już imienia.

Gosselin spojrział na niego nieufnie.

— Każdy człowiek ma jakieś imię.

— Nazywaj mnie Pokiereszowany lub Kulawy, tak jak mnie przezywają.

Widząc, że niczego się nie dowie, Chauny wzruszył ramionami.

— Dobrze. Od dzisiaj przechodzisz na służbę do mnie. Będziesz przy mnie, dam ci wikt, w miarę możliwości i prawo do rozsądnego rabunku, gdy będzie wojna, oczywiście poza Bożym Rozejmem... Ale ty pewnie nie wiesz, co to jest Boży Rozejm. Każdy rycerz, każdy wojownik musi zaniechać walki w tym czasie pod karą grzechu śmiertelnego. Musi także odnosić się z szacunkiem do dam i bronić wdów i sierot. Mój giermek da ci strój. Jesteś dobrym jeźdźcem? Dostaniesz więc konia, o którego musisz jak najlepiej dbać. W przeciwnym razie będziesz surowo ukarany. Co zaś się tyczy broni, sam ją wybierz. Zdobyłeś ją. A teraz odejź i proś Boga o wybaczenie grzechów. Pamiętaj, żebyś mnie nie zdradził, i bądź wierny królowej i królowi.

Filip niewiele zrozumiał z tego długiego przemówienia, ale pojął, że przyjęto go na służbę. Przyklęknął na ziemi i złożywszy prawicę na piersi, skinął głową na znak zgody. Potem z łupem pod pachą dogonił orszak, który właśnie zatrzymał się. Usiadł na uboczu i po raz pierwszy od chwili, gdy opuścił książęcą drużynę, ogarnęło go uczucie bliskie euforii. Udało mu się! Był w królestwie Francji! Oddychał tym samym powietrzem co kniaziówna! Oparł się o drzewo, podniósł do nieba swą biedną, pokiereszowaną twarz i łza spłynęła po jego okropnych bliznach. Święty Jerzy, dodaj mi sił, żebym dochował tajemnicy!

Ciepły oddech, a potem delikatne muśnięcie sprowadziło go z powrotem na ziemię.

— Mołnia!

Choć bolała go jeszcze noga w kostce, jednym susem podniósł się i przycisnął do swej głowy łeb konia, który rżał z radości.

— Mołnia, śliczna moja, poznałaś mnie, nie zapomniałaś o mnie... Ach, gdybyś umiała mówić! Powiedziałybyś jej, że jestem przy niej, że pamięć o niej nigdy mnie nie opuszcza! Mołnia, powiedz jej...

— Mołnia, Mołnia! — krzyczał ktoś. — Udało ci się ją złapać! Oszaleję przez to zwierzę. Bez przerwy mi ucieka, gryzie, kopie! Masz, diabelskie nasienie, to cię

nauczy! Aj!

Bat nie zdążył spaść, bo giermek zajmujący się koniem kniaziówny znalazł się w zasięgu rąk Filipa, który go bił po twarzy. Wyciągnął ciężki miecz i krzyknął z wściekłością.

— Przybłędo, zapłacisz mi za to!

Przy pierwszym natarciu Filip wytrącił mu broń i zranił go w rękę.

— Przestańcie! — krzyknął Gosselin z Chauny.

Filip, który miał właśnie zadać decydujący cios, opuścił rękę.

— Co się tu dzieje?

Blady z wściekłości ranny giermek wstał z ziemi.

— Ten człowiek oszalał, rzucił się na mnie i chciał mnie zabić.

— Czy to prawda?

— Nie — rzekł Filip pokazując bat i Mołnię, która podskakiwała obok.

— Chcesz powiedzieć, że chciał uderzyć konia księżniczki?

— Tak.

— Dobrze, że mu na to nie pozwoliłeś, ale za to zabijać... To dziwne, koń cieszy się na twój widok, choć nikt nie może się do niego zbliżyć oprócz księżniczki. Dziwny człowiek z ciebie. Pewnego dnia, gdy będziesz mógł mówić, opowiesz mi o sobie. A teraz odejdz.

Filip wytarł spokojnie miecz o trawę i schował do pochwy, po czym ruszył w stronę kuchni. W zamian za dwa ptaszki, które wydobył z pazuchy, dostał piękny kawał zawiniętej w ciasto i ociekającej sosem pieczeni. W podzięcie kiwnął głową.

— Dobrze zabijasz ludzi i zwierzęta. Zawsze z czymś wracasz — rzekł kucharz, oblizując sobie palce.

Po posiłku Filip ruszył na poszukiwanie wody, by umyć się i ogolić głowę oraz twarz. Niektórzy przyjmowali to sarkastycznymi uwagami, gdyż wielu nie myło się od chwili opuszczenia Kijowa. Nie zwracając na to uwagi, wyciągnął się potem pod wozem z twarzą zwróconą ku lektyce Anny.

Ceremonia zaślubin i koronacja była dla niego męką. Żeby o tym zapomnieć, upijał się w nędznych, tajnych knajpach na przedmieściach Reims oraz brał w ramiona stare prostytutki i chude dziewczątka ledwie odrosłe od ziemi, które, przerażone jego wyglądem, zamykały oczy z obrzydzenia i strachu. Nazajutrz po takich pijatykach i rozpuście nikt nie śmiał się do niego zbliżyć, gdyż w jego przekrwionych oczach widać było szaloną rozpacz onieśmielającą nawet najdzielniejszego i najbardziej oddanego przyjaciela.

Nie było go wśród grona towarzyszącego nowej królowej i królowi w Senlis. Pojechał z Gosselinem do jego posiadłości w Chauny, gdzie oczekiwała na swego pana żona i synowie. Tam Chauny rozkazał, by dobrze przyjęto człowieka, do którego odczuwał coś w rodzaju przyjaźni.

Upłynęło wiele tygodni, zanim Filip ujrzał ponownie Annę. Powoli odzyskiwał mowę. Mógł mówić bez bólu niskim i zachrypniętym głosem, potęgującym tylko jego tajemniczość. Maść przesłana mu ongiś przez Helenę, przyspieszyła gojenie ran i zmniejszyła opuchliznę. Czas mijał mu na polowaniach z najstarszym synem Gosselina, dziesięciolatkiem. Ten nie odstępował go na krok i zarzucał pytaniami, z których co drugie pozostawało bez odpowiedzi.

— Ojciec mówi, że jesteś jednym z najlepszych jego wojowników. Ilu ludzi zabiłeś?

— Nie wiem.

— Nie wierzę ci. Ojciec mówi, że zawsze wiadomo, ilu ludzi zginęło z czyjejś ręki. A więc, ilu?

Znudzony odpowiedział w końcu:

— Może z tuzin.

— Tylko! Mój ojciec zabił tysiące.

— Przesadzasz, mój synu.

Od jakiegoś czasu Gosselin obserwował ich. Dumny był z męskiej pewności syna i jego zręczności we władaniu bronią. Pokierszowany był doskonałym nauczycielem, a Thibaut pojętym uczniem.

— Wróć, synu, do zabaw.

— Ojczy, nie jestem już dzieckiem, które się bawi, ale mężczyzną.

— Już wkrótce, synu, już wkrótce. Idź, muszę mówić z Pokierszowanym. Król mnie wzywa. Jutro o świcie wyruszamy. Ale co tobie, jesteś błądy...

Filip z trudem powstrzymał okrzyk radości. Znów ją zobaczy! Krew waliła mu w skroniach jak młotem. Dzięki Ci, Boże, za Twą dobroć! Znów ją zobaczę!

Rozdział XVI

Henryk

Narodziny spadkobiercy napełniły radością króla, który teraz mógł być pewien przyszłości swego rodu. Skończy się wreszcie presja biskupów, śmiechy na dworze, na pół skryta pogarda hrabiów! Teraz, dzięki synowi, wszystkim im pokaże, kto jest naprawdę panem królestwa i po spełnieniu podwójnego obowiązku — jako król i jako małżonek — będzie mógł żyć jak mu się podoba.

Przede wszystkim da nauczkę potężnemu Bastardowi, który na oczach wszystkich mizdrzy się do królowej za zgodą swej głupiej żony. Poprosili nawet Annę, by była matką chrzestną ich pierworodnego Roberta! W tym celu podpisze pokój z Gotfrydem Martelem i zawrze z nim sojusz. Hrabia Andegawenii, zaplątany w walki z Wilhelmem o odzyskanie fortec w Domfront i Alençon, spełni wszystkie jego żądania, tym bardziej że bitwa pod Saint_Maur przyniosła zwycięstwo Francuzom.

15 sierpnia 1052 roku Henryk zavezwał Gotfryda i wbrew opinii księcia Flandrii, po wysłuchaniu sumy odprawionej w opactwie Saint_Garmain_des_Pr~es zawarł z nim uroczysty pokój.

Przy tej okazji zorganizowano zabawy ku wielkiej uciesze ludu Paryża: walki na kopie na rzece, zapasy i turnieje, w których królowa osobiście wręczała nagrodę zwycięzcy, co dodało wyjątkowej oprawy uroczystościom. Henryk coraz gorzej znosił obecność królowej. Nie chciał słyszeć zwłaszcza o Helenie, którą Anna przywiozła ze sobą i która patrzyła na niego z nie ukrywanym obrzydzeniem i wciąż upierała się mówić tylko w swym barbarzyńskim języku. Niejeden raz chciał odesłać ją z powrotem, ale obawiał się gniewu żony. Ach, jaką straszną zrobiła mu scenę, gdy w parę dni po połogu zobaczyła, że pieści młodego lokaja. Używała przy tym tych samych słów co matka, ostrych, dosadnych, gwałtownych, i poczuł się jak mały chłopiec, którego królowa Konstancja nazywała babą. Od urodzin Filipa nie zbliżał się do Anny. Ale już wkrótce wróci do jej łóża. Nie dlatego, żeby do niej tęsknił, ale dla zachowania pozorów. Jej także pokaże, kto tu jest panem. Ożenił się z nią, by dać potomków koronie, i ona będzie ich dawać, czy chce tego, czy nie. Albo może ją wygna.

— Panie, wydajesz się zamyślony. Dam ci całusa, jeśli mi powiesz, skąd ta posepna mina.

— Oliwierze, myślałem o królowej.

— A więc stąd ten smutek na twojej twarzy? Królowa Anna jest piękną i dobrą kobietą.

— Zamilcz, nie wiesz, o kim mówisz. To, że z nią śpiewasz, nie jest powodem, by jej bronić.

— Miły królu, wydaje mi się, że jesteś niesprawiedliwy. Czyż nie dała ci syna? Myślę, że jesteś zazdrosny, bo wszyscy ją kochają, poczynając ode mnie.

— Jesteś głupi. Jak można kochać kobietę? Jest gadatliwa, kokietka, niedobra, nieskromna z tym odrażającym ciałem, z sutkami, z tą wilgotną i cuchnącą szparą. I ta krew! Fe, brzydzę się tym. Wystarczy, że pomyślę, a już zbiera mi się na wymioty. A ciało chłopca jest twarde i gładkie jednocześnie, pierś płaska, pośladki krągłe i naprężone, członek taki wrażliwy, że wystarczy jedno miłosne muśnięcie, by stał się twardy jak marmur. Ach, piękność jest w mężczyźnie!

— Nie podzielam twego zdania. Tak jak ty kocham piękno mężczyzny i lubię głaskać jego ciało, ale lubię też ciało kobiety, jej giętkość, głębię jej brzucha. Przypomnij sobie królową. Sam mi powiedziałeś, że z przyjemnością ją brałeś.

— Tak trzeba było, ale co się nacierpiałem! Dla otuchy myślałem o tobie, zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że trzymam cię w ramionach.

— Różnimy się. Ja bym szeroko otworzył oczy, żeby zobaczyć, jak piękna Anna zwija się pode mną.

— Zważaj na słowa. Zapominasz, że mówisz o królowej.

Oliwier z Arles, który leżał z nonszalancką gracją na poduszkach, podniósł się, przyłożył rękę do piersi i powiedział z ironią:

— Wybacz panie, zapomniałem, że mówię do króla, a nie do kochanka.

— Wybaczam ci tym razem, ale przyrzeknij, że nie będziesz stroił słodkich min do panien z otoczenia dam dworu.

— Miły panie, z chęcią przyrzekam, bo nie lubię dziewic, ale damy o tłustym siedzeniu i brzuchu, z dużymi piersiami.

Henryk rzucił w niego aksamitną poduszką, która zamknęła mu usta. Młody trubadur roześmiał się i odrzucił ją w stronę króla. Ta bitwa na poduszki trwała jeszcze przez chwilę, po czym opadli na łoże i kochali się bez opamiętania.

Król leżał na wpół rozebrany obok śpiącego Oliwiera i spoglądał przez wąskie okno na groźne chmury, zapowiadające burzę. Od paru dni wisiało nad Paryżem duszne powietrze, nawet noc nie potrafiła go ochłodzić. Woda w Sekwanie była tak

ciepła, że nie przynosiła żadnej ulgi paryżanom wszelkich stanów, którzy kapali się w niej szukając odrobiny chłodu. Wymęczeni pogodą ludzie ledwie zipali. Wracali im zapał jedynie przy kubku wina w Montreuil lub Argenteuil, gdy mieli pieniądze, lub w jakiejś podrzędnej knajpie, gdy ich brakowało. Ludzie pili dużo myśląc, że to przyniesie ulgę. Wszyscy chodzili więc pijani. Nietrudno było teraz o kłótnie czy bójki. Codziennie straż zbierała około dwudziestu zabitych; codziennie zakonnicy ze szpitala H~otel_Dieu opatrywali nowych rannych; codziennie kat wieszał kolejnych skazanych. Nad miastem wisiało ciężkie powietrze. Rozpraszało je jedynie bicie dzwonów kościelnych, roznoszące się po szarym niebie. Z dala słychać było grzmoty. Mimo wczesnego popołudnia niebo zrobiło się czarne jak w środku zimy. Oślepiająca błyskawica rozjaśniła komnatę, ukazując białe ciało Oliwiera. Król wyciągnął palce i pogładził trubadura po zlepionych od potu włosach. W tym samym momencie rozległ się tak silny grzmot, że obaj mężczyźni podskoczyli. Henryk przeżegnał się i zaczął mamrotać pacierze. Oliwier podniósł się i przetarł oczy.

— Wygląda na to, że Bóg się gniewa.

— Cicho, bluźnisz! Jesteśmy tylko biednymi grzesznikami. Matko Boża, ochroń nas! Ubierz się, twoja nagość jest obrazą dla Boga.

— A nagość króla?

— Och!

Henryk poprawił niezdarnie swe szaty, co wywołało uśmiech na twarzy jego towarzysza.

— Odejdź, zostaw mnie. Będę modlił się, by Bóg nam wybaczył.

Ukląkł i wsparł głowę na dłoniach. Król Francji prosił Boga, by mu wybaczył po raz kolejny grzech sodomii.

Rozdział XVII

Oliwier z Arles

Nie zważając na wołania lokai, grających w kości pomimo zakazu Kościoła, Oliwier wybiegł długimi susami na dziedziniec zamku. Dusił się, potrzebował świeżego powietrza. Uczucie, jakim darzył go król, stawało się z każdym dniem coraz bardziej nieznośne.

Był ostatnim dzieckiem rodziny niegdyś szlachtetnej i bogatej. Gdy skończył dziesięć lat, pewien minstrel zawiózł go do arcybiskupa Orleanu Isambarda, który lubił towarzystwo trubadurów. Jasny głos i ładna twarz oczarowały prałata i jego nauczyciela śpiewu. Opłacono więc hojnie minstrela, by zostawił chłopca w rękach zakonników. Chłopiec nauczył się od nich muzyki, śpiewu, psalmodii, czytania i pisanie oraz igraszek, o których lepiej nie mówić w konfesjonale. Po raz pierwszy jego czysty i ciepły, budzący zachwyt głos król usłyszał podczas nabożeństwa w katedrze orleańskiej. Wezwał do siebie śpiewaka. Jego miodowe loki, oczy jak wiosenna zieleń, czerwone usta, piękne zęby, drobne stopy i dłonie zrobiły na królu takie wrażenie, że nie znajdował słów, by pogratulować Oliwierowi, i szybko się oddalił. Nazajutrz jednak nauczyciel śpiewu rozkazał młodzieńcowi, by spakował manatki, i zaprowadził go do biskupa.

— Mój chłopcze, zauważył cię sam król. To dla ciebie wielki zaszczyt, a dla mnie wielki smutek. Mam nadzieję, że okażesz się wart nauki, którą tu odebrałeś, że pozostaniesz wierny swemu mistrzowi i będziesz wypełniać sumiennie obowiązki wobec Boga i Kościoła. Idź, synu, niech Matka Boża ma cię w opiece.

Isambard dał mu na drogę błogosławieństwo i złotą monetę.

Oliwier opuścił mnichów i swych towarzyszy bez żalu. Te trzy lata spędzone w Orleanie nie były szczęśliwe dla niego. Koledzy mu zazdrościli, a niektórzy nauczyciele ciągle mu nadskakiwali. Ucieczką była nauka i nonszalanckie niezdiscyplinowanie, które mu wybaczano ze względu na liczne talenty. Żaden instrument nie miał dla niego tajemnic, potrafił komponować urocze pieśni na każdą okoliczność, rysował, tańczył z gracją.

W tym czasie dwór przeniesiono w okolice Dreux. Przyjęcie, jakie mu

zgotowano, godne było książęcego syna. Król oddał go w ręce Roscelina, mistrza fechtunku czuwającego nad kształceniem lokai. Bardzo szybko Oliwier prześcignął innych, tak w walce na kije, jak i na miecze. Te nowe umiejętności przyniosły mu podziw młodzików, którzy myśleli, że bez trudu podporządkują sobie nowego faworyta króla. Wyglądał może jak panna, ale walczył jak rycerz!

Oliwier poddawał się pieszczotom króla bez obrzydzenia, ale też bez przyjemności. Mimo swego wieku Henryk był raczej przystojny, umiał być łagodny, tkliwy, hojny, no i... był królem. Obawiał się przez jakiś czas, że małżeństwo króla oddali go od niego. Stało się coś zupełnie odwrotnego. Po każdej nocy spędzonej przy boku Anny król wracał do niego coraz bardziej rozmiłowany. Jednak zdarzyło się coś, czego Oliwier nie spodziewał się wcale. Sam zakochał się w królowej, a ta ze swej strony polubiła tego bezczelnego muzyka, który tak świetnie potrafił ją bawić. Spędzał coraz więcej czasu w towarzystwie dam i królowej, ucząc się od niej pieśni w jej języku. Nie pozostawał dłużny i uczył ją melodii i kupletów po francusku. Dialekt langwedocki, wyklęty od śmierci królowej Konstancji, znowu wrócił na dwór. Nikt nie rozumiał już słów piosenek, co bardzo nie podobało się Henrykowi, który w końcu zabronił śpiewania w innych językach niż francuski lub łacina. Anna ani Oliwier nie usłuchali tego królewskiego zakazu.

Zazdrość króla była tak wielka, że Anna jako dobra małżonka oddaliła trubadura. Od narodzin Filipa nie pojawił się przed nią. Przesłał jej za to długi poemat, w którym sławił jej urodę i podziwiał jako kobietę i matkę. Użalał się nad swym wygnaniem, na jakie go skazała. W podziękę Anna przekazała mu jako podarunek sztukę adamaszku.

W strugach deszczu młodzieniec opuścił zamek. Gdy znalazł się poza murami, zszedł na brzeg Sekwany. Podniósł twarz do góry, by lejąca się z nieba woda obmyła mu głowę. Wokół tańczyli chłopcy i dziewczęta. Boso ścigali się po trawie i przewracali wszyscy razem. Mieszały się nogi i ręce. Wyglądało to jak kopulacja z pradziejów wśród błysków i w rytmie grzmotów. Oliwier zerwał z siebie ubranie i rzucił przed siebie. Chciał się zanurzyć w tym szale erotycznym.

Po zaspokojeniu zmysłów wyczerpany przeczołgał się po błocie do Sekwany i wskoczył do wody. Była ciepła. Ułożył się na plecach i dał ponieść fali, rozkoszując się dużymi kroplami deszczu, które spadały mu na twarz i uderzały w powieki jak igiełki lub spływały do otwartych ust. Były słodkie niby miód. Miał wrażenie, że woda padająca z nieba oczyszcza go z wszelkich grzechów i przywraca mu niewinność dziecka. W jego rozmarzonej głowie przesuwały się teraz wspomnienia chwil szczęśliwych: pieszczoty matki, gdy przynosił jej owoce swych pierwszych polowań, duma ojca, gdy zwyciężył w biegu syna księcia Prowansji, zabawy i bijatyki z braćmi i kuzynami. Nie miał ośmiu lat, gdy to

wszystko skończyło się wraz ze śmiercią rodziców i starszego rodzeństwa, których zabrała w przeciągu paru dni choroba świętego Antoniego (róża). Od tego czasu musiał walczyć, wciąż walczyć. Długo pływał pod wodą, by przegnać te przykre myśli. Potem wyszedł nagi na brzeg wyspy Cit~e.

Tam, oparty o drzewo, stał wysoki i silny mężczyzna o wygolonej głowie i długich wąsach, z twarzą przypominającą zaoraną ziemię. Przyglądał mu się uważnie.

— Dlaczego mi się przyglądasz?

Mężczyzna nie odpowiedział i dalej patrzył. Oliwier miał wrażenie, że gdzieś już go widział. Nie mógłby jednak zapomnieć podobnej twarzy! Gdyby nie te okropne blizny i wygolona głowa, nieznajomy z pewnością byłby przystojny.

— Czego chcesz ode mnie? Czy przeszkadza ci, że jestem nagi? Zostawiłem ubranie na tamtym brzegu. Zabrały mi je dziewczęta. Podobam ci się może? Nie? No dobrze. Jak się nazywasz? Odpowiedz mi w końcu? Znudziłeś mnie, pozwól mi odejść.

Nieznajomy zrobił krok do przodu z ręką na rękojeści miecza.

— Tchórze, jestem bezbronny, chcesz mnie zabić?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy i zdjął płaszcz, podając go trubadurowi. Przez chwilę Oliwier stał niezdecydowany, aż w końcu przyjął okrycie.

— Dziękuję, ale chciałbym zrozumieć, o co ci chodzi. Chcesz, żebym poszedł za tobą? Ba, czemu nie?

Uciekając przed deszczem i burzą, która nagle podwoiła swą moc, mężczyźni pobiegli do gospody tak zapchanej, że z trudem do niej weszli. Znali tam Pokierszowanego, bo gospodyni, pulchna, tak jak lubił Oliwier, kobieta, dała znak, by się zbliżyli. Torując sobie drogę łokciami, wśród protestów i przekleństw dotarli do końca sali, gdzie słabe światło zamocowanych na ścianach pochodni ledwie docierało.

— Panie, usiądź tu. Zaraz przyniosę najlepszego wina.

— Musisz tu się czuć jak pączek w maśle, a ta dziewczka coś do ciebie czuje. Teraz, kiedy już dotarliśmy, dokąd chciałeś, może mi powiesz, czego oczekujesz ode mnie?

Gospodyni wróciła z cynowymi kubkami i oszronionym dzbankiem.

— Dziękuję, Gizelo.

— Pijcie, panie Pokierszowany. Wino jest chłodne, sama je ciągnęłam z beczki — powiedziała, nalewając mu. Czekala, aż wypije i młaśnie językiem jak znawca. Dopiero potem nalala muzykowi. Teraz Oliwier mógł zakosztować

napoju.

— Hm, nie oszukała cię, panie Pokiereszowany. Tak się nazywasz?

— Tak — odpowiedział zachrypniętym głosem nieznajomy. — Tak się nazywam.

— Ja jestem Oliwier.

— Wiem.

— Ach, tak. A ty kim jesteś? Lubię wiedzieć, z kim piję.

— Należę do pana Gosselina z Chauny.

— Teraz już rozumiem, dlaczego wcześniej miałem wrażenie, że cię już gdzieś widziałem. Byłeś w eskorcie, z którą przyjechała królowa Anna?

Nagle twarz Filipa zaalała się rumieńcem, co uwydatniło jego białe blizny. Trubadur zauważył to.

— Byłeś w eskorcie? — powtórzył pytanie.

— Tak.

— Pochodzisz z tego samego kraju co królowa?

— Nie.

— Szkoda. Chciałbym, żebyś mi powiedział o niej, o jej ojczyźnie, za którą wciąż tęskni. Podobno zostawiła tam ukochanego. Co o tym myślisz?

Biedna twarz znowu zaalała się purpurą. Oliwier poczuł mieszaninę sympatii i litości do tego człowieka, którego ciało, a być może i serce zaznało tortur. Łagodnie zapytał:

— Widzę, że cierpisz... Czy masz jakiś sekret? Nie chcę go znać, a jeżeli to ma ci przynieść ulgę, to powiedz mi.

Filip żywił uprzedzenia wobec faworyta króla. Przyglądał mu się ukradkiem, gdy przybywał na dwór z Gosselinem, ale zauważył, że Anna odnosi się do niego przyjaźnie. Widział, że pomimo godnego potępienia postępowania młodzieniec jest odważny i wrażliwy na punkcie honoru.

— To na służbie u pana Chauny tak urządziłeś sobie twarz?

— Nie, napadli na mnie zbójcy, a ogień zrobił resztę. Pij, wino jest dobre.

Przez chwilę pili w milczeniu. W gospodzie robiło się coraz ciemniej.

Nagle jakiś mnich w habicie tak podartym, że było widać chude i krzywe nogi, skoczył na stół i głośno krzyknął:

— Przekłęci, wasze grzechy rozgniewały Syna Bożego! Nadszedł czas pokuty! Nadchodzą ciemności! Spłynie na was ogień z nieba. Na kolana! Prośmy Najświętszą Matkę Bożą, żeby wstawiła się za nami u Boga Człowieka. O kobieto,

wybrana spośród innych kobiet, spójrz na nas, jacy jesteśmy biedni. Co dzień obrażamy twoją cnotę, uprawiając okropny nierząd. Co dzień smród, jaki unosi się z naszej rui, jest obrazą dla twego dziewiczego zapachu. O Matko, zawsze dziewico, błagamy Cię, módl się, aby Twój święty Syn zechciał oddalić od nas swój gniew. Niech nam wybaczy nasze przewiny, nam marnym kreaturom, które Bóg Ojciec stworzył na swe podobieństwo. Na kolana, bracia, upokorcie się, bo inaczej pochłonie was piekło!

Pierwsze posłuchały kobiety, a za nimi mężczyźni. Jedyne Oliwier i Filip stali bez ruchu.

Mnich patrzył na klęczących triumfującym wzrokiem, gdy w półmroku zauważył obu towarzyszy.

— Czy buntujecie się przeciw słowu bożemu, poganie?

— Mnichu, ja słyszę tylko twoje słowa. Głos Pana jest słodki, a twój śmierdzi podłym winem.

— Jak śmiesz obrażać jego sługę? Strzeż się zemsty Pana!

— Obawiam się tylko twojej głupoty, człowiecze.

— Na pomoc, bracia! Huzia na bluźniercę! Damy lekcję temu synowi szatana!

— Uciekajcie, ten mnich to zły człowiek — ostrzegła karczmarka. — Każe was zabić.

Wyglądało na to, że mówi prawdę. Paru mężczyzn o srogich minach, popychając klęczących, przeciskało się w ich stronę.

— Nie mam broni, daj mi swój sztylet...

Filip wahał się przez chwilę, ale w końcu podał Oliwierowi sztylet, który podarowała mu Anna w przeddzień swego wyjazdu.

— Szybko, chodź, tam z tyłu są drzwi...

Z mieczem w ręku Filip cofał się do wyjścia.

— Uwaga, uciekają...

Oliwier biegł w stronę zamku myśląc, że jego towarzysz podąża za nim. Wiatr unosił płaszcz, obnażając jego nagość, ale nie było nikogo, kto by to mógł zauważyć. Burza zatrzymała paryżan w domach.

— Przyjacielu, już niedługo będziemy bezpieczni! — krzyknął odwracając się.

Ani śladu towarzysza! Nagle usłyszał krzyki i szczęk broni. Odwrócił się. Pokiereszowanego atakowało pięciu bandytów. Dwóch leżało już na ziemi, z ich ran lała się krew, mieszając się z deszczem. Oliwier rzucił się zniemacka na jednego z nich i przeciął mu gardło sztyletem. Zdziwił się, że tak łatwo mu poszło. Po raz pierwszy zabił człowieka i był zaskoczony, że to takie proste.

Filip zatopił swój miecz w ciele jednego z dwóch jeszcze trzymających się na nogach bandytów. Ostatni, widząc jatkę, wziął nogi za pas, a za nim biegł mnich, który wciąż nawoływał do walki.

— Przekłęci, odnajdę was!

Pochłonęła ich zapadająca noc.

— Dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą.

— Nie musisz dziękować. Wybacz, że nie byłem z tobą od początku, myślałem, że biegniesz za mną. Ale... ty jesteś ranny?

— To nic, jeden z nich zranił mnie w plecy.

— Chodź, opatrzę cię.

— Jak chcesz. Jeśli pójdziemy do ciebie, będziesz mógł się ubrać.

Oliwier wybuchnął śmiechem:

— Masz rację, przyjacielu, zapomniałem, że mam ptaszka na wierzchu!

Strażnik stojący na warcie przy małej bramie znał dobrze trubadura i wpuścił go z towarzyszem bez słowa na zamek. Mężczyźni zeszli do obszernej kuchni, której niskie sklepienie podtrzymywały kolumny. W bocznym kominku palił się podobny piekielnemu ogień. Uwijał się przy nim kucharz wraz z trzema kuchcikami.

— Imbercie — zawołał do niego Oliwier — czy możesz dać mi szarpie?

— Co się stało? Czy znów oberwałeś?

— Nie, to dla mojego przyjaciela.

Imbert podszedł, obejrzał Filipa od stóp do głów i posadził przed sobą. Odchylił podarte ubranie, by lepiej obejrzeć ranę.

— Rana jest głęboka, ale czysta. Zaraz poślę po starą Ermengardę.

Kucharz odwołał Oliwiera na bok.

— Nigdy nie widziałem tutaj tego człowieka. Znasz go? Jesteś go pewien?

— Poznałem go dziś po południu. Napadła na nas banda mnicha Lancelina. On zabił trzech zbrojów, ja jednego. Inni uciekli, gdzie pieprz rośnie.

— Paskudnie wygląda, jakby jaka dzika bestia zorała mu twarz.

— Masz rację, nie pomyślałem o tym. Ale cokolwiek to było, jest dobrym kompanem.

— Być może. Nie ufam ludziom, którzy dużo cierpieli, a ten, jak widzisz, ciągle cierpi.

— Masz z pewnością rację, ale zamiast filozofować jak ksiądz, mógłbyś postarać się o coś, bym przykrył swe przyrodzenie, bo inaczej stara Ermengarda

mnie zgwałci.

Imbert roześmiał się na cały głos i zawołał kuchcika.

— Ty tam, weź klucz do mojego kufra i przynieś mi spodnie i haftowaną koszulę.

— To mi wystarczy, dziękuję.

— Ty, idź po panią Ermengardę i nie zatrzymuj się nigdzie po drodze — rozkazał drugiemu wyrostkowi. — A teraz coś zjedzcie i wypijcie.

— Nie odmówię, kucharzu, bo bójka zaostrzyła mi apetyt.

Kiedy nadeszła Ermengarda, wszyscy trzej siedzieli przy stole i oskubywali pieczoną kózkę, popijając dużymi haustami wino.

— Powiedziano mi, że jest tu jakiś ranny, a widzę trzech głodomorów, którzy napychają się jak prosięta!

— To mój przyjaciel, ten z ogoloną głową, dostał sztyletem w plecy.

— To nie może być nic groźnego. Pokaż to, mój chłopcze.

Filip odwrócił się.

— Mój Boże! Od tylu lat pielęgnuję, opatruję, zszywam, ale nigdy nie widziałam tak zmasakrowanej twarzy. Kto cię tak urządził? Bardzo musiał cię nienawidzić ten, kto to zrobił. Uśmiechasz się? Masz dobry charakter. Pokaż mi swoją ranę... Podajcie mi nóż, żebym mogła przeciąć koszulę.

Oliwier podał sztylet Anny, który mu pożyczył Filip podczas bójki.

— To piękna broń. Wydaje mi się, że widziałem już podobne pismo jak tu na klindze. Wiesz, co to znaczy?

— Nie, zdobyłem go w walce.

— Masz szczęście, nóż ześlizgnął się po kości. W przeciwnym razie byłbyś martwy — powiedziała starucha, która przyłożyła maść i zabandażowała ramię. — Musisz leżeć przez dziesięć dni.

Filip wyjął monetę z sakiewki wiszącej na szyi. Stara złapała ją chciwie.

— Srebrna! Jesteś, panie, bardziej hojny niż sam król. Bóg z tobą! Jakie to straszne — wyszeptała, patrząc po raz ostatni na pozszywaną twarz. — No co, kucharzu, dasz mi w końcu kubek wina? Nie zasłużyłam na to?

Wypiła wino jednym haustem.

— To nie są osłe siki — mlasnęła językiem. — Dzięki, przyjaciele.

Oliwier przywdział szaty Imberta. Mężczyźni pili bez słowa. Wkrótce wybiła północ. Wokół nich wszyscy spali po kątach na sianie. Ogień rzucał ostatnie słabe błyski. Już nie padało, ale burza nie odchodziła i błyskawice oświetlały coraz

bledsze twarze pijących, a przy powtarzających się grzmotach ziemia drżała.

— Muszę iść do króla, pewnie mnie szuka — powiedział z niechęcią Oliwier.

— Dzięki, przyjacielu, za wino i spodnie. Oddam ci z procentem.

— Liczę na to! — odpowiedział kucharz nie podnosząc nawet głowy.

Filip wstał i popatrzył niezdecydowanie wokół.

— Chodź ze mną, zaprowadzę cię do pomieszczenia giermków i lokai. Włóż płaszcz, by zakryć ranę i krew na ubraniu.

Weszli po schodach do sali, w której drzemała straż wsparta na kopiach.

— Tam jest komnata dam.

— Czy tam mieszka królowa? — spytał Filip tak cicho, że Oliwier raczej domyślił się, niż usłyszał pytanie.

— Tak, chyba że jest u króla. Co tobie? Jesteś chory? — zaniepokoił się trubadur słysząc jęk przyjaciela.

— Nic mi nie jest.

Oliwier otworzył drzwi do obszernego pomieszczenia, gdzie unosił się mocny odór potu mężczyzn, leżących dla ochłody na klepisku. Przeszli między nimi.

— Oto moje królestwo — powiedział faworyt Henryka, odchylając zasłonę, za którą na wysokim łożu leżeli w uścisku dwaj młodzieńcy.

— Amauri! Ryszardzie! Wyjdźcie stąd.

Mrucząc coś, chłopcy wyślizgnęli się z łoża i legli między fałdami zasłony.

— Odpoczywaj, ja idę do króla.

Gdy został sam, Filip wyciągnął się na boku, uważając na ranę. Nareszcie jestem pod tym samym dachem co ona... Moja kniaziówna śpi parę kroków ode mnie... Niech będzie błogosławiona rana, dzięki której mogłem zaprzyjaźnić się z tym muzykiem i teraz mogę być w pobliżu mej pani... Boże, pragnę tylko jednego: ujrzeć ją i jej syna, któremu dała me imię.

Usnął, przyciskając do siebie sztylet.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy wrócił Oliwier. Filip spał nagi. Trubadur podziwiał przez chwilę jego piękne ciało, tak harmonijne, smukłe i umięśnione, i porównywał je mimowolnie do ciała króla. To sprawiło, że westchnął. Wyciągnął się na łożu, uważając, by nie urazić przyjaciela. Choć rozbrzmiewały śmiechy i okrzyki giermków i lokai, którzy zabierali się do pracy, zasnął natychmiast.

Henryk zastał go śpiącego. Wołał, pieścił, ciągnął za włosy.

— Oliwierze... Oliwierze, obudź się!

— O co chodzi? Daj mi spać!

— Oliwierze, wstań!

Filip oparł się na łokciu i przyglądał temu siwiejącemu mężczyźnie, który potrząsał jego towarzyszem. Miał podkrążone oczy, nieprzyjemny oddech, otaczali go weseli młodzieńcy. To chyba był król.

— Panie, daj mu spać, miał ciężki dzień.

— Kim jesteś? Nie jesteś giermkim? Nigdy cię nie widziałem. Co robisz w tym łóżku?

— Śpię.

— Widzę, diabelskie oblicze! Oliwierze!

Trubadur otworzył w końcu z trudem jedno oko, a potem drugie.

— Panie! Ty tutaj? Jestem zaskoczony.

— Co robi ten człowiek w twym łóżku?

— Uratował mi wczoraj życie. Opowiadałem ci o tym.

— Zapomniałem. Nie mówiłeś mi, że jest taki brzydki. Jak się nazywasz?

— Pokierszowany, panie. Należę do pana Chauny.

— Dobrze, to wierny wasal. Jesteś rycerzem?

— Jeszcze nie.

— Zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić. Uratowałeś mojego miłego przyjaciela i jestem ci wdzięczny. A teraz wstań.

— Królu, jestem...

— Co to za maniery! Widziałem już nieraz gołych mężczyzn, rozkazuję.

Filip wstał z łoża, z trudem ukrywając wspaniałą poranną erekcję, której widok napełnił króla melancholią. Mała grupka faworytów aż westchnęła z podziwu.

— Jaka szkoda, że takie piękne ciało jest uwieńczone taką szpetną twarzą! Gdybyś przynajmniej nosił długie włosy... Ubierz się, będziesz mi towarzyszył na polowaniu.

— Panie, został ranny wczoraj, musi wypoczywać — powiedział Oliwier wdziwając pludry.

— Widać, że to lekka rana. Małe polowanie nie może mu zaszkodzić. Nie mam racji? Przypomnij mi, jak się nazywasz.

— Pokierszowany, panie.

— A więc, Pokierszowany, czyż nie mam racji?

— Tak, panie.

— Spieszmy się zatem. Jeleń się niecierpliwi. Oliwierze, niech osiodłają konia

dla twego przyjaciela.

Henryk oddalił się wraz ze swą gdakającą świtą pstrokato ubranych giermków i lokai. Jeden był piękniejszy od drugiego.

— Po raz pierwszy widzę, że król interesuje się mężczyzną, który, wybaczone, nie jest piękny... Myślę, że to twoja kita zrobiła na nim wrażenie!

— Muszę w końcu coś mieć... Pomóż mi się ubrać, boli mnie ta przeklęta rana.

— Stara Ermengarda zalecała odpoczynek.

— Czy mam wybór?

— Nie — roześmiał się Oliwier.

— Dlaczego opowiedziałeś królowi, że uratowałem ci życie? To nieprawda.

— No to co. Gdybyś musiał, to byś uratował. Nie było innego sposobu, żeby ci zaskarbić jego względy.

— Dlaczego to robisz?

— Nie wiem. Podobasz mi się...

Filip odsunął się gwałtownie.

— To nie to, co myślisz. Podobasz mi się, bo jesteś inny. Wydaje mi się, że jesteś tak samo samotny jak ja.

— Od niedawna mówię twoim językiem. Nie rozumiem cię dobrze.

— Proponuję ci przyjaźń. Zastanów się, czy możesz ją przyjąć. Nie teraz, nie mów... Spiesz się, bo król na nas czeka.

Rozdział XVIII

Wrzesień 1052 roku

Lato dobiegało już końca, ale wciąż utrzymywał się nieznośny upał. Pomimo burzowej pogody zbiory były udane, a zboże zgromadzono w spichlerzach. Nareszcie widmo głodu przestało straszyć. Ucztowano wszędzie, ku radości panów i gawiedzi. W całym królestwie polowano, organizowano wyścigi na wodzie, tańce, przeróżne zabawy i turnieje, które stawały się coraz bardziej popularne. Kościół nie patrzył na te pogańskie święta zbyt łaskawym okiem i starał się je łączyć z religijnymi uroczystościami, w czym prosty lud widział tylko nowe rozrywki. Podczas procesji zachwycono się bogactwem strojów, złotem kapiącym z szat biskupów i książąt, których można było podziwiać podczas sum odprawianych na wolnym powietrzu, gdy wydawało się, że to chóry anielskie śpiewają pobożne pieśni. Nowa królowa i jej pierworodny sprowadzili na kraj dobrobyt. Kościoły były pełne prostego ludu, który dziękował Bogu i modlił się o błogosławieństwa dla władców.

Książę Flandrii Baldwin musiał użyć całej swej dyplomacji, a księżna Adela delikatnie wywrzeć wpływ na króla, by zgodził się na podróż Anny do Rouen, gdzie miał odbyć się chrzest syna Wilhelma i Matyldy. Poprosili ją, by zgodziła się zostać matką chrzestną małego Roberta. Prawdę mówiąc, król był zadowolony z tej podróży. Podczas nieobecności szwagra i siostry mógł lepiej przygotować nauczkę, jaką miał zamiar dać Bastardowi.

Na początku września Anna ruszyła w drogę wraz z liczną świtą złożoną z kapelanów, medyków, giermków, dworek, nianieek i piastunek, szwaczek, muzyków, no i oczywiście z Heleną oraz Ireną. Helena nie pozwalała nikomu opiekować się małym Filipem, najpiękniejszym dzieckiem, jak mawiała, od narodzin jej ukochanej księżniczki.

Długa karawana podążała drogą w upalnym słońcu i tylko listowie lasów, które przemierzała, gasiło trochę żar. Orszak często przystawał, by królowa mogła kąpać się w Sekwanie razem z damami. Anna odzyskiwała swą dawną wesołość i sylwetkę. Tylko pełne piersi świadczyły o jej macierzyństwie. Była dumna z syna, odznaczającego się wyjątkową siłą i apetytem.

Hrabia Valois nalegał, by towarzyszyć królowej. Mimo sprzeciwu ze strony Anny król wyraził na to zgodę, gdyż wołał, by jego potężny wasal oddalił się na jakiś czas z dworu. Gosselin z Chauny miał czuwać przede wszystkim nad dzieckiem. Przekazał z kolei ten obowiązek Filipowi, do którego czuł coraz większą sympatię. No bo jak nie być wzruszonym, jeżeli Pokiereszowany odmówił wejścia do służby królewskiej? Wołał rodzinę Chauny niż rozwiązało towarzystwo strażników królewskich.

Ujrzawszy dziecko w ramionach Heleny Filip omal się nie zdradził. Spojrzała na niego podejrzliwie i przemówiła w ojczystym języku. Bał się, by jej bystre oczy nie zauważyły wzruszenia, jakie odczuł na dźwięk tego drogiego języka. Udał, że nic nie rozumie, i powiedział po francusku parę banalnych komplementów. Niańka westchnęła i dokończyła kołysankę, przerwaną na widok Filipa. Rycerz drużyny Jarosława, słysząc tę prostą piosenkę, uciekł do lasu, by skryć łzy. Po raz pierwszy od wesela kniaziówny, dla której wyrzekł się nawet myśli o szczęściu, płakał.

Obolały, błakał się w lesie i ciało mieczem miękko opadające paprocie. Brnął przed siebie, upojony mocnym zapachem krwi roślin. Nagle zobaczył chudego jak szkielet człowieka, który podniósł na niego pięść z zaskakującą siłą. Filip spojrzał na intruza przez łzy. Opanował się i przyprawiającym o drżenie cichym i lodowatym głosem spytał:

— Szukasz śmierci?

— Nie, ale jeśli taka jest wola Boga i jeśli ty jesteś jego wysłannikiem, to przyjmuję ją.

— Mało brakowało, a stałbym się jego narzędziem. Kim jesteś, biedny szaleńcze, by tak stawać na mej drodze?

— Jestem tylko człowiekiem między ludźmi, drzewem między drzewami, rośliną między roślinami. Cierpię jak i one. Niszcząc je, niszczysz dzieło Boga.

— Śmiesz twierdzić, że drzewa i rośliny cierpią tak jak ludzie?

— Cierpią tak jak wszystko, co żyje na ziemi dla chwały Boga. Znam język mych przyjaciół ze świata roślin, tak potężnego dębu, jak i najcieńszej trawki, a także język zwierząt, złego wilka i płochliwej łasiczki.

Filip schował miecz do pochwy i usiadł na pieńku, patrząc w zamyśleniu na starca.

— Ja też będąc dzieckiem rozmawiałem z drzewami w lasach mego kraju. Mówiłem im o moich zmartwieniach i radościach i to mi przynosiło ulgę. Jestem pewien, że mnie rozumiały.

— I nie mylisz się. Gdybyś umiał się wsłuchać, usłyszałyś ich zwierzenia.

— Ba! To tylko dziecinne mrzonki. Wydorostałem i już od dawna nie wierzę

się ani drzewom, ani ludziom.

— Nadszedł więc ku temu czas. Ten, kto od dawna żyje w głębi puszczy, może wszystkiego wysłuchać.

— Zostaw mnie. Nie mam nic do powiedzenia!

— Jestem sługą bożym, pustelnikiem, i pomagam bliźnim, którzy są w rozterce. A twoja rozpacz wydaje się wielka. Nie chcesz zrzucić z siebie choć części tego ciężaru?

— Chciałbym, ale nie mogę.

— Nie nalegam. Czy nie chciałbyś pomodlić się ze mną do Pana Boga?

— Jeśli chcesz, to chodźmy.

Filip podniósł się.

— Dokąd idziesz?

— Do miejsca modlitwy.

— Spójrz wokół siebie. Wszystko tu jest dziełem Boga Stwórcy. Czyż te drzewa nie są sklepieniem jego kościoła, a mech kobiercem, śpiew ptaków hymnami? Bóg jest wszędzie. Powietrze, którym oddychamy, jest przesiąknięte jego miłością. Módlmy się, synu, aby pokój zapanował w twojej duszy. Klękniemy!

Pustelnik i rycerz modlili się długo. Kiedy Filip wstał, serce miał lżejsze i umysł jaśniejszy. Pokornie podziękował mnichowi, który przed odejściem udzielił mu błogosławieństwa.

Gdy wrócił do orszaku, noc już zapadła, letnia, gorąca, słodka noc pod niebem usianym gwiazdami. Niektóre z nich ciągnąc za sobą błyszczący warkocz spadały na ziemię. Podróżni zatrzymali się na skraju lasu nad rzeką, gdzie Anna i jej dworki kąpały się ze śmiechem w świetle księżyca w pełni. Na brzegu pieczono przy wielkich ogniskach ptactwo, zające i warchlaki, upolowane przez nudzących się rycerzy i giermków.

Raul z Cr~epy, schowany za gałęziami wierzby sięgającej wody, nie spuszczał wzroku z królowej. Nagość kobiety, którą mógł wreszcie podziwiać w całej krasie, wzmogła jeszcze bardziej jego żądzę. Na próżno odnosiła się do niego z pogardą, odrzucała jego awanse, nie godziła się na jego towarzystwo, choć chętnie przebywała z Oliwierem z Arles, który dzielił łożę jej męża. Któregoś dnia posiadzie ją i pokaże, co mężczyzna może zrobić z kobietą! I jak inne będzie jęczeć i błagać o litość!

Nie opodał usłyszał dźwięk, który wyrwał go z zadumy. Czujnie chwycił szeroki nóż myśliwski, który zawsze miał przy sobie, i wstrzymał oddech. Zobaczył grubego mnicha. Skryty za drzewem, w podkasanym habicie, onanizował

się spozierając na kąpiące się kobiety. Raula rozbawił ten grubas, który starał się sam sobie dogodzić, sapiąc i pocąc się. W końcu jego prosiące chrząkanie tak rozśmieszyło hrabiego, że wybuchnął śmiechem. Mnich przestraszył się i o mało nie wpadł do wody. Chwycił gałęzie, poślizgnął się, cudem odzyskał równowagę i z ciągle podkasanym habitem uciekł co sił w nogach. Zaniepokoiło to strażę królewską, które przeszły rzekę w bród, ale znalazły tylko podeptaną trawę i połamane gałęzie.

Przy pomocy służących Helena wysuszyła i ubrała Annę, choć ta nie chciała włożyć na siebie wierzchniej sukni uważając, że jest zbyt ciężka na ten letni wieczór. Kiedy służąca ją czesała, oddała się marzeniom. Odchyliła głowę do tyłu, nie myśląc o niczym, rozkoszując się jedynie swym ciałem, słodyczą nocy, pięknem francuskiego nieba, na którym od czasu do czasu spadała jakaś gwiazda. Nie chciała wspominać Nowogrodu... Nie trzeba myśleć o utraconym kraju!

Anna wzięła w dłonie fałdy welonu, który Helena włożyła na jej warkocze, i wstała. W świetle ogniska, w szkarłatnej sukni i welonie, poruszającym się w rytm jej ruchów, sama przypominała płomień. Wszyscy patrzyli na nią, zwłaszcza mężczyźni. Podeszła do stołu przybranego listowiem, gdzie rozłożone były potrawy. Usiadła na składanym krześle o wysokim oparciu. Lokaj podszedł do niej i uklęknął, podając naczynie napełnione pachnącą wodą, w której zanurzyła palce. Inny podał ręcznik. Drób usmażony był w sam raz, a zające doprawione leśnymi ziołami okazały się soczyste. Jadła z apetytem brzoskwinie i suszone morele z Persji, przysłane jej przez brata Wsiewołoda, napiła się mocnego wina podarowanego przez hrabiego Prowansji.

Na jej znak zbliżył się Gosselin z Chauny, który stał w należytej odległości.

— Czy nie widziałeś miłego Oliwiera? Chciałabym posłuchać jego muzyki.

— Nie widziałem go od wschodu słońca, królowo, ale każę go zaraz odszukać.

— Dziękuję ci, panie Gosselinie. Jak się miewa twój syn? Czy już wyzdrowiał po upadku z konia?

— W zupełności. Jeździ jak gdyby nic się nie stało. Dzięki ci, że troszczysz się o moją rodzinę.

— Helena mi mówiła, że masz wśród swoich ludzi niebywale szpetnego zaufanego człowieka, który jest podobno całkowicie oddany memu synowi.

— Zgadza się, królowo. Sam kazałem mu szczególnie czuwać nad małym księciem. To prawda, że jest bardzo brzydki, ale jego brzydota jest dziełem ręki ludzkiej, a nie wrodzona. I tak jak jego twarz jest szpetna, tak jego dusza jest piękna. Szanuję go i czuję do niego sympatię.

— Oto komplement rzadki w twych ustach. Powiedz mi, panie Gosselinie, czy

docierające do mnie pogłoski o wojnie między Normandią a nami nie są bezpodstawne?

— Nie jestem konetabłem (naczelnym wodzem) ani zaufanym króla, ale nie wierzę w to. Zbyt wiele jest więzów łączących nasze kraje, a i podróż twoja świadczy o tym, że to tylko plotki nudzących się rycerzy.

— Niech Bóg cię wysłucha, Gosselinie!

— Królowo, pozwól, że ci złożę uszanowanie...

Raul z Cr~epy wynurzył się z ciemności tak nagle, że nikt go nie zauważył.

— Dobry wieczór, hrabio Valois.

— Czy nie jesteś zmęczona podróżą? Czy ta długa kąpiel była przyjemna?

— Dziękuję, że troszczysz się o mnie. Czuję się doskonale. Dobrej nocy.

Raul udawał, że nie rozumie, iż został odprawiony.

— Usłyszałem, że pragniesz posłuchać muzyki. Oto moi grajkowie. Pochodzą z dworu cesarza niemieckiego. Czy chcesz ich posłuchać?

Anna skinęła głową.

Muzycy, dwaj mężczyźni i jedna kobieta, zagrali wolną i miarową melodię, odmienną od lekkiej i wesołej muzyki prowansalskiej, którą tak lubiła.

Czy to muzyka wywołała Oliwiera z ukrycia? Ukazał się nagle, podskakując i tańcząc jak diabeł, przygrywając sobie na flecie. Muzycy stracili rytm, zagrali jeszcze parę taktów i zamilkli.

— Grajcie! — zawołał rozgniewany Raul.

— Nie, niech przestaną, wołę słuchać Oliwiera, Heleno! Przynieś mi moje gęśle.

— Siostrzo, nie wypada, aby królowa Francji robiła z siebie takie widowisko — zwróciła się do niej hrabina Flandrii, która właśnie nadeszła.

— Adelo, moja droga, nie gniewaj się na mnie. Jest taki piękny wieczór. Zapewniam cię, że nie zapomniałam, że jestem królową. Mój ojciec, wielki książę Jarosław Mądry, nigdy nie gardził śpiewaniem z prostym ludem. Zwykł mówić, że poprzez śpiew człowiek najlepiej wyraża swą radość, iż został stworzony ręką Boga. Mawiał też, że poprzez muzykę ludzie zbliżają się do Boga i stają się lepsi.

— Ty zawsze postawisz na swoim — roześmiała się jej szwagierka.

Hrabina Adela dała znak damom i rycerzom, by się zbliżyli. Kobiety rozsiadły się na poduszkach, które przyniosły służące, a mężczyźni stanęli z tyłu.

Filip upewnił się, że wszystko jest w porządku, i odszedł od wozu, gdzie spoczywały niańki i dziecko, kierując się ku zgromadzonym.

Stanął parę kroków od ukochanej, ciesząc oczy jej urodą. Gdy usłyszał pierwsze dźwięki gęśli, zamknął oczy i ogarnęły go wspomnienia ich wspólnych wycieczek, zabaw, długich letnich dni i zimowych nocy, gdy trzymała swą szczupłą dłoń w jego ręce. Widział jej uśmiech, słodkie oczy i nie czuł już cierpienia, które niegdyś zmieniło go w dziką bestię. Odczuwał jedynie ukojoną tęsknotę. Anna zaczęła śpiewać.

Śpiewała najpierw w języku starofrancuskim, potem po langwedocku, a w końcu po rusku. Czekał na to i przygotował już swe serce na tę próbę. To, czego nie zdołała uczynić kołysanka nucona kiedyś przez Helenę, sprawiła pieśń żniwiarzy, którą tak często śpiewali razem. Dała mu siłę i ufność. Nagle poczuł, że otwiera się przed nim świat, w którym jest dla niego miejsce. Przysiągł sobie, że stanie się jednym z rycerzy, o których opowiadał mu Gosselin z Chauny, i że z miłości do swej pani stanie się najlepszym z nich. Pamiętał oczywiście, że nigdy nie będzie się starał, by odkryła, kim on jest. Stanie się innym człowiekiem. Tego nowego człowieka nie będzie wiązała już żadna przysięga.

Raul z Cr~epy stał w kącie i z trudem opanowywał swoje zniecierpliwienie. Ten Oliwier uważał się za kogoś naprawdę ważnego. Trzeba go będzie odsunąć. Co zaś się tyczy królowej, to nadejdzie pora, w której zapłaci mu za wszystkie doznane afronty. A tymczasem wywrze małą zemstę, przygotowywaną od paru dni. Zauważył, że Irena, mleczna siostra królowej, oblewa się rumieńcem za każdym razem, gdy na nią spogląda, i nie przepuszcza żadnej okazji, by znaleźć się na jego drodze, choć król dał jej narzeczonego, niejakiego Klemensa z Tussac pochodzącego z dobrej rodziny z Poitou. Zemsta będzie zresztą wcale przyjemna, bo dziewczyna jest nietknięta, ma duże wybaluszone oczy, bardzo czerwone usta i piękne jasne włosy. Miła perspektywa wprawiła go w dobry nastrój i zdecydował się przejść natychmiast do dzieła. Dyskretnie opuścił krąg słuchaczy.

Hrabia bez trudu odnalazł Irenę. W towarzystwie matki i narzeczonego słuchała z zachwytem przyjaciółki z lat dziecińczych. Podniosła oczy na ciemną postać, która nagle wyrosła przed nią, i poczuła, że słabnie, rozpoznając hrabiego. Helena i Klemens, zatopieni w słuchaniu, nie zauważyli, że Raul daje znaki Irenie, by za nim poszła. Z bijącym sercem, świadoma grzechu, który właśnie popełnia, dziewczyna wstała i nie zauważona przez nikogo oddaliła się.

Raul tak silnie ją pociągał, że zapomniała o strachu, jaki zawsze odczuwała na jego widok. Bolało ją całe naprężone ciało. Szła za czarną, wysoką postacią, która zagłębiała się w lesie i wkrótce zniknęła w ciemnej gęstwinie. Po paru krokach Irena zatrzymała się, wpatrując się w ciemności. Żadnego dźwięku oprócz szelestu drzew, który stawał się coraz bardziej wrogi. W końcu krzyknęła:

— Panie, gdzie jesteś? Czy przystoi rycerzowi zostawiać mnie samą? Panie, proszę, odezwij się! Pomóż mi, Matko Boża...

Irena rzuciła się na kolana i zaczęła się modlić. Hrabia stał dwa kroki za nią i śmiał się cicho. Przeszkadzało mu gęste listowie, nie przepuszczające poświaty księżyca, choć do tego, co zamierzał zrobić, nie potrzebował światła. Cóż, przyjemność będzie mniejsza. Lubił widzieć na twarzach swych ofiar strach, rozkosz, obrzydzenie, nienawiść. Gdy mordował czy kochał, zawsze z uwagą obserwował swe dzieło.

Jak dziki kot wyskoczył ze swej kryjówki, przewrócił Irenę na mech, przyciskając ręką jej usta.

— Nie krzycz, kózko. Nie drzyj. To ja, nie zrobię ci nic złego. Nie wrywaj się, pozwól mi... Masz delikatną skórę. No, rozsłoń nogi... Przyszłaś tu za mną, wiedziałaś po co. Och, kokietko, widzę, że też chcesz. Jesteś wilgotna. No, otwórz... Tak dobrze... Nie żałujesz, że tu przyszłaś? Ach!

Raul leżał bez ruchu na uległym i drżącym ciele Ireny. Potem zsunął się na plecy i patrzył w niebo. Irena powoli podniosła się, olśniona gwałtowną rozkoszą. Przez dłuższą chwilę trwali tak w bezruchu.

— Panie?

— Precz. Nie mów nikomu, rozumiesz, nikomu, co zaszło między nami. Kiedy znów cię zechcę, dam ci znać. No, na co czekasz? Precz!

Irenę jakby ktoś uderzył. Wstała, poprawiła odruchowo szaty, wygładziła włosy. Wyszła z ciemności lasu i oddaliła się w stronę rzeki, zgięta wpół jak stara kobieta.

Rozdział XIX

Chrzcziny syna

Wilhelma i Matyldy

Anna i Matylda z radością spotkały się znowu. Były szczęśliwe, że mogą pochwalić się przed sobą synami. Wilhelm z taką przesadą manifestował swą radość, że znów widzi królową, iż niektórym wydawało się to niestosowne.

Każde miasto księstwa wysłało swego seniora lub biskupa na chrzcziny, które miały odbyć się w katedrze w Rouen. Ulice miasta były za wąskie, by pomieścić liczne orszaki i tysiące gapiów, cisnących się, by ujrzeć gości. Przyjazd królowej Francji został owacyjnie uczczony, co ujęło Wilhelma. Choć szpiedzy donieśli mu o przygotowaniach Henryka i jego wojennych zamiarach, starał się oddzielić osobę królowej od jej małżonka. Za punkt honoru przyjął zachowanie godne wiernego wasala. Jeżeli jego senior podniesie na niego oręż, będzie się bronił, ale sam w żadnym razie nie zacznie pierwszy. Zresztą nadszedł czas zabaw. Później, jeśli będzie trzeba, pójdzie walczyć.

Z pewnym rozdrażnieniem ujrzał Raula z Cr~epy w orszaku królowej. Przyjął go jednak tak, jak należało się osobie jego godności. Zgodził się także, by Szymon, drugi syn, który narodził się hrabiemu Valois, kształcił się w przyszłości na rycerza na jego dworze. Hrabia był zbyt potężnym panem, by księżę mógł trzymać go na dystans.

Postanowiono zorganizować turniej rycerski na cześć królowej Francji. Miał się odbyć w F~ecamp, dokąd przeniósł się dwór normandzki.

Na wysokim brzegu, na polu, gdzie zazwyczaj pasły się barany z pobliskiego opactwa, ustawiono podwyższenie. Podium dla dam osłonięto obszernym baldachimem, by uchronić je przed słońcem lub deszczem, i ozdobiono bogato haftowanymi materiałami i kobiercami, a siedzenia wymoszczono poduszkami. Za ogrodzeniem stali widzowie. Sędziowie, marszałkowie, heroldowie i służący biegali w różne strony, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Przybycie królowej Francji, księżnej Normandii i królowej Szkocji przywitano długimi owacjami. Trzy młode kobiety zasiadły obok siebie, za nimi zajęli miejsca

hrabiowie Flandrii, Valois, Sens i Chartres oraz matka księcia i pozostałe damy. Przy ostrych kolorach sukien, zasłon i proporców niebo wydawało się jeszcze bardziej błękitne, a trawa bardziej zielona.

Rozległy się głośnie fanfary; znak, że przybyli rycerze wraz z giermkami. Byli wspaniale przyodziani i uzbrojeni. Nadchodzili powoli, z poważnymi i majestatycznymi minami. Wilhelm jechał na białym koniu ustrojonym w jego barwy. Ubrany był w czerwoną tunikę, ozdobioną wyhaftowanym przez Matyldę lwem, i w kolczugę. W ręce trzymał hełm. Ukłonił się przed podium, na którym siedziały damy. Pochylił włócznię przed Anną, która zawiesiła na niej niebieską wstążkę, a potem przed Matyldą, która przywiązała do niej wstęgę czerwoną. Nad tłumem uniósł się pomruk podziwu. Księżę ruszył galopem wokół pola z podniesioną wysoko włócznią z powiewającymi kolorami jego pani i jego małżonki.

Choć Raul z Cr~epy wiedział tak jak wszyscy, że królowa Francji zgodziła się, by księżę Normandii był jej rycerzem, wyglądał jednak na poirytowanego. Przez moment miał nadzieję, że Wilhelm będzie walczył wyłącznie pod barwami swej żony. Hrabia dosiadł czarnego jak węgiel konia w czarnej uprzęży ze złoceniami; te same kolory miał jego strój. Z podniesioną przyłbicą zbliżył się do trybuny. Irena stojąca za swą panią wstrzymała oddech. Raul ukłonił się królowej i księżnej. Odpowiedziały mu lekkim skinieniem głowy. Pochylił kopię przed matką księcia, z którym miał się zmierzyć podczas turnieju. Wokół zapadła głęboka cisza. Słysząc było jedynie parskanie koni. Wszyscy zrozumieli, że był to afront: Wilhelm nie mógł zwyciężyć tego, kto nosił barwy jego matki. Lecz Arletta, która umiała sobie radzić w podobnych sytuacjach, odkąd Robert wybrał ją spośród innych kobiet księstwa, nie dała się łatwo wyprowadzić z równowagi. Uśmiechnęła się z wdziękiem do hrabiego i rzekła głośno, tak by każdy ją usłyszał:

— Hrabio, jestem ci nieskończenie wdzięczna, że zechciałeś uczynić mi ten zaszczyt. Jestem tym wzruszona i zapewniam cię, że nigdy tego nie zapomnę. Doceniam twą szlachetność, lecz jesteś w błędzie. Już za późno na to, bym nawet najwaleczniejszym rycerzom pozwałała nosić moje barwy. Mam już siwe włosy, a narodziny mego umiłowanego wnuka świadczą o moim wieku. Tyle młodych dam byłoby dumnych, gdybyś nosił ich barwy, zwłaszcza hrabina Valois...

To był rozkaz dany przez damę. Musiał się podporządkować, w przeciwnym razie obraziłby swą żonę i matkę gospodarza. Z wściekłością w sercu a uśmiechem na ustach Raul z Cr~epy ukłonił się głęboko przed Arlettą z Conteville, podniósł kopię, by ją pochylić ponownie przed Adelajdą, która odczepiła kokardę od swego rękawa i przymocowała na włóczni z posepną miną.

Przeciwnicy udali się do wysokich namiotów ozdobionych swymi barwami, ustępując miejsca rycerzom, którzy paradowali przed trybunami, i czekali na znak

dany przez trębaczy. Kiedy szranki wypełniły się rycerzami i giermkami trzymającymi opuszczone miecze i maczugi, herold sędziów nakazał ciszę i ogłosił:

— Wielcy i potężni książęta, panowie, baronowie, rycerze, giermkowie! Niech każdy z was podniesie do nieba prawicę i zanim cokolwiek uczyni, przyrzeknie i przysięgnie na wiarę, na swoją cześć i honor, że podczas turnieju nie uderzy drugiego świadomie ostrzem poniżej pasa, nie popchnie, ani nie pociągnie nikogo, chyba że będzie do tego zmuszony. Ponadto jeśli spadnie komu hełm z głowy, nikt go nie dotknie, zanim ten nie zostanie z powrotem nałożony i zapięty. Jeżeli świadomie to który uczyni, straci oręż i rumaka i nie będzie dopuszczony do następnego turnieju. To będzie odczytane i ogłoszone w całości wszem i wobec, a panowie sędziowie rozkażą, by winni zostali ukarani. To przyrzekacie i przysięgacie na wiarę, cześć i honor...

— Tak, tak! — zagrział tłum przystępujących do turnieju.

Stojący na wysokich drabinach czterej sędziowie dali znak głową. Na rozkaz najstarszego z nich król oręza krzyknął trzykrotnie:

— Przetnijcie sznury i rozpoczynajcie walkę, kiedy chcecie.

Posługujący rycerzom giermkowie wznosili okrzyki, zagrzewając do walki swych panów.

Pierwsze starcie było gwałtowne, rozległ się ogłuszający zgiełk. Nad placem unosił się silny zapach tratowanej trawy i ziemi, końskich odchodów, potu ludzi i zwierząt. Bardzo szybko dał się poczuć mdławy i słodkawy zapach krwi ciekącej z lekkich, lecz licznych ran. W tłumie trudno było dostrzec, kto wygrywa. Wkrótce zapanowało zupełne zamieszanie i zaczęto wycofywać coraz liczniejszych rannych.

Uwagę dam, sędziów i publiczności szybko przyciągnął jakiś rycerz ubrany w zwykłą koleczugę, zasiadający na nerwowym koniu o skromnej uprzęży. Był to zwinny jeździec i odważny rycerz. W niedługim czasie pozostało tylko sześciu walczących, a wśród nich znajdował się ów rycerz, któremu widzowie bili brawo.

— Kim jest ten rycerz? — zapytała Anna.

— Nikt go nie zna, królowo — odpowiedziała hrabina Valois. — Podobno Oliwier z Arles jest jego giermkim.

— To pewnie ktoś, kto dzieli upodobania ulubionego trubadura naszego króla — roześmiała się hrabina Snes.

— To tłumaczy, dlaczego nie nosi barw żadnej z nas — skomentowała hrabina Chartres.

— Dosiada konia jak nikt inny, Jest giętki, zwinny... Patrzcie, jak ześlizguje się z siodła... Można by pomyśleć, że to ktoś z mojego kraju — powiedziała Anna do Matyldy, przyciskając dłoń do piersi.

W szrankach zostało jeszcze czterech rycerzy. Królowa dała znak królowi oręża, który zbliżył się niezwłocznie.

— Idź i powiedz temu kawalerowi, że będę szczęśliwa, jeśli zechce walczyć pod barwami mojej mlecznej siostry, panny Ireny.

— Królowo, to zbyt wielki zaszczyt dla niego. Tu nikt go nie zna, nie jest naszym rycerzem. Nikt nie wie, jak się nazywa. Gdyby nie poparcie pana Chauny, sędziowie odrzuciliby go.

— Wystarczy mi, że pan Chauny go szanuje. Idź, przekaż mu moją propozycję.

Król oręża uklonił się i skierował do bezimiennego rycerza.

— Królowa, która jest gościem naszego księcia, prosi, abyś nosił barwy jej mlecznej siostry, panny Ireny. Czy się zgadzasz?

— Powiedz królowej, że z pomocą Pana naszego okażę się godny tego zaszczytu.

Król oręża przekazał te słowa królowej, a następnie przywołał nieznajomego, który odpiął miecz od siodła i chwytając za klingę pochylił go przed Ireną.

— Cóż za gbur, nawet nie zdejmie hełmu — szepnęła Matylda do matki.

— Moja córko, może on nie zna zwyczajów panujących na naszych turniejach. W innych krajach może być inaczej. U nas także, choć rzadko, zdarza się, że rycerze zachowują bezimiennność na turniejach.

Irena zarumieniła się i przywiązała kawałek welonu do rękojeści miecza.

— Powierzam ci moje barwy, abyś od tej chwili był ich obrońcą.

Nieznajomy uklonił się bez słowa, złożył długi pocałunek na mieczu i podniósł go wysoko z okrzykiem, który omal co nie przyprawił królowej o utratę przytomności. Tylko Matylda zauważyła jej nagłą błądź.

— Co ci jest, moja droga, jesteś cierpiąca?

— Nie, ale wydawało mi się, że słyszę głos Większy — wyszeptała.

Matylda bacznie na nią spojrzała, ale Anna westchnęła i wyprostowała się.

Barwy Ireny czyniły cuda. Ich obrońca szybko uporał się z pierwszym przeciwnikiem i nie dał żadnych szans następnemu.

Trębacze zasygnalizowali koniec spotkania. Zwycięzca skłonił się przed damami. Stał nieruchomy z opuszczoną przyłbicą i upajał się widokiem kobiety, którą kochał. Zaintrygowane bezruchem i milczeniem jeźdźca damy spoglądały na siebie i zaczęły szeptać. Oliwier z Arles przyszedł przyjacielowi z pomocą. Popchnął go w stronę sędziów, którym Filip uklonił się, a potem szybko uciekł wśród oklasków i krzyków tłumu. Na trybunach roznoszono napoje chłodzące.

Trębacze znów zagrali, zapowiadając walkę księcia Normandii z hrabią Valois. Przeciwnicy nadjechali na koniach we wspaniałych uprzężach, przed nimi maszerowali ze sztandarami w rękach paziowie, giermkowie, służący. Okrążyli plac wśród okrzyków i uklonili się kolejno przed damami. Wreszcie zajęli miejsca po przeciwnych stronach sznura przeciągniętego przez plac.

Po przywitaniu włożyli szyszaki na głowy. Wkoło zapadła głęboka cisza. Na znak dany przez króla oręża ruszyli na siebie z wyciągniętymi kopiami, osłaniając się tarczami, które zwisały im z szyi i które przytrzymywali ręką. Starcie było niezwykle gwałtowne. Obie kopie złamały się i poszybowały w powietrze. Anna odruchowo zamknęła oczy, po czym otworzyła je ponownie. Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała, że Wilhelm siedzi mocno na swym koniu i chwytą następną kopię, którą podaje mu giermek. Raul z Cr~epy też trzymał się na koniu i również wziął nową włócznię, gotując się do kolejnego ataku. Rycerze sprawdzili, czy ich kopie są dostatecznie giętkie, i zajęli pozycje.

Anna pogładziła delikatnie dłoń Matyldy, która nie spuszczała oczu ze swego młodego małżonka.

Gdy dano sygnał, walka rozgorzała na nowo. Oba konie mocno dźgane przez rycerzy stanęły dęba i jednym susem skoczyły ku sobie, waląc kopytami, hucząc żelastwem i unosząc w powietrze kępy trawy dolatującej aż do tłumu. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, jeźdźcy stali naprzeciw siebie, unosząc się w strzemionach. Potem wszystko nastąpiło bardzo szybko. Raul z Cr~epy runął na ziemię. Wilhelm, uderzony w pierś kopią swego przeciwnika, też upadł. Tłum zawrzał, ale książe stał już z mieczem w ręce. Hrabia był przez dłuższą chwilę oszołomiony i nie mógł dojść do siebie. Z wściekłością zerwał szyszak z głowy i odrzucił go daleko. Teraz rozległy się jednocześnie okrzyki podziwu i potępienia. Rycerz w złowróznej czerni nie znalazł sympatii wśród widzów. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że zawsze szukał okazji do zaczepki. Nienawidzili go za okrucieństwo, za pogardę, z jaką odnosił się do swych wrogów, a czasem nawet i przyjaciół, za brak szacunku dla Boga i ludzi. Podziwiano go jednak za odwagę i wspaniałomyślność. Potrafił zauroczyć swym lodowatym niebieskim spojrzeniem i urodą. Długie rzęsy, ciemna broda i włosy i gęste brwi podkreślały bladość jego twarzy.

Wilhelm też zerwał szyszak z głowy, którą teraz przykrywał tylko kaptur kolczugi. Siedząca na trybunie Matylda ścisnęła mocno rękę Anny. Słychać było szcęk żelaza i stękania walczących.

Mimo zręczności hrabia Valois nie miał ani zapału, ani młodości swego przeciwnika. Każdy cios księcia sięgał celu i ranił go. Wilhelm miał siłę młodego byka i atakował, nie dbając o obronę. Pragnął jedynie zwyciężyć w obecności swych dam. Raul z Cr~epy, wbrew regulaminowi, uderzył poniżej pasa, lecz

Wilhelm odparował cios. Spotęowało to jego zaciekłość. Zadał cios brzegiem miecza i oręż hrabiego poszybował w powietrze. Valois, jak przystało na wielkiego zapaśnika, podał rękę zwycięzcy i ukłonił się damom i sędziom. W tej chwili zatrabiono w rogi, po czym heroldowie zaanonsowali:

— Chorążowie, przerwijcie szranki i wracajcie do swych kwater! A wy, panowie, książęta, baronowie, rycerze, giermkowie, którzyście w tym miejscu walczyli w obecności dam i spełnili swój obowiązek, również możecie odejść i przerwać szranki, gdyż nagroda została przyznana i będzie dzisiaj wręczona temu, kto na nią zasłużył.

Trąby znowu zagrały na znak wymarszu, szranki zostały przerwane i zapaśnicy odeszli wesołym tłumem.

Wieczorem, po wystawnej uczcie, wydanej przez księcia na cześć gości i uczestników turnieju, w głównej sali zamku w F~ecamp sędziowie i król oręża zapowiedzieli rozdanie nagród. Dworzanin w towarzystwie króla oręża złożył ukłon przed królową Francji, co znaczyło, że została wybrana, by dopełnić tej ceremonii. Anna, za którą stały dwie panny, trzymała nagrodę przykrytą cienką, długą materią i szła za rycerzem niosącym kawałek kopii. W towarzystwie sędziów i heroldów obesza trzykrotnie salę i zatrzymała się przed zwycięzcą.

— Chauny! A więc to byłeś ty! — wykrzyknęła.

— Wybacz, królowo — odpowiedział, przyklękając na ziemi — nie ja wygrałem, lecz jeden z moich ludzi, który zbyt wstydzi się swego szpetnego oblicza i tego, że nie jest rycerzem. Nie jest godzien, byś ty i to szlachetne zgromadzenie świętowało jego zwycięstwo. Dlatego więc za radą hrabiny Flandrii i sędziów stawilem się, by odebrać w jego imieniu nagrodę, jeśli uznasz, że jestem tego godzien.

— Panowie, nie znam dobrze reguł waszych turniejów, ale przychyliam się do propozycji hrabiny i sędziów. Jeśli jednak chcecie znać moje zdanie, to myślę, że nawet na najbrzydszą twarz należy spoglądać z szacunkiem dla Stwórcy, jeśli jest jego dziełem. Jeśli ta brzydota jest dziełem ręki ludzkiej, trzeba na nią spojrzeć ze współczuciem i przerażeniem. Jeśli ta brzydota jest rezultatem walki za jego księcia, należy gratulować mu odwagi. Często widziałam takich bohaterów w moim kraju. Są czczeni przez wszystkich, a przede wszystkim przez mego ojca, wielkiego kniazia kijowskiego. Co zaś się tyczy tego, że zwycięzca turnieju nie jest rycerzem, to wydaje mi się, że zasłużył, by nim zostać. Co wy na to?

— Odpowiadam za niego jak za siebie i jestem gotów zostać jego ojcem chrzestnym.

Zbliżył się król oręża.

— Oto szlachetna pani Anna, królowa Francji. Razem z rycerzem dworu i

wielmożnymi panami sędziami wręczy ci ona nagrodę turnieju, przyznaną za najlepsze władanie mieczem i największą waleczność, które przyniosły ci pierwsze miejsce w dzisiejszym turnieju. Królowa prosi, byś zechciał ją przyjąć.

Anna odkryła nagrodę i wręczyła ją Gosselinowi. Ten wstał i zgodnie ze zwyczajem ucałował królową i obie panny. Gdy król oręża odprowadził je na miejsce, rozpoczęły się tańce.

Filip i Oliwier z Arles wyciągnęli się na trawie i spoglądali na gwiazdziste niebo. Kołysała ich muzyka docierająca z głównej sali zamku. Nie odzywali się do siebie, ale wiedzieli, że obaj myślą o królowej. Każdy z nich nosił w sercu pamięć o niej, znał jej słowa i gesty, adresowane do niego. Filip widział, jak biegnie do niego z rozwianym włosom i naręczem kwiatów i woła:

— Większa, mój piękny Większa!

Oliwier przypominał sobie linię jej karku, zwinność palców uderzających o struny harfy, którą odkładała z westchnieniem na poduszki, tak że ścisnęło mu się serce:

— Mój mały Oliwierze, nigdy nie nauczę się dobrze grać na tym instrumencie. Wolę moje stare gęśle.

Mężczyźni jednocześnie westchnęli i odwrócili się do siebie plecami, by ukryć w ciemności wzwód spowodowany tymi marzeniami. Obaj wydawali się zmieszani, lecz roześmiali się z tego wspólnego wzdychania.

— Wstawaj, przyjacielu, niektóre marzenia mają fatalne skutki. Znam pewne miejsce za murami, gdzie piękne i poczciwe dziewczki nie skąpią tyłka ani pieśczoł. W tym dniu chwały mamy prawo do rozrywki.

— Jak zawsze masz rację. Pójdź pierwszy, wybierz mi słodką i miłą dziewczynę i przyprowadź ją. Po ciemku będzie mnie kochać bez wstrętu.

Oliwier nie próbował nawet przekonywać go, że to, co tracił na urodzie, zyskiwał na pięknie duszy. Wiedział, że publiczne dziewczki rzadko spoglądają tak głęboko.

Wzięli się pod rękę i powoli, gdyż Filip wciąż utykał, zeszli po kamiennej drodze wiodącej wzdłuż murów.

Rozdział XX

Irena

W ciągu 1053 roku stosunki między królem Francji a jego wasalem, księciem Normandii, ulegały stopniowemu pogorszeniu. Anna i Matylda ze smutkiem i trwogą obserwowały osłabianie się więzów łączących oba kraje. Henryk patrzył z lękiem, jak młody i porywczy sąsiad wzmacnia swą władzę poprzez nowe zwycięstwa. Ciągłe bunty, wzniecane przez potomków Ryszarda II, wuja Wilhelma, których król czasem wspomagał wysyłając ludzi i żywność, wcale mu w tym nie przeszkadzały.

Ekskomunika, jaką papież Leon IX obłożył Wilhelma pod presją arcybiskupa Rouen Maugera za niezastosowanie się do zakazu małżeństwa zaostrzyła tylko sytuację. Książę, co dnia uczestniczący w mszy świętej, był bardzo dotknięty potępieniem, ale nie zgodził się na separację z Matyldą. Ta właśnie powiła drugiego syna. Lanfranc, przeor opactwa Bec, ochrzcił niemowlę i natychmiast po ceremonii udał się do Rzymu, by wstawić się za księżącą parą.

Anna znowu była w ciąży i z niecierpliwością czekała na rozwiązanie. Medycy i położne zalecali jej największy spokój. Skończyły się więc konne przejażdżki w lasach Dreux czy Senlis, skończyły się ucztę na zamkach w Etampes, Paryżu czy Melun, skończyło ślizganie na zamarzniętych stawach! Zostały jedynie zajęcia dobre dla starszych kobiet przesiadujących w komnatach niewiast. Czas płynął wolno na słuchaniu paplaniny hrabin, nianiek, hafciarek. Gdyby przynajmniej mogła tu być Matylda, ale na przeszkodzie stanęła wojna między oboma krajami.

Nawet Oliwier z Arles i jego pieśni nie były w stanie rozweselić królowej. Zazdrosny Henryk często zabraniał trubadurowi śpiewać królowej nowe pieśni czy recytować nowe wiersze. Helena, choć zajęta wychowywaniem Filipa, wciąż tęskniła za ojczyzną i nie mogła nauczyć się języka francuskiego. Cierpiała z powodu zachowania Ireny, które starała się ukryć przed królową. Dziewczyna bez powodu zerwała swe zaręczyny, grożąc, że ucieknie do klasztoru, jeśli będzie zmuszona do poślubienia Klemensa z Tussac. Jej miłość do Raula z Cr~epy wciąż rosła. Gdy przebywała u boku swej mlecznej siostry wpadała w nastrój tak posepny, że Anna w końcu to zauważyła i poczuła się dotknięta.

— Rozumiem, że przebywanie w zamknięciu nie jest dla ciebie przyjemne, ale ze względu na mnie mogłabyś pokazywać minę mniej smutną!

Irena nie odpowiedziała i pochyliła się nad robótką z jeszcze bardziej ponurą twarzą. Ach, te zimowe dni bez końca, spędzane w wilgotnych i ciemnych zamkach!

W styczniu 1054 roku królowa powiła syna. Dano mu na imię Robert na pamiątkę jego dziada. W przeddzień wyprawy na wojnę na czele jednej z dwu armii francuskich — drugą dowodził jego brat Odon, z którym z tej okazji pojednał się — król Henryk przybył złożyć uszanowanie królowej i ofiarował jej w prezencie złoty łańcuch.

— Pani, dziękuję ci za drugiego syna. Jestem z ciebie zadowolony. Proszę, módl się za powodzenie wojny w obronie królestwa, które otrzymałem po moich ojcach i które chcę przekazać, z pomocą łaski Bożej, naszemu synowi Filipowi, powiększone o ziemie niesłusznie zagarnięte przez Bastarda Normandzkiego.

— Ależ, panie...

— Proszę cię usilnie, pani, abyś zerwała kontakty z nim i z moją siostrzenicą Matyldą. Pozostajemy w stanie wojny, a ty jesteś królową Francji. Jeśli z woli Boga przytrafi mi się jakieś nieszczęście, pamiętaj o tym!

Po połogu Anna udała się z Paryża do Senlis ku wielkiej radości Ireny, która w ten sposób zbliżała się do posiadłości hrabiego Valois.

Przed wyruszeniem na wojnę Raul z Cr~epy chciał ujrzeć królową. Anna uległa namowom Ireny i zgodziła się. Była jeszcze cierpiąca, więc leżała na wysokim łożu z podniesionymi zasłonami przy kominku w głównej sali zamku. Hrabia wydał się jeszcze wyższy i ciemniejszy niż zwykle. Gdy tylko się pojawił, serce jej biło mocniej, ręce stawały się wilgotne, czuła jakieś niebezpieczeństwo. Nigdy nie odczuwała tak wielkiego wstrętu do kogoś, kto czynił wszystko, by się jej przypodobać, kto, zawsze gdy przybywała do Senlis, posyłał jej najwspanialsze trofea z polowań i łowów. Ale żaden podarek, nawet sokół myśliwski, którego trzymał pewnego dnia na ręce i którego jej podarował z wielką kurtuazją, nie przewyciężył jej uprzedzenia.

— Królowo, nie chcę jechać na wojnę, zanim cię nie ujrzę. Przybywam prosić cię o modlitwę i zapewnić, że nie ma wasala bardziej oddanego i bardziej cię szanującego ode mnie. Tylko od ciebie zależy, żebym takim pozostał na zawsze.

— Co chcesz przez to powiedzieć, hrabio? Nie rozumiem cię. Mówisz, że jesteś oddany sprawie króla, gdyż to króla jesteś wasalem, a wyczuwam w twych słowach jakąś groźbę...

Raul z Cr~epy zrozumiał, że posunął się za daleko.

— Nie ma żadnej groźby w mych słowach, królowo, tylko wyrażenie, być może zbyt przesadne, pełnej szacunku przyjaźni do ciebie.

— To prawda, że przesadne, hrabio. W rzeczy samej będę szczęśliwa, jeśli spełnisz swój obowiązek i będziesz bronił króla.

— Na mą miłość do ciebie i do króla nie będzie inaczej, daję ci moje słowo.

— Dzięki, panie Cr~epy. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Anna uśmiechnęła się mówiąc te słowa. Było to czymś tak wyjątkowym, że Raul rzucił się na kolana, chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

Jego gest wydał się królowej obraźliwy. Zesztywniała i wyrwała gwałtownie dłoń, zbyt wzburzona, by coś powiedzieć. Hrabia opacznie zrozumiał jej milczenie i bladość. Wstał zadowolony, uklonił się i wyszedł.

Irena pilnie obserwowała tę scenę. Mężczyzna, dla którego poświęciła swój honor, kochał inną! Długo nie dopuszczała myśli, że chodzi o królową, a teraz musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Zwłaszcza gdy usłyszała słowa hrabiego, przechodzącego obok niej:

— Będę ją miał, na Boga, będę!

Przeżegnała się, słysząc to bluźnierstwo. Chciała zabić wzrokiem kobietę, która, odkąd pamiętała, miała wszystko. Anna zauważyła wyraz jej oczu, ale nie chciała wierzyć, że to chodzi o nią. W tym momencie przypomniała sobie rumieńce Ireny, gdy tylko znajdowała się w pobliżu hrabiego, jej kokieteryjne miny, gdy zwracał się do niej, jej pośpiech, gdy podnosiła jego rękawiczki, muśnięcia, gdy tylko nadarzała się okazja, a przede wszystkim uporczywe odrzucanie małżonka, którego przedtem powitała z radością. Matko Boska, spraw, abym się myliła! Moja mała Irena kocha tego człowieka! W odruchu litości i czułości przemówiła do przyjaciółki w ich ojczystym języku:

— Podejdz do mnie... Jesteś taka dziwna od pewnego czasu. Mam wrażenie, że mnie unikasz, że nie mam już siostry... Czy zapomniałaś o naszych zabawach, o naszych radościach? Nie jesteś szczęśliwa przy mnie? Czy nie masz tego, czego zapragniesz? Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz pana z Tussac, ale mogę ci znaleźć innego męża... Nic nie mówisz? Kochasz kogoś innego potajemnie? Zaklinam cię, powiedz mi... Wiesz, że mocno cię kocham, zrobię wszystko, by ci pomóc...

Niestety, te słowa nie mogły już wzruszyć Ireny. Przychodziły za późno. Do tej, która nazywała się jej siostrą, dziewczyna odczuwała coraz większą wrogość. Ale teraz udała, że ją kocha, i rzuciła się w jej ramiona.

— Nie pragnę niczego, gdy jestem blisko ciebie. Nie chcę męża, by nie oddalać się od ciebie, twoich dzieci i naszej matki.

— Mówisz prawdę? Jakże jestem szczęśliwa! Widzisz, bałam się, że uwiedzie cię ktoś taki jak hrabia Valois, którego nienawidzę!

Irena przygryzła wargi do krwi, by nie wykrzyknąć swej miłości do niego. Anna poczuła, że Irena nagle zeszywniała, lecz dalej mówiła:

— Teraz wiem, że się myliłam. Wybacz mi, siostrzyczko, na pamięć o naszej pięknej ojczyźnie. Chodź, pójdziemy się pomodlić do Madonny Nowogrodzkiej.

Choć służące nalegały, by nie opuszczała łoża, Anna wstała i przeszła z Ireną za zasłony, gdzie kazała urządzić małą kapliczkę. Królowała tam postać Madonny ofiarowana jej niegdyś przez rzeźbiarza Swejnalda. Zawsze zabierała ją w podróż. Uklękała i modliła się gorąco. Irena spoglądała na oświetloną palącą się dzień i noc lampką królową, zazdroszcząc jej urody. Czuła, jak nienawiść ogarnia jej duszę.

Rozdział XXI

Bitwa pod Mortemer

Raul z Cr~epy oraz Guy z Ponthieu udali się do królewskiego brata Odon, który przebywał pod Pontoise. W tym czasie Henryk w towarzystwie Gotfryda Martela dotarł do armii andegaweńskiej zgrupowanej pod zamkiem w Tili~eres.

Gosselin z Chauny przybył tam przed królem, by czuwać nad zakwaterowaniem oddziałów i zapewnieniem porządku od kuchni po stajnie. Filipowi nakazał sprawdzić, czy w okolicy nie kręci się jakiś szpieg księcia. Wszędzie panował splukany strugami deszczu spokój. Rzeki wystąpiły z brzegów, a zalane pola błyszczały w świetle księżyca. Za dnia, w tym potopie bez końca, trudno było spotkać choć jedną żywą duszę. Zziębnięci chłopcy siedzieli w swych wilgotnych i zadymionych chatach, przerażeni widokiem tej rzeszy ludzi pod bronią, która prędzej czy później zwróci się przeciwko nim. W przerwie między ulewami biegli więc do świątyń, by błagać Boga o opiekę.

Gdy przybył król, przestało padać, ale zapanowało przenikliwe zimno, którego nawet blade słońce nie zdołało pokonać. Przy świetle ognisk rozpalonych na dziedzińcu zamku Henryk powitał dowódców armii i zapewnił, że ani ludziom, ani zwierzętom nie będzie na niczym zbywało.

— Dzielni żołnierze, liczę na was. Z pomocą bożą uda się nam zwyciężyć Bastarda Normandzkiego i oddać memu umiłowanemu bratu Odonowi księstwo, które przyłączone do Francji powiększy dostatek królestwa.

Ta uroczysta mowa została owacyjnie przyjęta. Po niej nastąpiły libacje. Pomimo sprzeciwu pana z Chauny przywieziono na wozach niezliczone beczki z winem, co miało dodać ducha żołnierzom. Na razie oddziały bawiły się doskonale, ale gdyby, nie daj Boże, jakiś niespodziewany atak nieprzyjaciela... Król, który lubił wesołość, choćby nawet była udawana, nie podzielał tych obaw. Ofuknął więc Gosselina:

— Starzejesz się, mój dobry Chauny. Wydaje mi się, że słyszę mojego kapelana, który zawsze prawi mi morały. Ludzie muszą się zabawić, a wino nie umniejsza ich waleczności. Wręcz przeciwnie.

— W czasie wojny książę Wilhelm zabrania swym ludziom wszelkich mocnych trunków.

— Dosyć! Książę Wilhelm robi to, co mu się podoba. Jeśli zechce dowodzić armią zakonników, to proszę bardzo!

— Ale ci zakonnicy, panie, są niebezpiecznymi wojownikami, dobrze wyszkolonymi i uzbrojonymi...

— Ale są o wiele mniej liczni od naszych wojsk. To prawda, że są waleczni, sam mogłem się o tym przekonać pod Val_l~es_Dunes, gdy byliśmy jeszcze sojusznikami. Zapewniam cię, Gosselinie, weźmiemy ich liczebnością.

— Niech niebo cię wysłucha — mruknął pod nosem Chauny, oddalając się.

To prawda, że czuł się stary. Miał pięćdziesiąt lat i był zmęczony wojowaniem. Pragnął odpoczynku, choć wiedział, że przyjemności płynące z polowania nie zastąpią mu wojaczki. Był dobrym rycerzem, powinien więc sposobić się do śmierci, powoli przekazywać swe dobra synom, nie zapominając o Pokiereszowanym, którego również uważał za własne dziecko.

Poczuł się zmęczony i poszedł odpocząć. Deszcz znów zaczął padać.

Przyjaźń między Oliwierem z Arles i Pokiereszowanym, jak wszyscy nazywali teraz Filipa, była coraz silniejsza. Filip dobrze poznał trubadura i lepiej rozumiał jego zachowanie, odkąd dowiedział się, jakie było jego dzieciństwo. Na początku Gosselin z Chauny krzywo patrzył na ten związek, obawiając się, że jego protegowany da się wciągnąć w rozpustę sprzeczną z naturą. Jednak bardzo szybko się uspokoił: to Filip kierował Oliwierem, był dla niego kimś w rodzaju starszego brata. Przyjaciele spotykali się tak często, jak na to pozwalała im służba. Pod koniec zimy 1054 roku podążali za armią królewską dowodzoną przez samego Henryka pragnącego zawładnąć Normandią. Leżeli pod tym samym przykryciem z wilczej skóry, ciężkiej od wciąż padającego deszczu, i rozmawiali.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, czego ode mnie chciałeś tego burzliwego dnia, kiedyśmy się poznali. Przypomnij sobie, szukałeś mnie... Wydawało mi się, że chodziło o królową... Czy się mylę? Mógłbyś mi odpowiedzieć! Czyż nie powiedziałem wszystkiego o sobie, nawet tego, z czego nie mogę być dumny? Widzę, że mi nie ufasz... Twoja przyjaźń nie jest tak silna jak moja.

— Oliwierze, miły Oliwierze, czuję do ciebie największą przyjaźń, wiesz przecież o tym... Ale minęło już tyle czasu... Już nie chcę wiedzieć tego, o co miałem cię wtedy zapytać... Nie mam już nic do powiedzenia. Co zaś się tyczy mojej przeszłości, to lepiej, żebyś nic nie wiedział. To nie dlatego, że cię nie kocham, ale dlatego, że nie chcę już o tym myśleć.

— Wybacz. Jestem niemądry. Powodowany niezdrową ciekawością chcę

rozdrapywać twoje rany. Nie traktuj tego jako coś niestosownego, ale jako dowód mej miłości i chęć przyjścia ci z pomocą.

— Oliwierze, dzięki miłości twojej i pana Chauny życie nie jest dla mnie już takie gorzkie. Czasem zdarza się, że zapominam o mojej strasznej twarzy i chromej nodze.

— Oby to była prawda! Gdy na ciebie patrzę, widzę tylko twą duszę.

— Damom piękna dusza nie zastąpi nigdy pięknego oblicza. Widzę, jak bardzo się mnie boją, jak się mnie brzydzą.

— Nie wszystkie! Zapomniałeś o miłej karczmareczce znad Sekwany? Zauważyłem już przedtem, że cię kocha, choć dawniej byłeś bardziej pocięty niż teraz. To lek królowej dobrze ci zrobił.

Na szczęście było ciemno i Oliwier nie zauważył rumieńca, zalewającego czoło Filipa. Znał on dobrze maść sporządzoną w Kijowie przez greckich medyków według przepisu, który kniaziówna otrzymała od pewnej znachorki z Nowogrodu. Maść koła oparzenia i pomagała w zabliznianiu ran. Na prośbę trubadura Anna sporządziła listę potrzebnych ziół oraz wydała wyrok na młode gąski, których tłuszcz był niezbędny do przygotowania leku. Potem wręczyła mu mieszankę, zastanawiając się, od kogo Oliwier słyszał o jej wiedzy medycznej. Znały ją tylko Helena i Irena...

Oliwier nie nalegał. Filip pomyślał, że jego przyjaciel zasnął. Ogarnęły go słodkie marzenia o Niej. Marzył bez smutku, ale z melancholią. Czując, że sen nadchodzi, bezwiednie rzekł głośno:

— Anno...

Leżący obok niego Oliwier poruszył się. Filip poczuł jego oddech tuż przy swym uchu.

— Tylko tobie mogę się zwierzyć. Tak jak ty kocham ją potajemnie i jestem gotów umrzeć dla niej... Nie obawiaj się i nie mów nic... Jak ty kocham ją beznadziejnie. Dla niej jestem tylko grajkiem, który sypia z jej mężem. Wiem od jej dworek, że nie traktuje mnie poważnie...

— Milcz!

— Nie, pozwól mi mówić... Ty możesz mnie zrozumieć, bo ją kochasz i znasz dłużej niż ja...

— Co ty mówisz?

— Nie złość się. Byłeś wszak w eskorcie, z którą przyjechała do Francji. Znasz ją więc dłużej, prawda?

— Tak, ale nigdy się do niej nie zbliżyłem. A z tobą ona często gra.

— Tak, to prawda, jest muzyka, są pieśni, które komponujemy, ona o swej ojczyźnie, a ja... o niej.

Filip podniósł się na posłaniu.

— Znasz jej pieśni? Mógłbyś mi je pokazać?

— Przepisałem tylko jedną przed wyjazdem.

— Pokaż mi ją.

— Pokażę jutro, za dnia.

— Nie, teraz!

Oliwier pogrzebał w torbie leżącej pod głową i wyciągnął zwój. Filip wyrwał mu go z rąk. Przycisnął do piersi tę cenną pieśń i poczołgał się do ogniska, którego zamierające płomienie rzucały ostatnie blaski. Przysłonił pergamin opończą, rozwiązał przytrzymującą go wstążkę i przeczytał po cichu, sylabizując przy słabym, drgającym świetle:

„Błogosławiona bądź Maryjo!

Twój wizerunek podąży za mną od pięknego Nowogrodu,

dzięki Twemu wstawiennictwu narodził mi się piękny syn,

wypełniając szczęściem me smutne serce.

Niech Twój Syn da mojemu długie i pobożne życie,

by mógł śpiewać na Twą chwałę i Twego Owocu.

Nazwałam go Filip, imieniem bliskim memu sercu.”

Oczy Filipa zalały się łzami i nie mógł już dalej czytać, cała jego dusza wypełniona była szczęściem. Nie zapomniała o mnie, myślał, nie zapomniała... Nieważne, że stał się podobny do potwora, że uciekł z Rusi. Oddychali tym samym powietrzem i nie zapomniała o nim!

Uspokoił się, wstał, oddał zwój pergaminu Oliwierowi i natychmiast usnął.

Nazajutrz rano deszcz przestał padać.

Armia królewska wkroczyła do hrabstwa Evreux. Paliła i grabiła po drodze, nie napotykając najmniejszego oporu, a następnie skierowała się do Mantes, gdzie stały już posiłki przybyłe z Paryża. Henryk postanowił czekać na wieści od młodszego brata przed ruszeniem na Rouen.

Odon wraz z hrabią Valois i Clermont skoncentrował swe wojska w hrabstwie Beauvais, po czym przekroczył rzekę La Bresle pod miejscowością Aumale, którą splądrowali jego żołnierze. Był w Normandii. Tu, tak jak przed armią królewską, nieprzyjaciel uciekał, a żołnierze spotykali na swej drodze tylko nędznych nieboraków starających się uciec przed Francuzami. Niedobitki patrzyły bezsilnie

na masakry, podpalanie wiosek, okradanie domostw, płądrowanie zamków bronionych przez zbyt słabe oddziały. Raul z Cr~epy dziwił się, że zwycięstwo przyszło im tak łatwo. Podzielił się swym niepokojem z Odonem i Guy z Ponthieu.

— Szlachetni panowie, jestem wielce zmartwiony. Od początku kampanii mamy do czynienia jedynie z wieśniakami, niewiastami i dziećmi. Żadnego wojska. Znam księcia Wilhelma i byłbym zdziwiony, gdyby nie krył się za tym jakiś podstęp i gdyby nie zaatakował nas w najmniej spodziewanej chwili.

— Mylisz się, Raulu. Bastard wie, że nasze siły są liczniejsze, i boi się zmierzyć z nami — pogardliwie roześmiał się Odon.

— Jestem tego samego zdania, panie. Nasze wojska zrobiły wrażenie na armii normandzkiej.

— Niech wysłucha cię niebo lub raczej diabeł, panie z Ponthieu, gdyż widziałem Normandczyków w bitwie i mogę zaświadczyć, że są to groźni wojownicy. Czy mamy wieści od króla?

— Zaraz otrzymasz odpowiedź na twoje pytanie. Oto jeden z jego zwiadowców. Zbliź się i mów. Czy widziałeś mojego brata króla? Jakie pozycje zajmuje? Czy spotkałeś oddziały wroga? Gdzie? Ilu ludzi, ilu jeźdźców?

— Panie — przerwał hrabia Valois — pozwól mu mówić.

— Mów, na co czekasz?

Zwiadowca, cały zachlapany błotem, ciężko oddychał.

— Król jest pod Mantes. Idzie na Rouen wzdłuż Sekwany. Prosi, aby obie armie połączyły się na moście w Arche za trzy dni.

— Czy walki były ciężkie?

— Do tej pory nie było żadnej prawdziwej walki.

— Coraz mniej mi się to podoba! Napadamy na kraj, zabijamy, grabimy, a poza wieśniakami nie widzimy żadnych żołnierzy. Czy król też niepokoi się tą sytuacją?

— Nie wydaje mi się, panie.

Raul z Cr~epy podniósł ręce do nieba.

— Pozostaje nam tylko czekać, aż ksiączę zechce walczyć, bo wydaje mi się, że jest jedynym panem w tej grze, i nie martwić się bardziej, niż raczy to czynić król.

W Drincourt hrabia okazał się godny swej reputacji. Złapał w kościele młodą dziewczkę, która usiłowała zbiec, zgwałcił ją u stóp krzyża, a następnie oddał swym żołnierzom. Francuzi podpalili miasteczko, po czym opuścili je unosząc ze sobą wielkie łupy.

Zatrzymali się na noc w Mortemer nad brzegiem Eaulne. Wioska i usypane z ziemi umocnienia były zupełnie opuszczone.

Rozpalono wielkie ogniska, przy których upieczono barany, prosięta, drób. Odbito też wiele beczek z winem. Nadjechał wóz z dziewczkami i kilkoma ładnymi chłopakami porwanymi ze spalonych wiosek. Część nocy zeszła na pijaństwie i rozpuście, którą nie gardził królewski brat. Z niewolił trzy nieszczęsne dziewczki przytrzymywane przez pijanych żołnierzy. Gdy skończył pan, rzucili się na niego ludzie. Jedna z nich, która jeszcze parę godzin wcześniej była dziewczcą, postradała zmysły, rzuciła się do rzeki Eaulne i utopiła. W końcu wszyscy usnęli ciężkim snem. Jedyne zmaltretowane kobiety nie spały.

Tuż przed świtem Walter Giffard i Wilhelm Crepin, dowodzący armią normandzką, okrążyli Mortemer, dostali się po cichu do miasteczka, zabiwszy strażę, i podpalili je. Francuzi obudzili się błyskawicznie i chwycili za broń. Walczyli zaciekle. Przy pomocy miejscowej ludności, która wyszła z pobliskich lasów, Normandczycy zabijali i zabijali. Przez dziesięć godzin Francuzi walczyli z furją podsycaną rozpaczą. Jednym z najbardziej zaciekłych był Guy z Ponthieu. Chciał pomścić swego brata Enguerranda, śmiertelnie ranionego podczas oblężenia Arques. Pod wieczór większość rycerzy już nie żyła. Odon, brat króla, uciekł z pola walki razem z Raulem z Cr~epy i garstką żołnierzy. Resztę wzięto do niewoli. Jeden z dowódców wojsk normandzkich, hrabia z Eu, rozkazał dobić rannych i pozwolił wieśniakom ograbić trupy pobitych żołnierzy. Prości chłopci łapali po jednym lub po dwa rumaki, zdzierali piękną, nie zniszczoną broń z ciał.

Książę stał na lewym brzegu Sekwany i obserwował ruchy armii dowodzonej przez króla. Z radością przyjął wieść o zwycięstwie. W nocy Wilhelm pchnął do Henryka gońca. Wysłaniec zatrzymał się na małym wzgórzu przed obozem królewskim i zawołał na cały głos:

— Słuchajcie, Francuzi... Przynoszę wam żalobną wieść... Słuchajcie. Nazywam się Raul z Toeni i przynoszę wam ogromny smutek... Wyślijcie do Mortemer wozy, by zabrały trupy bliskich wam osób... Słuchajcie, nie żyją ci, którzy chcieli napaść na Normandię... Przybądźcie zabrać ich ciała...

W obozie zapanował gniew i konsternacja. Rycerze chcieli ruszyć natychmiast, by pomścić braci. Hrabia Andegawenii musiał użyć całego swego autorytetu, by ich powstrzymać.

— Może to jest tylko manewr, abyśmy się rozdzielili. Poczekajmy na powrót naszych wysłanników.

Wrócił tylko jeden goniec. Był ranny.

— Pod Mortemer większość nie żyje. Inni są w niewoli, nieliczni uciekli.

— A mój brat? — spytał król.

— Nie ma go ani wśród zabitych, ani wśród jeńców.

Henryk, przybity, zwiesił głowę.

— Dzięki ci, idź opatrzyć rany i odpocząć.

Wszyscy zamilkli, widząc rozmiary kłęski i pragnąc uszanować ból króla. Pierwszy odezwał się Gotfryd Martel:

— Czy jesteśmy kobietami, by tak się załamywać? Czy pozwolimy, aby Bastard znowu nas pokonał?

— Hrabio Andegawenii, szukanie przygód na normandzkich drogach nie przyniosło nam nigdy nic dobrego. Książę Normandii zna każdą piędź swej ziemi, najmniejszy strumyk, najmniejszą wioskę. Bez wahania zajędzi z tuzin najlepszych rumaków, żeby obronić zagrożoną posiadłość na drugim końcu Normandii. W walce naraża się jak nikt inny, nie ma drugiego takiego dowódcy jak on. Myślę, że gdyby chciał nas zaatakować, mimo naszej waleczności zostalibyśmy pokonani jak wojska pod Mortemer. Proponuję, abyśmy się wycofali — odezwał się Gosselin z Chauny.

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem na tego rycerza, który słynął z odwagi i który był tak drażliwy na punkcie honoru. Henryk podszedł do tego wiernego żołnierza i długo przyglądał mu się z zadumą.

— Gdybyś to nie był ty, kazałbym cię zabić za zdradę. Twe słowa są straszne, lecz, niestety, obawiam się, że masz rację. Tak jak ty dobrze znam Wilhelma. Szanuje mnie jako swego seniora i nie zaatakuję mnie pierwszy. Czeka, aż sam podniosę oręż. Wymknie mi się, zaciągnie w pułapkę, w której zginiemy... Tak, musimy się wycofać i zebrać siły. Naprzód, idźcie zbierać trupy!

Po raz pierwszy Filip brał udział w akcji zbrojnej Francuzów. Myślał, że nadarzy się okazja, by się odznaczyć. Kto wie, może będzie pasowany na rycerza na polu walki? Lecz nagle sny o chwale przysty. Nie rozumiał, dlaczego wojska królewskie nie rzucają się w pościg za Normandczykami. Czy nie mają obowiązku mścić umarłych? Na Rusi zawsze tak postępowano. Zachowanie i słowa Gosselina zdziwiły i rozczarowały Filipa. Jego pan nie mówił nigdy takim językiem. Czy to wiek zgasił jego zapał? Niech będzie przeklęta starość, która walecznego rycerza zmienia w babę. Poprosił, by przydzielono go do oddziału jadącego do Mortemer. Oliwier z Arles zdziwił się:

— Co chcesz tam robić? To nie twoja rola bawić się w grabarza!

— Nie mam takiego zamiaru. Jedź ze mną, to zobaczysz.

— Król mi na to nie pozwoli.

— Szkoda. Miałbyś temat do nowego, długiego wiersza.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy kiedykolwiek prosiłem cię o pomoc przy układaniu wierszy?

Nocą Oliwier dołączył do niego.

— Jeśli zakpięś ze mnie, to cię zabiję — powiedział spokojnie i położył się obok przyjaciela.

Rozdział XXII

Obrońca umarłych

Jak się spodziewano, w Mortemer były jedynie trupy, setki trupów ograbionych z broni, kolczug, a nawet obuwia. Dla przyzwoitości zostawiono im jedynie koszule. Wygląd pola walki świadczył o zaciekłości walki, a zmasakrowane ciała o odwadze Francuzów.

Normandczycy patrzyli z drwiną na żołnierzy zbierających niedobitki wojsk Odon, brata króla Francji.

Bouchard z Montmorency, dowodzący tym smutnym oddziałem, z trudem powstrzymywał łzy wściekłości i wstydu. Ten stary żołnierz, waleczny rycerz, rozpoznawał wśród trupów wielu dzielnych żołnierzy, którzy zginęli za nic, nawet nie dla chwały.

— Któż was pomści, przyjaciele?

— Za pozwoleniem, ja!

Bouchard wytarł łzy ręką i odwrócił się. Zobaczył człowieka, którego jego przyjaciel Gosselin przywiózł z wyprawy po królową. Jak zawsze zdziwił się na widok tej zastygłej twarzy, która nie wyrażała żadnego uczucia. Jedyne w szczerych oczach paliło się życie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Mów!

— Pójdę wyzwąć księcia i stanę się obrońcą umarłych.

Bouchard z Montmorency stał jak osłupiały.

— Obrońcą umarłych! Wyzwać księcia? Oszalałeś! Nie było nigdy czegoś podobnego!

— To nie szkodzi.

— Bredzisz. Taki potężny pan jak księżę nie zniży się do walki z człowiekiem bez znaczenia jak ty.

Filip ze złością chwycił za miecz.

— Uspokój się, nie chciałem cię urazić! Wiem, że Chauny cię lubi. Nie jest to

człowiek, który ufa byle komu. Ale kim ty jesteś, że chcesz zmierzyć się z księciem Normandii? Nie jesteś nawet rycerzem, a two pochodzenie jest niejasne...

— Moje pochodzenie warte jest Wilhelma i pojedynk ze mną nie przyniesie mu ujmy. Powiedz mu, że jestem zwycięzcą turnieju w F~ecamp.

Montmorency wzruszył ramionami.

— Może mówisz prawdę, ale nie mamy na to dowodu.

— Oto dowód! — krzyknął Filip, wyciągając miecz z pochwy i potrząsając nim przed rycerzem.

— Gdybyś domagał się sprawiedliwości ode mnie, to bym walczył z tobą, bo widzę, że jest w tobie prawdziwa szlachetność, ale ja nie jestem księciem!

— On jest księciem, ale przede wszystkim człowiekiem, który miłuje Boga i jego chwałę. Powiadają też, że jest rycerzem szanującym zwyczaję. Tak więc będzie musiał stawić się na moje wyzwanie, gdyż oskarżam go, że podstępem spowodował śmierć naszych żołnierzy. Przysięgam na Przenajświętszą Panię i wszystkich świętych, że będę żądał satysfakcji od Wilhelma Normandzkiego i że będę walczył z nim aż do śmierci!

— Pokieroszowany ma rację. Bastard nie może zignorować wyzwania — wykrzyknął Lancelain z Beauvais, który przysłuchiwał się rozmowie. — Żałuję, że sam nie wpadłem na taki pomysł. Jeśli pozwolisz, będę twoim giermkim.

— Nie! Ja mam do tego prawo! — krzyknął Oliwier z Arles.

— Masz czelność, piękniśiu, odbierać mi to prawo?

— Tak, tym bardziej że zamierzam dać ci nauczkę — odpowiedział kochanek króla z mieczem w ręce.

— Przyjaciele, uspokójcie się. Pan z Beauvais nie chciał cię obrazić, Oliwierze. Słowa bywają szybsze od myśli, prawda, Lancelain? Podajcie sobie dłonie. Idźcie obaj z Pokieroszowanym podtrzymać go w tym wyzwaniu.

Podszedł zakonnik, który przybył wraz z oddziałem francuskim.

— Klękajcie, żołnierze, abym udzielił wam błogosławieństwa.

Trzej młodzieńcy uklękli.

— Synowie moi, niech Bóg ma was w opiece i przyniesie zwycięstwo w słusznej sprawie. Idźcie w pokoju.

Bouchard z Montmorency zażądał widzenia się z dowódcą normandzkim.

— Wybrany przez nas obrońca umarłych chce wyzwąć na pojedynek księcia Wilhelma. Prosimy, abyście go doprowadzili bezpiecznie do księcia, by mógł stanąć w szranki w obronie honoru królestwa Francji zgodnie z przysięgą złożoną przed Matką Boską i wszystkimi świętymi.

— Nie mogę wziąć na siebie obowiązku towarzyszenia waszemu rycerzowi. Wyślę gońca do księcia. Jeśli zgodzi się, to, na krew Chrystusa, sam go poprowadzę — odrzekł Hugon z Gournay.

— Czy długo mamy czekać?

— Jeszcze dziś wieczorem dostaniecie odpowiedź.

— Doskonale, poczekamy do wieczora.

Do wieczora Francuzi ładowali trupy na wozy. Było ich zbyt mało, by pomieścić wszystkich zabitych. Pierwszy konwój ruszył razem z zakonnikiem. Ludność, która przeżyła najazd Francuzów w Mortemer, w Aumale, w Drincourt, zebrała się wzdłuż drogi, śmiała się, klaskała i rzucała obelgi na umarłych.

Pozostałe ciała złożono w dymiących ciągle ruinach kościoła, gdzie staruszek ksiądz odprawił nabożeństwo. Filip modlił się żarliwie wraz z towarzyszami.

Tuż przed zachodem słońca powrócił wysłannik Hugona z Gournay.

— Książę pamięta bardzo dobrze turniej w F~ecamp oraz jego zwycięzcę. W pierwszym odruchu chciał odrzucić wyzwanie człowieka, który nawet nie jest rycerzem. Chciał wyznaczyć kogoś zamiast siebie, lecz po namyśle doszedł do wniosku, że ten, kto chce stać się obrońcą umarłych na wojnie, musi być szlachetny i odważny. Zgadza się więc na walkę pod warunkiem, że odbędzie się ona w Rouen według następujących zasad: pieszko, z włosami obciętymi nad uchem, na kije obciążone skórą i tarcze do parowania ciosów. Czy przyjmujecie nasze warunki?

— W imieniu wszystkich naszych zmarłych, przyjmujemy.

— A więc klękniemy i módlmy się.

Po odmówieniu pacierzy Hugon z Gournay kazał pomimo głębokiej nocy zawiązać oczy Filipowi, Oliwierowi i Lancelainowi. Ruszyli w otoczeniu eskorty.

O świcie zdjęto im opaski. Przed nimi w świetle wschodzącego słońca, u stóp miasta Rouen, przykryta lekką mgłą, rozciągała swą szeroką wstęgę Sekwana. Nad domami unosiły się dymy. Filip stał oślepiiony blaskiem poranka. Ze ściśniętym sercem spoglądał na miasto, które tak przypominało mu Nowogród...

Hugon z Gournay zaprowadził Francuzów do gospody, gdzie przyjęto ich godnie jako gości księcia.

Podano im obfity posiłek, a potem zaprowadzono do łaźni. Parę godzin później Wilhelm przyjął ich w sali na zamku w Rouen w otoczeniu swego dworu, księżnej Matyldy, swego brata biskupa Bayeux, Waltera Giffarda, zwycięzcy spod Mortemer, Wilhelma Crespin, hrabiego Vexin i Roberta z Eu. Hugon z Gournay uklonił się, po czym stanął u boku swego seniora. Zbliżył się Filip.

— Książę, zwą mnie Pokiereszowany. Oskarżam cię o to, że podstępem

spowodowałaś śmierć setek moich towarzyszy broni. Ich krew woła o pomstę. Przysięgałem na Przenajświętszą Panią i wszystkich świętych, że ich pomszczę i będę ich obrońcą. Oto moja rękawica.

Filip rzucił ją pod nogi księcia. Przez dłuższą chwilę Wilhelm stał nieruchomo i patrzył na mężczyznę o straszliwie okaleczonej twarzy, który go wyzywał. Słowa wymawiał z trudem, ale głos jego był stanowczy i dumny. Na znak księcia giermek podniósł rękawicę i podał mu ją.

— Przyjmuję twoje wyzwanie — odrzekł po chwili książę, rzucając swą rękawicę pod nogi Filipa. — Nie jesteś rycerzem, lecz jesteś goziem, by nim zostać. Podobno niewiele o tobie wiadomo oprócz tego, że rycerze traktują cię jak sobie równego. Postąpię jak oni. Będę z tobą walczyć jak prosty człowiek, pieszo i na kije. Jednocześnie przysięgam przed Bogiem i ludźmi, że nie było podstępu ani ze strony mojej, ani moich rycerzy, jedynie zwykła walka. A teraz idź i czas, który ci został, spędź na modlitwie do Najświętszej Marii Panny.

Filipa i jego towarzyszy zaprowadzono do klasztoru, gdzie mieli przebywać aż do dnia walki.

Ten dzień wypadł nazajutrz.

Filip wraz z towarzyszami wstał na długo przed świtem, wziął udział we mszy i przyjął sakramenty. Na godzinę przed południem książę posłał po nich Hugona z Gournay z sześcioma ludźmi. Uzbrojeni, wjechali konno w szranki. Lancelain z Beauvais i Oliwier z Arles pomogli Filipowi zdjąć wojenną zbroję i ścisnęli mu biodra szerokim pasem. Gdy odeszli, książę Normandii pojawił się w całej okazałości. Tak jak Filip zdjął z siebie zbroję. Następnie obaj ukłękli naprzeciwko siebie, podali sobie dłonie i po kolei każdy złożył przysięgę na Krzyż i Ewangelię, że sprawiedliwość leży po jego stronie, że przeciwnik mówi nieprawdę i jest niełojalny. Przysięgli, że nie będą rzucać na siebie ani czarów, ani uroku. Ksiądz pobłogosławił ich. Herold zapowiedział pojedynek, zwracając się w cztery strony świata:

— Słuchajcie! Zabrania się widzom i świadkom walki gestykulować i wznosić okrzyki, które mogłyby dodawać odwagi lub zmieszać przeciwników, pod karą utraty ręki lub nawet życia.

Giermkowie przynieśli tarcze i kije.

— Wybieraj — powiedział Wilhelm.

Filip pochylił się i wybrał na chybił trafił kij i wielką drewnianą tarczę. Król oręza udzielił ostatnich wskazówek i kazał opuścić szranki wszystkim, którzy się jeszcze tam znajdowali. Potem krzyknął trzy razy:

— Puszczajcie!

Nieliczni widzowie ucichli. Księżciu zależało, aby pojedynek nie odbywał się w obecności wielkiego tłumu, zazwyczaj łasego na tego rodzaju widowisko.

Do wieczora walczyli odważnie i bezlitośnie. Zapomnieli, kim są. Obaj chcieli zwyciężyć. Wilhelm pierwszy został ranny, rażony bolesnym ciosem w głowę. Krew zalała mu oczy. Oparł się oburącz na tarczy. Przerwano na chwilę walkę. Giermek wytarł Wilhelmowi twarz i wydawało się, że siły księcia zwiększyły się dziesięciokrotnie. Rzucił się na przeciwnika i uderzył tak mocno, że ten upuścił kij. Przez godzinę Filip odpierał ataki księcia, chowając się jedynie za tarczę. W końcu udało mu się chwycić broń i wydał okrzyk wojenny drużyny wielkiego kniazia kijowskiego. Ten okrzyk tak zaskoczył Wilhelma, że opuścił tarczę. Uderzony w samą pierś runął w błoto. Zwinął się, chcąc uniknąć ciosów. Filip stracił równowagę, zachwiał się i teraz opierał się na kiju.

Pojedynek trwał dalej, lecz w wolniejszym tempie. Słysząc było ciężki oddech rywali. Nad ich ciałami zmienionymi w błotniste bryły unosiła się para o ostrej woni potu zmieszanego ze słodkim zapachem krwi. Byli zmęczeni, więc ataki stawały się coraz rzadsze. Powoli Wilhelm brał górę. Resztką sił, w chwili gdy blade słońce zachodziło na horyzoncie, zadał ostatni cios. Filip, ranny w czoło, runął na ziemię i znieruchomiał. Bastard osiągnął kres wytrzymałości. Zrobił parę kroków w kierunku pokonanego i upadł obok niego.

Giermkowie rzucili się, by podnieść księcia. Oprzytomniał dopiero, gdy mu wmlano między zęby parę kropli eliksiru życia. Jego pierwsze słowa dotyczyły tego, którego pokonał:

— Czy nie żyje?

Oliwier z Arles ostrożnie odwracał swego przyjaciela. Z twarzą zalaną łzami odpowiedział opryskliwie:

— Nie wiem.

— Niech przywołają mojego medyka! — rozkazał księżę, podnosząc się z trudem.

— Jestem tu, panie.

— A więc czyń, co do ciebie należy. Niedobrze by było, gdyby zmarł tak dzielny przeciwnik. Co za pojedynek! Już dawno tak się nie bawiłem. Po raz pierwszy spotkałem w walce na kije równego sobie przeciwnika...

— Którego z łatwością pokonałeś, panie — powiedział jakiś rycerz.

— Z łatwością? Jesteś w błędzie, Janie z Coutances! Chyba że jest to jakaś aluzja do mojego pochodzenia?

— Skądże znowu! — wykrzyknął dworak rumieniąc się.

— Panie, odzyskuje przytomność...

Wilhelm Normandzki pochylił się nad Filipem.

— A więc czy wciąż jestem mordercą?

— Bóg inaczej zawyrokował — odpowiedział Filip, próbując się podnieść.

— Nie ruszaj się, mój medyk cię opatrzy.

— Na co mi jego pomoc, jeśli mam umrzeć?

— A kto mówi o śmierci?

— Czyż nie zostałem pokonany? Czyż nie powinienem oddać życia?

— Lub ręki?

— Weź moje życie, ale nie kalecz mnie więcej!

— Zapominasz, że jestem zwycięzcą i do mnie należy wybór.

— Na miłość Mory, zabij mnie!

Chwyając rannego za odzienie, Wilhelm podniósł go do góry.

— Co powiedziałeś? Skąd znasz Morę?

— To nieważne, znam... Na miłość do niej, zabij mnie!

— Ale najpierw mi powiesz!

— Panie, puść go, dusi się.

— Niech go zanosą do mojego namiotu.

Parę chwil później rozebrany z zabłoconego i podartego odzienia, obmyty, bardzo osłabiony Filip leżał na łóżku księcia. Oliwier z Arles i Lancelain z Beauvais wycierali jego obite ciało. Księżę wszedł i bez słowa dał się rozebrać. Gdy był nagi, zanurzył się w balii z gorącą wodą, w której macerowały się zioła leczące krwiaki.

— Zostawcie nas!

Wszyscy wyszli z namiotu. Mężczyźni zostali sami. Wilhelm leżał w kąpielu, zmrużył powieki i lekko oddychał z zadowolenia. Schował głowę pod wodę, by zmyć ziemię i krew. Gdy się wychylił, zauważył wzrok Filipa. Przez chwilę patrzyli na siebie. Pierwszy przemówił książę:

— Opowiedz mi o sobie.

— Nie mam nic do opowiadania, panie.

— Czy wciąż pragniesz umrzeć?

— Bardziej niż kiedykolwiek!

— A więc powiedz mi, dlaczego wymówiłeś imię Mory. Skąd ją znasz?

— Czy pamiętasz, panie, swój upadek w lasach niemieckich?

— Mów dalej.

— Opatrzyła cię piękna młoda kobieta, a pewna starucha wymówiła jej imię w twojej obecności.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Bo tam byłem.

— Czy należałeś do świty królowej?

— Można tak powiedzieć.

— To nie jest odpowiedź. Mówisz albo za dużo, albo za mało. Rozkazuję, byś mi powiedział, kim jesteś.

— Wiedz, książę Wilhelmie, że nie jesteś moim panem. Należę do pana z Chauny. Tylko moje życie należy do ciebie, zdobyłeś je w sprawiedliwej walce. Weź je.

— Gdybym je wziął teraz, byłbym winny przestępstwa i Bóg nigdy by mi nie wybaczył. Kazałeś ogłosić, że jesteś obrońcą umarłych na wojnie. Dlatego podjąłem twe wyzwanie. Wiem, że nie można mnie zwyciężyć, gdyż nie było podstępu z mojej strony ani ze strony normandzkich dowódców. To niefrasobliwość Francuzów jest powodem ich klęski.

— Nie obchodzi mnie to. Na miłość królowej Anny, zabij mnie.

— Kim jesteś?

Filip ukrył twarz w dłoniach. Po okaleczonych policzkach płynęły ciężkie łzy. Wilhelma wzruszyła ta rozpacz. Wszedł z wody i zbliżył się do nieszczęśnika.

— Nie chcesz mi zaufać? Przysięgam na krzyż Pana naszego, że nigdy nie wyjawię tego, co mi powiesz.

— Czy przysięgniesz też, że nic jej nie powiesz bez względu na to, co się stanie?

— Przysięgam. I Filip mu opowiedział wszystko.

Podczas opowiadania Wilhelm siedział okryty lnianym prześcieradłem, milczący i nieporuszony. Gdy Filip skończył, najwyraźniej wyczerpany, książę przyglądał mu się długo, starając się ukryć głębokie wzruszenie. Jego wzrok i przeciągająca się cisza jeszcze bardziej pogłębiły zamęt w myślach rannego. Wstał z trudem.

— Nic nie mówisz, książę. Rozumiesz teraz, dlaczego szukam śmierci.

— Nie zaznasz jej z mojej ręki.

— Po tym, co powiedziałem, nie mogę już dłużej żyć. Królowa nie powinna wiedzieć, co się ze mną stało.

— A któż by miał jej powiedzieć? Z pewnością nie ja. Czy zapomniałeś o mojej przysiędze?

— Miałem nadzieję, że teraz, gdy dowiedziałeś się o mojej miłości do niej, zabijesz mnie.

— Zabiłbym każdego innego, to pewne. Ale ty, podobnie jak ja, kochasz królową miłością czystą. Nie miałbym odwagi zrobić tego, co dla niej uczyniłeś. Chciałeś okryć się chwałą w boju, aby opowieści o tym dotarły do jej uszu i żeby spytała: kim jest ten dzielny rycerz o tak szpetnej twarzy? Chciałeś nawet więcej: żeby blask tych wyczynów skrył brzydotę twojej twarzy.

— Nie okryłem się chwałą, nie zostałem pasowany na rycerza...

— Będę zaszczycony, jeśli pozwolisz mi wprowadzić cię do szlachetnego zakonu rycerskiego.

Filip spojrział na niego zdziwiony.

— Ale ja nie należę do ciebie!

— To nie ma żadnego znaczenia. Sam będąc rycerzem, mogę pasować na rycerza, kogo chcę, a zwłaszcza tego, kto jest tego godzien!

Rozdział XXIII

Decyzja Ireny

Król Henryk był w złym nastroju jak nigdy dotąd. Rok 1054 okazał się najgorszy z całego okresu jego panowania. Wykorzystując bolesną klęskę spod Mortemer, Bastard mógł sobie drwić z suzerena. Wybudował zamek w Breteuil niedaleko Tillières i oddał go walecznemu Wilhelmowi Fitz Osbernowi. W zamian za uwolnienie licznych jeńców wziętych pod Mortemer ten zły duch zażądał, aby król uznał, że jest on prawowitym panem zagarniętych ziem, w tym także posiadłości Gotfryda z Mayenne, znajdującego się u niego w niewoli.

Na dodatek król musiał stawić czoło wymówkom hrabiów i baronów, którzy mu zarzucali, że powierzył dowództwo nad oddziałami francuskimi swemu bratu Odonowi, wykazującemu odwagę jedynie w grabieży oddalonych domostw, handlowaniu dobrami Kościoła i gwałceniu dziewczyc. Najbardziej surowy okazał się Raul z Crèpy. Twierdził, że uprzedzał o tym króla.

Ale najgorsze było to, że królowa zlekceważyła zakaz małżonka i w dalszym ciągu utrzymywała korespondencję z jego siostrzenicą Matyldą, a nawet, jak donosili szpiedzy, z księciem. Anna nie zaprzeczyła temu i wysłuchiwała z pogardą surowych upomnień Henryka.

Ale jak znieść zachowanie Oliwiera z Arles, który bez przerwy chwalił wielkoduszność księcia? Miał nawet czelność ułożyć pieśń na jego cześć! Henryk poczuł się po trzykroć zraniony w swej dumie: jako król, jako mężczyzna i jako kochanek, gdyż młodzieniec coraz częściej szukał wymówek, by mu odmawiać swych łask. Te odmowy wzmogły jedynie miłość króla, który zatracił umiar i ostrożność. Złośliwi plotkowali nawet na dworze, że trubadur woli towarzystwo kulawego o zmasakrowanej twarzy. Gdy Oliwier usłyszał te plotki, wybuchnął śmiechem. Pokiereszowany był dla niego bratem, a nie kochankiem i nigdy podobne myśli nawet nie zaświtały mu w głowie!

Król Henryk był zmęczony. Bardzo zmęczony. Tyle już lat walczył, by na przekór matce, królowej Konstancji, umocnić swoją pozycję, swój autorytet wobec wasali, papieża, cesarza niemieckiego i księcia Normandii. Trwało to już tyle lat!

To wszystko postarzyło go przedwcześnie. Marzył o spokoju i odpoczynku. Wysłannikom normandzkim musiał obiecać, że zachowa neutralność w konflikcie, który zaistniał między jego dawnym sojusznikiem z Andegawenii, Gotfrydem Martelem, a Wilhelmem.

Dopiero pod koniec roku Anna dowiedziała się o śmierci ojca, który zmarł na wiosnę. Od dnia ślubu utrzymywała z nim stałą korespondencję. Mądre rady Jarosława wielokroć okazywały się pomocne. Rozkazała, by w całym królestwie odprawiono nabożeństwa za duszę kniazia, i uprosiła króla, by pozwolił jej spędzić jakiś czas w klasztorze na modlitwach.

Kiedy powróciła z monasteru w Senlis, gdzie spędziła kilka tygodni, była blada i wychudzona. Jako pierwszy złożył jej wizytę hrabia Valois. Był bardziej rozkochany niż poprzednio i pragnąc ją rozweselić posłał do niej przeróżnych żonglerów. W porównaniu z obojętnością króla ten gest wzruszył ją i przyjęła go z mniejszą wrogością. Właśnie umarła mu żona, Adelajda z Bar. Anna dała zwieść się udawanemu smutkowi hrabiego i pocieszała go. Odrobinę radości przynosiły jej także wizyty trubadura. Lecz zazdrosny król zabronił częstych spotkań.

Mały Filip miał prawie trzy lata. Był silnym, łakomym i kłótliwym dzieckiem. Darzył matkę miłością bezgraniczną i z uporem odmawiał mówienia w innym języku niż po rusku. Rzucił się na każdego, kto się do niej zbliżał, tak na ojca, jak i na innych. Anna chętnie bawiła się z nim przez parę chwil, a potem odpychała go jak psiaka. Dziecko niczego tak nie lubiło jak jej pieśni o dalekiej krainie. Marzył, że pojedzie tam pewnego dnia, by walczyć z demonem wód, który wciąga królewiczów do swego podwodnego pałacu i zamienia ich w niewolników... Helena uwielbiała go i godziła się na wszystkie jego zachcianki.

Narodziny brata nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

Na początku lata Henryk uległ usilnym prośbom swej siostry, hrabiny Flandrii, i pozwolił, by jego siostrzenica Matyllda przyjechała w odwiedziny do królowej. Pięknego czerwcowego dnia księżna Normandii wraz z synami przybyła z wielką pompą wraz z eskortą rycerzy flamandzkich. Jedyne niańki i służące pochodziły z Normandii. Po oficjalnym powitaniu przyjaciółki zostały wreszcie same. Radość ich była wielka. Bez słów całowały się, tuliły i uśmiechały ze łzami w oczach. Pierwsza opanowała się Anna.

— Jak bardzo mi cię brakowało. Czas wydawał się taki długi z dala od ciebie.

— Dlaczego nasi mężowie muszą ciągle wojować ze sobą? Często pytam o to Wilhelma. Potrafi mi tylko powiedzieć, że to nie on zaczął.

— Zapomnijmy o wojnach. Mów o sobie, o synach, o miłym Wilhelmie.

— Gdyby mój wuj, król, cię usłyszał!

— Mało go obchodzę.

— Żałujesz tego?

— Tak i nie. W końcu jest królem.

Służący wnieśli dwa skórzane kufry z żelaznymi okuciami. Matylda wyjęła z kieszeni pęk kluczy.

— Przywiozłam ci trochę prezentów — rzekła, podnosząc wieko.

Księżna wyjęła miękkie i delikatne jak jedwab sukno z Flandrii, wyszywane wstążki, koronki z Bayeux. Anna, olśniona wspaniałymi materiałami, podziękowała wylewnie przyjaciółce.

Henryk przyjął ją z początku zimno, ale w miarę upływu czasu stawał się bardziej serdeczny. Zdziwił się, że Wilhelm nie sprzeciwił się, by jego dwaj synowie przyjechali do królestwa Francji.

— Nie obawia się, że zatrzymam ich jako zakładników? — zapytał siostrę.

— Księżna zna twój honor. Wie, że nigdy byś nie wykorzystywał małych dzieci.

Pochlebilo mu to i mimo woli wymamrotał, że nie należy kusić diabła...

Zabawy trwały do jesieni. Dwór przenosił się z zamku do zamku, z Etampes do Poissy, z Senlis do Melun. Raz tylko pojechano do Paryża, którego królowa nie lubiła. Mówiła, że jest miastem brudnym i głośnym, a paryżanie to ludzie bezczelni i niechlujni. Nic z tego, co opowiadał Oliwier, dla którego to miasto było najpiękniejsze na świecie, nie mogło zmienić jej zdania. W Paryżu najsilniej odczuwała tęsknotę za ojczyzną. Tu wszystko wydawało się małe, a Sekwana, opiewana przez miłego trubadura, wyglądała jak strumyk w porównaniu z Dnieprem, Wołgą czy Wołchowem.

Tymczasem zbliżał się termin odjazdu Matyldy. Przyjaciółki obiecały, że odwiedzą się na wiosnę roku następnego. Anna ślubowała, że uda się na Mont_Saint_Michel, aby modlić się za duszę ojca. Matylda twierdziła, że książe pragnął z całego serca przywitać osobiście królową Francji na tym świętym wzgórzu. Pomimo tej radosnej perspektywy żegnały się ze łzami w oczach.

Zima szybko minęła. Codziennie po mszy królowa udawała się na polowanie lub, gdy pogoda temu nie sprzyjała, odwiedzała biednych. Nadzorowała budowę hospicjum oraz szkoły w Senlis, która miała być dostępna dla wszystkich. By móc ukończyć obie budowle, nie zawahała się sięgnąć do własnych zasobów. Gdy zabrakło pieniędzy, poleciła szafarzowi Renaudowi sprawującemu pieczę nad skarbem królewskim, by sprzedał jej klejnoty przywiezione z Kijowa. Gdy dowiedział się o tym Wilhelm, posłał do niej sakiewkę ze złotymi monetami. Raul z Cr~epy natomiast odkupił niektóre klejnoty i zlecił Irenie, by je oddała królowej.

Dziewczyna z trudem ukrywała swój gniew. Myślała, że śmierć Adelajdy z Bar przybliży ją do hrabiego i że będzie przynajmniej jego konkubina. Bardzo szybko zrozumiała jednak, że tak się nie stanie. W miarę upływu czasu Raul był coraz bardziej zakochany w królowej. Nawet podczas największych orgii, w których uczestniczyła, by mu się przypodobać, wiedziała, że kochanek myśli tylko o Annie. Jakże więc nie czuć nienawiści do takiej rywalki?

Po nocy spędzonej na rozpuście powiedziała mu, że jest w ciąży. Hrabia przyjął to ze śmiechem. Czy wie przynajmniej, kto jest ojcem? Płacząc rzuciła mu się do stóp i zaklinała, że nikt inny tylko on. Nagle przestał się śmiać, chwycił ją za włosy i podniósł do góry.

— Nie mów takich bzdur! Na moich oczach wiele razy oddawałaś się innym. Ten bękart nie może być mój!

Wyrwała mu się, a w jego ręce została kępka włosów.

— Śmiesz mi to wypominać! Robiłam to na twój rozkaz! Zgadzałam się, by mnie brali twoi kompani, żeby ci się przypodobać! Wszystko, co robiłam, robiłam dla ciebie...

— I udało ci się, dziwko! Nigdy nie spotkałem kobiety, która by bardziej ulegała moim fantazjom, nawet tym najpodlejszym! Możesz dalej próbować mnie uwodzić, ale nie wspominaj mi więcej o dziecku. Pozbądź się go!

— Nigdy! To grzech!

Hrabia wybuchnął śmiechem. Śmiejąc się powalił ją na ziemię i gdy leżała na brzuchu, podciągnął spódnicę i chwycił za biodra. Poklepał białe, szerokie pośladki, które zaczerwieniły się. Obnażył swój członek i przebił Irenę z taką siłą, że aż krzyknęła z bólu i rozkoszy. Gdy już sobie dogodził, wyrwał się z niej i odepchnął ze złością.

— Precz, zostaw mnie!

Rzuciła mu się do nóg, bełkocząc przymilne słowa. Uderzył ją pięścią. Z rozbitego nosa Ireny puściła się krew, plamiąc twarz i piersi. Hrabia odwrócił się i wyszedł.

Przez długi czas Irena leżała na ziemi. Oczy miała suche i nieruchome. Gdy wstała, wiedziała już, co należy zrobić.

Ani Anna, ani Helena nie zauważyły zaokrąglonego brzucha Ireny, która do końca ukrywała swój stan. Rozwiązanie nastąpiło przed czasem, pod koniec wiosny. Gdy o świcie chwyciły ją bóle, pobiegła do lasu pod Senlis, do chaty staruchy Irmeliny, o której mówiono, że jest czarownicą. Irmelina była piękna za młodu. Teraz dostarczała wielmożom trucizn i ożywczych napojów, a szlachetnym damom napojów miłosnych. Raul z Cr~epy był jednym z jej klientów. Znała Irenę,

gdyż często ją widywała w towarzystwie hrabiego, i nie zdziwiła się, gdy ta zwała się na pokryte nieczystościami klepisko jej lepianki.

— Będiesz rodzic, moja mała. Powinnaś była wypić mój napój. Byłabyś dziś giętka i szczupła jak młode drzewko.

— Starucho, posłuchaj mnie. Kpię sobie z twych rad. Już kiedyś mi je dawałaś i nie przyniosły mi szczęścia...

— Mówisz o moim napoju miłosnym? Nie zrobiłaś tego, co ci powiedziałam...

— Nie wierzyłam ci.

— Nie miałaś racji. Dzisiaj hrabia byłby u twych stóp.

— A kto mówi o hrabim!

— Czy uważasz, że jestem głupia? Widziałam, jak kręcisz się koło niego. Nie trzeba być czarownicą, żeby zauważyć, że ty go kochasz, a on ciebie nie.

— Milcz! Boli mnie...

— Podejdź bliżej.

Irmelina położyła ją na posłaniu z mchu.

— Podnieś suknię i rozstaw nogi... tak... dobrze!

Około południa Irena urodziła wątłego chłopczyka. Starucha owinęła dziecko w skrawek brudnego materiału i położyła je obok matki. Długo przyglądała się matce i synowi w zamyśleniu. Pod wieczór podała położnicy do wypicia gorzki wywar i zapytała:

— Czy wciąż chcesz, by hrabia cię pokochał?

— Co mam zrobić? — zapytała Irena, unosząc się.

— Daj mi dziecko.

Rozdział XXVII

Loch

Gotfryd Martel zamknął się na zamku w Angers, a Henryk w Paryżu. Annie, która chciała ruszyć mu naprzeciw, przekazał, by nie spotykała się z nim bez wyraźnego rozkazu. Królowa została więc w Senlis.

Oliwiera z Arles rzucono do lochu, gdzie woda sięgała do kostek. Z wąskiego otworu wysoko nad głową więźnia wpadało do środka wątle światelko. Pogodne usposobienie i flet, który mu zostawiono, przez pierwsze dni pomogły mu w miarę spokojnie znosić odosobnienie i łańcuchy krepujące ruchy. Był przekonany, że Henryk każe go wkrótce uwolnić. Król pewnie chce mu dać nauczkę, ale przez miłość do niego zapomni o afronie. Mijały kolejne dni. Wygłodniały i zziębnięty trubadur zaczął wątpić. Przemógł się i poprosił strażnika, by mu dostarczył czegoś do pisania. Strażnik odmówił, gdyż sam nie umiał pisać, ale zaproponował, że w zamian za lekcje gry na flecie przekaże wieści dowódcy straży, który bywał u jego siostry karczmarki. W serce Oliwiera wstąpiła nadzieja.

— Czy twoja siostra nie prowadzi czasem gospody nad Sekwaną naprzeciw zamku naszego króla?

— Tak.

— Czyż nie nazywa się Gizela?

— Tak, panie. Znasz ją? — spytał nieufnie strażnik.

— Dostaniesz dużo złotych monet, jeśli zanieziesz jej wiadomość.

— Złoto? Wyglądasz na takiego, który nigdy nie widział nawet jego koloru.

— Idź do siostry i powiedz jej, że Oliwier, przyjaciel Pokiereszowanego, jest w więzieniu.

— Nigdzie nie pójde. Zależy mi na tym miejscu. Cicho. Ktoś nadchodzi!

Strażnik wyszedł w pośpiechu. Ze ściśniętym sercem Oliwier słuchał zgrzytu zasuwanego się rygła, a potem kroków strażnika oddalającego się po skrzypiącym żwirze.

Przez dziesięć dni nikt nie zbliżył się do lochu. Minęło wiele czasu, odkąd

odebrał ostatni kęs zgniłego chleba szczurom gryzącym mu ręce i twarz. Pił stojącą wodę, w której pływały ekskrementy i spuchnięte trupy zabitych przez niego szczurów. Żeby nie siedzieć w tej ohydnej wodzie, zebrał trochę zgniłej słomy, którą mu rzucono zamykając go w tym grobowcu, i zrobił z niej posłanie. W jego włosach i brodzie zagnieździło się robactwo. Czekał na śmierć, zbyt wyczerpany głodem i gorączką, by się buntować. Ostatkiem sił grał na flecie melodie tak piękne i smutne, że ci, którzy słyszeli je przez okienko, nie mogli powstrzymać łez. Dwoje kochanków leżących u stóp muru poczuło się jak w raju. Jakiś rybak rzucił się na kolana w swej łodzi, myśląc, że słyszy muzykę ondyn zamieszkujących rzekę. Pewien mnich zaczął wznosić modły do nieba, a jakiejś pracze woda uniosła jedyną koszulę. Strażnicy wycierali nosy w rękawy...

Rankiem jedenastego dnia otwarto drzwi. Ktoś wszedł z pochodnią w rękę. Oślepiiony nagłym i ostrym światłem więzień zmrużył oczy. Chciał podnieść wychudłe ramię, by je zasłonić, lecz nie miał siły.

— Och! Mój biedny Oliwierze!

Silne ramiona uniosły ciało nieszczęśnika, który krzyknął. Przybysz nie zauważył łańcuchów, którymi przykuto go do muru. Zdjął opończę i rzucił ją na posłanie. Ostrożnie ułożył na nim przyjaciela.

— Filipie!

Pokiereszowany nawet nie myślał pytać, skąd młodzieniec zna jego prawdziwe imię. By ratować przyjaciela, mógłby je wykrzyzczyć nawet w obecności króla i królowej.

— Odwiąż go — rozkazał trzęsącemu się strażnikowi.

— Panie, nie mogę. Ryzykuję życie, ale cię tu przyprowadziłem, bo kocham muzykę. Nie żądam ode mnie niczego więcej.

— Przeklęty! Nie powiedziałeś mi, że on umiera!

— Panie, pozwól, bym mu podała trochę mleka — odezwała się kobieta, która przyszła razem z nim.

— Dobrze, moja droga Gizelo.

Kilka łyków ciepłego napoju wzmocniło Oliwiera. Otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć. Nagle zrobiło mu się niedobrze i zaczął wymiotować cuchnącą żółcią. Zemdlał z wycieńczenia.

Gdy oprzytomniał, zdziwiła go jasność panująca w lochu. Chciał się podnieść i nie poczuł ani ciężaru łańcuchów, ani wilgotnego zimna, które zazwyczaj przeszywało jego ciało, lecz coś miłego i ciepłego.

— Pić — wymamrotał.

Tym razem nie zwrócił mleka. Wkrótce potem Gizela podała mu parę kęsów rozmoczonego chleba. Szybko nasycił się i zasnął.

— Panie, trzeba go teraz zanieść z powrotem.

— Czy przygotowałeś dla niego inny loch, suchy, ze świeżą wodą, dzbankiem wina, chlebem i pasztetem z sarniny?

— Tak, panie.

— I nie zapomniałeś o suchej słomie i przykryciu?

— Nie, panie.

— Dobrze. Otrzymałeś sowitą zapłatę. Dostaniesz jeszcze więcej, jeśli twój więzień będzie dobrze karmiony i traktowany. Łańcuchy tylko na noc. I jeszcze jedno: nie zdradź mnie. Tu chodzi o życie twoje i twoich dzieci.

— Wiem, panie, ale czy cię zdradzę, czy nie, to i tak już nie żyję, jeśli moi dowódcy dowiedzą się, że cię tu przyprowadziłem. Niech będzie przeklęta muzyka, która mnie zaczarowała!

— Randoku, nie mów w ten sposób — powiedziała Gizela, czyniąc znak krzyża.

— Nie ma w tym czarów, jesteś po prostu czułym i dobrym człowiekiem.

Strażnik spojrzał z niedowierzaniem na Filipa. Po raz pierwszy ktoś mu powiedział, że jest dobry! Co za dziwny komplement w ustach człowieka o srebrnej twarzy podobnej do anielskiego, a może diabelskiego oblicza!

— Bracie, nie zapominaj, że przysięgałeś na Krzyż Święty.

Filip spojrzał ostatni raz na śpiącego Oliwiera i opuścił więzienie w towarzystwie Gizeli.

Na zewnątrz był piękny wieczór. Pokiereszowany wdychał pełną piersią paryskie powietrze. Przyzwyczajony był do bezkresnych przestrzeni Rusi, do rozległych lasów Francji i przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach stanowiło dla niego największą torturę. Trzeba jak najszybciej wyciągnąć trubadura z tego okropnego miejsca. Ponieważ nie mógł zbliżyć się ani do królowej, ani do króla, postanowił prosić o pomoc Gosselina z Chauny. Ten, mimo wyjazdu Filipa do Normandii, zachował do niego całą swą przyjaźń. Nazajutrz zapukał do drzwi dawnego pana.

— Nie mogę nic zrobić dla niego. Podniósł miecz na króla.

— Wiem o tym, dlatego też proszę, abys o losie Oliwiera z Arles zawiadomił królową.

— Królowa nie jest najlepiej wybraną osobą, by wstawiać się za dawnym faworytem swego małżonka.

— Proszę cię, panie Chauny. Wiesz, że kocham Oliwiera jak młodszego brata... Ma tyle lat, co mój braciszek. Wiem, że choć wykazał się odwagą na polu walki, nie zyskał twej estymy. Nie sądź go za jego dawne uczynki. To źli ludzie wciągnęli go w rozpustę. Mimo wszystko pozostał uczciwy i niewinny. Chciał porzucić swe dotychczasowe życie...

Gosselin z Chauny chodził po komnacie wzdłuż i wszerz. Twarz miał pokrytą zmarszczkami, a plecy zgarbione wiekiem. Wyglądał na bardzo zatroskanego. Wreszcie zatrzymał się przed mężczyzną, którego ongiś przyjął do siebie i pocieszył.

— Przez mą miłość do ciebie porozmawiam o trubadurze z królową, ale przede wszystkim z hrabiną Flandrii, która ma ogromny wpływ na swego brata.

— Ale sam mi mówiłeś, że ona zawsze odczuwała wielką niechęć do biednego Oliwiera!

— Tak, to prawda, tak jak w stosunku do wszystkich faworytów królewskich. Lecz Oliwier był mniej zachłanny od pozostałych. Sama to kiedyś powiedziała w mojej obecności.

— Módlmy się, żeby o tym pamiętała!

— Jedź, wracaj do Paryża. Dam ci znać do gospody, którą mi wskazałeś. A tymczasem nie rób nic, co by mogło pokrzyżować nasze plany.

— Nie starczy życia, by ci podziękować...

— Zachowaj podziękowania na później, synu. Niech prowadzi cię Przenajświętsza Matka Boża.

Gdy Filip przybył nad brzeg Sekwany zobaczył jakieś zgromadzenie u stóp muru, za którym więziony był Oliwier. Rozweselony tłum pokazywał palcem huśtające się na wieży ciało, które dziobały kruki. Tknięty dziwnym przecuciem Pokierszowany pobiegł do gospody. Żołnierze wynosili beczki, poganiając kijami gapiów. Nagle wysoki płomień buchnął z tawerny. Filip zobaczył mnicha, który groził Oliwierowi i jemu tej nocy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wychodził z gospody z pochodnią w rękę i śmiał się dziko. Ta postać otoczona płomieniami... ten śmiech... Nagle przed oczyma Filipa stanęła okropna scena, której kiedyś był świadkiem.

— Na kolana, niewierni, oto nadszedł czas zemsty Pana! Ogień Boży czyści to miejsce zatracenia... Wysłała mnie jako swego posłańca, bym wykonał jego boskie polecenie. Błagajcie, Przenajświętszą Panienkę... Módlcie się do męczenników i świętych... Jeśli nie chcecie zginąć w płomieniach piekielnych lub zawisnąć na sznurze jak przeklęty Randok, żałujcie za grzechy! Nadchodzi dzień Sądu Ostatecznego... Ach... ach...! Wstrętni nierządnicy, dziewczki publiczne o zgniłych

wnętrznosciach, oto nadchodzi koniec świata... Kto śmie podnieść rękę na wysłannika Wszechmocnego?

— Ja, szatanie!

— Kim jesteś ty, który nie ośmielasz się pokazać swej twarzy?

— Dałem ci już kiedyś nauczkę parę lat temu i jestem gotów powtórzyć, jeśli mi nie powiesz, gdzie jest kobieta, którą zwą Gizelą.

— Myślisz, że znam imiona wszystkich dziewczek w naszym Paryżu?

— Mów, albo cię zabiję!

— Nie ośmielisz się podnieść ręki na człowieka bożego — wystękał mnich.

— Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to niech mnie powiesz jak tego tam na wieży.

— On by ci powiedział, gdzie jest kobieta, której szukasz: to była jego siostra!

Filip spodziewał się tego, ale to, co powiedział mnich, przytłoczyło go. Rozluźnił uścisk, lecz nie puścił „człowieka bożego”, który zauważył jego reakcję.

— Tam, gdzie jest teraz, już nic nie powie, powiesili go przez jego język. Czyż nie rozповідаł, że otrzymał pieniądze od anioła za uwolnienie królewskiego więźnia? Powiedział też, że ten anioł nosi srebrną maskę jak ty... Czy to nie ty? Hola, na pomoc! Tak jak Bóg zniszczył potężny Babilon, tak też zniszczy Paryż, siedlisko demonów, miejsce nieczystych dusz... To miasto poi wszystkie narody winem, grzechem, wściekłym nierzędem...

Ostrze sztyletu zatrzymało jego wrzaski.

— Jeszcze trochę, a zabiję.

— Litości, jestem sługą bożym...

— Nie znieważaj imienia Boga. Jesteś jak nieczysta bestia. Wydaje mi się, że już ciebie widziałem na pewnej polanie zlanej krwią dziecka...

Twarz mnicha poszarzała i oblała się potem. Z łachmanów unosił się odór nie do zniesienia.

— Chyba coś ci się przyśniło — wybełkotał.

— Tak by było lepiej dla ciebie. A teraz mów, gdzie jest Gizela?

— Gdy powiesili brata, przyszli po nią...

— Kto?

— Ludzie króla.

— Jesteś pewien?

— A czego można być pewnym w tych przeklętych czasach?

Zadając mnichowi pytanie, Filip nie spuszczał z oczu trzech opryszków o okrutnych i bezmyślnych twarzach, którzy powoli zbliżali się do niego. Nagle jeden z nich jak dzikie zwierzę rzucił się ze sztyletem w rękę. Gdy miał już ranić Pokierszowanego, ten odwrócił mnicha i popchnął go na skierowaną broń. Osłupiały chłopak przeraził się. Patrzył ze zdziwieniem na krwawą plamę rozlewającą się na habcie. Upadł na kolana, śliniąc się i robiąc pod siebie.

— Mistrzu! Och, mistrzu! To nie moja wina! Nie bij mnie, litości, mistrzu...

Jednym gwałtownym ruchem mnich wyrwał sztylet tkwiący w swoim ciele. Krzyknął głośno, zachwiał się, lecz nie upadł. Patrzył z pogardą na nieszczęśnika, tarzającego się teraz u jego stóp, podniósł ramię, wzdłuż którego lała się krew, i jednym ciosem przebił pochylony przed nim kark.

Oddział żołnierzy popchnął Filipa i oddzielił go od mnicha. Ten zaś skorzystał z zamieszania i uciekł, a za nim dwaj towarzysze nieszczęśnika, który krwawił wśród zupełnej obojętności tłumu. Pokierszowany zaniechał pościgu.

Noc już zapadła, było czarno, zimno, księżyc nie świecił. Wyczerpany i drżący z zimna Filip upadł na piasek pomiędzy sitowiem. Informacje, które zdołał zebrać po południu, były sprzeczne. Jedni mówili, że widzieli jeźdźca przypominającego Oliwiera, inni, że został wrzucony do Sekwany, jeszcze inni, a tych było najwięcej, nie widzieli nic. Wkrótce zmęczenie wzięło górę i zapadł w ciężki sen.

Nagle obudził się, gdyż poczuł mokre muśnięcie. Jakaś lodowata dłoń dotykała jego twarzy. Chwycił ją mocno. Sądząc po rozmiarach, była to dłoń kobiety. Zapytał cicho:

— Kim jesteś?

— Jestem Gizela — odpowiedział stłumiony głos.

— Wreszcie cię znalazłem! Opowiadaj! Gdzie jest Oliwier?

— Panie, boli mnie.

Filip puścił rękę.

— Gdzie on jest?

— Myślę, że jest u króla.

— U króla! A więc jest uratowany!

— Nie, jest zgubiony!

Pokierszowany osłupiał i nie mógł nic powiedzieć.

— Poszłam zanieść jedzenie twojemu przyjacielowi. Strażnik, który mnie zna, przepuścił mnie. Zbliżałam się do sali strażników, gdy nagle usłyszałam krzyk. Ze strachu rzuciłam się do jakiejś wnęki. Tuż przy mnie przeszli uzbrojeni w długie noże mężczyźni i ciągnęli mego biednego brata za sznur wiszący u szyi. Twarz

miał zlaną krwią, a plecy jakby zryte pazurami. Krzyczał: „Wszystko wam już powiedziałem... nie znam jego imienia... to jest zamaskowany rycerz... Litości, nie zabijajcie mnie!... Spytajcie mojej siostry!...”

— Na Boga, zdrajca!

— Nie mów tak, panie. Gdybyś wiedział, ile mu zadano cierpień...

— Mów głośniej, nie słyszę cię.

Głos Gizeli stawał się coraz słabszy.

— Wybacz mi, panie, ale nie mam już sił...

— Mów szybko. Wiem już, co się stało z twoim bratem, a Oliwier, co zrobili z Oliwierzem?

Ciężko oddychając odpowiedziała:

— Poszłam... do lochu... Nie było go tam... tylko ślady krwi... poszłam za nimi... prowadziły do wejścia... do podziemi...

— Jakie podziemia?

— Brat mi mówił... prowadzą...

— Mów dalej!

— Na dziedzińcu... domku... należy do króla...

— Gdzie to jest? Mów! Gizelo!

Filip pochylił się nad nią i potrząsnął. Jej biedna mokra głowa kiwała się do przodu i do tyłu. Dziewczyna zemdląła. Ostrożnie uniósł jej kark. Ciepła ciecz spłynęła mu po palcach.

— Gizelo, dziecino moja!

— Twoja dziecina umiera, panie...

— To nic, uratuję cię!

— Nie... za późno... na miłość... nic nie powiedziałam... Oliwier... domek króla... obok fontanny przy klasztorze Świętego Gerwazego... z wysoką bramą... Matko Boża... boli... zimno mi... panie, pochowaj mnie w poświęconej ziemi... Niech Bóg cię strzeże... zimno...

Filip długo przytulał do siebie tę prostą kobietę, która oddała życie, żeby uratować jego przyjaciela. Zdjął opończę i zawinął ciało. Ukrył je w sitowiu i w dzikiej mięcie.

— Już niebawem, moja dziecino, spocziesz w poświęconej ziemi.

W tym momencie spadł gwałtowny deszcz.

Rozdział XXVIII

Płacz królowej

Od pierwszych dni jesieni deszcz padał nieustannie, zamieniając poszycie lasów i pola w grzęzawiska i uniemożliwiając polowania. Na zamkach panowie trzęśli się z zimna i nudzili, zabijając czas pijaństwem. Często kończyło się to orgiami ze służącymi lub młodymi chłopkami, które porywano w najlepszym wypadku w zamian za worek zboża.

W wielkiej sali zamku w Senlis, z robótką na kolanach, siedziała Anna. Spoglądała przez zielonkawe szyby wąskiego okna na wciąż szare niebo, z którego słońce zostało na zawsze wygnane. Po policzku spłynęła jej łza i spadła na dłoń.

— Matko, dlaczego płaczesz?

Królowa spuściła głowę i uśmiechnęła się do chłopczyka, bawiącego się u jej stóp.

— Dlaczego płaczesz? — powtórzył pytanie.

— Nie płaczę, mój słodki synku. To kropla deszczu spadła na mój policzek.

Dziecko spojrzało na nią z niedowierzaniem.

— Idź pobawić się z bratem.

— Nie lubię się bawić, chcę być z tobą — powiedział, tuląc się do niej.

Trwali tak przez chwilę w ciszy, podczas gdy gasły ostatnie promienie tego smutnego dnia.

W kominku spadło polano i trysnęło iskrami. Nagle w drugim końcu sali rozległ się tupot nóg, szcęk broni, śmiechy. Przybiegło trzech lokai z pochodniami, które zatknęli na ścianie.

— A więc mój syn — odezwał się król — jak zwykle pod spódnicą matki?

Rozmarzona królowa i mały Filip podskoczyli. Dziecko skryło się za wysokim siedzeniem krzesła, z którego wstała matka.

— Już czas odebrać dziecko z rąk kobiet. Ile ma lat?

— Równy pięć.

— Za dużo się z nim pieścisz. Zrobisz z niego tchórza.

— To by było dziwne. Jest najlepszym jeźdźcem spośród swych rówieśników.

— To prawda — odpowiedział król łagodniejszym głosem. — Hrabia Valois zwrócił mi na to uwagę. Czy wiesz, że moja siostrzenica Matylda Normandzka, wzięła jego syna, Szymona, by zastąpić mu matkę?

— Mówiła mi, że ma taki zamiar, jeśli jej małżonek nie sprzeciwi się. Zresztą on sam zgodził się wziąć go na utrzymanie do swego domu, gdy ten skończy siedem lat.

— Prawda, Raul z Cr~epy jak nikt inny potrafi wyprosić jakieś dobre miejsce dla siebie lub swoich bliskich.

Mizdrząc się podszedł do króla chłopiec o długich jasnych włosach, bardzo czerwonych ustach i niebieskich wesołych oczach.

— Panie, obiecałeś wysłuchać mojej pieśni.

— Nie zapomniałem, mój piękny. Usiądź z przyjaciółmi, zaraz do was dołączę.

Na widok ładnego śpiewaka ścisnęło się serce Anny. Po nieudanej wyprawie przeciwko Normandii nie ujrzała więcej Oliwiera z Arles. Król odmawiał odpowiedzi na jej pytania, a żaden z towarzyszy trubadura nie mógł lub nie chciał udzielić jej informacji. Nie rozumiała postępowania króla, który niegdyś nie mógł spędzić jednego dnia bez kochanka.

Anna odważyła się zapytać jeszcze raz:

— Czy wiesz, co się stało z trubadurem Oliwierem? Dlaczego nie widać go już na dworze? Czy ci się odpodobał? Czy popełnił jakieś przestępstwo? Czy stało mu się coś złego? Tęsknię za nim.

— Możesz tęsknić, ile zechcesz, ale nie wspominaj mi więcej o nim!

— Skąd tyle złości? Błagam, powiedz mi, czy on ma się dobrze?

— Dosyć! Ani jednego słowa więcej! To ciebie nie dotyczy... Mój synu, ty też ośmielasz się podnieść rękę na mnie? — zwrócił się do syna, który z krzykiem wrywał się z jego objęć. — Uspokój się, mój chłopcze, inaczej ciebie też rozkażę zamknąć w ciemnym lochu. Zabierzcie go.

Helena wyrwała mu z rąk dziecko i uciekła tak szybko, na ile pozwoliła jej na to tusza. Anna ruszyła za nią, tłumiąc łzy, i skryła się za kotarą, za którą znajdowała się kaplica. Z sali dobiegały śpiewy i śmiechy.

Ile czasu spędziła na modlitwach? Chłód wyrwał ją ze smutnej medytacji. Zdjęła futrzaną pelerynę, okryła się nią i położyła na kobiercu, wpatrzona w ogień pochodni.

— Anno, Anno Jarosławno, obudź się!

— Heleno, to ty? Śniło mi się, że jestem w pałacu ojca...

— Córko, król przysyła po ciebie.

— Król przysyła po mnie?

— Tak, żebyś dzieliła jego łożę.

— Razem z jednym z jego faworytów?

— Nie bądź zgorzkniała, córko, to twój mąż.

— Żaloszny to mąż, który mnie dotyka z odrazą, który się do mnie nie zbliżył od narodzin mojej biednej córeczki i który każe mi spać z kobietami i służkami! Nie pójdę.

— Zapominasz, że twoim pierwszym obowiązkiem jako królowej Francji jest rodzić synów?

— Już urodziłam dwóch.

— To mało w porównaniu z twoją matką Ingegerdą...

— Moja matka i mój ojciec kochali się. Dla nich miłość była tak naturalna jak picie czy jedzenie. Z królem tak nie jest. Dla niego rzeczą naturalną są pieszczoty lokai, a nie żony. To im powinien robić dzieci!

— Zamilcz, gdyby ktoś cię usłyszał!

Anna roześmiała się.

— Ależ, Heleno, wszyscy wiedzą, że król woli chłopców niż dziewczęta.

— Królowa nie powinna o tym wiedzieć!

— Wystarczy już o Henryku i jego faworytach. Idź mu powiedzieć, że jestem cierpiąca.

— Ale...

— Pospiesz się, jestem znużona.

Angela z Lussac właśnie kończyła zaplatać warkocze królowej, gdy król uchylił kotarę.

— Ta gruba Helena mówi, że jesteś chora. Z pewnością jak zwykle źle się wysłowiła, bo znajduję cię w kwitnym zdrowiu. Nieprawdaż, miły Thierry?

Tierry z Lasu, jak go nazywano, gdyż znaleźli go myśliwi w lesie pod Senlis, wstrząsnął jasnymi lokami. Na jego twarzy odbiło się powątpiewanie.

— Nie? Królowa uchodzi wszak za najpiękniejszą kobietę w królestwie Francji. Zapytaj zresztą Bastarda Normandzkiego, co o tym sądzi...

— Henryku!

— Cóż takiego, pani?

— Za dużo wypieś!

— To żeby zapomnieć o twojej oziębłości. Ale ci ją wybaczam. Chodź rozgrzać starego męża... Musimy dać książąt Francji...

Przemierzyli główną salę, przed nimi szli młodzieńcy z pochodniami w rękach. Wszędzie na słomianych materacach leżeli lokaje, giermkowie, służące.

Król odsunął kotary szerokiego łoża, na które popchnął Annę. Zrezygnowana królowa zamknęła oczy i czekała na atak męża. Lecz wkrótce usłyszała jęki i poczuła ruchy świadczące o tym, że Henryk kazał się najpierw pieścić ładnemu blondynkowi, zanim będzie zdolny do wykonania swego małżeńskiego obowiązku. Kiedy był gotów, podniósł koszulę żony i z pomocą obcej ręki wdarł się do jej brzucha. Anna odwróciła twarz, by skryć łzy wstydu i odrazy. Jego nasienie szybko rozlało się w niej i wyrwał się z ciała, do którego czuł jedynie wstręt. Następnie westchnął i przylgnął ciałem do młodego Thierry, który rzucił w stronę królowej pełne triumfu spojrzenie.

Co noc przez miesiąc król sypiał w ten sposób z królową aż do dnia, kiedy mu oznajmiła, że prawdopodobnie jest w ciąży. Oboje odetchnęli z ulgą.

Znowu panował głód w królestwie. Deszcze uniemożliwiające zebranie i tak niewielkich zbiorów dopełniły spustoszenia. Na drogach pojawiły się hordy biedaków, których głód wypędził z chat. Cisnęli się u bram miast, zamków i klasztorów w nadziei, że dostaną choć odrobinę chleba. Anna kazała otworzyć niektóre kościoły; mogli w nich znaleźć schronienie bezdomni. W szpitalu, który ufundowała, opiekowano się chorymi i sierotami. Pomimo ciąży i zimna, które śnieg zamieniało w lód, przez co każdy krok na ulicy był niebezpieczny, co dzień udawała się do chorych. Przynosiła im trochę pocieszenia. Umarłych kazała grzebać nocą. Nadzorowała także naukę w szkole, pomagała w rozdawaniu ciepłej strawy w kościołach, zbierała datki wśród panów i szlacheckich dam. Każdy dawał swój grosz. Najhojniejszy okazał się, jak zwykle, Raul z Cr~epy, udzielając królowej bezterminowej pożyczki ku wielkiemu niezadowoleniu Ireny, której zazdrość wybuchła z jeszcze większą gwałtownością niż poprzednio.

Pewnego wieczoru, gdy Anna wychodziła ze szpitala w towarzystwie jednego tylko lokaja, rzuciła się jej do stóp jakaś kobieta, podała zwój pergaminu i uciekła, zanim królowa zdołała coś powiedzieć. Paź nic nie zauważył. Było za ciemno na ulicy, aby czytać, więc Anna skierowała kroki ku szkole. Dzieci wróciły już do domów, nauczyciele modlili się w kaplicy, szkoła była pusta. Na katedrze palił się jeszcze mały kaganek. Anna usiadła tam i odesłała giermka.

Co znaczyły te nieporadnie kreślone znaki? Przypominały jej... nie, to niemożliwe! Tu nikt, oprócz Heleny, Ireny i małego Filipa, który znał kilka słów po rusku, nie potrafił pisać w tym języku! Z trudem odczytała list. W miarę lektury

jej radość mieszała się z wielkim lękiem. Ktoś donosił jej w jej ojczystym języku o losie Oliwiera z Arles. Postanowiła, że później zajmie się odnalezieniem autora tych słów. Teraz dowiadywała się, gdzie król przetrzymuje Oliwiera. Autor listu twierdził, że trubadur nie znajduje się już w domku w Paryżu, lecz prawdopodobnie w jednym z zamków królewskich, być może w Senlis. Zaklinał ją, w imię dawnej przyjaźni i na pamięć szczęśliwego i beztróskiego dzieciństwa, by pomogła mu uratować Oliwiera.

Uratować trubadura! Pragnęła tego gorąco. Ale może to jest jakaś zasadzka? Kogo spytać o radę? Komu zaufać? Kolejny raz odczuła brak Matyldy.

Anna wiedziała wszystko o stosunku łączącym Irenę z Raulem z Cr~epy. Ale nie wiedziała nic o nienawiści, jaką do niej pałała dziewczyna. Często nawet broniła Ireny przed Heleną, która marzyła o bogatym małżeństwie dla córki i żyła w wiecznym wstydzie i smutku. I właśnie Irenie Anna zwierzyła się, że pragnie spotkać się potajemnie z hrabim Valois.

Anna nie umarła tego samego wieczoru od trucizny wlanej do wina, które było dla niej przeznaczone, tylko dlatego, że pewien łakomy lokaj umoczył w nim swe usta i skonał w straszliwych cierpieniach na oczach całego dworu. Po tym zdarzeniu uwięziono wszystkich ludzi, którzy mieli do czynienia z winem, lokajom zaś polecono sprawdzać każde danie i napoje przeznaczone na stół królewski.

Irena była więc zmuszona wywiązać się z powierzonej jej misji.

Anna podała właśnie ostatnią miseczkę zupy chorym w szpitalu, gdy wszedł Raul z Cr~epy w otoczeniu swych giermków.

— Królowo, chciałaś się ze mną widzieć, oto jestem.

Anna sprawiała wrażenie niezadowolonej, co hrabia wnet zauważył.

— Wygląda na to, że dziwi cię mój widok. Czy źle zrozumiałem twoje pragnienie?

— Wybacz mi, hrabio. Jestem pochłonięta pielęgnowaniem tych biedaków. Chciałam ci podziękować w ich imieniu i wyrazić moją wdzięczność za twą hojność.

— Już mi dziękowałaś, pani. Miałem nadzieję, że chcesz mnie prosić o coś innego.

Anna westchnęła z ulgą. Mogła z nim rozmawiać na osobności.

— Chodź, hrabio, pokażę ci nową salę, której nikt, nawet król, jeszcze nie widział. Ale to musi pozostać w tajemnicy jeszcze przez jakiś czas.

Raul z Cr~epy rozkazał giermkom, by na niego czekali, i udał się za królową.

— Jak ci się tu podoba? Można tu ustawić czterdzieści łóżek.

— Zaprawdę, zaprawdę, miejsce jest interesujące — wymamrotał znudzony.

— Panie, wysłuchaj mnie i nie przerywaj, ale najpierw przysięgnij na krzyż, że z naszej rozmowy nic nie wydobędzie się na zewnątrz.

To było niespodziewane. Kobieta, której pożałował od tylu lat, chciała rozmawiać z nim na osobności! Był gotów przysiąc na wszystko, czego zażądała, by się do niej zbliżyć.

— A więc, hrabio, czekam. Przysięgnij na krzyż albo odejdz.

Jej bladość, zagniewana mina, niespokojne spojrzenie... Jakże była piękna!

— Przysięgam na krzyż, że nigdy cię nie zdradzę.

— Chcę, żebyś mi pomógł odnaleźć Oliwiera z Arles.

— Tego...

— Nie przerywaj mi. Myślę, że jest uwięziony na zamku. Sprawdziłam każdy zakamarek poza podziemiem, które jest zatarasowane i strzeżone przez uzbrojonych ludzi. Musisz mnie tam zaprowadzić.

— Ciebie? Królową?

— Proszę, chcę go odnaleźć żywego...

— Co pozwala ci sądzić, że jeszcze jest żywy?

— Czuję to.

— Jeśli jest uwięziony na tym zamku, to przecież na rozkaz Henryka. Chcesz, żebym działałam wbrew rozkazom mego króla?

— Jeśli mi nie pomożesz, on go zabije.

— Dlaczego tak ci zależy na tym trubadurze? Kochasz go?

— Tak jak syna, jak brata.

— On był przecież...

— ...no powiedz, kochankiem mego męża! Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia. Czy zgadzasz się okazać mi pomoc?

— Żądasz ode mnie czegoś bardzo niebezpiecznego, królowo.

— Czyżbyś się bał, hrabio?

Raul wzruszył ramionami.

— Teraz ty, królowo, czy możesz mi przysiąc, że nie ma między wami innego uczucia niż przyjaźń?

— Przysięgam.

— Co mi dasz w zamian za moją pomoc?

— Myślałam o tym. Mam w pobliżu twoich ziem w Cr~epy dużą posiadłość,

która sporo przynosi. Sporządzę odpowiedni akt i staniesz się jej właścicielem.

— Znam ją. Rzeczywiście, to bardzo dobra posiadłość, lecz nie mógłbym jej przyjąć. Nie tego bowiem oczekuję od ciebie.

— Czego chcesz?

— Na razie niczego. Wystarczy jakiś fant od ciebie.

— Tak jak się daje rycerzowi?

— Tak.

Anna odpięła od pasa długą szarfę haftowaną w liście dębu, dzieło swych służek, i podała ją klęczącemu przed nią hrabiemu.

— Przyjmij, hrabio, dowód mojego zaufania. W twoje ręce składam mój honor i spokój.

— Dowiodę, że jestem godzien zaufania, i umrę w obronie twego honoru. Jeśli trubadur znajduje się tu, w imię miłości do ciebie odszukam go.

Ucałował rąbek jej sukni i wstał, wkładając cenny przedmiot pod koszulę na gołe ciało. Uczynił to z rozkoszą zmieszaną z poczuciem siły.

— Przyjdź mi zdać sprawę za dwa dni.

Raul z Cr~epy uklonił się i oddalił.

Irena wiedziała, jak zakończyło się ich spotkanie. W rękach kochanka zobaczyła szarfę, którą sama także haftowała. Żeby dać fant tak osobisty, tak kompromitujący, królowa musiała widzieć w Raulu kogoś innego niż tylko wielkiego pana. Irena w każdej kobiecie widziała rywalkę, pragnącą jej skraść kochanka. Postanowiła, że będzie śledzić każdy ich ruch, że usłyszy każde ich słowo. Aby to uczynić, nie zawahała się zwrócić o pomoc do miejscowych żebraków, na pół bandytów, których zatrudniano do najbardziej niecznych zadań.

— Miałaś rację, twój protegowany jest więziony na zamku.

— Widziałeś go?

— Nie. Trzymają go w lochu, który pamięta jeszcze czasy rzymskie. Król Hugo Kapet kazał go odgruzować, by w nim zamknąć zbuntowanych baronów. Dojście tam jest trudne, prowadzi do niego tylko jeden korytarz głęboki jak studnia.

— Czy wiadomo, dlaczego król kazał go uwięzić w tej dziurze?

— Podniósł miecz na niego.

— Och!

To była straszna zbrodnia, może nawet najcięższa. Za mniejsze przewiny ojciec królowej skazywał na śmierć walecznych rycerzy.

— Ja bym go zabił na miejscu. Być może król chce się na nim zemścić z

jakiegoś innego powodu.

— Czemu król miałby mścić się na biednym grajku?

— Oliwier był kimś więcej niż tylko jego grajkiem. Słyszałem, że tuż przed uwięzieniem chciał go opuścić. To była rzecz niewybaczalna.

— Za podniesienie ręki na króla z pewnością zasługuje na śmierć, ale za żaden inny czyn. Czy mamy szansę, by go stamtąd wyciągnąć?

— Z tego, co wiem o tym miejscu, to nie. To byłoby możliwe, gdybyśmy przekupili strażników, ale i to jest wątpliwe. Są hojnie wynagradzani, a jego ucieczkę przypłaciliby życiem.

— A więc co można zrobić?

— Tylko jedno: uzyskać ułaskawienie od króla.

— Od miesięcy, gdy mu wspominałam o Oliwierze, nakazuje mi milczeć.

— Spróbuj jeszcze raz, mówiąc, że wiesz, gdzie się znajduje.

— Nigdy się nie ośmielę!

— W takim razie pozostaje tylko modlić się w oczekiwaniu na cud.

Królowa rozmyślała, przemierzając wzdłuż i wszerz pustą salę. Hrabia nie spuszczał z niej wzroku, tak jak to czyni myśliwy stojący na czatach. Jej bliskość przejmowała go bardziej niż w przeszłości bliskość jakiegokolwiek innej kobiety. Patrząc na jej podbite sińcami oczy, na powolne ruchy, na chód, domyślił się, że znowu oczekuje dziecka. Ogarnęła go jednocześnie złość i czułość. Jak ten zniewieściały Henryk mógł zrobić żonie dziecko? Gdyby chodziło o inną kobietę, wiedziałby, że jest winna cudzołóstwa, ale ta była bez zarzutu, przez co tylko bardziej jej pożądał. Był pewien, że nie zaznała przyjemności i że nie kochała dotąd żadnego mężczyzny. Ta młodzieńca miłość, o której wspominała mu Irena, już od dawna musiała pójść w zapomnienie. Gdy tylko ją ujrzał, przysiągł sobie, że ją zdobędzie któregoś dnia. Czas mijał, a jego żądza nie malała. Będzie ją miał, choćby nawet przyszło mu zabić jej męża! Teraz, jeśli nie zdobędzie jej miłości, musi zyskać przynajmniej jej zaufanie.

— Mam otrzymać od jednego ze strażników dokładny plan więzienia. Jeśli będzie jakaś szansa, nawet najmniejsza, żeby uratować Oliwiera, przekonasz się, że można na mnie liczyć.

Śnieg przestał padać. Anna i Raul spotkali się ponownie parę dni później podczas polowania na lisa. Oboje „zgubili się” i odnaleźli w opuszczonej pustelni. Hrabia pomógł królowej zsiąść z konia i przytrzymał ją przy sobie dłużej niż to było konieczne. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Anna nie zaprotestowała. Oboje nie usłyszeli jęku, który poniósł wiatr.

— Czy wiesz, że nie ty jedna chcesz uwolnić Oliwiera z Arles? Pamiętasz tego zamaskowanego rycerza, którego zważ Pokierszowany i który przeszedł na służbę księcia Normandii?

Skąd to nagle zmieszanie królowej?

— Tak.

— Dowiedział się, lecz nie pytaj mnie, w jaki sposób, o tym zainteresowaniu jego przyjacielem. Zaproponował mi, abyśmy połączyli nasze wysiłki.

— Zgodziłeś się?

— Tak, gdyż on wie więcej niż my o podzieniu. Ponadto ma tam zaufanego człowieka.

— Czy zdobył jakieś wieści o Oliwierze?

Zmieszanie Raula nie umknęło królowej.

— Mów! Co wiesz?

— Według Pokierszowanego trubadur jest bardzo osłabiony i nie może chodzić.

— Mój Boże! Jak to możliwe?

— Prawdopodobnie był torturowany...

Irena zobaczyła, że Raul wyprowadza z pustelni bladą Annę. Już miała skoczyć ze sztyletem w dłoń, gdy nadjechał ze świtą król.

— Co się stało, hrabio?

— Królowa zasłabła. Namówiłem ją, by tutaj wypoczęła.

— Pani, wiesz, że twój stan nie pozwala na uczestniczenie w polowaniach. Niech przyprowadzą lektykę dla królowej. Gdzie są twoje służki?

— Tu jestem, panie — odezwała się Irena, wynurzając się z zarośli.

— Zajmij się twą panią. Idziesz, hrabio?

— Panie, nie można zostawić królowej bez straży.

— Masz rację. A więc zostań.

Anna z ulgą spoglądała za oddalającym się Henrykiem. Teraz napawał ją wstrętem. Nie czekano długo na lektykę, lecz Valois nie spuszczał wzroku z Ireny, obawiając się, by nie zadała śmiertelnego ciosu królowej. Gdy ujrzał, jak wyskakuje z zarośli z dzikim wzrokiem, z białą pianą w kącikach ust, domyślił się, że ich śledziła. Już od dawna czuł się znudzony jej pieszczotami i napadami zazdrości. Trzymał ją tylko po to, by zaspokoić swe grzeszne skłonności. Teraz postanowił się jej pozbyć.

Rozdział XXIV

Sabat

Noc była czarna. Konie zapadały się w koleinach pokrytych grubą warstwą śniegu. Posuwający się przodem jeździec trzymał kaganiec; jego żółty, słaby blask oświetlał oszronione drzewa. Lodowate powietrze zatykało oddech. Ciszę przerywało od czasu do czasu wycie samotnego wilka. Ciężka para unosiła się z ust ludzi i pysków zwierząt. Nagle ciemność przeszył długi krzyk. Oliwier z Arles zadrżał. Mały oddział zatrzymał się. Jeźdźcy nastawili ucha.

— Słyszałeś? — wyszeptał Oliwier.

Filip dał mu znak, by milczał.

— Zgaście pochodnie — rozkazał cicho.

Otaczała ich ciemność. Wszyscy nasłuchiwali, czujni na każdy dźwięk. Nie poruszało się nic. Filip już miał dać znak do odjazdu, gdy ponownie usłyszeli krzyk. Ci ludzie, którzy nie znali strachu podczas wojny, nade wszystko obawiali się nocnych duchów. Przerażeni, przeżegnali się.

— Słuchajcie — szepnął jeden z nich.

Dochodziły do nich strzępy pieśni.

— To musi być procesja zakonników.

— Widziałeś kiedyś zakonników, którzy spacerują nocą w środku zimy po lesie?

— Cisza!

Wkrótce za gałęziami zauważyli światło, a głosy stały się bardziej wyraźne. Na znak dany przez Filipa zsiadli z koni, uwiązali je i wyjęli miecze.

W oddali pochodnie utworzyły koło.

— To diabelska polana — wybełkotał któryś z mężczyzn.

Przeżegnali się znowu. Pokieroszowany rozkazał zatrzymać się ludziom i dał znak Oliwierowi, by szedł za nim. Czołgając się po śniegu dotarli do polany. Ujrzeni około pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet, którzy kołysali się w miejscu,

mrucząc coś pod nosem. Co chwila zatrzymywali się, by z kotła, trzymanego przez dwóch wesołych i chwiejących się na nogach mnichów, zaczerpnąć jakiegoś dymiącego płynu. To zapewne ten napój był przyczyną ich dziwnego zachowania: ciałami wstrząsały nerwowe drgawki i niekontrolowane spazmy. Pośrodku koła paliło się ognisko, a obok wzniesiono jakieś podwyższenie. Nagle ponad śpiewem wzniósł się krzyk, który słyszeli już wcześniej. Do koła zbliżył się dziwny orszak. Zobaczyli człowieka w uroczystym biskupim stroju, za nim dziewczki, które za jedynie odzienie miały wilcze skóry przepasane w talii, staruchę trzymającą w wyciągniętych rękach małe dziecko, pijanych mnichów w podartych habitach z odsłoniętymi członkami w erekcji...

— Ale im stoi na baczność mimo zimna! — wyszeptał Oliwier.

Na wozie ciągniętym przez młodych chłopców stała przystrojona w klejnoty kobieta z zasłoniętą głową. Między jej nogami wisiał błyszczący krzyż...

Filip i Oliwier zamknęli oczy ze wstrętu i przerażenia. Za wozem ciągnęła się zgraja bezkształtnych postaci, jakichś potworów uzbrojonych w kije i pały najeżone kolcami.

Kiedy wszyscy znaleźli się w kręgu, znowu rozbrzmiały pieśni. Nowo przybyli napili się napoju, wciąż dymiącego mimo mrozu.

Muszą w nim zanurzać rozżarzony miecz, pomyślał Filip.

Mężczyzna w stroju biskupa wszedł na podwyższenie, za nim starucha z dzieckiem, a na końcu zawołowana kobieta, która wśród okrzyków coraz bardziej podekscytowanego tłumu podniosła do góry zakrwawiony krzyż. Mężczyzna chwycił podany przez jednego z mnichów miecz i rozciął suknię kobiety od góry do dołu. Widok pięknego, krągłego i białego ciała wywołał nowe okrzyki radości. Wydawało się, że te na wpół nagie istoty nie odczuwały wcale zimna.

Kobieta położyła się na podwyższeniu z rozsuniętymi nogami, ukazując wszystkim swoje zakrwawione przyrodzenie. Pieśni stawały się coraz głośniejsze i bardziej szalone. Błyszczące i nieprzytomne oczy wychodziły z orbit, włosy jeżyły się na głowach kiwających się do przodu i do tyłu w coraz szybszym tempie podobnie jak ramiona i nogi, które, zdawało się, żyją odrębnym życiem. Nad wszystkim unosił się odór brudu, zgnilizny, ekskrementów, kadzidła, zmieszany z jakąś słodką, mdlącą wonią.

Starucha obnażyła dziecko i włożyła je w ręce mistrza ceremonii. Trzykrotnie podniósł on w górę małe ciało. To był półroczny chłopczyk, który gwałtownie poruszał się i wrzeszczał. Jakiś mnich podał złote cyborium wysadzone drogimi kamieniami.

Filip i Oliwier stali obok siebie i z drzeniem, bezradni i zafascynowani, obserwowali to niesamowite widowisko. Byli jak sparaliżowani, niezdolni do

najmniejszego ruchu czy logicznej myśli.

W ręce mężczyzny ukazało się cienkie ostrze. Drugą ręką chwycił dziecko za nóżki.

Zapadła głęboka cisza. Tłum krzyknął „he”, gdy ostrze zatopiło się w ciele dziecka i otworzyło powoli brzuch. Małe ciało wiło się. Krew bryznęła na biskupie szaty i twarze stojące w pobliżu. Dymiące wnętrzności upadły miękko na brzuch kobiety, która chwyciła je i z rozkoszą rozmazała na swoim ciele. Następnie mężczyzna poderżnął niemowlęciu gardło i zebrał do cyborium spływającą krew. Gdy spadła ostatnia kropla, wyrwał serce i rzucił trupka w ciżbę.

Oliwier zemdlął, a Filip wymiotował, zamykając oczy.

Gdy je ponownie otworzył, zobaczył, jak mężczyzna odgryza kawałek serca, a potem zjada z apetytem. Kobieta podniosła się, wyciągnęła rękę i chwyciła resztę, łapczywie wpychając ją sobie do ust. Długo żuła twarde mięsień, zanim go połknęła.

U stóp podwyższenia rozdzierano resztki żalosego ciała, gdyż każdy chciał go skosztować. Wielki ogień i okropieństwa, które się działy przed ich oczyma, mogły wywołać u Filipa i Oliwiera myśl, iż umarli w stanie grzechu śmiertelnego i że otwarło się przed nimi piekło.

Popchnięta przez kogoś jedna z kobiet wpadła do ognia. Momentalnie zamieniła się w płonącą pochodnię. Rzuciła się naprzód, chcąc uciec przed ogniem, ale ten wkrótce objął ją całą. Nikt nie próbował jej ratować. Gdy zmieniła się w bezkształtną, dymiącą masę, niektórzy zbliżyli się do niej, grzebiąc kijkami i oszczepami. Po chwili usiedli i pokroili ciało. Gdy już posilili się i napili gorącego napoju, od nowa zaczęły się tańce i śpiewy.

Na podwyższeniu niby_biskup odprawiał coś w rodzaju nabożeństwa. W momencie ofiarowania wyjął swój członek i zaczął się onanizować, nie spuszczać oczu z genitaliów kobiety, skąd wystawały wnętrzności dziecka. Jego obfite nasienie zebrano w naczynie. Następnie poświęcił tę nieczystą miksturę, przyjął jak komunię, potem podał ją kobiecie. Po przekazaniu cyborium mnichom połączył się z kobietą. To był sygnał do zakończenia sabatu. Rozstawieni wokół strażnicy opuścili swe posterunki.

Filip wziął na barki wciąż nieprzytomnego Oliwiera i polecił ruszać naprzód swoim współtowarzyszom. Należało jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce. Nie uszedł trzech kroków, gdy zatrzymał się i zawrócił. Stos i pochodnie ustawione w śniegu oświetlały rój ciał kopulujących w najbardziej wyszukanych pozach. Leżąca na podwyższeniu kobieta podniosła się. Jej długie, jasne włosy były splamione krwią i ekskrementami. Ciało poruszyło się lubieżnie, odwróciła się... Twarz miała odsłoniętą... Śmiała się! Filip upuścił Oliwiera i padł na kolana

szlochając.

Ten upadek otrzeźwił trubadura.

— Och, mój Boże! Myślałem, że to koszmar — wyszeptał. — Jak takie okropności są możliwe? Jak kobieta może jeść serce dziecka? Ta kobieta to...

Nie, to był zły sen! Filip wziął garść śniegu i przytknął do twarzy, do oczu. Nie, nie śnił. Gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, to szloch przyjaciela mógł zaświadczyć, że to, co ujrzał, było rzeczywiste.

Pomógł Oliwierowi wstać i zaprowadził do towarzyszy, którzy schowali się w rowie i nie byli świadkami okropnego widowiska. To, co słyszeli, mogło wystarczyć, by uwierzyli, że znaleźli się u wrót piekła.

To szczęście, że nic nie widzieli, pomyślał Filip. W przeciwnym razie musiałbym ich zabić.

Trzymając konie za uzdy oddalili się bez szmeru.

Jeszcze długo śmiech Ireny brzmiał pod ciemnymi wierzchołkami drzew w lesie pod Senlis.

Rozdział XXV

Odwiedziny

Wydawało się, że nienawiść, jaką Irena żywi do królowej, po śmierci dziecka nieco zmaląła. Raulowi z Cr~epy podała do wypicia ohydny napój, który tamtej nocy spłynął do poświęconego naczynia. Nie musiała długo czekać na efekt: kochanek nie odrywał od niej wzroku. Czasem dręczyły ją w nocy koszmary, ale była zupełnie szczęśliwa. Przez wiele miesięcy postępowanie hrabiego nie zmieniło się. Anna była znowu brzemienna i większość czasu spędzała w zamku w Senlis, w swojej ulubionej rezydencji. Zajmowała się biedakami, wychowaniem dzieci, a zwłaszcza szkołą, której budowa właśnie dobiegała końca.

W roku 1056 wydała na świat dziewczynkę, ale ta wkrótce umarła. Jednak boleśniej przeżyła utratę Mołni. To był jej najwierniejszy przyjaciel. Zawsze gdy dosiadała konia, przypominała sobie długie wycieczki wzdłuż brzegów Dniepru lub nad jeziorem Ilmen, gdzie jeździła w towarzystwie Filipa. Jej smutek był tak wielki, że sam Henryk się tym zaniekoił.

Filip... Co się z nim stało? Przez długie miesiące czekała na jakiś znak od niego, na jakieś posłanie. Nie nadeszło nic. Nie mogła uwierzyć, że mógłby o niej zapomnieć i pokochać inną. Pomimo dzielącej ich odległości czuła, że jest gdzieś blisko. Być może to były tylko marzenia. Często jednak odnosiła wrażenie, że patrzy na nią. Podnosiła wówczas głowę lub odwracała się. Nie, nie widziała nikogo. Tylko znane twarze z jej otoczenia. Drogi Filip, jakże jej go brakowało mimo upływu lat! Król nie potrafił sprawić, by zapomniała młodzieńca, którego wciąż w głębi serca nazywała Większą. Helena rozumiała tę tęsknotę i nigdy nie przypominała młodego wojownika z drużyny wielkiego kniazia Kijowa.

Adela z Flandrii, wciąż darząca życzliwością Annę, szukała sposobu, by rozproszyć jej smutek. Dobrą okazją ku temu stały się wydarzenia polityczne. Król Norwegii Harald Hardrada miał właśnie złożyć wizytę hrabiemu Flandrii i omówić z nim sprawę powrotu do Anglii Edwarda Aethelunga, ostatniego potomka w linii prostej króla Etherreda. Harald sprzeciwiał się temu zamiarowi mimo zgody cesarza i pragnął, by Baldwin stanął po jego stronie. Hrabina poprosiła męża, by namówił Norwega do przywiezienia ze sobą królowej.

Gdy Elżbieta zawitała do portu w Brugii u boku Haralda Norweskiego, miała niezadowoloną minę. Była zmęczona podróżą i z niecierpliwością przyjęła powitanie biskupa miasta, hrabiego i przedstawicieli różnych bractw. Wreszcie zbliżyła się do niej hrabina Flandrii w towarzystwie bardzo eleganckiej młodej kobiety. Elżbieta spojrzała ze znawstwem na suknię z ciężkiego, niebieskiego aksamitu z rękawami przystrojonymi haftami i futrem, na wspaniałą pelisę z lisów, która tak bardzo była podobna do jej okrycia... Eleganka zatrzymała się parę kroków przed nią, przyciskając do piersi dłonie w czerwono_zielonych rękawiczkach ze skóry. Elżbieta spojrzała na Adelę z osłupieniem.

Nagle królowa Francji i królowa Norwegii jednocześnie uniosły futra i rzuciły się ku sobie.

— Elżbieto!

— Anno!

Siostry całowały się, tuliły, przyglądały się sobie bez końca. Jakże odległe były to czasy, gdy z warkoczami na wietrze biegły na spotkanie ojca! Anna, jako młodsza, rzadko była pierwsza, ale Elżbieta nie wykorzystywała przewagi wieku i chętnie zostawiała jej trochę miejsca w ramionach Jarosława, który, jak mawiał, unosił je do królestwa nimf.

— A ja, o mnie już nie pamiętasz?

— Haraldzie!

— Chodź, niech cię uściskam, siostrzyczko. Jakże wypiękniałaś! Co się stało z tą dziką dziewczynką, która polowała w ruskich lasach? Gdybym nie kochał mojej Elżbiety, porwałbym cię królowi Francji.

Anna śmiała się, płakała, coś mówiła bez końca w swym ojczystym języku. Hrabina patrzyła na nią z rozczuleniem.

Po tym pierwszym wybuchu radości przyprowadzono paradne konie, na które wsiedli monarchowie Norwegii, królowa Francji, hrabia i hrabina Flandrii, biskupi i panowie ze świty. Orszak ruszył powoli ulicami Brugii wśród wiwatującego tłumu.

Elżbieta ucieszyła się ze spotkania z Heleną i Ireną, które opiekowały się małym Filipem. Chłopczyk nie chciał przywitać się ze swymi kuzynami, Magnusem i Olafem.

... Miesiąc minął jak jeden dzień. Trzeba było się pożegnać. Anna długo stała na nabrzeżu, patrząc za oddalającym się wysokim okrętem. Gdy zniknął we mgłę, Helena odprowadziła ją do powozu, gdzie czekała na nią hrabina Flandrii.

— Szukasz śmierci, tkwiąc tak bez ruchu na zimnie. Zobacz, jak się trzęsiesz. Gdyby coś ci się przytrafiło, mój brat Henryk nie wybaczyłby mi... I na dodatek

placzesz! To tak mi dziękujesz, że wymusiłam na moim małżonku, aby przywiózł królową Norwegii!

— Wybacz mi, Adelo, nieładnie ci dziękuję za twe życzliwe starania. Mówiłam ci już, jak jestem szczęśliwa, że mi umożliwiłaś to tak nieoczekiwane i niespodziewane spotkanie. Nigdy nie wyrażę do końca mojej wdzięczności. Dlaczego, droga siostrze, każda radość musi kończyć się smutkiem?

Na wiosnę 1057 roku Anna udała się z Matyldą na pielgrzymkę do Mont_Saint_Michel. Wydawało się, że sanktuarium unosi się nad falami. Zachwycona Anna modliła się ze szczególną żarliwością. Zakonnicy opactwa byli wzruszeni darami, które im przekazała. Władcy Normandii przyjęli ją z przepychem. Annę zdziwiło przywiązanie, jakim prosty lud darzył książąt, bogactwo miast i wsi, porządek panujący w całym księstwie. W królestwie Francji było zupełnie inaczej; kłótnie hrabiów i baronów nie miały końca. Królową wzruszyła też miłość, jaka łączyła Wilhelma i Matyldę. Miłość, która jednak nie była wolna od przemocy. Widziano bowiem księcia, jak rozgniewany ciągnął żonę za włosy na ulicy Froide w Caen. Zdziwienie Anny rozbawiło Wilhelma. Według niego do obowiązków dobrego męża należało bicie żony zawsze wtedy, gdy na to zasłuży.

— Wielkie dzięki! Król nigdy nie postępuje w ten sposób ze mną.

— Bo też jest mężem tylko z nazwy!

Ta uwaga dotknęła królową. Wilhelm wymamrotał słowa przeprosin. On sam nie mógł jej poślubić, ale królowej przydałby się na męża taki mężczyzna jak Pokiereszowany... W miarę upływu czasu książę odczuwał coraz większą przyjaźń do Filipa i wymógł na Gosselinie z Chauny, by mu zwrócił wolność. Młodzieniec należał teraz do jego osobistej straży. Książę zamówił dla swego przyjaciela srebrną maskę wyściełaną jedwabiem, która tak dobrze pasowała do jego biednej twarzy, że bardzo szybko stała się niezauważalna. Tylko damy zwracały na nią uwagę i twierdziły nawet, że ten zamaskowany rycerz, jak go nazywały, ma jakiś osobliwy urok. Srebrne oblicze błyszczało w słońcu, a jasne, długie włosy spadały na ramiona. Miał giętkie i silne ciało, które z pewnością było piękne mimo lekkiego chromania, zachrypnięty i załamujący się głos. To wszystko wydawało się kobietom bardzo pociągające.

Podczas pobytu królowej w Normandii Filip trzymał się z dala od wszystkich uroczystości. Ukryty pod maską, ośmielił się jednak zbliżyć do Anny tak blisko, że mógł usłyszeć jej głos. Za każdym razem, gdy to czynił, jej ciało nagle naprężało się, a potem wolno odwracało się ku niemu. Wzrok Anny zatrzymywał się na Filipie, a potem wędrował gdzieś daleko, pytający, zdziwiony, rozczarowany i zagniewany, gdy z powrotem zwracał się ku niemu. Musiał natężyć całą swoją

wolę, by nie zapomnieć o przysiędze, nie rzucić się jej do stóp i nie krzyknąć:

„Otwórz oczy i spójrz na mnie... Nie poznajesz mnie, Filipa? Kobieto bez serca! Gdybyś była brzydka, kaleka czy stara, poznałbym cię wśród wszystkich kobiet. Kocham cię na wieki”.

Nie mógł znieść jej wzroku, który go nie rozpoznawał, i uciekał, tłumiąc szloch.

— Kto to był? — pytała Matyldę Anna.

— Nic o nim nie wiem poza tym, że mój mąż czuje do niego przyjaźń. Znany jest pod imieniem Pokierszowany, bo ma straszne blizny na twarzy. Mój pan nie chciał odpowiedzieć na żadne z moich pytań i nakazał, bym nigdy o tym nie mówiła.

— I usłuchałaś?

Matylda pochyliła zarumienioną twarz.

— Niezupełnie.

Przyjaciółki wybuchnęły śmiechem.

— A więc ten Pokierszowany... Rozmawiałaś z nim? Kto to jest?

— Tak, rozmawiałam, ale niczego się nie dowiedziałam. Chociaż nie jest jeszcze pasowany, powiedział mi, że jest błędnym rycerzem...

— Nie jest rycerzem, a Wilhelm zaszczyca go swoją przyjaźnią?

— Ma być pasowany w dzień świętej Anny...

— Świętej Anny? — spytała zamyślona królowa.

— Tak, w dzień twojej świętej patronki. Tak zdecydował książę.

— Ach tak, to książę?

— Wyglądasz na rozczarowaną?

— Dlaczego miałabym być rozczarowana? Ten zamaskowany rycerz wcale mnie nie interesuje.

— Czy przypomina ci może tego rycerza z twego kraju, o którym mi opowiadałaś po narodzinach twego pierworodnego?

— Milcz!

Choć przyzwyczajona do wybuchów gniewu księcia, Matylda aż podskoczyła, słysząc podniesiony głos przyjaciółki.

— Wybacz, nie chciałam cię urazić. Myślałam, że ufasz mi i że mogę mówić o tym.

— To ja nie powinnam się unosić, ale jak mogłaś porównać mojego Filipa do tego kulawego i oszpeconego włóczęgi, który, jak powiadają, przesiaduje w

karczmach z dziewczkami. Pomimo szacunku, jaki żywi do niego Gosselin z Chauny, prosiłam, by oddalono go ze dworu.

— Dlaczego? Wśród nas jest wielu kulawych i oszpeconych. To nie jest zbyt miłosierne i zupełnie do ciebie niepodobne.

— Wiem — powiedziała zasmucona Anna. — Cierpię za każdym razem, gdy na niego patrzę... Zauważyłaś to... Coś mi w nim przypomina Filipa, zwłaszcza jego ruchy... Nienawidzę go za to, ale to tylko jego cień. Nie możesz tego zrozumieć, bo kochasz swego męża.

— Chodź, pomodlimy się do Najświętszej Madonny. Niech ubłaga dla ciebie u swego słodkiego syna pokój i zapomnienie.

— Codziennie proszę Boga o pokój, lecz zapomnienie? Nigdy! Wspomnienie szczęśliwych dni mej młodości pomaga mi żyć i sprawia, że wygnanie staje się do zniesienia.

— Jakże mi ciebie żal! Czujesz się jak na wygnaniu w kraju twego męża i twoich synów! Przecież wszyscy cię kochają! Czy nasza miłość się nie liczy?

— Moja dobra Matylde, nie wierz w to. Twoja słodka przyjaźń to najcenniejsza rzecz, jaką mam w tym kraju, obok przyjaźni księcia, miłego trubadura z Arles i wiernego Gosselina. Często w nocy budzę się z myślą, że wrócę pod niebo Nowogrodu...

— Nigdy tam nie wrócisz. Jesteś królową Francji. To twój kraj na zawsze.

Anna podniosła głowę.

— Znam moje obowiązki wobec króla, Francji i siebie samej. Jestem zbyt dumna z miejsca, na którym postawił mnie Bóg, by pokazać, że nie jestem tego godna. Winna to jestem pamięci mego ojca, wielkiego kniazia kijowskiego, mych sławnych przodków... Ale, widzisz, im więcej upływa czasu, tym bardziej tęsknię za Rusią...

— Niech Bóg nam wybaczy, że nie potrafimy sprawić, nie żebyś zapomniała o niej, bo to jest niemożliwe i nie należy tego czynić, lecz żebyś pokochała nową ojczyznę — odezwał się Wilhelm, który podszedł i od pewnego czasu przysłuchiwał się kobietom.

— Mylisz się, Wilhelmie, kocham Francję, ale nie marzę o niej jak o Rusi — odpowiedziała wzdychając królowa.

— Matylde, moja przyjaciółko, i ty, pani Anno, życzę sobie, abyście obie uczestniczyły w uroczystościach pasowania na rycerzy moich giermków dla uczczenia narodzin mego syna Wilhelma...

Na ołtarzu w blasku świec błyszczało siedem mieczy.

Filip wyspowiadał się i spędził noc na modlitwach w kaplicy zamkowej w Falaise razem z sześcioma giermkami, z których najstarszy liczył sobie siedemnaście lat. Nie chciał, by tylko dla niego organizowano uroczystość pasowania na rycerza, tak jak życzył sobie książę.

— Nie jestem godzien takiego zaszczytu — powiedział.

Wilhelm nie oponował.

Całą noc dawny wojownik drużyny kniazia kijowskiego myślał tylko o tej, która unikała nowego człowieka, jakim się stał, o tej, której nigdy nie zdradzi swego imienia, tak jak to przysięgał. Modlił się, by Bóg uchronił go przed grzechem krzywoprzysięstwa, by stał się godny zaufania księcia Normandii, by był rycerzem mężnym i bez skazy. Błagał Matkę Bożą, by opiekowała się królową.

O świcie w największym skupieniu wysłuchał mszy i przyjął komunię z rąk biskupa Bayeux. Wydawało mu się, że jego miecz leżący na ołtarzu błyszczy jaśniej niż pozostałe. Wiedział, że Wilhelm sam go wybierał i że w rękojeści znajduje się święta relikwia, do której książę był wielce przywiązany.

Koło południa fanfary zapowiedziały nadejście siedmiu kandydatów do stanu rycerskiego. Na zamkowym dziedzińcu w otoczeniu baronów, rycerzy i duchowieństwa czekał na nich książę Wilhelm w koronie odziedziczonej po ojcu. Na podwyższeniu, na które wiodły trzy stopnie, czekały damy. W pierwszym rzędzie znajdowały się Anna i Matylda, pierwsza w niebieskiej sukni z rękawami, przyozdobionymi białym futrem, a druga w sukni czerwonej wykończonej futrem czarnym. Złote i srebrne hafty ginęły w ciężkich fałdach ich spódnic. Skupione twarze obu kobiet okalały welony podtrzymywane cyzelowanymi srebrnymi broszami.

Giermkowie podchodzili kolejno do prowadzącego ceremonię. Książę przypinał młodzieńcom pasy z poświęconymi mieczami, a następnie ostrogi. Pomocnicy pomagali im w przywdziewaniu stroju. Później każdy z giermków złożył przysięgę, że będzie strzegł rycerskich zasad, i odmówił pacierz. Na zakończenie Wilhelm uderzał ich kolejno w ramię, mówiąc:

— Bądź mężny!

Choć uderzenie było silne, żaden się nie ugiął.

Nadeszła kolej Filipa. Gdy pas miał już przypięty do bioder i gdy poczuł przy ciele miecz, nazwany Mora, który podarował mu Wilhelm, spojrzał ukradkiem w stronę podwyższenia i pomodlił się pełnym bólu głosem:

— Panie, Przenajświętszy, Wszechmogący Boże, Ty, który zezwalasz na użycie miecza na ziemi, by powstrzymać złych ludzi i bronić sprawiedliwości, Ty, który dla obrony ludzi ustanowiłeś stan rycerski, spraw, by Twój sługa czynił dobro, by

nie użył tego miecza ani żadnej innej broni, by ranić niesprawiedliwie, lecz zawsze by służyć obronie sprawiedliwości i prawa.

Modląc się Filip utkwiał oczy w źrenicach Wilhelma, Książę cofnął się na dwa kroki i uderzył go w ramię.

— Bądź mężny!

Nowo pasowani rycerze dosiedli koni, pojechali ukłonić się damom, a potem dali pokaz zdolności i umiejętności we władaniu bronią. Najzręczniejszy zdaniem wszystkich okazał się zamaskowany rycerz, którego książę tak wysoko cenił.

Rozdział XXVI

Okrzyki wojny

W marcu 1057 roku podczas pobytu Anny w Normandii Henryk złożył wizytę Gotfrydowi Martelowi. Odnowili swój sojusz i zdecydowali, że tym razem rzucają Bastarda na kolana. W Angers czyniono już przygotowania do wojny, przewidzianej na najbliższe miesiące.

Król wrócił do Senlis, gdzie przebywała królowa. Wyglądał na odmłodzonego, lśniły mu oczy. Wypytał Annę o dwór normandzki, o wieści od „kochanego kuzyna Wilhelma” i od siostrzenicy Matyldy. Upewnił się, czy na pewno przekazała w jego imieniu zakonnikom Mont_Saint_Michel poświęcone naczynia. Spytał, czy dużo modliła się za spokój duszy ojca, wielkiego kniazia kijowskiego.

Anna była oszołomiona jego słowami, zdziwiona wesołością. Ufnie odpowiadała na wszystkie pytania męża.

— Czy nie widziałas żadnej koncentracji wojsk?

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem. — W bogatym księstwie Normandii wszędzie panuje spokój i porządek.

— Wiem o tym dobrze! — odburknął jej zagniewany.

Cóż takiego powiedziała, że nagle przybrał ten zły i fałszywy ton?

— Miły panie, powiedz, co ci się nie spodobało...

— Moja droga, myślałem o miłości, którą darzy cię książę i która nie jest ci niemiła...

— Ależ, panie, przecież nie miałeś nic przeciwko temu!

— To tylko polityczny manewr...

— Co mówisz? Przez te wszystkie lata wykorzystywałeś szlachetne i czyste uczucie do celów politycznych? Nie rozumiem...

— Jakże to ma znaczenie? To nie jest sprawa dla kobiet!

— W moim kraju rzeczy mają się zgoła inaczej. Mój ojciec zawsze pytał matkę

o zdanie i często postępował zgodnie z jej wolą.

Henryk wzruszył jedynie ramionami. Anna posmutniała i przeszła w głąb komnaty, odsunęła kotarę przy wejściu do kapliczki i uklękła przed złotym, lekko oświetlonym krzyżem. Po chwili zatopiła się w modlitwie.

Na początku lata połączone armie francuskie i andegaweńskie, stacjonujące w hrabstwie Maine, przeszły przez niziny Argentan i Falaise, a następnie najechały na Normandię. Dowództwo wojsk króla Francji i hrabiego Andegawenii znajdowało się w Saint_Pierre_sur_Dives. Oddziały posuwały się na północ, grabiąc i paląc, jak to było w ich zwyczaju, wszystko, co znajdowało się na ich drodze. Nieliczni żołnierze, którzy przeżyli bitwę pod Mortemer, niepokoiли się tym, że napotykają jedynie mały opór. Towarzysze wysmiali ich i obawy szybko prysnęły.

Książę spodziewał się napaści, lecz dopiero pod koniec lata. Udał się do Falaise, gdzie zebrał wojsko. Rozkazał, by szpiedzy codziennie donosili mu o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, które z ciężkimi wozami pełnymi łupów powróciły do Caen, przekroczyły rzekę Orne i skierowały się do ujścia w Dives. Henryk i Gotfryd Martel rozbili obozy na plaży. Razem z nimi przybyły ich dwory. Przy świetle ognisk rozpalonych na piasku rycerze grali w kości, słuchali opowiadań o wyczynach dzielnego Rolanda, popijali słodkawy napój, który ukradli Normandczykom, i swawolili z dziewczkami. Panował spokój, noc była ciepła i pachnąca, niebo gwiaździste, nieruchome morze błyszczało w świetle księżyca. Henryk miał ochotę na pieszczoty, więc pochylił się w stronę Oliwiera z Arles. Nadąsana mina młodzieńca powstrzymała jego zapał.

— Co ci jest, mój piękny przyjacielu? Od pewnego czasu widzę, że jesteś smutny... Czy nie jesteś szczęśliwy ze mną? Czy nie masz wszystkiego, o czym zamarysz? Może nie kochasz już swego króla? Nie odpowiadasz? A więc tak? Kochasz kogoś innego?

Trubadur zaprzeczył, kręcąc głową.

— Więc co ci jest? Czy za kimś tęsknisz?

— Gdyby tak było, on już by nie żył.

— Nie rozumiem! Mów! Rozkazuję... wybac, proszę — poprawił się król, widząc zagniewaną twarz młodzieńca.

— Mości królu, byłeś zawsze dobry dla mnie, ale zmęczyło mnie takie życie. Te ciągłe intrygi, byś przestał mnie kochać, nienawiść jednych i zazdrość drugich. Chciałbym, żebyś kazał mi odejść...

— Nigdy!

— ...bym mógł dać dowód mej odwagi i zostać rycerzem.

— Ty rycerzem!

Oliwier odczuł szyderczy śmiech króla jak policzek. Zerwał się na równe nogi i chwycił za miecz. Henryk nie był uzbrojony. Nie ruszył się, ale rzucił z pogardą:

— Ośmielasz się podnieść rękę na króla?

— Obraził mnie człowiek, a nie król. No, walcz! Boisz się, że cię nadzieję na miecz w sposób mniej przyjemny niż zeszłej nocy?

— Mój biedny Oliwierze, a ja zrobiłem dla ciebie tyle dobrego!

Po cichu podeszły strażę, pojmały i ogłuszyły królewskiego kochanka.

Książę Normandii wraz z setką rycerzy zdecydował się w końcu opuścić zamek w Falaise. Po drodze zebrał wieśniaków, którzy opłakiwali swe spalone chaty. Razem z tym oddziałem ludzi przepelnionych nienawiścią i chęcią zemsty dotarł do lasu pod Bavent, gdzie zarządził postój. Czekał na odpowiedni moment, by zaatakować. Nie trwało to długo. Zgodnie z informacjami, jakie do niego dotarły, nieprzyjaciel zamierzał przepłynąć się przez rzekę Dives mostem w Varaville.

— Są tak obciążeni łupami, że będą potrzebowali wielu godzin, by dotrzeć na drugi brzeg — wyjaśnił jeden ze szpiegów normandzkich.

— „Thor aie”! — krzyknął Wilhelm i wskoczył na konia. Na czubku kopii powiewał jego proporzec.

Słyszając wojenny okrzyk Normandczyków rycerze i chłopcy rzucili się razem naprzód.

Król Francji i hrabia Andegawenii wjeżdżali właśnie na wzgórze po drugiej stronie Dives. Zatrzymali się i odwrócili, by podziwiać rozciągającą się przed nimi długą wstęgę ludzi, koni i wozów.

Nagle mimo hałasu unoszącego się nad tą ciżbą ludzi dotarł do nich okrzyk wojenny, którego tak się obawiali. Jednocześnie tłumem wstrząsnął niezwykle spazm.

— Normandczycy! — krzyknął Gotfryd Martel.

Henryk musiał chwycić się siodła, by nie spaść na ziemię z przerażenia. W jednej chwili stali się bezsilnymi świadkami masakry swych żołnierzy.

Wilhelm dobrze wybrał moment ataku. Jedna trzecia armii francuskiej zdążyła już przekroczyć Dives, inna część znajdowała się na moście, a pozostali na drugim brzegu.

Tylną straż, dowodzoną przez hrabiego Blois, gwałtownie atakuje oddział wieśniaków, którzy walą pałami, oszczepami, łopatami, tną i zabijają. Przerażeni Francuzi przepychają się na moście wśród płataniny wozów, rannych koni, tratowanych jeźdźców i oszalałych zwierząt. Teraz wkraczają do akcji rycerze. Francuzi i Andegawęńczycy mimo swej odwagi zmuszeni są do odwrotu.

Niektórzy, próbując ucieczki, skaczą do wody, lecz wysoka fala porywa ich tuzinami i idą na dno na oczach osłupiałego króla i hrabiego. Część łupów znajduje się już w rękach Normandczyków. Wkrótce masakra staje się metodyczna... Na lewym brzegu Dives leżą stosy potwornie okaleczonych trupów z odrąbanymi członkami. Na moście jatka trwa dalej. Fale barwią się na czerwono, mewy dziobią ciała... Hrabia Andegawenii pada na kolana. Nie wierzy własnym oczom, przyglądając się tej wizji świętego Jana. Przed nim rozgrywa się Apokalipsa:

*„I ujrzałem innego anioła stojącego w słońcu:
i zawołał on głosem donośnym
do wszystkich ptaków, lecących środkiem nieba:
„Pójdźcie, zgromadźcie się na wielką ucztę Boga,
aby pożreć trupy królów, trupy wodzów i trupy mocarzy,
trupy koni i tych, co ich dosiadają,
trupy wszystkich
wolnych i niewolników
małych i wielkich!”
(Tłum. wg „Biblia Tysiąclecia”, s. 1413).*

To z pewnością Bóg chce go ukarać za szaloną żądzę władzy. Hrabia bije się w piersi, pada twarzą na ziemię, wznosi błagania do Matki Boskiej Miłosiernej. Bóg go nie słyszy. Fala podnosi się, woda wiruje wokół drewnianych słupów na moście. Tłum się kłębi bezradnie w zamęcie... Walczący nie słyszą pierwszego skrzyknięcia. Gdy w końcu zdają sobie sprawę z groźnego niebezpieczeństwa, most wali się z hukiem. Nie słychać krzyków nieszczęśników, którzy spadają razem z nim. W rzece Dives jest pełno hełmów, rąk, nóg, koni, ludzi złączonych w śmiertelnym uścisku. Patrząc na ten straszliwy spektakl, w którym uczestniczą zarówno ich nieprzyjaciele, jak i ich sojusznicy, tonący w odmętach rzeki, skamieniali Normandczycy zaprzestają na chwilę walki. A ich księżę ponawia okrzyk:

— „Thor aie”!

Ci, których wyrzuca fala, grzęzną w mule i tam też są masakrowani. Na czele dwudziestu rycerzy prowadzonych przez chłopów Wilhelm przebywa rzekę w bród i goni tych, co przedostali się na drugi brzeg. Walczy z wściekłością. Musi zrobić wszystko, by udaremnić wszelką próbę nowego najazdu Francuzów i Andegawęńczyków na Normandię.

Henryk patrzy na Bastarda, którego czerwone od krwi ramię niestrudzenie unosi się i opada. Mimo zmęczenia i wieku Henryk skacze na konia. W tym samym

momencie Gotfryd Martel i jego bratanek chwytają wierzchowca za uzdę. Zaskoczone zwierzę staje dęba i zrzuca króla na ziemię, po czym ucieka w stronę wroga. Przez chwilę Henryk jest jak oszołomiony, lecz natychmiast staje na nogi.

— Panie, trzeba uciekać!

Wnuk Hugona Kapeta potrząsa głową, opuszcza ramiona. Z twarzą zalaną łzami wskazuje trzęsącą się ręką pole walki.

W ich stronę pędzi jakiś normandzki rycerz. Twarz mu błyszczy, trzyma za uzdę spienionego rumaka. Ziemia rozbryzguje się, gdy staje przed osłupiałymi i pokonanymi wrogami.

— Księżę Wilhelm przesyła królowi Henrykowi swego konia, by mógł szybko opuścić jego ziemie. Powiadamia również, że hrabia Soissons i hrabia Blois są wzięci do niewoli.

Przez dłuższą chwilę Francuzi i Andegawieńczycy spoglądają za oddalającym się zamaskowanym rycerzem.

Pełen złości i bólu król Francji musi się wycofać...

Rozdział XXIX

W królewskich podziemiach

Mimo usilnych starań Annie nie udało się odkryć, skąd pochodził napisany po rusku list. Tylko ostrożność powstrzymała ją od zapytania o to Heleny, która z pewnością powtórzyłaby wszystko Irenie.

Od czasu polowania na lisa królewski medyk Jan z Chartres zabronił królowej konnych przejażdżek. Zalecił jej również przeczyszczenia i upusty krwi, kurację, po której czuła się naprawdę osłabiona.

Raul z Cr~epy chciał widzieć się z królową, ale nie mógł zostać z nią na osobności. W końcu, w obecności medyka, Heleny, Ireny oraz sług powiedział jej, by nie przyjmowała niczego, co nie było uprzednio sprawdzone.

Wszyscy krzyknęli z przejęcia oprócz Ireny, która rzuciła wściekle spojrzenie w stronę kochanka. Anna zauważyła to spojrzenie. A więc ostrzeżenie dotyczyło jej mlecznej siostry? Ogarnęło ją głębokie przygnębienie.

— Wyjdźcie, królowa źle się czuje.

Trzy dni później Anna wygnała medyka i jego pomocnika i mimo błagań Heleny i dworek udała się do szpitala. Pod zdziwionym okiem zakonnicy przełknęła dwie miseczki zupy, stwierdziła, że jest bardzo smaczna, a potem podała ją chorym, którzy cisnęli się wokół niej. Nagle poczuła, że czyjaś ręka podaje jej razem z miseczką jakiś zwój. Ani jeden rys jej twarzy nie drgnął. Człowiek, który przekazał jej posłanie, chleptał głośno zupę. Gdy spojrzała na niego, nie mogła powstrzymać grymasu obrzydzenia na jego widok. Jego zniekształcone ciało było ledwie zakryte śmierzącymi łachmanami. Twarz miał opuchniętą, nie było nosa, rzęs, brwi. Na tej martwej twarzy tylko oczy miały żywy, nie do zniesienia blask.

Anna przestała usługiwać biedakom. Niektórzy czepiali się jej sukni, by zatrzymać tę dobrą panią, która rozdaje zupę hojniej niż zakonnice. Ukryła się w pralni, jedynym pustym miejscu o tej porze dnia. Rozpoznała ruskie pismo i w uniesieniu ucałowała list. Anonimowy autor dotarł do Oliwiera i znalazł go w oplakany stan. Błagał, aby wstawiła się u króla, gdyż tylko on mógł wybaczyć zbrodnie obrazy majestatu. Donosił jej również, by nie ufała „towarzyszce z lat

dziecięcych”, która na swe nieszczęście zawarła pakt z diabłem. Pisał też, że znalazł w hrabim Valois prawdziwe oparcie. Na koniec zapewnił o swym głębokim szacunku i prosił, by zniszczyła pergamin. Przyjemność i wzruszenie z czytania paru linijek w ojczystym języku szybko uleciały, gdy wyczuła coś w rodzaju ostrzeżenia przed otaczającymi ją wrogami i szpiegami.

Głosy i nawoływania wyrwały ją z czarnych myśli.

— Gdzie jest królowa? Szukajcie królowej!

Anna zdążyła schować list, gdy weszła jej szwagierka ze złością w oczach.

— Ach, jesteś. Czy oszalałaś, żeby wstawać z łóżka i przychodzić tu, gdzie można nabawić się wszelkich chorób?

— Siostrze, proszę, czuję się dobrze. To przez lekarstwa mistrza Jana jestem chora.

— Chętnie bym ci uwierzyła, ale tym razem jednak on ma rację.

— Czuję się bardzo dobrze. Nie po raz pierwszy oczekuję dziecka.

— Wiem o tym — odrzekła łagodniejszym głosem hrabina. — Wiesz, jak bardzo cię kocham. To dlatego się niepokoję, zwłaszcza po tej próbie otrucia. Kim jest ów zły i niegodziwy człowiek, który nastaje na twe życie? Może ty wiesz?

— Nie. Moja dobra Adelo, dziękuję ci za troskę, która jest niezmienna od dnia mojego przyjazdu do pięknej Francji. Czy nie nadużyję twojej dobroci, jeśli poproszę cię, abyś wstawiła się w moim imieniu...

Anna przerwała. Czy nie jest szaleństwem zwierzać się osobie, która jest krewną króla?

— Mów, moja droga. Wiesz, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by okazać ci swe uczucie do ciebie.

— Odeślij ludzi. To, co chcę ci powiedzieć, musi pozostać między nami.

— Wyjdźcie! Zostawcie nas same.

Gdy drzwi się zamknęły, Anna zmusiła Adele, by usiadła na ławce w łaźni, i uklękła przed nią. Wzięła ją za rękę.

— Co robisz? Wstań!

— Proszę, pozwól mi mówić, nie przerywaj mi.

— Ale...

— To, o co chcę cię prosić, jest dla mnie bardzo trudne. Chcę, abyś wstawiła się u króla, by uwolnił Oliwiera z Arles.

Hrabina Flandrii zeszywniała. Próbowwała wyrwać swe rękę, ale Anna trzymała mocno i mówiła dalej:

— Jest uwięziony na tym zamku. Umiera. Wiem, że jego czyn zasługuje na śmierć, lecz błagam cię, byś wpłynęła na Henryka, by mu wybaczył.

— Czy widziano to kiedy, by żona błagała o łaskę dla faworyta męża?

— Zapomnijmy o tym. Wiem, że ty również lubiłaś Oliwiera mimo jego wad...

— Ale nie na tyle, by tracić uczucie mego brata.

— Błagam cię!

Hrabina uwolniła się gwałtownie z uścisku i wstała.

— Przez miłość do ciebie zapomnę o tej rozmowie i nic nie powiem królowi. Radzę ci, byś uczyniła to samo, jeśli nie chcesz znaleźć się na miejscu twego protegowanego.

Na twarzy królowej malowało się osłupienie. Na ten widok hrabina uśmiechnęła się smutno:

— Moja droga, czy życie na dworze francuskim nie nauczyło cię jeszcze, jakie tu mogą czyhać niebezpieczeństwa? Że wszystko, co tu się dzieje, to tylko intrygi, kłamstwa, zdrady? Nie powiesz mi chyba, że na dworze twego ojca było inaczej. Co zaś się mnie tyczy, to nie zauważyłam, żeby było inaczej na innych dworach.

Anna, bardzo blada, podniosła się z klęczek.

— Wybacz mi, myślałam, że mogę liczyć na twą dobroć i miłość bliźniego. Czy Chrystus nie nauczył cię wybaczać?

— Nie mieszaj Pana naszego do tej sprawy. Uwierz, że Oliwier nie żyje, i módl się za niego. Wyglądasz na cierpiącą. Odprowadzę cię. — Hrabina Flandrii otworzyła drzwi. — No, chodź. — Anna stała nieruchomo niby skamieniała. Odmówiła ruchem głowy. — Jak chcesz!

Leżąc za kotarami, które otaczały jej łożo, Anna oddawała się ponurym rozmyśleniom. Od czasu rozmowy z Adelą nie ujrzała jej więcej. Jedna ze służek doniosła, że hrabina wróciła do Flandrii. Ten wyjazd bez pożegnania zasmucił Annę głęboko i mocniej odczuła osamotnienie na dworze, na którym miała teraz więcej wrogów niż przyjaciół. Od miesiąca nie otrzymywała wieści od Raula z Czeremchy i od nieznanego, który dwukrotnie pisał do niej po rusku. Listy wysłane do Matyldy Normandzkiej, do Gosselina z Chauny, do Rogera, biskupa Chalons, pozostały bez odpowiedzi. Wydawało jej się, że najmniejszy jej gest jest śledzony i najniewinniejsze słowo usłyszane. Tylko modlitwa przynosiła jej ukojenie. Resztę czasu spędzała w bezruchu i w milczeniu, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, odmawiając pożywienia. Zrozpaczona Helena zwróciła się do króla.

Henryk nie widział królowej od wielu tygodni. Gdy ją zobaczył, zdziwił go jej mizerny wygląd.

— Cóż ci się stało? Doniesiono mi, że odmawiasz pożywienia... Pomyśl o dziecku, które nosisz! Jedz, zrób jakiś wysiłek. Boisz się, że cię otrują? Przecież próbują twoich potraw... Masz swoją piastunkę? Powiedz coś w końcu! Czego chcesz?

Anna podniosła podbite sińcami oczy.

— Chcę mieć swobodę w poruszaniu się.

— Moja droga, możesz chodzić, dokąd chcesz. Nikt ci tego nie zabrania. To w twoim interesie i w interesie dziecka medyk zalecił, byś nie opuszczała komnaty.

— Janowi z Chartres z pewnością wydaje się, że dobrze czyni, ale te przeczyszczenia, upusty krwi, brak powietrza i ruchu przynoszą szkodę mojemu zdrowiu i odbierają apetyt. Nie będę w stanie przełknąć ani jednego kęsa tak długo, jak długo nie będę mogła udać się do mojej szkoły, szpitala, do moich biedaków.

Wszyscy spoglądali po sobie. Stało się jasne, że nic nie wpłynie na zmianę decyzji królowej. Medyk nie wiedział już co radzić. Wierzył, że leczy królową prawidłowo, lecz jego dostojna pacjentka miała inne zdanie i postanowiła zagłodzić się na śmierć, jeśli on nie zmieni metody postępowania.

— Drobne zajęcia w rozsądnych granicach oraz odrobina spaceru nie zaszkodzą królowej. Termin rozwiązania jest jeszcze odległy...

— A więc, moja pani, usłyszałaś, co powiedział mistrz Jan? Możesz wychodzić pod warunkiem, że będziesz ostrożna. A teraz jedz.

Anna z trudem powstrzymała się, by nie wyrwać z rąk pacholków, którzy mieli za zadanie próbować potraw, zupy na kurzych grzebieniach i grzybach. Musiała udawać, że połyka bez pośpiechu i bez przyjemności. Dwa dni później była już w stanie udać się do szpitala, gdzie chorzy przyjęli ją z radością. To ukoronowało jej rekonwalescencję.

Mieszkańcy Senlis znów z radością ujrzeli swą panią, która w futrzanym okryciu przemierzała ulice miasta, zatrzymywała się przed straganami kupców, rozmawiała z rzemieślnikami, rozdawała jałmużnę biedakom, ciągnącym gromadnie za nią, gładziła głowy dziecięce, śmiała się z żartów giermków, spoglądała z zazdrością, jak inni ślizgają się po zamarznętej wodzie, modliła się pobożnie w kościele otoczona swym ludem. Podczas jednego z nabożeństw przekazano jej wiadomość od hrabiego Valois. Donosił, że nie musi się już martwić i że przed następnym nowiem księżycy z pomocą boską „wszystko będzie dobrze”.

Tego wieczoru Anna modliła się gorliwiej niż przedtem.

Nienawiść i pożądlivość zawarły przymierze, by doprowadzić królową i trubadura do zguby. Irena zrozumiała, że kochanek odczuwał do niej jedynie wstręt, i czekała na właściwy moment, by zabić Annę. Nie skutkowały już czary,

które miały sprawić, by hrabia ją pokochał, ani czary, które miały wygnać z serca hrabiego kniaziównę. Była zrozpaczona, postanowiła zadać sobie śmierć. Ale przedtem musiała zginąć jej rywalka.

Również Thierry z Lasu, który zastąpił Oliwiera z Arles w sercu króla, nalegał, by jego poprzednik został ukarany za popełnioną zbrodnię. Nie rozumiał, dlaczego król ciągle odkłada egzekucję, i obawiał się, że przyjaciele trubadura uzyskają w końcu ułaskawienie.

Irena i Thierry z Lasu spotkali się przy łożu królowej. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że są gotowi użyć wszelkich sposobów, by zrealizować swe cele. Śledzili i kazali śledzić królową i wkrótce poznali cel spotkań z hrabim Valois. Uzgodnili, że otworzą przed nimi bramy więzienia Oliwiera i sprawią, że król przyłapie ich oboje. Udało im się to, czego nie zdołali osiągnąć hrabia i Pokierszowany: dotarli do więzienia. Myśląc, że przychodzą go uratować, osłabiony na ciele i umyśle Oliwier zaufał im i napisał na kawałku koszuli własną krwią słowa, które podyktował mu współnik Thierry'ego: „Przybądź, bez ciebie nie mogę żyć”. Nie miał jednak siły, by się podpisać. Mały żebrak przekazał szmatkę królowej. Ze wzruszeniem Anna odczytała posłanie. Oliwier żył! Dziecko w łachmanach czekało, choć lokaje chcieli je przepędzić. Anna wstrzymała ich i odesłała. Dziecko chwyciło ją za rękaw i powiedziało nie ruszając prawie ustami:

— Jutro, po nieszpórach, w szkole...

Przez całą noc Anna zastanawiała się, czy pójść na spotkanie. O świcie usnęła i śniły jej się koszmary. Oto Światopełk, zabójca Borysa i Gleba, oraz jej mąż knuli, jak zabić trubadura. Obudziła się z krzykiem. Helena potrząsnęła nią i próbowała wyrwać ze snu.

— Dziecko moje, otwórz oczy. Nie bój się, twoja stara niańka jest przy tobie.

Złana potem, rozczochrana Anna rozglądała się wokół. Wyglądała na przerażoną. Służące przybiegły, słysząc jej krzyki.

— Co się stało?

— Co się dzieje?

— Czy królowa zachorowała?

— Trzeba wezwać medyka!

— Lepiej księdza!

Królowa w końcu musiała przemówić, by uciszyć ten gwar i odprawić kobiety.

— Niech ci pomoże Święta Panienska. Za bardzo interesujesz się tym chłopcem. Nie podoba mi się to, co do niego czujesz.

— Czy ci się podoba, czy nie, to nie jest twoja sprawa.

Helena udawa, że nie słyszy, i mówiła dalej:

— Coś mówiłaś w naszym języku. Błagałaś Matkę Bożą, by oszczędziła Oliwiera. Wzywałaś na pomoc ojca, wielkiego kniazia Jarosława, brata Włodzimierza. Biłaś się ze Światopełkiem, przeklętym, i... ze swoją siostrą... moją córką Ireną! Wykrzykiwałaś jej imię i w tym momencie cię obudziłam... Mówiłaś straszne rzeczy, które ranią me serce.

— Nie płacz, to był tylko sen. Pomóż mi się ubrać.

— Nie. Spotkałam w lesie boginię śmierci.

Anna szybko przeżegnała się, a wraz z nią Helena.

— Zupełnie zwariowałaś. Zapomniałaś, że jesteś ochrzczona? Zabraniam ci wspominać w mojej obecności o tej boginie śmierci!

— Jestem ochrzczona i wierzę w Boga Ojca i w Syna Jego Jezusa Chrystusa, i w Ducha Świętego. Ale od jakiegoś czasu ukazują mi się nasi dawni bogowie. Niektórzy, tak jak bogini śmierci, wołają mnie. Może już nadszedł czas, abym do nich odeszła. Czuję się już stara i zmęczona...

— Cicho bądź, mówisz głupstwa i bluźnisz.

— Nie myślę, ale jeśli tak jest, to oddaję się w ręce Boskiej Opatrzności. Ty i Irena... te straszne słowa! Czego obawiasz się ze strony swej siostry?

— Niczego, ubierz mnie!

— Już dawno zauważyłam, że nie ma miłości między wami. W niej jest nienawiść, a w tobie nieufność...

— Wystarczy! Ubierz mnie albo zawołam służące.

Helena płacząc ubrała ją.

— Gdzie jest Irena?

— Nie wiem, nie widziałam jej od paru dni. Życie, jakie prowadzi, jest dla mnie hańbą. Dlaczego nie zamknęłam jej w klasztorze, tak jak radziła hrabina!

— Za późno na lament. Ja też jestem temu winna, zabrakło mi odwagi...

— Kochaniatko moje, nie wyrzucaj sobie niczego. Zlitowałaś się, pamiętasz, groziła, że się zabije...

— Teraz mnie grożą — cicho powiedziała Anna zmęczonym głosem.

— Co mówisz? Chyba nie wierzysz w to, co mówisz? To byłoby okropne!

— Moja dobra Heleno! Pójdiesz dziś wieczór ze mną na mszę, a potem do szkoły. Pamiętaj, żeby nikt nam nie towarzyszył.

— Ale...

— To rozkaz! I ani słowa nikomu.

Gdy zamknęła się za nimi brama do podziemia wiodącego do lochów, Anna poczuła, że uczyniła rzecz nie do naprawienia. Czując lekki zawrót głowy oparła się o wilgotną ścianę. W tym samym momencie poruszyło się w niej po raz pierwszy dziecko, które nosiła. Instynktownie położyła ręce na brzuchu, by je zasłonić. Helena zauważyła osłabienie i gest królowej. Nic nie powiedziała, i tylko podtrzymała Annę, którą opiekowała się od najwcześniejszych lat. Lecz było już za późno i dopełniał się los...

Młodzieniec, który je prowadził do tego miejsca, nagle zniknął. Zastąpił go człowiek o dziwnej twarzy. Trzymał w ręce pochodnię, z której unosił się czarny i cuchnący dym. Wąskie, kręcone i rozstępujące się schody wiodły pod ziemię. Przytrzymały się śliskich ścian. Po pewnej chwili, która wydała się nieskończenie długa, znalazły się w jakimś pomieszczeniu ze sklepieniem podtrzymywanym czterema grubymi słupami. Wokół słupów zobaczyły obleśne rysunki nakreślone z takim realizmem, że aż oblały się rumieńcem, który skryły pod welonami. Obudzone przez światło nietoperze latały popiskując lekko.

Mężczyzna zapalił pochodnię umocowaną na ścianie.

— Zaczekajcie tu — powiedział.

Przytuliły się do siebie i patrzyły za wychodzącym przewodnikiem, który zniknął w jednej z siedmiu galerii prowadzących do sali. Żadnego dźwięku, tylko trzaskanie pochodni i popiskiwanie nietoperzy. W porównaniu do zimnych schodów tu było ciepło. Anna osunęła się na piaszczystą ziemię.

Ile czasu tak spędziły, nastawiając ucha, z bijącym sercem, głowa przy głowie? Oczy powoli się zamykały.

Z odrętwienia wyrwał je straszny krzyk. Podniosły się szybko i chwyciły za swoje sztylety. Na ten widok, choć obie odczuwały strach, uśmiechnęły się do siebie. Prawdziwe córki Rusi! Zawsze można je rozpoznać po tym, że są ostrożne. Nagle zobaczyły przewodnika, który przyciskał ręce do zalanej krwią twarzy. Bał się jak zwierzę w potrzasku, biegał we wszystkie strony, uderzał o ściany, o słupy, plamiąc je krwią i bez przerwy krzycząc. Wreszcie upadł. Z jego pustych oczodołów wypływała kipiąca maź. Helena pochyliła się nad nim.

— Nie żyje — rzekła i wyprostowała się.

Usłyszały nowe krzyki, ktoś musiał straszliwie cierpieć.

— Nie! Nie! Litości!

— To głos Oliwiera! — krzyknęła Anna.

— Uciekajmy, córko, uciekajmy!

Królowa wyrwała się z rąk piastunki, która chciała ją zaprowadzić do schodów. Chwyciła pochodnię i rzuciła się do galerii, skąd prawdopodobnie dochodziły

krzyki. Helena ruszyła za nią. Po paru krokach musiały zawrócić, bo jakieś zwałowisko tarasowało drogę. Następny korytarz prowadził do podziemnego szerokiego potoku o tak silnym nurcie, że nie mogły go przejść. Trzeci był zamknięty zardzewiałą kratą. Czwarty okazał się właściwy. Droga była kręta. Teraz słyszały już wyraźnie jęki, które nastąpiły po krzykach. Dotarły do mniejszej zwężającej się ku górze sali. Zobaczyły wetknięte w piasek płonące pochodnie. Dalej były następne galerie i lochy.

W jednym z nich ujrzały nagiego wychudzonego starca. We włosach i brodzie miał słomę, pajęczynę, a także kurz i zastygłą krew. Wił się przytrzymując rękami drzewce kopii, które go przytwierdzało do ziemi.

Królowej zrobiło się niedobrze, ale opanowała się i nachyliła nad nieszczęśnikiem. Ten podniósł na nią szkliste oczy. W jego jasnym wzroku odbijało się z wątpienie, strach, radość.

— Moja królowa!

Anna osłupiała. Upuściła pochodnię, która potoczyła się do nóg nieszczęśnika, ukazując całe okropieństwo tortur, jakie mu zadano. W miejscu, gdzie znajdują się genitalia, była jakaś straszna masa. Tkwiła w niej kopia.

— Moja królowa — szeptał starzec oszalały z radości i wyciągał ku niej chude ramiona.

Nie, nie! To nie mógł być miły Oliwier, wesoly kompan długich, zimowych wieczorów, czuły przyjaciel, śpiewający słodkie pieśni, wspaniały muzyk, który potrafił znaleźć odpowiednie dźwięki, rozpraszać nudę jej dni i wstyd jej nocy. Krzyknęła:

— Nie!!!

— Królowo...

Anna gwałtownie wyrwała kopię, narzuciła okrycie na to, co zostało z pięknego kochanka jej męża, i przycisnęła do łona jego siwą głowę. Zanuciła mu kołysankę z lat swego dzieciństwa.

— Oliwierze!

Nie zdziwiła się, gdy w lochu ukazał się zamaskowany rycerz.

— Przybywasz za późno.

Trubadur spoglądał na dwie osoby, które kochał i które go kochały tak bardzo, że ryzykowały honor i życie, by go ratować.

— Umieram szczęśliwy. Zostaw mnie, przyjacielu. Ratuj królową... To zasadzka... Król wie, że ona tu jest.

— Wiem o tym. Przyprowadził mnie tu jeden ze zdrajców.

— Szybko, wyprowadź ją... Idź, królowo... Niech Bóg ma cię w opiece!
Filip!...

Anna zadrżała. Jej syn... Czy on też jest w niebezpieczeństwie? Rycerz wstał.

— Chodź!

Ostatnim wysiłkiem Oliwier podniósł się, wyciągnął rękę, tak jakby chciał coś pokazać.

— Filip — wyszeptał i upadł. Nie żył.

Zamaskowany rycerz i królowa stali chwilę nieruchomo, nie mogąc oderwać wzroku od wyciągniętej ręki, która zdawała się wskazywać na nich.

— Ktoś się zbliża, panie. Ratuj moją dziecinę! — krzyknęła Helena.

Była tak wzburzona, że odezwała się w ojczystym języku.

— Nie lękaj się, Heleno, uratuję ją — odpowiedział Pokiereszowany, unosząc na rękach Annę.

Helena zrozumiała wówczas, kim jest ten rycerz, i to, że bogowie Rusi czekają na nią.

Rozdział XXX

Śmierć Heleny

Królowa długo chorowała, więc król nie mógł się niczego od niej dowiedzieć ku wielkiemu rozczarowaniu Thierry'ego z Lasu i Ireny, którzy przygotowali wszystko, by przyłapać Annę z Oliwierem z Arles. Zbóje, najęci do tej roboty, dokonali strasznej zbrodni. Helena zaś z uporem powtarzała, że królowa o niczym nie wie i że to ona sama postanowiła ratować trubadura, przekupując strażników. Ich zamiary spełzły na niczym.

Helenę wzięto na tortury, potem osadzono w klasztorze w Senlis. Umarła, prosząc Boga o wybaczenie grzechów. Nie zobaczyła już więcej Anny, dla której poświęciła życie.

Irena przyjęła wiadomość o śmierci matki z obojętnością. Nie chciała nawet dowiedzieć się, kto kazał wznieść na cmentarzu klasztornym okazały grobowiec z wrytym w języku ruskim imieniem Heleny.

Przez kilka tygodni mały Filip budził się co noc z płaczem i przywoływał swą chrestną matkę. Całymi dniami siedział przy łóżku Anny i płakał, gdy musiał ją opuszczać.

Królowa powiła przed czasem słabowitego chłopca, któremu dano na chrzcie imię Hugon. Wszyscy byli przekonani, że dziecko nie pożyje długo.

Po porodzie stan królowej pogorszył się. W całej Francji odprawiano msze i modlono się w jej intencji. Książę i księżna Normandii udali się z pielgrzymką do Coutances, by błagać Madonnę o zdrowie dla swej przyjaciółki. Hrabia Valois uroczyście ślubował, że pojedzie do Jerozolimy pokłonić się przed grobem Chrystusa, jeżeli królowa wróci do zdrowia. Wkrótce życiu Anny nic już nie zagrażało. Jesienią, blada i osłabiona, udała się na grób swej piastunki razem z Filipem. Tam trzymając się w objęciach oplakiwali kobietę, która była osłodą ich dzieciństwa.

Od śmierci Oliwiera Henryk zmienił się w bezzębnego starca o siwych i przeredzonych włosach. Bolało go całe ciało. Młodzieńcy, którymi się wciąż otaczał, nie potrafili go już zabawić. Z przerażeniem czuł zbliżającą się śmierć i

mnożył dary dla klasztorów królestwa w nadziei, że Bóg wybaczy mu grzechy. Za radą swego szwagra, hrabiego Flandrii, hrabiego Valois, swego starego sojusznika, hrabiego Andegawenii, który po klęsce na moście pod Varaville wstąpił do klasztoru, oraz biskupów Reims i Châlons postanowił koronować małego Filipa na króla Franków, tak jak i on został niegdyś ukoronowany za życia swego ojca. Postanowiono poczekać, aż dziecko skończy siedem lat. Gdy tylko osiągnęło ten wiek, odebrano go kobietom i powierzono wychowawcy i mistrzowi fechtunku. Królowa napominała Filipa, który nie chciał się z nią rozstać. W końcu przyjął tę zmianę, czego pogratulował mu ojciec. Na nauczyciela dano mu Enguerranda.

Ku powszechnemu zdziwieniu mały Hugon żył i zadziwiał mamki głośnymi wrzaskami i apetytem.

Po odzyskaniu sił Anna cieszyła się, że znów może cwałować po lasach. Polowała bez wytchnienia i wracała na zamek z zaróżowionymi policzkami i zmęczonym ciałem. Nareszcie znalazła spokój. Podczas tych eskapad wiatr rozwiewał jej włosy, przynosił zapomnienie i kołło cierpienia duszy.

Po jakimś czasie zapragnęła poznać okoliczności śmierci Heleny. Nikt nie chciał jej o tym powiedzieć. Król ograniczył się do stwierdzenia, że niańka przyznała się do zamiaru uwolnienia trubadura. Zdawała sobie sprawę z rozmiaru swej zbrodni i umarła ze wstydu.

Anna dowiedziała się wówczas, jaką cenę zapłacono za jej uratowanie.

— To przyjaciel Oliwiera, ten zamaskowany rycerz, jak go nazywają, oddany człowiek księcia Normandii, wyniósł cię z lochów przed nadejściem żołnierzy króla — powiedział jej w końcu Raul z Crèpy. — Podszłuchał w gospodzie rozmowę dwóch bandytów, którzy przechwalali się, że zamierzają zgubić królową. Zamaskowany zabił jednego z nich, a drugiego zmusił do wyznania prawdy. Wysłał mi wiadomość z prośbą, bym cię uprzedził, że knują przeciwko tobie. Niestety! Stało się to za późno. Byłaś już w drodze do lochów. Zamaskowany, przekupując, zabijając, podcinając gardła, podając się za jednego z bandytów, dotarł w końcu do lochu, gdzie zastał umierającego przyjaciela. To on cię stamtąd wyprowadził...

— Dlaczego nie uratował też mojej niańki?

— Byłaś zbyt słaba, by trzymać się na nogach. Helena poprosiła go, by cię odprowadził. Ona sama miała zostać, by umożliwić ci ucieczkę.

— Och, droga Helena!

— Znasz już dalszy ciąg. Żołnierze potraktowali ją okrutnie.

— Umarła jak matka, która chroni swe pisklę. Razem z nią straciłam ostatnią więź, która łączyła mnie z moim umiłowanym krajem. Teraz jestem już sama.

— Sama? Zapomniałaś o dzieciach, o mężu, o przyjaciółkach, o twym ludzie? Zapomniałaś, że jesteś królową?

Podniosła twarz zlaną łzami i popatrzyła nań wyniośle.

— Jakżebym mogła zapomnieć? Ale dzięki ci, że mi o tym przypomniałeś. Znam swe obowiązki, przed którymi postawiło mnie moje urodzenie. Ale będąc królową Francji nie przestałam być córką Rusi. Czy myślisz, że mąż i dzieci mogą sprawić, że zapomnę o kraju, gdzie się urodziłam? Stworzyły mnie jego ziemia, rzeki, jeziora, równiny i lasy! Czy myślisz naprawdę, że mogłabym zapomnieć? Tam oddycha się mocniejszym, czystszy powietrzem, nawet Bóg się tam lepiej czuje... Uśmiechasz się? Nie możesz zrozumieć...

— Rozumiem, ale ziemia to ziemia, a Bóg jest wszędzie. Ziemia, którą biorę, staje się moja tak jak kobieta. Staje mi się droga, tak jakbym ją posiadał od urodzenia. A biada temu, kto chciałby mi ją odebrać! Dla niej gotów jestem zabijać!

— Wiadomo, hrabio, że nie zawahasz się zabić, by zdobyć to, czego pożądasz. Wrogowie twoi wiedzą, jakim strasznym i bezlitosnym jesteś rycerzem. Nie zawsze przestrzegasz Rozejmu Bożego...

— Przestrzegam, jeśli mój przeciwnik czyni podobnie.

— Mieszkańcy P~eronne wciąż pamiętają o oblężeniu swego miasta tuż przed zajęciem go przez twe wojska. Pokazałeś wówczas, że jesteś zarówno zręcznym dowódcą, jak i nieugiętym panem podczas pokoju.

— Nie mogłem przecież okazać serca miastu kupców, którzy kradną i kłamią!

— Ale po co od razu obcinać przy tej okazji ręce i nogi najbogatszym...

— W ten sposób nie będą więcej kraść — roześmiał się hrabia zwany obecnie Raulem z P~eronne.

— Ale czy musiałeś niesprawiedliwie zająć miasto Montdidier?

— To takie piękne miasto!

— Ale nie warte było, byś został wyklęty! Miarkuj się, hrabio, pomyśl o twej duszy, która będzie potępiona.

— Potomek Karola Wielkiego nie rezygnuje nigdy.

— Czy nie jesteś już dość potężny? Twoje posiadłości są już prawie tak rozległe jak ziemie króla. Twe małżeństwo z Ali~enor przyniosło ci miasta i zamki w Szampanii. Kontrolujesz żeglugę na Sekwanie, a tym samym zaopatrzenie Paryża...

— W Paryżu nigdy nie brakowało mąki...

— Przypuszczam, że król jest ci za to wdzięczny!

— Powinien!

— Już dosyć o tobie. Co się stało z zamaskowanym rycerzem? Nie przypominam sobie, bym widziała go w lochu. Dlaczego umierając Oliwier wspomniał o moim synu Filipie?

— W żadnym momencie twój syn nie był w niebezpieczeństwie.

— Oliwier myślał inaczej, bo po cóż by wymieniał dwa razy jego imię?

— Rzeczywiście, to jest dość dziwne, nie potrafię tego wytłumaczyć. Zamaskowany opuścił Senlis wkrótce po śmierci twej niańki. Powrócił do księcia Normandii. Mam wieści o nim od mojego syna Szymona, który go wielce poważa.

— Chciałabym mu podziękować i pomówić o Oliwierze z Arles.

— Jeśli pozostanie w służbie Bastarda, to z pewnością będziesz miała okazję go spotkać.

— Czy wiesz, skąd pochodzi? Księżna Matyllda twierdzi, że nic o tym nie wie. Zaś Gosselin z Chauny powiedział mi, że zobaczył go po raz pierwszy, gdy przybyłam do Francji.

— Nic o nim nie wiem. Tyle tylko, że waleczni panowie szanują go i uważają za równego. To mi wystarcza.

Anna zamyśliła się i szeptała do siebie:

— Za każdym razem, gdy go widzę, czuję jednocześnie jakiś pociąg i odrazę...

— Jak większość kobiet.

— Co mówisz?

— Wybacz, królowo, ale damy normandzkie też odczuwają do niego pociąg i odrazę. Ale w tym wypadku pociąg musi być silniejszy, bo, jak twierdzą, wiele z nich mu ulega!

— Wystarczy, hrabio — rzekła Anna rumieniąc się. — Dziękuję ci za pomoc. Żegnaj!

Raul z Cr~epy uklonił się i skierował ku wyjściu. Odszedł zaledwie na parę kroków, bo królowa przywołała go z powrotem.

— Hrabio, co się stało z moją mleczną siostrą?

Powoli podszedł do niej i spojrział niepewnie.

— A więc? Czekam!

— Nie żyje.

Anna spodziewała się tej odpowiedzi. A jednak zachwiała się i zbladła.

— Kiedy? Jak?

— Czy naprawdę chcesz wiedzieć?

— Hrabio, gdy pytam, żądam odpowiedzi!

— Dobrze, królowo. Jutro będzie dziesięć dni, jak Irena umarła...

— Mów dalej. Wahasz się. Czy ją zabiłeś?

— Wiele razy żałowałem, że tego nie zrobiłem. Ta kobieta była szatanem. To czarownica, która marzyła, by cię zgubić. Paktowała z diabłem i nie zawahała się poświęcić swego własnego dziecka, by zaspokoić najbardziej nikczemne żądze.

— Nie mów takich okropności!

— Sama przyznała mi się do tej zbrodni, opowiedziała mi ze szczegółami, a przy tym śmiała się jak dusza potępiona. Czemuż jej wtedy nie zabiłem? — Raul z Cr~epy zbladł, czoło pokryło mu się kropelkami potu. Po chwili milczenia dodał: — Powiesiła się!

Królowa i straciła przytomność. Nadbiegły służące i zaniósły ją do łóża. Gdy oprzytomniała, wzrok jej spoczął na hrabim, który stał nieruchomo. Rozpłakała się.

Jakże wtedy była piękna! Wziąć ją teraz, pocieszyć!

— Odejdź, panie. Królowa musi odpocząć — zwróciła się do niego Adelajda z La Fert~e, dama dworu, przyjaciółka i powiernica królowej.

Rozdział XXXI

Koronacja Filipa

Wieść o samobójstwie Ireny wstrząsnęła królową. Czuła się winna jej śmierci. Była tak zajęta własnymi kłopotami, że zaniedbała siostrę i nie potrafiła ustrzec jej przed takim człowiekiem jak Raul z Cr~epy. W pokorze wyznała swój grzech i uzyskała od króla zgodę na oddalenie się na jakiś czas do klasztoru w Melun, gdzie jej zdyscyplinowanie i pobożność stanowiły wzór dla innych. Gdy wróciła do świata, ufundowała w samym sercu Senlis, nad brzegiem rzeki Vi~etel, kościół poświęcony Świętej Trójcy, Najświętszej Marii Pannie, świętemu Janowi Chrzcicielowi i świętemu Wincentemu męczennikowi. Kościół stanął na miejscu starej zrujnowanej kapliczki wzniesionej ku czci patrona hodowców winorośli. By odkupić swe grzechy, kazała również wznieść klasztor męski według reguły świętego Augustyna.

Wkrótce potem otrzymała list od papieża, który ją napełnił dumą i ukoił wyrzuty sumienia:

„My, Mikołaj, biskup i sługa sług Bożych do Czcigodnej Królowej, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie!

Dziękujemy Wszechmocnemu Bogu, źródłu wszelkich dobrych uczynków, bowiem dowiadujemy się, że moc cnót męskich objawiło się w sercu niewieścim.

Dowiedzieliśmy się, doskonała Córko, o wielkości Twej szczodrości i przychylności, którą okazujesz ludowi, o trosce i przykładności, z jaką praktykujesz modlitwę, o mocy Twego wstawiennictwa za tymi, których nęka przemoc, a także o wszystkich dobrych uczynkach, przez które starasz się jak najlepiej wypełnić Tve królewskie obowiązki.

Wzywamy Cię, abys wiernie podążała tą drogą, na którą wstąpiłaś za wstawiennictwem Boga, abys starała się utrzymywać Twego niezwycięzonego małżonka, Króla, naszego Syna, w umiarze, sprawiedliwości i pobożności, abys dbała o dzieło Kościoła. Albowiem tak jak słowa Abigail potrafiły obronić głupiego Nabala przed mieczem zagniewanego Dawida (1 Sam 25, 3_#42), tak Twoja litość sprawi, że Twój wielce powściągliwy małżonek stanie się powolny

zamiarom Boga. Tym samym pokochasz go wreszcie prawdziwie, jeśli przez Tve pobożne wezwania sprawisz, by służył zamiarom Boga. Jakaż jest bowiem miłość niewiast do ich mężów, jeżeli miłują tylko ich cielesną powłokę, jeśli mogą się tak wyrazić, i jeżeli nie przywiązują żadnej wagi do skarbów duszy, które ona ukrywa? „Przechowujemy zaś ten skarb w naczyniach glinianych”, mówi nam Apostoł (2 Kor. 4, 7).

Owe niewiasty miłują jedynie to, co robaki strawią w grobie. Lekceważą wielce to, czemu przyrzeczona jest w niebiosach nieprzemijająca chwała. To właśnie w ciebie zamieszkała miłość tej, która z bezczelną ironią zwróciła się do Dawida, upokarzając go przed Panem: „O, jak to wślawił się dziś król izraelski, który się obnażył na oczach niewolnic sług swoich, tak jak się pokazać może ktoś niepoważny.” (2 Sam. 6, 20). A ponieważ umiejscowiła swe żądze w ciebie, została pozbawiona owocu ciała. To dlatego Pismo Święte dodaje trochę dalej: „Mikal, córka Saula, była bezdzietna aż do czasu swej śmierci.” (idem 23). Lecz, Ty Córko chwalebna, zasłużyłaś od Boga na dar płodności. Ucz Tve znakomite potomstwo, by już od pierwszych kwileń niemowlęcych wraz z mlekiem matki było karmione miłością do Stwórcy swego.

Niech Tve dzieci nauczą się od Ciebie, komu zawdzięczają, iż zrodzone jako szlachetne na tronie królewskim, dzięki łasce Ducha Świętego, narodzą się powtórnie jeszcze bardziej szlachetne na łonie Kościoła. Niech nie przedkładają dóbr doczesnych nad sprawiedliwość. Uczyń, by chciwie poszukiwały prawdziwego skarbu mądrości. Królowa Saba nie przybyła, by ujrzeć skarby, lecz by wysłuchać mądrości Salomona (1 Krl. 10), a jednak to, o co nie prosiła, uzyskała w nadmiarze.

Ty też, Córko, będąc posłuszna przykazaniom boskim, posiadź mądrość, byś zasłużyła dla zbawienia duszy na korzystanie z dóbr ziemskich i na przejście z królestwa doczesnego do Królestwa niebieskiego.”

Zdecydowano, że koronacja małego Filipa odbędzie się w obecności króla Henryka, królowej, biskupów i wielmożów.

Dwudziestego trzeciego maja 1059 roku, w dzień Zielonych Świątek, arcybiskup Reims Gerwazy przywitał u wejścia do katedry rodzinę królewską wraz z całą świtą wśród okrzyków licznie zgromadzonego tłumu, który żołnierze odgradzali od dostojnych gości. W promieniach słonecznych błyszcząły kolorowe jedwabie i aksamity, złoto i kamienie szlachetne klejnotów, hełmy i broń. Lud był zachwycony tym widokiem. Królowa wyglądała wyjątkowo pięknie. Na czoło włożyła wysoką koronę, spod której spływał na ramiona haftowany perłami welon. Suknia w ciemnoniebieskim kolorze, podkreślającym jej bladą cerę, była również ozdobiona perłami. Gdy wchodziła po schodach do katedry razem z królem i synem, przypomniała sobie chwilę sprzed ośmiu lat, gdy szła wzdłuż tej samej

nawy do mężczyzny, który miał ją pojąć za żonę i uczynić z niej królową. Dzisiaj oboje przyszedli tu wraz z dzieckiem zrodzonym z tego związku.

Filip stał wyprostowany. Na czole miał złotą opaskę, na którą opadały loki. Dwa razy dotknął ręki matki, by dodać sobie odwagi. Miał dobrze się prezentować, by królowa była z niego dumna i żeby w dalszym ciągu pozwalała mu wślizgiwać się do swego łóżka, gdy uda mu się umknąć spod kontroli mistrza Enguerranda! Rzucił okiem w stronę ojca. Nie potrafił pokochać tego mrukliwego człowieka. Bał się jego ostrych i kąśliwych uwag. Wydawało mu się, że to ojciec jest powodem cierpienia matki.

Król poruszał się z trudem. Za dużo gorzkich wspomnień cisnęło mu się do głowy. Trzydzieści dwa lata temu, w dzień Zielonych Świątek 1027 roku, jego ojciec Robert przyszedł tu z nim, by go koronować po śmierci starszego brata Hugona, ukochanego syna królowej Konstancji. Król czuł jeszcze na czole, na ramionach, na rękach święty olej, którym namaścił go arcybiskup Ehalus. Po śmierci ojca długo walczył z Konstancją, braćmi, baronami, którzy chcieli wyrwać mu koronę. Ile się musiał nawalczyć przez ponad trzydzieści lat panowania...

Król był stary i zmęczony. Marzył o odpoczynku. Czuł, że nadeszła już godzina. Musiał się szykować, by stawić się przed Stwórcą. Straszna śmierć Oliwiera z Arles, której nie chciał, wywołała w nim głęboki smutek. Bez przerwy kazał swemu kapelanowi Ghislainowi odprawiać msze za spokój duszy trubadura, którego niegdyś tak czule kochał.

Król modlił się do Przenajświętszej Pani i jej słodkiego Syna, by pozwolili mu znieść tę nie kończącą się ceremonię. Przed odczytaniem listu apostolskiego arcybiskup zwrócił się do Filipa:

— Bóg jest Stwórcą i Panem wszelkich rzeczy. Przywiązuje nas do siebie mocą naszej duszy poprzez Wiarę, Nadzieję i Miłość. W nim jest nasze szczęście, bowiem łączy nas z nieskończonym dobrem, które jest nim samym. Bogu należy się nasze uwielbienie i nasza miłość. Filipie, czy uznajesz Ojca, Syna i Ducha Świętego za jedyne i tego samego Boga?

— Tak.

— Czy chcesz zachować wiarę katolicką twych przodków i pomnażać jej dzieła?

— Tak, chcę.

— Czy chcesz chronić i bronić Kościoła świętego oraz duchowieństwo?

— Chcę.

— Czy chcesz sprawiedliwie rządzić i bronić królestwa przodków?

— Chcę.

Wówczas przemówił król Henryk:

— Pamiętaj, synu, byś kochał Boga nade wszystko, byś żył w bojaźni Bożej i postępował zgodnie z Jego przykazaniami. Broń Kościół Boży przed zepsuciem i niewiarą; bądź wyrozumiały wobec młodszego rodzeństwa, potomków i innych krewnych; czcij duchownych jak rodziców swoich; traktuj lud jak dzieci swoje; nakazuj potężnym i maluczkiem, by kroczyli drogą prawości; bądź pocieszycielem biedaków i pobożnych zakonników; nie wydalaj nikogo z królestwa bez powodu i postępuj bez zarzutu wobec Boga i ludzi.

Następnie podano chłopcu wyznanie wiary spisane na pergaminie, które odczytał w wielkim skupieniu swym cieniutkim głosem:

— Ja, Filip, mający zostać dzięki łasce Pana królem Franków, w dniu mojej koronacji przysięgam przed Bogiem i wszystkimi świętymi, że będę przestrzegać przywilejów kanonicznych, praw i sprawiedliwości, które się wam należą jako moim poddanym, i że z pomocą Boga ze wszystkich sił będę ich bronił z gorliwością, jaką król powinien wykazać w swym państwie wobec każdego biskupa i kościoła, który mu jest powierzony. Przyznajemy też powierzonemu nam ludowi należne mu prawa zgodne z przywilejami.

Filip złożył podpis na pergaminie, a następnie podał go arcybiskupowi, który uczynił podobnie. Obok arcybiskupa stał legat papieski Hugon z Besancon, a dalej dwudziestu dwóch biskupów, a wśród nich Roger z Chalons i Walter z Meaux, dwaj wierni przyjaciele królowej, dziś już bardzo starzy. Za biskupami stali przeorzy licznych klasztorów. Gerwazy wziął do ręki pastorał świętego Remigiusza, podniósł go i rzekł cichym głosem:

— Ja, Gerwazy, z łaski Pańskiej i papieża Wiktora arcybiskup Reims, mam prawo wyświęcić Filipa na króla. Podobnie biskup Remigiusz otrzymał od papieża Hormisdasa prawo namaszczenia tym pastorałem Chlodwiga na króla Franków. Zgodnie z tym prawem, które jest mi dane, ja, arcybiskup Reims, ogłaszam, że Filip jest wybrany na króla Francji za zgodą obecnego tu jego ojca, króla Henryka.

Wysłannicy papiescy, arcybiskupi i biskupi, opaci i pozostali duchowni zbliżyli się, by wyrazić poparcie dla tego wyboru. Za nimi podszedł Guy, księżę Akwitanii, Hugon, syn księcia Burgundii, który reprezentował ojca na uroczystości, wysłannicy hrabiego Flandrii i Andegawenii, następnie hrabiowie Raul z Crepy, Hubert z Vermandois, Guy z Ponthieu, Wilhelm ze Soissons, Foulques z Angoulême, Aldebert z la Marche, Bernard, Roger, Manasses, Hilduin i wicehrabia Limoges. Rycerze i lud zebrany w katedrze trzykrotnie wzniesli okrzyk, który potwierdził wybór:

— Potwierdzamy, chcemy, by tak się stało!

Idąc śladami swych poprzedników Filip podpisał akt potwierdzający dobra

Kościół Najświętszej Marii Panny, hrabstwa Reims, ziem świętego Remigiusza oraz innych opactw. Zgodnie ze zwyczajem arcybiskup Reims został ustanowiony wielkim kanclerzem.

Po złożeniu pieczęci rozpoczęła się ceremonia namaszczenia. Gerwazy podniósł z haftowanej złotymi nićmi poduszki Joyeuse, miecz Karola Wielkiego, i wręczył go królowi.

— Przyjmij ten miecz boskiej władzy, byś z jego mocą wygnał barbarzyńców i wrogów imienia Jezusa Chrystusa oraz fałszywych chrześcijan z królestwa Francji i zachował pokój między wiernymi, którzy są tobie powierzeni.

Filip stanął twarzą do zgromadzonych i podniósł oburącz miecz Joyeuse i trzymał przez chwilę ostrzem do góry, po czym złożył na ołtarzu, wyznając tym gestem, że jest wasalem Boga. Duchowni zdjęli mu z głowy złotą opaskę, płaszcz i suknię. Rozpięli koszulę, odkrywając ramiona i pierś. Wszyscy wstrzymali oddech wzruszeni widokiem tego wątłego dziecka, na które nałożony zostanie ciężar korony. Opat klasztoru Świętego Remigiusza podał arcybiskupowi świętą ampułkę i złotą igłę. Gerwazy nałożył na igłę kroplę, którą przelał do pozłacanej czary z krzyżmem. Umoczył koniuszek palców w oleju świętym i uczynił znak krzyża na czole dziecka, od lewego ucha do prawego, na czubku głowy, na piersiach, między ramionami, w zgięciach i załamaniach ramion nowego króla. Zgromadzeni uklękli i modlili się w skupieniu.

Po modlitwie wszyscy podnieśli się. Dwunastu parów podeszło do celebransa, który podał Filipowi pierścień, mówiąc:

— Przyjmij ten pierścień, znak świętej wiary, trwałości królestwa, potęgi, byś mógł przegnać wrogów za pomocą jego zwycięskiej mocy oraz zjednoczyć poddanych i umocnić ich w wierze katolickiej Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen.

Arcybiskup wziął z ołtarza berło, które włożył do prawej ręki Filipa. Do lewej włożył mu dłoń sprawiedliwości. Filip uklęknął.

Następnie arcybiskup wziął wielką złotą koronę Karola Wielkiego wysadzaną rubinami, szafirami i szmaragdami i uniósł ją nad głowę młodego króla. Jednocześnie dwunastu parów otoczyło w krąg króla i podniosło ręce, by przytrzymać koronę.

— Niech Bóg cię ukoronuje, mój synu, koroną chwały i sprawiedliwości! Bądź obrońcą i wiernym sługą królestwa, które jest tobie powierzone. Ozdobiony wszelkimi cnotami, tak jak tymi szlachetnymi klejnotami, otrzymasz koronę chwały u boku Tego, który rządzi królestwem niebios.

Gerwazy był bardzo wzruszony, uklonił się i ucałował chłopca, a następnie zawołał po trzykroć:

— Niech żyje król!

Okrzyk powtórzyli parowie, a za nimi całe zgromadzenie. Arcybiskup zaprowadził króla do tronu, gdzie siedzieli jego rodzice. Czterech rycerzy wniosło dary: chleb ze złota, chleb ze srebra, amforę ze złoconego srebra wypełnioną winem i sakiewkę z czerwonego aksamitu zawierającą trzynaście złotych monet.

Po błogosławieństwie i pocałunku pokoju Filip po raz pierwszy przyjął komunię pod dwiema postaciami.

Przez pamięć na swego dziada, króla Roberta, zwanego Pobożnym, który uzdrowił pierwszych chorych w dniu swej koronacji, przyprowadzono dwunastu biedaków dotkniętych skrofułami. Chłopiec bez wstępu dotknął ich czyraków i wręczył każdemu z nich dary i jałmużny.

Teraz trzeba było jeszcze przejechać konno miarowym krokiem ulicę Reims wśród wiwatującego tłumu.

Anna patrzyła z dumą na swego synka, który mimo powagi uroczystości co chwila na nią spoglądał oczekując aprobaty. Jednocześnie odczuła ogromny smutek z powodu nieobecności księcia i księżnej Normandii.

Rozdział XXXII

Śmierć króla

Na polecenie króla Henryka wybudowano w głębi puszczy orleańskiej, koło Vitry, kilka chatek, z których korzystano na polowaniach lub połowach. W leśnej ciszy, w towarzystwie kapelana, medyka, dwóch giermków, tuzina żołnierzy, kucharzy i służących, król odpoczywał z dala od intryg ogarniających cały kraj. Królowa Anna przyjechała do niego wraz z trzema synami oraz całym dworem w drugim dniu sierpnia. Król powitał ich bez radości. Czuł się chory i właśnie zażył lekarstwo. Jan z Chartres, zwany przez giermków pogardliwie „głuchy”, nakazał królowi całkowitą dietę, co tylko pogorszyło jego stan.

Dzień czwartego sierpnia zapowiadał się upalnie. Nie czuło się ani jednego powiewu wiatru. Pod wysokimi drzewami powietrze było gorące jak w piecu. Nawet kąpiel w stawach nie przynosiła żadnego orzeźwienia. Anna ubrana w długie lekkie giezło oparła się na poduszkach, którymi wymoszczono łódź, zanurzyła w wodzie palce i zwilżyła sobie twarz oraz ciało. Nie opodał Filip i Robert baraszkowali głośno w wodzie. Jakiś galop wyrwał strażników z odrętwienia. Rozpoznali jednak przybyszów i mogli dalej drzemać. To hrabia Valois przybywał na czele kilkunastu rycerzy z wizytą do króla. Cierpiący Henryk nie mógł go przyjąć. Przybysz spytał o królową i udał się nad staw.

Dzieci już skończyły zabawy nad wodą. Nic się nie ruszało. Wokół wszystko wydawało się wymarłe. Jedyne ukryta za gałęziami wierzby łódź kołysała się lekko. Co jakiś czas ukazywało się białe ramię kobiety. Raul rozebrał się i nagi wszedł do wody. Nogi grzęzły mu w mule. Szybko wypłynął na środek stawu, zanurkował i wypłynął tuż przy łodzi. Delikatnie oparł się o jej burtę i wynurzył na powierzchnię. Anna chciała krzyknąć, lecz mokrą dłonią zamknął jej usta.

— Nie lękaj się, królowo, to ja, Raul z Cr~epy, twój wierny wasal.

Anna potrząsnęła głową i uwolniła się z jego uścisku.

— Co tu robisz, hrabio?

— Stęskniłem się za tobą, pani.

— To nie powód, by mnie tak straszyć... Przywołaj moje kobiety.

— Później — powiedział Raul i wskoczył do łodzi, która zachwiała się niebezpiecznie.

Anna była zrana wodą od stóp do głów. Wyprostowała się, podparła łokciami i spojrzała na tego postawnego mężczyznę o mocnych udach, szerokich i umięśnionych ramionach pokrytych czarnym, gęstym runem. Był podobny do zwierzęcia. Jego ciemny członek wydawał się taki delikatny. Przyglądała mu się bez zażenowania, wydawało jej się, że go widzi po raz pierwszy. Była tak wzruszona, że zamknęła oczy i rozsunała nogi, a gwałtowny ogień objął jej twarz i szyję. Pod przezroczystą i moką koszulą widać było całe jej ciało. Wydawało się, że czubek piersi przebije cienką materię. Oczy Raula stały się wąskie jak szpary, na ustach pojawił się uśmiech, rosło podniecenie. Wiedział już, że tu czy gdzie indziej Anna będzie jego. Ujął dłonią członek o imponujących rozmiarach. Anna skuliła się na dnie łodzi. Raul pochylił się nad nią.

Nagle usłyszeli krzyki:

— Król umiera! Król umiera!

Królowa ubrała się pośpiesznie i boso, z rozwianym włosiem, wskoczyła na konia i ruszyła do chaty królewskiej. Gdy przybyła na miejsce, strażnicy rozsunęli się i przepuścili ją do środka. Wśród listowia, na wysokim łożu, leżał jej mąż. Obok kręcił się medyk Jan z Chartres. Stojący w kącie pokojowiec płakał.

— Co się stało?

Kapelan Ghislain odwrócił się do królowej.

— O, królowo, wielkie nieszczęście! Król, mimo zakazu mistrza Jana, wypił dużą szklanice zimnej wody i upadł na ziemię wijąc się z bólu.

— Kto mu podał wodę?

— Ja — wybełkotał pokojowiec.

— Wiedziałaś, że medyk tego zabronił?

— Tak, królowo... ale nie wiedziałem, co uczynić. Odmówiłem, ale król uniósł się wielkim gniewem i groził, że każe mnie wygnąć, jeśli go nie posłucham...

Medyk zbladł i podszedł do królowej i kapelana.

— Ojczy, moja wiedza nie zda się na wiele. Reszta należy do ciebie.

— To wszystko stało się tak nagle... Czy król nie został otruty? — spytał Ghislain.

— Myślałem o tym. Zbadałem szklanice, ale nie ma na niej żadnego podejrzanego śladu. Po przyjęciu lekarstwa król miał przestrzegać diety. Nie usłuchał mojej rady, a że był osłabiony fizycznie, upał i ta zimna woda okazały się dla niego fatalne.

— Chcę prosić Boga o wybaczenie... Niech przyprowadzą mi synów — wymamrotał konający głuchym głosem.

Do łoża zbliżył się kapelan. Obecni odsunęli się i ukłękli. Z wielkim trudem Henryk wyznał swe grzechy. Gdy Ghislain udzielił mu rozgrzeszenia, odmówił na głos pacierz, jakby nagle odzyskał siły.

Na znak dany przez ojca zbliżył się król Filip, popychany przez matkę.

— Synu — wymamrotał Henryk — powierzam ci piękne królestwo Francji. Zachowaj je w wierze twych przodków tak jak to przysięgałeś w dniu koronacji. Bądź sprawiedliwy dla poddanych, opiekuj się wdowami i sierotami, przestrzegaj Rozejmu Bożego. Do czasu twej pełnoletności zostawiam królestwo w rękach twej matki, a mojej małżonki wobec Boga, królowej Anny, i w rękach mojego umiłowanego brata Baldwina, hrabiego Flandrii i męża mojej ukochanej siostry Adeli. Bądź dobry dla braci i przedkładaj pokój nad wojnę dla dobra twego ludu i twej chwały. Żegnaj, synu.

Henryk pobłogosławił Filipa, który ucałował go w rękę. Resztką sił pobłogosławił Roberta i małego Hugona, którego trzymała niańka. Klęcząca Anna z trudem powstrzymywała łzy.

— Nie płacz, moja droga. Umieram ufny w łaskę Boga... Wybacz, jeśli nie byłem mężem godnym ciebie. Módl się za mnie...

Oczy stanęły mu w słup, ciało zeszywniało. Gdy opadł na posłanie, nie żył.

Upał był nieznośny, więc zdecydowano, że ciało będzie przewiezione o zmroku do Saint_Denis. Tu zabalsamowano je i złożono w krypcie królewskiej.

Nowy król i królowa udali się do Dreux, gdzie przyjęli biskupów i wasali przybyłych, by złożyć im hołd. Jednym z pierwszych był hrabia Valois.

Przyjechał także książę Normandii. Anna przyjęła go z tak nie ukrywaną radością, że Raul z Cr~epy poczuł się obrażony. Książę ukłękł przed regentką, złożył ręce w dłoniach nowego suzerena i rzekł:

— Jestem po dwakroć twym wasalem, pani, i wiedz, że póki żyję, żaden Normandczyk nie napadnie na twoje królestwo.

— Wiem o tym, książę.

— Anno, jesteś taka piękna, wciąż tak młoda. Kto cię obroni?

— Nie lękaj się, Wilhelmie, nasz Pan Jezus jest mym obrońcą.

— Zawsze, gdy cię widzę, odczuwam wielkie szczęście, które rozjaśnia me dni. Gdybym nie wiedział, jak bardzo jesteś pobożna, pomyślałbym, że to jakieś czary. Ukazałaś się przede mną jako Mora i taką pozostaniesz dla mnie.

Po nim podeszła do królowej Matylda, która powtórzyła przysięgę miłości i

przyjaźni. Powiedziała Annie, że ufnie spogląda w przyszłość.

— Jestem szczęśliwa, że mój wuj, świętej pamięci król Henryk, wybrał mego ojca na opiekuna króla. Dla ciebie i dla królestwa Francji to gwarancja pokoju.

— Z jego pomocą i pomocą Bożą będę jak najlepiej rządziła w interesie wszystkich. Módlcie się za mną i za mojego syna.

Baldwin z Flandrii, który pragnął pokazać się baronom Francji jako współregent, wyruszył wraz z młodym królem i królową matką w podróż po ziemiach królestwa.

Wczesną jesienią opuścili Dreux i udali się do Paryża oraz do Senlis, gdzie przyjęto ich hucznie. W Senlis zabawili do połowy listopada. W Blois hrabia Thibaud przysiągł wierność królowi, regentce i opiekunowi królewskiemu. Dwudziestego piątego listopada byli w Etampes, a trzydziestego w Orleanie. Powrócili następnie do Senlis, by tam spędzić zimę.

Od śmierci króla hrabia Valois nie opuszczał dworu i pragnął towarzyszyć królowej podczas jej podróży. Nie podobało się to wielce Filipowi, który nie lubił sposobu, w jakim Valois spoglądał na jego matkę, oraz hrabiemu Flandrii obawiającemu się jego wpływu na Annę. Baldwin, a wraz z nim brat zmarłego króla Robert, książę Burgundii, któremu regencja ku jego wielkiemu niezadowoleniu, umknęła sprzed nosa, obawiali się, że Raul z Cr~epy będzie próbował zagarnąć królestwo uwodząc królową matkę. Wielu baronów i biskupów dzieliło ich obawy.

Anna cieszyła się z powrotu do ukochanego Senlis. Jednak rzadziej niż niegdyś widywano ją w szkole, w szpitalu, u boku biednych, a to dlatego, że często przemierzała puszcze w pogoni za jeleniem lub sarną w towarzystwie Filipa albo Raula. Odważnie konkurowała z nim podczas polowań lub na wyścigach. Przypominały jej się dawne zabawy córki Rusi. Chłopi widywali, jak między gałęziami miga jej biały płaszcz, za którym często pojawiała się czarna peleryna. Wieczorami w lepiankach, w gospodach w Senlis, w kuchniach czy komnatach zamkowych rozprawiano o konduicie królowej.

Arcybiskup Reims i starzy przyjaciele Anny biskupi Ch~alons i Meaux czynili jej łagodne wymówki, które przyjmowała z pogardliwą cierpliwością. Pewnego dnia hrabia Flandrii wysłał do niej hrabinę Adelę, która nie szczędziła przyjaciółce słów wyrzutu.

— Czy zapomniałaś, że jesteś królową i regentką? Powiadają, że spędzasz więcej czasu z hrabią Raulem niż z królem, twymi doradcami czy dziećmi. Owdowiałaś zaledwie parę miesięcy temu, a już uganiasz się po polach z mężczyzną o wątpliwej reputacji. Kompromitujesz się w jego obecności. Mój małżonek podejrzewa, że wpływa on na niektóre twoje decyzje.

— To nieprawda! Hrabia Raul z Cr~epy nigdy nie wtrąca się do spraw królestwa. Czy to moja wina, że jest zabawniejszy niż panowie tworzący moją radę?

— Czego ci trzeba dla rozrywki? Powinnaś opłakiwać męża i wychowywać dzieci, modlić się, by Bóg cię oświecił. Co się z tobą dzieje? Byłaś taką pobożną, nienaganną żoną i matką! Wiesz, Anno, że jestem twoją przyjaciółką i często broniłam cię przed zmarłym królem a moim bratem. Między innymi po żalostnej śmierci Oliwiera z Arles...

— Nie wspominaj mi o tej okropnej śmierci. Można jej było uniknąć, gdybyś wstawiła się za nim, tak jak cię prosiłam...

— Anno, proszę cię, nie przypominaj mi o tym. Odczuwam z tego powodu wyrzuty sumienia i nie ma dnia, abym nie modliła się za niego.

Przez chwilę kobiety milczały. Adela z Flandrii pierwsza przerwała milczenie, ujęła w swe ręce dłonie szwagierki i przemówiła do niej łagodnie:

— Moja droga, możesz mi wszystko wyznać. Nie będę przywiązywać do tego wagi. Czy zakochałaś się w Raulu z Cr~epy?

Królowa wyrwała swe dłonie i gwałtownie się zaczerwieniła:

— Oszalałaś! Nie czuję niczego takiego do hrabiego! Jak śmiesz mnie o to podejrzewać?

Adela wstała i wolno przeszła przez komnatę z zatroskaną twarzą. A więc nie myli się, królowa kocha hrabiego, choć nie chce się do tego przyznać.

— Wybacz mi, siostrze. Cieszę się, że rzeczy stoją inaczej i że to wszystko to tylko wymysły plotkarek. Jestem uspokojona. A jednak unikaj podejrzeń i nie zapominaj, że jesteś królową.

Gdy przybył hrabia Valois, by jak każdego dnia rozmawiać z regentką, powiedziano mu, że królowa nie może go przyjąć. Nie wziął sobie tego do serca i wrócił następnego dnia. Powiadomiono go, że jego wizyty nie są mile widziane. Wpadł w straszną złość, tak że kapelan się przestraszył.

Nie widział Anny aż do wiosny. Pod koniec kwietnia dowiedział się, że dwór przenosi się do Compi~egne. Udał się tam zawczasu i przywitał osobiście rodzinę królewską u boku biskupa i opata Oberta. Hrabia dostrzegł złośliwy, przelotny uśmiech królowej i nie obraził się słysząc chłodny ton, jakim do niego przemówiła. Inaczej było w Reims, gdzie Filip na prośbę matki podpisał akt darowizny na rzecz kościoła Świętego Nicaise. Hrabia Flandrii miał już dosyć tej wysokiej postaci, która przemykała się pod portalami, i rozkazał mu, by Valois więcej nie pokazywał się przed królem. Arcybiskup Gerwazy i rycerz musieli długo ich uspokajać, by nie doszło do rękoczynów. Hrabia ustąpił, wykrzykiwał jednak groźby.

Po powrocie do Senlis królowa spędzała dużo czasu z synami. Cieszyła się z postępów Filipa w pisaniu, ze zdrowia Roberta i Hugona. Lato zapowiadało się upalne. Ubrana na biało, jak przystało wdowie, przemierzała konno lasy w towarzystwie dwóch lub trzech rycerzy i giermków. Baldwinowi nie podobały się te eskapady, lecz w końcu nie mógł wszystkiego jej zabraniać!

Pewnego wieczora, gdy powietrze było ciepłe i przesiąknięte zapachem mchu, Anna zsiadła z konia, by zerwać kwiaty. Uwiję sobie wianek, pomyślała. Jej świta została na polanie. Anna bezwiednie oddaliła się. Na dnie parowu ujrzała kobierzec białych płatków, który zdawał się na nią czekać. Osunęła się na mech i wyciągnęła pośród kwiatów. Przymknęła oczy. Ogarnął ją mocny zapach próchnicy i gniecionych liści. Poprzez gałęzie spoglądała na wschodzący księżyc i gwiazdy. Takiej nocy nie widziała już od dawna. Przez jej głowę przemknęły wspomnienia spacerów po murach Nowogrodu i wzdłuż Dniepru w Kijowie. Pamięć przywołała oblicze Filipa, które ukazało się z taką wyrazistością, że otworzyła szeroko oczy w nadziei, że go ujrzy.

Ujrzała jednak nad sobą inną twarz. Jak on mógł tu dojść nie zauważony przez nikogo? Poczula ciepło męskiego ciała wydzielane przez ubranie. Jego mocny oddech był przyjemny, tak jak zapach jego ciała, stanowiący mieszankę potu, skoszonego siana i stajni... Królowa poczuła, że kręci jej się w głowie, ale nie chciała z tym walczyć. Żadne z nich nie szukało specjalnie tego spotkania. Raul jak co dzień błądził po lasach w okolicach Senlis w nadziei, że ją ujrzy. Anna zaś odpędzała myśl o spotkaniu, gdy tylko ta świtała w jej głowie. Teraz połączył ich los. Nie czuli do siebie miłości, lecz wielkie pożądanie. W tym momencie w ukwieconym parowie mężczyzna spotkał kobietę. Oboje zapomnieli, kim są naprawdę.

Anna wyciągnęła do niego rękę. Wydawało się, że Raul się waha, chwyciła go więc za włosy i przyciągnęła jego usta do swych warg. Czując ich dotknięcie straciła poczucie czasu. Królowa, która w grze miłosnej zaznała jedynie odrzy, poczuła, jak jej ciało i dusza rozpływają się w rozkoszy, której nigdy sobie nie potrafiła wyobrazić.

Gdy oprzytomnieli, las rozbrzmiewał nawoływaniem i krzykami. Szukano królowej z rosnącą trwogą. Zamierzano właśnie posłać do zamku po ludzi z pochodniami.

— Udawaj, że zraniłaś się w kostkę — szepnął Raul i zniknął.

Anna nie miała wyboru. Nieład stroju i plamy z trawy na białej sukni należało tłumaczyć upadkiem. Gdy jej słaby głos dotarł do giermków i gdy ją ujrzeli leżącą, bladą i w potarganych szatach, rzucili się ku niej myśląc, iż jest ciężko ranna. Jęczała, gdy przenosili ją do zamku, gdzie kobiety zajęły się nią troskliwie. Nikt

nie rozumiał, dlaczego królowa odmówiła, by medyk obejrzał nogę, która ją tak bolała.

Nazajutrz ku zdziwieniu otoczenia Anna obudziła się świeża i wypoczęta, z lekko podkrążonymi oczami. Po mszy, której wysłuchała w wielkim skupieniu, ucałowała dzieci i udała się na inspekcję budowy kościoła Świętego Wincentego, przejrzała bieżące sprawy z Baldwinem, wydała rozkazy, odwiedziła chorych w szpitalu, rozdzieliła jałmużnę biednym rodzinom.

Przez następne dni zajmowała się licznymi sprawami. Spędziła parę dni w swej willi w Verneuil. Przyjęła tu zarządcę swych ziem w Châteauneuf nad Loarą. Spędziła jedną noc u Adelajdy z La Ferté, gdzie rechotanie żab w pobliskiej rzece Essone nie pozwoliło jej spać. Tam też wysłannik hrabiego Valois przekazał jej list. Gdy powróciła do Senlis, nic nie wskazywało na zmianę jej zachowania.

Pewnego lipcowego poranka obudziła przed świtem stajennego i kazała jak najszybciej osiodłać konia. Wyrwany ze snu chłopiec był zbyt zaszpany, by zdziwić się, że nikt jej nie towarzyszy. Gdy tylko zorientował się w sytuacji, natychmiast doniósł koniuszemu, ten zaś poinformował oficera straży. Królowa była już daleko...

Rozdział XXXIII

Hrabina Valois

Nazajutrz po spotkaniu z Anną w lesie pod Senlis Raul wrócił do zamku w Cr~epy, skąd wygnał swą żonę Ali~enor pod pretekstem zdrady małżeńskiej. Oszałała z upokorzenia i wściekłości hrabina udała się do arcybiskupa Gerwazego i błagała go o wstawiennictwo. Duchowny był jednak ostrożny i zapytał ją, czy jej zachowanie nie dało mężowi podstaw do takiego postępowania. Ali~enor przysięgała na Pismo Święte, że żaden mężczyzna nie zbliżył się do niej, i była gotowa udać się do Rzymu, by domagać się sprawiedliwości od samego papieża...

Anna i Raul spotkali się ponownie w połowie drogi między Cr~epy i Senlis. Zaskoczyła ich tam nagła burza. Zmoczony ulewnym deszczem ubrania kleiły się do ciała. Gdy ujrzeli się w tym godnym pożałowania stanie, oboje wybuchnęli śmiechem. Raul pomógł Annie zsiąść z konia i biegiem zaniósł do leśnej chatki. Ostrożnie położył ją na łożu z liści i chciał rozebrać. Anna próbowała go zatrzymać, lecz Raul rzekł:

— Jeśli mi nie pozwolisz, to rozchorujesz się.

Gdy była naga, roztarł jej ciało płótnem. Przyjemne uczucie ciepła zastąpiło ziąb. Po raz pierwszy zajmował się nią mężczyzna. Gdy już ją rozgrzał, otulił wełnianym kocem.

— Teraz moja kolej!

Rozebrała go w jednej chwili. Przymknęła oczy i przyglądała się dużemu, silnemu męskiemu ciału. Nagle ogarnęła ją chęć, by rozgrzać hrabiego tak jak to on uczynił. Podniosła się zapominając o przytrzymaniu okrycia, które ześlizgnęło się do jej stóp, wzięła płótno i zaczęła wycierać Valois z energią, która malała, w miarę, jak ogarniała ją gwałtowna żądza. Palce dotknęły naprężonego członka kochanka. Była jak zauroczona. Przestała wycierać Raula, który chwycił jej dłoń i zamknął na swej męskości. Długo stali naprzeciw, drżąc od stóp do głów. Nagle jednocześnie rzucili się do siebie i upadli złączeni na słomę.

Gdy się zegnali, na letnim niebie błyszczwały już gwiazdy.

Pobrali się pod koniec lipca w Montdidier. Ich związek pobłogosławił trzęsący

się ksiądz. Nie minął jeszcze rok od śmierci króla Henryka. Królowa poinformowała listownie hrabiego Flandrii o ślubie i prosiła o powiadomienie o tym fakcie Filipa i pozostałych dzieci. Ta wieść załamała Baldwina. Zwrócił się o pomoc do swej małżonki Adeli, do ich córki Matyldy, do zięcia Wilhelma, arcybiskupa Reims, do biskupów Meaux i Ch~alons i do starego Gosselina z Chauny. Wszyscy byli zdumieni.

Najbardziej dotknięty poczuł się młody król, który bez ustanku płakał i przywoływał matkę. Książę Normandii chciał siłą wyrwać królową hrabiemu, który jego zdaniem trzymał Annę wbrew jej woli. Nie po raz pierwszy bowiem zdarzało się, że jakiś senior porywa damę, by wyrzucić nacisk na jej rodzinę.

— Wilhelmie, królowa nie została porwana, przeczytaj jej list — przekonywał go Baldwin.

— Nie wierzę! Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego. Na pewno podał jej jakiś napój miłosny.

— Mylisz się, panie — powiedziała cicho Matylda. — Królowa Anna jest zakochana...

— Oszalałaś! Mora nie może kochać kogoś takiego jak hrabia. Najedziemy jego ziemie, to nam ją odda...

— Ale wciąż będzie jego żoną przed Bogiem i ludźmi.

— To niemożliwe — rzekła Matylda. Hrabia jest już żonaty.

Baldwin wzruszył ramionami.

— Oddalił Ali~enor za niewierność.

— Wiemy, że to nieprawda. Ali~enor udała się właśnie do Rzymu, by domagać się zadośćuczynienia.

— Chcę, by królowa sama mi powiedziała, że poślubiła hrabiego Valois bez przymusu. Złożyłem jej hołd jako mojemu suzerenowi i muszę wiedzieć, czy wciąż nim jest. Gdzie oni są? W P~eronne? W Amiens? W Cr~epy czy w Montdidier?

Dopiero w październiku książę Normandii odnalazł w P~eronne Annę, która nigdy nie przestała być dla niego Morą z niemieckich lasów. Dla tego twardego człowieka, wiernego męża, posłusznego syna Kościoła, głęboko wierzącego, groźnego żołnierza i odważnego rycerza, Anna była kimś więcej niż tylko kobietą: była częścią nie wypowiedzianego marzenia, kobietą, z miłości dla której zamaskowany rycerz przemienił się w dziką bestię. Była też królową Francji i regentką królestwa. Gdy ją ujrzał w białych szatach królewskiego wdowieństwa w pełnym rozkwicie urody, z dłonią w rękawiczce opartą o ramię Raula, zrozumiał, że wreszcie znalazła swego pana. Poczuł się tym dotknięty, ale zachował to dla siebie i udawał wesołego w czasie uczyty wydanej na jego cześć.

Nazajutrz podczas polowania zbliżył się do królowej i spytał:

— Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

— Tak! — krzyknęła i ukłuła konia ostrogami.

Znów rzuciła mu wyzwanie. Książę podjął je. Jego rumak skoczył do przodu. Niewiele brakowało, a spadłby na ziemię tak jak wiele lat temu. Tym razem roześmiał się jedynie i rzucił w pogoń za królową. Zdziwieni towarzysze przystanęli. Raul i Matylda wymienili pytające spojrzenia.

— Zostaw, hrabio, to taka gra — odezwała się księżna.

Ta gra trwała tak długo, aż zmordowane konie przystanęły. Drżały, a z ich pysków kapłała piana zmieszana z krwią.

Mimo swej tuszy Wilhelm lekko zeskoczył na ziemię i pomógł Annie zsiąść z konia.

— Wciąż jesteś niebezpieczną amazonką, godną spadkobierczynią swych przodków!

— Znowu omal cię nie pokonałam, ale tym razem nie chciałam.

— Tym razem miałem się na bacności.

Wymienili przyjazne spojrzenia.

— Usiądź przy mnie, Wilhelmie... Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

Książę, tak pewny siebie w każdej sytuacji, zaskoczony naturalnym zachowaniem królowej, nie odzywał się.

— Doniesiono mi, ale o tylu rzeczach mówią mi na dworze, że zdziwiło cię moje małżeństwo z hrabią Valois... Wiem, że mówiono, iż hrabia mnie porwał i że go poślubiłam, by ratować honor... Mówiono też, że interesuję go tylko jako regentka Francji... Cieszę się, że mogę ci powiedzieć, że to wszystko nieprawda i że czujemy do siebie tkliwą miłość. Ty, który tak kochasz moją drogą Matyldę, możesz mnie zrozumieć... Nic nie mówisz? Czyżbyś wąpił w moje słowa?

Wilhelm pokręcił głową w milczeniu.

— Bardzo bym się zmartwiła, gdybyś wąpił we mnie. Pewnie myślisz jak wszyscy, że powinnam poświęcić się wychowaniu synów, a zwłaszcza króla... Ale teraz król musi mnie opuścić. To niedobrze, gdy chłopiec jest mocno przywiązany do matki...

— Mówisz nedorzeczności. Ja sam czule kochałem swoją matkę, a nic nie przeszkodziło, bym stał się mężczyzną. Jej czułość i bliskość były dla mnie bardzo cenne.

— Byłeś dzieckiem jak Filip, gdy zmarł twój ojciec. Czy mąż twej matki nie zastąpił ci go?

— Nic nie zastąpi ojca. Wiem, co mówię... Ale o czym rozmawiamy? Nie chodzi o mnie, lecz o ciebie, regentkę królestwa. To małżeństwo odbiera ci prawo rządzenia.

— Nie sędzę. Jestem wciąż matką króla.

— Wątpię, by baronowie Francji zgodzili się na rządy hrabiego Valois.

— Nie chodzi o hrabiego, lecz o mnie. O mnie, Annę, córkę Jarosława, wielkiego kniazia kijowskiego, wdowę po Henryku, królu Franków, regentkę wybraną przez niego i uznaną przez baronów...

— I nieprawą żonę Raula z P~eronne, hrabiego Valois!

— Zabraniam ci!

— Hrabia jest wciąż żonaty, nie wiedziałaś o tym?

— Wzgardził swą żoną...

— Tylko po to, by ciebie posiadać.

— A gdyby nawet!

Twarze ich były czerwone ze złości. Podnieśli się z ziemi i patrzyli na siebie z wściekłością. Książę z trudem się opanował.

— Wybacz mi, że się uniosłem. Jako kobieta możesz czynić, co ci się podoba, ale jako królowa?

Anna z obrażoną miną tupnęła. Podniosła głowę i spojrzała prowokująco na Wilhelma.

— Czy mam wyrzec się miłości dlatego, że Bóg uczynił mnie królową? Czy mam udawać, że są mi obce przyjemności ciała dlatego, że jestem wdową po mężczyźnie, który zbliżał się do mnie z obrzydzeniem? Czerwienisz się? Czy ty i Matylda nie odczuwacie rozkoszy z posiadania siebie nawzajem? Dlaczego odmawiasz mi prawa do szczęścia, którego sam zaznałeś? Hrabia Valois jest moim małżonkiem i kocham go, tak jak Matylda ciebie... Słyszysz, zbliża się polowanie. Wilhelmie, proszę cię, bądź moim przyjacielem tak jak dotąd... Nie odpowiadasz?

— Wybacz mi, zamyśliłem się... Anno, przyjaciółko moja! Ślubowałem ci dawno temu i nie zmienię się. Bądź szczęśliwa z hrabią, będę się za ciebie modlił.

— Dzięki ci, książę. Bardzo mnie uradowałś.

Wdzięczność, jaka zajaśniała na twarzy królowej, była dla niego nie do zniesienia.

— A więc kto wygrał tym razem? — zapytała Matylda, zbliżając się na koniu.

Dwa pierwsze lata małżeństwa z Raulem spędziła Anna prawie bez przerwy w posiadłościach nowego małżonka, jeżdżąc od zamku do zamku, z P~eronne do

Amiens, z Cr~epy do Montdidier. Towarzyszyli jej zawsze młodszy synowie Robert i Hugon. Władzę w królestwie na jej prośbę sprawował Baldwin z Flandrii. Baronowie, którzy obawiali się wpływów hrabiego, odczuli ulgę.

Filip wielokrotnie odwiedzał matkę i powoli poznawał bliżej ojczyma. By nie urazić Anny, mąż i syn starali się zachowywać grzecznie w stosunku do siebie.

Pod koniec 1063 roku królowa matka towarzyszyła synowi w podróży do Soissons, gdzie młody król potwierdził darowiznę na rzecz opactwa Świętego Kryspina. Wspólnie spędzili tam parę dni.

Następnego roku Anna powiła dziewczynkę, która wkrótce zmarła.

Rozdział XXXIV

Przysięga Harolda

Anna uległa w końcu namowom Matyldy i na początku lata udała się do Normandii. Razem z nią pojechali synowie Robert i Hugon. Przyjaciółki cieszyły się bardzo ze spotkania. Podobnie jak Anna, księżna Matylda straciła dziecko na początku roku, a teraz żałowała, że Wilhelm musiał udać się na wojnę z księciem Bretanii. Niepokoili ją, że jest z nim Harold, hrabia Wessex, którego Guy z Ponthieu oskarżał o chęć zawładnięcia koroną Anglii wbrew obietnicy złożonej oficjalnie przez króla Edwarda. Tym większe było jej zdziwienie, gdy Wilhelm obsypał Harolda podarkami i zaszczytami, a nawet pasował go na rycerza w nagrodę za uratowanie dwóch żołnierzy normandzkich tonących w bagnie. Zapropował mu nawet rękę Agaty, jednej ze swych córek.

Anna i Matylda opuściły zamek w Lisieux i wyruszyły do Caen. Przed nimi jechały wozy ze sługami zaprzężone w muły, z namiotami, żywnością, przygotowaną na wiele dni, ze strażą, giermkami, wśród krzyków ludzi i ujadania psów. Księżna pragnęła pokazać królowej stan prac przy budowie klasztoru męskiego pod wezwaniem Świętego Stefana oraz klasztoru żeńskiego pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny od Trójcy Świętej. Miały one powstać na prośbę papieża w dowód pokuty za złamanie jego zakazu dotyczącego ich małżeństwa. Dziewięć lat musieli czekać, całe dziewięć lat, zanim Lanfranc, opat klasztoru w Bec, uzyskał od papieża Mikołaja II zniesienie klątwy nałożonej na nich przez Leona IX. Annę zachwycił klasztor Trójcy Świętej oraz zaskoczyła jego śmiała architektura. Nie bez nuty zazdrości rzekła do przyjaciółki:

— Tu prace są bardziej zaawansowane niż przy Świętym Wincentym. Są bardziej imponujące. Nie mogę doczekać się końca budowy mojego klasztoru!

Ta uwaga uradowała Matyldę. Objęła wpół przyjaciółkę i zaprowadziła na wzgórek, skąd mogły podziwiać wspaniałą dolinę rzeki Orne.

— Nie trać nadziei. I ty zaznasz radości ze wzniesienia kościoła na chwałę Pana naszego. I Jego Świętej Matki. Jeśli chcesz, to pošlę ci moich budowniczych. Jestem pewna, że tobie Wilhelm nie odmówi.

— Jesteś jak zwykle hojna, moja droga Matyldo! Te wszystkie lata nie umniejszyły twej dobroci ani nie zmieniły charakteru.

— Nie wierz w to, królowo. Wciąż muszę powściągać swoją porywczosć.

Objęły się czule. Lekki wiaterek unosił ich welony. Ubrane były w obcisłe suknie, królowa w białą, a księżna w żółtą. Wyglądały jak dwa anioły gotowe ulecieć do nieba. Sprowadził je na ziemię Robert z Conteville, hrabia Morin, brat przyrodni Wilhelma.

— Siostró moja, Matyldo, i ty, królowo Anno, czas wracać. Książę oczekuje was w Bayeux!

Objęte wciąż w pół wróciły do wozu, który ruszył powoli, ciągniony przez woły. Za sobą zostawiły miejsce, gdzie wznosił się dumny kościół, symbol potęgi księcia oraz jego posłuszeństwa wobec Kościoła.

Po trzech dniach podróży dotarli wreszcie do Bayeux. Po drodze na prośbę regentki Francji zatrzymano się w opactwie Mont_Saint_Michel, gdzie obie modliły się.

Książę ruszył na ich spotkanie. U jego boku jechał hrabia Wessex. Jak zwykle Anna ze wzruszeniem przywitała się z Wilhelmem.

— To wielki dla mnie zaszczyt, gdy wstępujesz na ziemię normandzką. Witaj, miła królowo! Oto hrabia Wessex, mój wikariusz przy królu Edwardzie, który przybył złożyć przysięgę wierności na święte relikwie.

Anna skinęła głową na przywitanie Anglika, który w odróżnieniu od Normandczyków miał długie włosy i długie wąsy, tak jak i pozostali jego towarzysze.

— To zaszczyt dla mnie, pani, przywitać regentkę pięknego królestwa Francji. Jak się miewa, twój syn?

— Bardzo dobrze, hrabio, uczy się swego królewskiego zajęcia od mądrzejszych niż ja.

— Nie wątpię, że często zasięga jednak rad u ciebie.

— Hrabio, szlachetne damy potrzebują odpoczynku. Zobaczymy się z nimi wieczorem w katedrze — odezwał się Wilhelm, dosiadając konia.

Powoli orszak wjechał do miasta wśród okrzyków zgromadzonej gawiedzi. Annie wydawało się, że w eskorcie księcia dojrzała człowieka w masce, przyjaciela Oliwiera z Arles, który uratował ją z lochów zamku w Senlis. Ruchem ręki przywołała giermka.

— Czy widzisz tego rycerza, który nosi maskę?

— Tak, pani.

— Przyrowadź go.

Młodzieniec przepychał się przez tłum rozstępujących się przed nim rycerzy.

Gdy Filip zauważył, że zbliża się do niego jeździec w barwach królowej, którego Anna śledziła wzrokiem, zrozumiał, że wysłała go po niego. Ostro spiął ostrogi, aż koń stanął dęba, i skoczył do przodu, przewracając stojących obok ludzi.

Wkoło krzyczano i złorzeczono.

— Panie, panie!

Głos giermka zginął w zgiełku. Chciał ruszyć w pogoń za rycerzem, ale groźny i gęsty tłum zatrzymał go. Zawstydzony, z trudem przecisnął się do powozu królowej.

— Racz wybaczyć, pani, ale wydaje mi się, że rycerz uciekł przede mną i nie mogłem mu przekazać twego posłania.

— Widziałam.

To zdarzenie napełniło ją smutkiem. Oparła się o poduszki i od niechcienia odpowiadała na okrzyki wiwatujących mieszkańców Bayeux.

Dlaczego po śmierci trubadura ten człowiek jej unikał? Nikt nie mógł albo nie chciał udzielić jej odpowiedzi na pytania dotyczące tego dziwnego rycerza. Raul z Cr~epy twierdził, że maska musiała kryć oblicze jakiegoś pana, który wrócił z pielgrzymki do Ziemi Świętej chory na trąd i którego Bastard trzymał przy sobie. To było możliwe, ale dlaczego Wilhelm nigdy nie chciał o tym mówić?

Powóz zatrzymał się. Jakaś ręka pomogła jej wysiąść. Przed nią stał uroczy młodzieniec o słodkim obliczu, które przypominało jej inną twarz. Nosił barwy Normandii.

— Kim jesteś? Zdaje mi się, że cię znam.

— Jestem Szymon syn Raula, hrabiego Valois, teraz przy księciu Normandii.

— Syn mojego małżonka! Zmieniłeś się, odkąd ostatni raz cię widziałam... Jesteś już prawie mężczyzną... Wkrótce będziesz pasowany na rycerza.

Gawędząc zbliżali się do pałacu biskupiego, gdzie na progu oczekiwał gości Odon z Conteville, biskup Bayeux. Był to przyrodni brat księcia, którego Wilhelm bardzo wcześniej postawił na czele tak ważnego biskupstwa. Mimo młodego wieku potrafił zyskać sobie duży autorytet wśród normandzkiego duchowieństwa. Z uniżeniem przywitał królową, z uszanowaniem Matyldę.

— To honor i przyjemność dla mnie ujrzeć was, panowie, i szlachetne panie w naszym mieście Bayeux. Mam nadzieję, że pobyt w naszym mieście będzie dla was miły. Niech was Bóg błogosławi, moje córki.

Anna wzięła kąpiel, by obmyć się z kurzu i zmęczenia. Myślami była przy

Raulu. Żałowała, że nie ma go razem z nią. Brakowało jej dużego, silnego ciała, jego pieścizot. Odkąd ukazał jej, czym może być rozkosz, czuła się zmieszana w obecności młodych i przystojnych mężczyzn. A tyłu ich było na dworze Wilhelma! Czuła jeszcze spojrzenia angielskiego hrabiego, którego tak nie lubiła Matylda, i złała się rumieńcem na to wspomnienie. Przez trzy tygodnie każda noc spędzona z dała od męża, który pozostał w Vexin, gdzie miał objąć ziemie odziedziczone po kuzynie Walterze z Mantes, wydawała się nie mieć końca. Sen nadchodził dopiero o świcie. Czuła się wyczerpana nie zrealizowanymi marzeniami i pragnęła jak najszybciej wrócić do Magny w hrabstwie Vexin, gdzie Raul rozpoczął budowę nowego zamku. Chciał go ofiarować Annie jeszcze przed zimą. Zatrudnił setki niewolników i robotników, którzy mieli w krótkim czasie skończyć niemal niewykonalną pracę. Lecz dla pana z P~eronne nic nie było niemożliwe. Chciał, by prace były ukończone przed zimą, i tak ma być. Anna uśmiechnęła się. Ten gwałtowny i okrutny mężczyzna, którego wszyscy się obawiali, dla niej i dzieci był cierpliwy i dobry. Na różne sposoby starał się umilić jej życie. Otaczał trubadurami i muzykami, za cenę złota sprowadzał księgi, wspaniałe stroje. Gdy nie prowadził wojny, urządzał festyny, turnieje, polowania, w których każdy chciał wziąć udział. Oddał do dyspozycji Anny poważne sumy, aby mogła rozdawać jałmużny i dary opactwom oraz kościołom. Był miłym towarzyszem, który w równym stopniu lubił miłość, jak i wojaczkę.

Służące pomogły królowej wyjść z kąpieli. Nikt nie potrafił zastąpić Heleny przy jej intymnej toalecie. Anna często myślała o piastunce, która pieściła ją od dzieciństwa i swą obecnością i czułością potrafiła uczynić bardziej znośnym jej życie, życie wzgardzonej żony. Z westchnieniem pozwoliła się ubrać.

Paradne konie nadjeżdżały powoli. Goście księcia przybyli do katedry, gdzie miała się odbyć ceremonia złożenia przysięgi przez Harolda.

Wilhelm przywiązywał do tego wielką wagę, a więc nie zapomniiał o niczym, tak by uroczystość pozostała na zawsze w pamięci zebranych. Ku czci królowej matki nad budynkami powiewały proporce i chorągwie w barwach Anglii, Normandii i Francji. Ulice przystrojono ukwieconymi gałązkami. Angielscy rycerze towarzyszący hrabiemu Haroldowi byli pod wrażeniem bogatych strojów dworu normandzkiego, uprząży i samego słońca, w którym błyszczała broń i kolczugi. Obok księcia stał biskup Bayeux w paradnym stroju, dumnie dzierżący pastorał Świętego Piotra, oraz licznie zebrani księża i zakonnicy.

Księżę podał dłonie Annie i Matyldzie i wkroczył do katedry przy dźwiękach trąb. Gdy wszyscy zajęli miejsca, podniósł się ku sklepieniu śpiew zakonników opactwa z Jumi~eges przy akompaniamencie organów, z których prałał był tak dumny. Tylko on w całej Normandii posiadał organy!

Po komunii przyjętej pod dwiema postaciami księżę Normandii i hrabia Wessex

otrzymali biskupie błogosławieństwo. Na znak dany przez prałata przywołano czterech młodych mnichów. Przynieśli oni na pozłacanej podstawie okrytej bogato wyszywaną materią cenny relikwiarz, który złożyli przed ołtarzem. Harold zbliżył się, położył prawą rękę na relikwiarzu, a lewą na ołtarzu i wymówił ledwie słyszalnym głosem przysięgę, na którą czekali normandzcy baronowie:

— Ja Harold, hrabia Wessex, syn Godwina, uroczyście przysięgam, że tak długo jak będę żył, będę reprezentował księcia Wilhelma na dworze mojego pana, króla Edwarda, i w jego ręce złożę królestwo Anglii po śmierci Edwarda. Zobowiązuję się też oddać rycerzom księcia zamek w Dover, który umocnię, oraz że będę dostarczał zaopatrzenie do innych zamków wzniesionych w różnych stronach królestwa, które książę zleci mi umocnić.

Książę uściskał Harolda i na jego prośbę potwierdził jego prawa do ziemi oraz inne przywileje.

Podczas późniejszej biesiady Anglicy i Normandczycy pili tyle, że trzeźwili przez trzy dni.

W komnacie niewiast Anna i Matylda rozmawiały o ceremonii, w której uczestniczyły.

— Czy nie sądzisz, że Harold miał nieszczerzy wyraz twarzy podczas składania przysięgi? — zapytała księżna.

— Zauważyłam tylko, że był bardzo blady. To normalne w takiej chwili. Przysięgał przecież na święte relikwie.

— Wiem... ale to jest silniejsze ode mnie. Nie ufam mu. To potężny pan, który żyje na dworze angielskim i który ma duży wpływ na króla Edwarda. Twierdzi, że przybył do Normandii na spotkanie z księciem na prośbę swego pana...

— Dlaczego mu nie wierzysz?

— Bo nie miał przy sobie żadnego dokumentu, który by to potwierdził, gdy przybił do brzegu, gdzie zatrzymał go Guy z Ponthieu. By uwolnić Harolda, książę musiał posłać hrabiemu wiele prezentów, nie mówiąc o obietnicach i pogrózkach...

— Po co mówić o Haroldzie, jeśli go nie lubisz?

— Masz rację. Mówmy raczej o sobie. Rzadko cię widuję od twego ślubu z hrabią P~eronne. Jak ułożyło się z królem? Słyszałam, że Filip jest bardzo nieszczęśliwy i że nie chce widzieć ojczyma...

— To niezupełnie jest tak, jak mówisz. Początek był bardzo trudny dla niego i dla mnie. Wiesz, że twoja matka, hrabina Flandrii, miała mi za złe to powtórne zamążpójście niedługo po śmierci jej brata. Usiłowała wrogo nastawiać mego syna wobec mnie. To był błąd i mało brakowało, a poróżniłybyśmy się na dobre, co w przyszłości wystawiłoby na szwank losy królestwa. Dzięki zrzeczności arcybiskupa

Reims i mądrości Gosselina z Chauny nasz wzajemny gniew zmalął i pogodziłyśmy się. Cierpliwość i cnoty twego ojca dokonały reszty. Co zaś się tyczy króla, poznał się na Raulu i pokochał go.

Matylda milczała chwilę, po czym z rumieńcem na twarzy zapytała:

— Czy hrabia Raul jest dobrym małżonkiem?

— Tak jak potrafi nim być mężczyzna — chłodno odpowiedziała Anna.

— Wybacz mi, jestem niedyskretna...

Nie rozmawiały więcej o Raulu z Cr~epy, lecz o haftach, które księżna Normandii kazała wykonać dla kościoła Świętej Trójcy.

Wczesną jesienią obładowany prezentami Harold wrócił do Anglii, Anna udała się do męża, do Soissons, gdzie przebywał młody król Filip.

Po powrocie czekała na nią wielka radość: budowa kościoła Świętego Wincentego została ukończona. Miesiąc później, dwudziestego piątego października 1065 roku, biskup Soissons Froland poświęcił kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy, Najświętszej Marii Panny, Świętego Jana Chrzciciela i Świętego Wincentego męczennika, w obecności króla, arcybiskupa Reims Gerwazego, i hrabiny Flandrii, księżnej Normandii, hrabiego Valois i całego dworu.

Rozdział XXXV Śmierć Roberta

— Pozwól się leczyć, hrabio Robercie, w przeciwnym razie powiem matce, że jesteś niegrzecznym chłopcem!

— Moja matka nie dba o to, czy jestem chory. Woli jeździć po lasach z tym wyklętym!

— Nie mów tak! Czy nie wstyd ci tak mówić o kobiecie, która cię wydała na świat, i o jej mężu?

— To ona powinna się wstydzić! Czyż nie wyszła powtórnie za mąż w rok po śmierci króla a mojego ojca?

— Królowa była jeszcze młoda, potrzebowała opiekuna.

— Opiekuna! Czyż nie ma wuja, hrabiego Flandrii, regenta królestwa?

Kapelan króla Filipa, który przybył odwiedzić młodszego syna królowej Anny, wznosił ręce do nieba.

— Ale przecież hrabia Valois jest dobry dla ciebie, dla twych braci i dla matki. Czyż nie należy do Rady Królewskiej?

— Ale czy Kościół nie obłożył go ekskomuniką za to, że ożenił się z moją matką?

— Tak, ale...

— A więc moja matka jest winna grzechu cudzołóstwa!

Kapelan aż podskoczył i rzekł surowo:

— Myślę, Robercie, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Z pewnością bredzisz z powodu gorączki. Odpocznij. To nie są rozmowy dla dzieci.

— Nie jestem już dzieckiem. Niedługo będę miał dwanaście lat. Jestem już mężczyzną!

— Kto tak mówi? Ty, mój synu?

Twarz chorego nagle rozjaśniła się, a potem zgasła. Odwrócił się twarzą do ściany i nic nie odparł.

Anna westchnęła. Spośród trzech synów tego kochała najmocniej. Był do niej najbardziej podobny. Miał te same oczy, wystające kości policzkowe, te same rude włosy, ten sam charakter: raz był wesoły, raz smutny, raz krotochwilny, to znów zasepiony albo wybuchowy. On jeden biegle mówił i rozumiał po rusku. Nie miał sześciu lat, gdy nauczyła go fragmentów „Prawdy ruskiej”, którą opracował jej ojciec Jarosław, gdy został wielkim księciem kijowskim. Z zachwytem słuchała, jak dziecko recytuje o zadośćuczynieniu, do jakiego mają prawo ofiary wojny, o karze za zdradę czy inną zbrodnię. To była okazja, by sprawdzić wiedzę syna i by posłuchać ruskiej mowy.

Odkąd ją opuścił, by zamieszkać z Filipem i kształcić się razem z nim, jego zachowanie uległo zmianie. Gdy Anna przychodziła, by posłuchać lekcji mistrza Enguerranda i zadawała mu pytania po rusku, udawał, że nie rozumie i nie odpowiadał.

Filip nie ukrywał triumfalnego śmiechu. Starał się jak mógł podobnie jak i ojczym, ale nie mógł wybaczyć matce jej powtórnego zamążpójścia. Anna myślała, że z czasem zrozumie i zaprzyjaźni się z Raulem, lecz Filip godził się na obecność hrabiego Valois na dworze tylko na wyraźną prośbę regenta Baldwina, który obawiał się wpływu hrabiego na królową matkę i jego knowań z wrogami królestwa.

Anna cierpiała wielce z powodu takiego stanu rzeczy. Czuła się zmęczona. Kolejna ciąża jedynie wzmocniła to uczucie, a także wrogość synów.

Robert spoczywał na wysokim łożu w zamku w Senlis, ukryty przed spojrzeciami ciekawskich za ciężkimi zasłonami, tłumiącymi odgłosy śmiechów i krzyków. Anna czuwała przy nim i modliła się. Od paru dni utrzymywała się gorączka, a przepisane leki nie przynosiły poprawy. Na wieść o chorobie chrześniaka Matylda wysłała swego nadwornego medyka Jana le Mire'a, a ten po zbadaniu królewicza orzekł:

— To dziecko jest chore nie tylko na ciele, ale też na duszy. Pozostaje jedynie modlić się, by Bóg zechciał je uzdrowić.

Modlić się? Od kilku dni błagała Boga? Po pewnej nocy, gdy wydawało się, że syn jej nie przeżyje, Anna o świcie opuściła zamek w towarzystwie jednego tylko giermka. Mimo ciąży udała się konno w głąb lasu, gdzie stała chatka pustelnika. Mówiono, że zna się on na ziołach i że jest święty.

— Mnichu, mój syn umiera. Daj mi jakieś lekarstwo.

— Podałaś mu już swoje lekarstwa razem z zaklęciami, które wcale nie są chrześcijańskie.

— Tak, lecz nie przyniosły żadnego rezultatu.

— To jasne, bo to były zaklęcia Szatana, a nie Pana Naszego!

— To zaklęcia z mojego kraju... Pomóż mi, starcze!

Anachoreta długo milczał z oczyma wzniesionymi do nieba. Anna klęczała na mokrej trawie i modliła się. Po chwili mnich opuścił wzrok i spojrzął na nią ze współczuciem.

— Idź, córko. Nic już nie mogę zrobić dla ciebie ani dla twojego syna. Ufaj Bogu i módl się do Świętej Panienki. Idź...

— Ojczy, błagam cię, czy nie masz jakiegoś lekarstwa?

— Niestety. Wyczerpałem już całą swoją wiedzę. Ratunek jest w Bogu. Teraz zostaw mnie... Pójdę pomodlić się za ciebie, biedna matko, i za twojego syna.

Przybita i śmiertelnie zmęczona, Anna ruszyła w drogę powrotną. Nie miała już siły trzymać lejców. Osunęła się na kark konia i czołem dotykała jego grzywy. Giermek zaniepokoił się i zatrzymał wierzchowca.

— Pani, czy mamy dalej jechać? Może chcesz odpocząć parę chwil?

Anna nie podniosła się, potrząsnęła jedynie głową. Młodzieniec przywiązał powróż do uździenicy jej konia i ruszyli powoli. Co chwila odwracał się i sprawdzał, czy nie spadła z siodła. Żałował, że jej posłuchał i pojechali bez żadnej eskorty, zdani na łaskę i niełaskę zbójców. Gdyby przytrafiło się jakieś nieszczęście jego pani, hrabia Valois z pewnością zabiłby go. Choć było zimno, pot spływał mu po twarzy. Odpowiedzialność za królową oraz groźna cisza lasu przerażały go. Bał się tak bardzo, iż wydawało mu się, że wokół widzi przemykające cienie między gałęziami, za drzewami. Wyciągnął miecz i wtedy wszystko stało się bardzo szybko.

Nagle otoczyła ich banda jeźdźców w łachmanach, uzbrojonych w oszczepy i kije. Giermek stanął odważnie między królową a nimi. Rzucony z ogromną siłą oszczep przebił mu gardło. Upadł, a krew z jego rany trysnęła na szaty królowej. Nieruchoma dotąd Anna drgnęła. Na widok krwi na sukni i rękach oprzytomniała. Spojrzała z wysoka na rozbójników. Było ich pięciu. Jeden z nich, wyglądający na przywódcę, zbliżył się do niej. Natychmiast odczuła do niego niesamowitą odrazę: miał na sobie sztywny od brudu habit, a spod kaptura błyszczały złe i rozpustne oczy.

— Wydaje mi się, moi bracia, że trafiła nam się piękna zdobycz. Spójrzcie na jej szaty. To musi być żona jakiegoś bogatego pana, może nawet hrabiego — powiedział, łypiąc na nią pożądliwym wzrokiem.

— Bredzisz. Odkąd hrabiowskie żony błądzą po lesie w towarzystwie zwykłego giermka?

— Nie zwykłego giermka, ale kochanka...

— ...z którym jest w ciąży!

— Na szatana, masz rację. To podwójna zdobycz!

— Ten obrzydliwy żart rozśmieszył całą bandę.

Zbliżył się najmłodszy z rozbójników z opaską na oku.

— Jeśli chcemy otrzymać za nią dobry okup, nie należy jej popsuć.

— A kto mówi o popsuciu? Za dobrze znam wartość towaru wysokiej jakości. Wymienimy ją na piękne złote monety — odparł mnich.

Jakaś ułomna postać o przydługich rękach i przykrótkich nogach ześlizgnęła się z konia i podeszła do Anny, patrząc na nią bezczelnie.

— Nie musimy jej psuć, ale można się trochę zabawić — usłyszała.

— O tak, zabawmy się!

— No, przyjaciele, ta szlachetna dama nie wygląda na taką, która ma chęć się z nami zabawić. Pewnie woli pachnących piękniśków na dworze niż nas, biednych włóczęgów. Nie wstyd ci, kobieto nieczysta, oddawać twe zbrukane ciało możnym tego świata, a odmawiać biedakom? Przypomnij sobie słowa Chrystusa: błogosławieni ubodzy, albowiem do nich należy królestwo niebieskie... Słyszysz, dziewczko? Jesteśmy królami, tak jak powiedział nasz Pan! Nadszedł czas Bestii o siedmiu głowach i dziesięciu rogach... Ma siłę i potęgę smoka... Drżnij, samico, nie ujrzysz wielkiego orła i nie uniosą cię jego wielkie skrzydła daleko od nas. Do mnie, demony stworzone przez wszechmogącego Boga! Przybądźcie zniszczyć tę kobietę bardziej nieczystą niż sam Babilon, który upaja się krwią świętych i męczenników Jezusa!

Anna z przerażeniem patrzyła na gestykulujące monstrum, które z bezzębnych ust wypluwało okropne bluźnierstwa. Umrę, pomyślała. Poruszyło się dziecko, które nosiła pod sercem. Biedne maleństwo, zna tylko ciepło mego łona! Wyciągnęła z rękawa sztylet, z którym nie rozstawała się nigdy.

— Uwaga, ta dziewczka chce się zabić!

Razem rzucili się na nią. Przestraszony koń skoczył w bok i sztylet ześlizgnął się. Fałdy płaszcza osłabiły cios. Po palcach Anny spływała ciepła krew.

W tym samym momencie wyskoczył w galopie z lasu jakiś jeździec z mieczem w ręku i rzucił się w stronę królowej i napastników.

— Zamaskowany rycerz! — zawołali razem.

— Znów się spotykamy! — wykrzyknął Filip.

— Odejdź, przeklęty! To jest nasza sprawa!

— Co chcesz przez to powiedzieć, psie?

— Ta dama jest moim zakładnikiem, należy do mnie.

— Myślę, że się mylisz. Jeśli ty albo twoi ludzie zrobicie jeden krok, nadzieję was na miecz jak na rożen. Na Moreę!

— Jest nas pięciu, a ty jesteś sam jeden.

— Gdyby was była nawet setka, też bym się was nie bał.

— Ach!

Filip odciął rękę jednemu z napastników, który z wrzaskiem umknął do lasu.

— Kto następny?

— Ty! — krzyknął mnich. Jego cios omal nie ranił zamaskowanego w dłoń.

Krótkonogi rozbójnik podstępnie przyczał się za plecami Filipa.

— Uważaj, rycerzu! — krzyknęła Anna.

Miecz przeszył napastnika na wylot. Jego krótkie nogi jeszcze przez chwilę rzucały się na błocie, aż znieruchomiały na zawsze. Oszalałe ze strachu konie wierzgały kopytami i rżały. Filip zeskoczył z wierzchowca i ściągnął mnicha na ziemię.

— Tym razem zabiję cię. Za długo z tym zwlekałem!

Bandyta wstał. W rękę trzymał krótki miecz. Przeszył nim jednego ze swych kompanów i z zadziwiającą zręcznością wskoczył na jego konia, popędzając go ostrzem swej broni. Filip nie zdążył zareagować. Ból dodawał skrzydeł biednemu zwierzęciu, które gnało jak szalone przed siebie.

— Jeszcze się taki nie narodził, który by mnie zabił. Spotkamy się jeszcze i wtedy ja wyślę cię na tamten świat! — wrzeszczał i chichotał jak opętany mnich.

Pognał za nim jeden z bandytów. Filip wahał się, czy ich gonić, ale usłyszał jęki. Zdążył chwycić w ramiona upadającą Annę. Myślał, że nie żyje, ale sam o mało nie zemdlął ze szczęścia, że trzyma ją w ramionach. Anna straciła przytomność. Ostrożnie położył ją pod drzewem. Cały przód sukni splamiony był krwią. Sztyletem rozciął materię. Tuż pod lewą piersią znalazł ranę, niezbyt głęboką, lecz rozległą. Drżał cały, gdy spoglądał na jej umiłowane ciało, na wpół obnażone, noszące inne życie. Delikatnie dotknął jej wypukłego brzucha i poczuł, jak poruszyło się dziecko. Zmieszany podniósł się szybko i poszedł poszukać mchu, który przyłożył na ranę. Anna zajęczała.

— Wybacz, że sprawiam ci ból.

Otworzyła oczy i wzdrygnęła się na widok pochylonej nad nią twarzy.

— Nie lękaj się...

Dźwięk znajomego głosu uspokoił ją. Czowała się bezpieczna w ramionach

człowieka, który już raz ją uratował. Na jej wargach pojawił się lekki uśmiech. Filip był wstrząśnięty. Jakże była piękna mimo zmęczonej, wychudłej i bladej twarzy! Dla niego pozostawała wciąż taka sama. Była ciągle kniaziówną z Nowogrodu, biegającą niegdyś wśród wysokich traw i zbierającą kwiaty, które rzucała ze śmiechem w jego stronę. Wspomnienia były tak silne, że zamknął oczy w chwili, gdy Anna skierowała na niego swój wzrok. Spod srebrnej maski spłynęła łza.

— Dlaczego płaczesz? — spytała czule.

Nie odpowiedział od razu. Powtórzyła więc:

— Dlaczego płaczesz?

— Może nad młodością...

— Nie trzeba opłakiwać przeszłości, liczy się tylko teraźniejszość i życie wieczne, które nas połączy z Panem naszym. Mój Boże, ja tu, a tam mój syn umiera! Szybko, zawieź mnie do Senlis!

Filip poprawił jej suknię, podniósł i posadził na koniu. Sam usiadł za nią i ruszyli powoli.

— Szybciej, szybciej!

Usłuchał rozkazu wbrew sobie i popędził konia.

— Jeszcze szybciej!

Głową dotykała jego piersi. Ogarnęła ją błogość, choć z bólu zaciskała wargi, a rana wciąż krwawiła. Bała się, że zastanie syna martwego. Wydawało jej się, że całe życie spędziła przy piersi tego dziwnego człowieka. Czuła się bezpieczna tak jak za dawnych czasów z Filipem... Skąd to wspomnienie młodzieńczej miłości właśnie w tej chwili? Odwróciła się, by zobaczyć twarz rycerza, lecz ujrzała jedynie nieprzeniknioną maskę...

Galop męczył ją, z ust wymknął się jęk. Zamaskowany rycerz zwolnił kroku. Rozluźnił uścisk wokół jej pasa. Och! Niech zatrzyma się czas i niech miłosierny Bóg przywoła ich do siebie! Niech uwolni ich od cielesnej powłoki i niech staną się dzięki jego miłości jedną i tą samą duszą!

Głos umiłowanej przywołał go na ziemię. Siedząca przed nim Anna osuwała się.

— Boże! — zawył. — Nie zabieraj jej beze mnie!

Roztrącając strażę doszedł do głównej sali na zamku w Senlis, niosąc na rękach nieprzytomną królową. Paziowie i służący biegali we wszystkie strony, nie zwracając na niego uwagi. W sali zgromadził się płaczący tłum. Księża modlili się. W końcu zauważono Filipa i jego królewski ciężar. Przeżony tłum rozstąpił się.

Klęczący u stóp łoża król podniósł się gwałtownie.

— Matko!

Baldwin z Flandrii i Raul z Cr~epy spojrzeli zaskoczeni na ubrudzonego krwią i błotem rycerza z maską na twarzy, niosącego zakrwawioną królową matkę. Jej potargane włosy, w które zaplątały się liście i grudki ziemi, ciągnęły się po podłodze.

— Anno!

Błady jak ściana hrabia Valois chciał odebrać ją z rąk nieznajomego, lecz ten ułożył ją na łożu obok umierającego dziecka. Filip wziął rękę królowej i położył ją na dłoni Roberta. Gdy chłopiec poczuł dotknięcie, wstrząsnął nim dreszcz. Leżeli jedno przy drugim tak bardzo do siebie podobni, że wokół wzmógł się szloch.

Robert otworzył oczy.

— Matko... — odezwał się jasnym i silnym głosem, zwracając ku niej głowę.

Na to wezwanie królowa odzyskała przytomność i próbowała się podnieść.

Filip odsunął damy dworu oraz Raula i przytrzymał Annę za ramiona.

— Mój słodki synu, jestem taka rada, że znów cię widzę!

Dziecko uściśnęło rękę królowej i uśmiechnęło się:

— Wybacz mi, matko, że sprawiłem ci tyle przykrości i smutku. Czuję, że Bóg Wszchemogący wzywa mnie do siebie... Żegnaj... Kocham cię...

W nocy, która nastąpiła po śmierci Roberta, hrabina Valois urodziła martwego syna.

Rozdział XXXVI

„Mora”

Życie królowej ponownie było zagrożone. Odprawiano nabożeństwa w całym królestwie, a nawet poza jego granicami. Jej ukochany brat Wsiewołod, teraz już wielki książę kijowski, dowiedziawszy się o chorobie Anny posłał do niej swego nadwornego medyka. Król Norwegii Harald i jej siostra Elżbieta przysłali święte relikwie. Wilhelm wraz z Matyldą Normandzką udał się z pielgrzymką do Mont_Saint_michel w intencji jej powrotu do zdrowia. Sam papież ogłosił, że modli się za nią.

Filip trwał przy jej łożu tak długo, jak była nieprzytomna. Nikomu to się nie podobało. Po śmierci małego Roberta próbowano go oddalić, lecz gdy tylko zamaskowanego rycerza nie było przy Annie, stawała się niespokojna, płakała i krzyczała. Raul z Cr~epy musiał pogodzić się z obecnością tego rycerza. Cenił go za odwagę, lecz on ciągle odmawiał wyjawienia swego imienia.

— Mam nadzieję, że nie jesteś trędowaty! — zawołał hrabia Valois.

Choć sytuacja temu nie sprzyjała, Filip wybuchnął śmiechem.

— Nie, hrabio, nie jestem! Zobacz sam.

Rozwiązał skórzane rzemyki przytrzymujące i odsłonił swą przerażającą twarz. Pomruk strachu i litości przeszedł przez zgromadzenie. Nawet Raul zbladł.

— Wybacz mi, rycerzu. Zostań u boku mej małżonki jeżeli twoja obecność ją uspokaja,

— Daję ci słowo, że wyjadę, gdy tylko odzyska przytomność.

...Minęło wiele miesięcy. Pewnego jasnego zimowego poranka hrabina Valois otworzył oczy. Czowała się zarazem zmęczona i wypoczęta. Za zasłonami otaczającymi jej łoże panował straszny upał. Na kominku palił się ogień, przy którym czuwał drzemiący lokaj. Podniosła się z trudem i odsłoniła kotary. Na krześle o wysokim oparciu spał mężczyzna, którego w pierwszej chwili wzięła za Raula. Śpiący poruszył się. Bez zdziwienia poznała zamaskowanego rycerza. Zakręciło jaj się w głowie i opadła na poduszki. Podniosła ramiona. Były takie

chude. Ile czasu spędziła w łóżku? Wsunęła rękę pod futrzane przykrycie i dotknęła brzucha. Nagle przypomniała sobie wszystko. Łzy cicho spływały jej po twarzy. Już nigdy nie zobaczy rudych kędziorów małego Roberta. Nie będzie podziwiał, jak jej piękny i wesoły synek dosiada konia, nie usłyszy, jak śpiewa po rusku piosenki jej dzieciństwa. Nie żyje! Nie żyje! Bóg go jej odebrał. Och, Matko Święta! Ty też byłaś matką. Daj mi siłę, bym mogła wybaczyć Twemu Synowi, że przywołał moje dziecko do siebie... Nie czuję ruchów dziecka... Czy je też mi odebrał? Nie będzie kołyski! Nie będzie kwilenia! Jej płacz nasilił się. To z pewnością dlatego, by ją ukarać za poślubienie wiarołomnego mężczyzny. Bóg nie pozwala żyć dzieciom zrodzonym z takiego grzesznego związku. Panie, jakże jesteś okrutny! Powoli płacz ustąpił miejsca modlitwie. Usnęła wyczerpana.

Gdy noc zapadła, ponownie otworzyła oczy. W tańczącym świetle pochodni widziała jakieś cienie za kotarą. Odsunęła ją czyjaś ręka. Zamaskowany rycerz długo przyglądał się królowej. Ze wzruszeniem spoglądał na jej włosy. Siwe pasma przeplatały się z rudymi włosami. Wargi i policzki Anny były lekko zaróżowione. Choć bardzo wychudzona, wciąż wydawała mu się piękna! Patrzyła na niego spod przymkniętych powiek i powoli wracała jej pamięć. Wyciągnęła rękę. Zawahał się, zanim ją chwycił. Gdy palce ich dotknęły się, Anna natychmiast go rozpoznała, lecz nie chciała pogodzić się z faktami. Dla niej Filip z Nowogrodu umarł w dniu, w którym zostawiła go na drodze wiodącej do Francji.

Poczuł, że go rozpoznała, ale jednocześnie zrozumiał, że nie godzi się z prawdą. Przyjął to z ulgą i z rozpaczą zarazem. Wpatrywał się w Annę, nie mogąc oderwać wzroku od tej kobiety, która była całym jego życiem. Trzymając jej dłoń uklęknął. Trwali tak przez czas jakiś, nie mogąc nic powiedzieć. Pomimo osłabienia Anna przemówiła pierwsza:

— Rycerzu, dziękuję ci. Uczyniłeś dla mnie więcej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Wiedz, że współczuję ci w twych cierpieniach i modłę się do Boga, by ci w nich ulżył. Teraz odejdz i niech Bóg zlituje się nad tobą i wybaczy twoje grzechy.

Musiał odejść. Przysięgał przecież, obiecał sobie.

Anna cofnęła rękę. Znowu poczuł się wyzuty ze wszystkiego, bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem i bardziej stary.

Od kiedy obserwował ich Raul? To nie miało znaczenia, skoro odjeżdżał i nigdy już jej nie ujrzy!

— Królowa ma się dużo lepiej, hrabio. Odjeżdżam.

— Przyjmij to w podziękę — odezwał się hrabia i wyciągnął ku niemu sakiewkę złota.

Nagły rumieniec na twarzy skryła maska. Poczuł się dotknięty i sięgnął za

miecz. Nie miał go przy sobie; zapewne oddał giermkowi.

— Nie liczyłem na podziękę, hrabio. Rozdaj to złoto biednym. Żegnaj. Dbaj o nią!

Nie patrząc, popchnął giermka, który właśnie nadbiegł, i opuścił zamek w Senlis.

Ku zdziwieniu lekarzy Anna szybko wracała do zdrowia. Nie rozpaczała, ogarnęła ją spokojna obojętność. Czasem nawet można było ujrzeć na jej ustach dziwny uśmiech. Odzyskała siły na tyle, by wziąć udział w uroczystym nabożeństwie odprawionym z okazji przekazania klasztoru Świętego Wincentego w ręce kanoników zakonu Świętego Augustyna i jego przeora Li~eaud, którzy w odróżnieniu od augustianaw białych nosili czerwone habity i kaptury na pamiątkę krwi przelanej przez ich patrona, świętego diakona Wincentego.

Wkrótce po ceremonii nadeszła wiadomość o śmierci w dniu szóstego stycznia 1066 roku Edwarda, króla Anglii, oraz o koronacji tego samego dnia Harolda, hrabiego Wessex, który złamał tym samym przysięgę złożoną Wilhelmowi.

Dwudziestego czwartego kwietnia ukazała się nad Anglią, Normandią i Francją gwiazda, która, jak mówiono, wracała w regularnych odstępach i którą nazywano kometa lub gwiazdą z ogonem. Błyszczała przez tydzień. W Anglii niektórzy widzieli w niej złowróżbną przepowiednię dla kraju. Widać Bóg postanowił zesłać na Anglię karę za złamanie przysięgi przez Harolda. W Normandii Wilhelm zobaczył w niej znak, że Bóg jest z nim i rozkazał, by szykowano się do ataku. Wezwał wszystkich, od potężnego seniora do ostatniego biedaka. Przyrodni bracia Wilhelma: Robert, hrabia Mortain, i Odon, biskup Bayeux, zobowiązali się dostarczyć mu łodzie. Robert — sto dwadzieścia, a Odon — sto. Anna sięgnęła do własnych funduszy i wysłała do Matyldy szkatułkę pełną złota i klejnotów na budowę łodzi Wilhelma. W liście zapewniała o swych uczuciach dla książąt Normandii i o modlitwach za powodzenie zamiarów Wilhelma. Władców Normandii wzruszyło oddanie ich przyjaciółki.

— Anna wychodzi naprzeciw moim pragnieniom. Chciałam podarować ci okręt, ale teraz podarujemy ci go wspólnie. Jeśli się zgodzisz, będzie nosił imię „Mora” — rzekła Matylda.

Wilhelm objął ją i pocałował.

— Moja kochana, ty i królowa jesteście zbyt dobre dla mnie. Mam wrażenie, że nie zasłużyłem na to, ale przyjmuję całym sercem ten hojny dar od dwóch osób, które kocham najmocniej na świecie. Od ciebie, bo jesteś moją kochającą i najwierniejszą małżonką, i od niej, bo jest...

— Mów dalej!

— To trudno wyrazić...

— A więc powiem zamiast ciebie. Bo jest niedostępna i piękna, dziwna, raz wesoła, raz smutna, silna i słaba i uwiodła cię od pierwszego spojrzenia.

Małżonkowie umilkli i spojrzeli na siebie z czułością.

— To prawda, że ją pokochałem od pierwszego wejrzenia... Niech mi Bóg wybaczy moje słowa... Była jak syrena z piosenek śpiewanych przez prządki z Falaise. Ale ciebie, moja droga, pokochałem jako kobietę. Czyż nie dałem ci po stokroć dowodu mej miłości, choćby zeszłej nocy?

— Dlatego właśnie nigdy nie skarżyłam się i pogodziłam z twą czystą miłością do królowej Anny, którą też kocham.

— A więc nazwiemy ten okręt „Mora”!

Osiemnastego czerwca hrabia i hrabina Valois udali się do Caen na poświęcenie kościoła opactwa Świętej Trójcy, który ufundowała Matyllda. Książę i księżna Normandii sporządzili wiele aktów darowizny na rzecz żeńskiego klasztoru, a ponadto przyrzekli swą pięcioletnią córkę Cecylię jako oblatkę. Zwiedzili stocznię, także tę w Barfleur, gdzie budowano „Morę”. Anna była zachwycona tym pięknym okrętem. Razem z Raulem pojechała do Saint_Sauveur. Tu u ujścia rzeki Dives pokazano im główną część floty normandzkiej. Byli zaskoczeni widokiem setek okrętów, kołyszących się dostojnie na wodzie. Ani jeden podmuch wiatru, ani jedna chmurka nie zakłócała błękitnego nieba. Od dawna nie widziała tak pięknego lata. Żniwa zapowiadały się wczesne i obfite. Chłopi nie musieli obawiać się grabieży ze strony tysięcy zgromadzonego wojska. Żołnierze przybyli z Bretanii, z Francji, z Burgundii, z Poitou, z Niemiec, z bardzo daleka, by wstąpić w szeregi księcia, który obiecał im dobrą zapłatę i bogate łupy. Ale rozkaz Wilhelma był stanowczy: żadnej grabieży w Normandii! Ku zdziwieniu wielu w obozowiskach panowała dyscyplina, która wszystkich zachwyciła. Raul z Cr~epy nie mógł się nadziwić. A mimo to wciąż krążyły pesymistyczne pogłoski. Najstarsi wspominali nieudaną wyprawę Roberta Wspaniałego. Czy jego synowi się uda? Wydawało się, że jego zasoby są na wyczerpaniu: z góry wypłacono żołd najemnikom i teraz kasy świeciły pustkami. Wilhelm musiał obiecać, że rozda ziemię i bogate łupy po drugiej stronie Kanału. Wyolbrzymiano przy tym majątek uzurpatora.

— Choćby był nie wiem jak bogaty, nie natchnie swoich ludzi jak ja nadzieją płynącą z podboju. Ja mogę obiecać tym, którzy ze mną pójdą, część należnych do mnie dóbr, przywłaszczonych bezprawnie przez Harolda — tłumaczył Wilhelm.

Anna i Raul udali się na drugi brzeg Dives do obozowiska w Cabourg, gdzie tysiące wojowników oczekiwało na odpłynięcie. Zniecierpliwieni, zabijali czas grą w kości, dokuczali dziewczkom, łowili ryby, lub urządzali głośnie gonitwy wśród fal. Co jakiś czas wybuchały bójki, ale surowo ich zakazano i stawały się coraz

rzadsze. Piętnastego sierpnia paru śmiałków wypłynęło bez rozkazu. To była katastrofa: przeciwnie wiatry rzuciły na siebie okręty, które się roztrzaskały. Były ofiary śmiertelne; szybko pochowano je w największej tajemnicy.

Nieubłagane słońce wciąż świeciło. Ani odrobiny wietrzyku. Zmęczeni upałem rycerze i ich ludzie spoglądali na rozpalone niebo. Na polach położonych wokół rozpoczęły się już żniwa. Chłopi nie ukrywali swego zadowolenia: dzięki stanowczym rozkazom księcia pola nie zostały stratowane przez nudzących się wojowników, a udane zbiory oddalały widmo głodu.

Pod koniec sierpnia Anna z radością i dumą ujrzała w stoczni w Barfleur „Moreę” z dwudziestoma wioślarzami na pokładzie. Na okręcie powiewał sztandar Świętego Piotra, który papież Aleksander podarował Wilhelmowi wraz z błogosławieństwem. Wojownicy zebrani na nabrzeżu wiwatowali, gdy ujrzeli okręt u ujścia rzeki. Lanfranc, teraz już opat klasztoru Świętego Stefana, poświęcił okręt w obecności pary książęcej, hrabiego i hrabiny Valois, licznych baronów, rycerzy oraz wszystkich tych, którzy mieli uczestniczyć w wyprawie. Następnie książę w otoczeniu świty udał się do zamku w Bonneville.

By skrócić oczekiwanie i rozweselić gości, Wilhelm sprowadził truwerów i minstrelów, którzy śpiewali pieśni o wyczynach zdobywców normandzkich w Italii.

Nagle pogoda zmieniła się. Nad Kanalem rozszalał się sztorm o niezwykłej sile, uniemożliwiając wypłynięcie w morze. Wilhelm kazał odprawiać modły i procesje. Pod Bonneville ufundował opactwo Świętego Marcina, licząc, że tym gestem ułagodzi niebo, by stało się bardziej łaskawe. W obozach zdenerwowanie wśród żołnierzy osiągnęło już szczyt. W końcu burza ustała i wiatr wiał już z mniejszą siłą. Dziesiątego września książę dał rozkaz podniesienia kotwicy i opłynięcia brzegów Normandii aż do ujścia rzeki Somme. Anna i Matylda znajdowały się na pokładzie statku. Kotwicę podniesiono o świcie. Mimo futrzanych okryć przytulone do siebie przyjaciółki trzęsły się z zimna. „Mora” płynęła pod wiatr na czele floty. Radosne okrzyki zgromadzonych nader licznie na morskim brzegu, na plażach i w portach, Normandczyków, przybyłych ze wszystkich zakątków kraju i pragnących ujrzeć wypłynięcie okrętów, kojarzyły się ze zwycięskim pochodem władcy, którego nikt już nie śmiał zwać Bastardem. Nagle zerwał się gwałtowny wiatr i zepchnął flotę ku urwistym brzegom. „Mora” opierała się dzielnie tej fatalnej sile, lecz wiele okrętów nie miało takiego szczęścia. Przerażeni ludzie patrzyli, jak jedne okręty przewracają się do góry dnem, a inne rozbijają o brzeg. Matylda i Anna trzymały się masztu i modliły na klęczkach. Annie wydawało się, że słyszy, jak jej brat Włodzimierz opowiada o bitwie morskiej, którą przegrał pod Bizancjum.

Wilhelm wydawał rozkazy. Twarz miał bladą i moką od mżawki. „Mora” walczyła dzielnie. Wreszcie sztorm ustał. Dwunastego rzucono kotwicę w

Saint_Val~ery. Dopiero tam księżę obliczył straty: były duże, tak w łodziach, jak w koniach i okrętach. W towarzystwie Guy z Ponthieu i paru zaufanych ludzi udał się w głąb wybrzeża i kazał pochować potajemnie trupy, wyrzucone przez morze. Rozkazał, by oficjalnie bagatelizowano straty, pocieszano tych, którym wszystko przepadło, i podwojono racje mięsa i wina dla ludzi.

W obozie wzniesionym naprędce w Saint_Val~ery od nowa rozpoczęło się czekanie. Było zimno i wilgotno. Deszcz często padał. Wilhelma można było spotkać albo w kościele na modłach, albo na plaży, gdzie wpatrywał się w niebo i drżał za każdym razem, gdy kogut na wieży kościelnej poruszał się na wietrze. Kazał przenieść w procesji ulicami miasta święte relikwie Walerego. Anna i Matylda odwiedzały chorych i rannych, pocieszając ich dobrym słowem i licznymi darami. Ich obecność kołał niepokój i nerwową atmosferę wśród żołnierzy oraz dodawała odwagi.

Do obozu w Saint_Val~ery dotarła wiadomość o wylądowaniu na wybrzeżu w północnej Anglii króla norweskiego Haralda, zwanego Hardradą. Walczące odważnie oddziały Harolda zostały pobite pod Yorkiem. Wilhelm ujrzał w tym zdarzeniu przychylny znak od Boga i cieszył się ze zwycięstwa Norwegów.

— Hardrada też pragnie korony angielskiej — zauważył Odon, brat księcia.

— A więc wypowiemy mu wojnę i wypędzimy!

Ta uwaga księcia przestraszyła Annę. Myśl, że Harald i Wilhelm mogliby walczyć ze sobą, była dla niej nie do zniesienia.

— Panie, gdy staniesz naprzeciwko niego, nie zapomnij, że jest mężem mojej umiłowanej siostry Elżbiety i że go czule Kocham.

— Pani, przyrzekam, że nie zapomnę...

Rozdział XXXVII

Thor a~ie!

W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego września 1066 roku przestało padać i wiatr skierował się na południe. Książę rozkazał podnieść kotwicę. Po raz ostatni wysłuchał mszy w kościele w Saint_Val~ery i ruszył na plażę, gdzie wsiadł na okręt. Towarzyszyła mu księżna, której przekazał rządy nad Normandią. Razem z nią przybyły damy dworu oraz hrabia i hrabina Valois.

— Pani, powierzam ci piękną krainę Normandii. Rządź nią mądrze podczas mej nieobecności. Nasz wierny przyjaciel, opat Lanfranc, będzie ci służył swymi mądrymi radami. Z pomocą Boga, Najświętszej Panienki i archanioła Michała czuwaj nad krajem i nad dziećmi — zwrócił się do Matyldy Wilhelm i czule ją ucałował.

— Możesz być pewien, panie, że uczynię wszystko, byś był zadowolony ze mnie. Uważaj na siebie. Niech Bóg da ci zwycięstwo!

Książę zwrócił się do Anny i przyklęknął na jedno kolano.

— Pani Anno, matko chrzestna mojego okrętu, módl się za mnie.

— Nie ma dnia, abym się za ciebie nie modliła. Począwszy od dzisiaj aż po dzień twojego zwycięstwa będę modliła się ze zdwojoną siłą. Niech Bóg ma cię w swej opiece, Wilhelmie!

Książę wstał i zwracając się do Raula z Cr~epy, stojącego obok swej małżonki, rzekł:

— Hrabio, opiekuj się królową. Wiesz, jak bardzo jest mi droga.

— Mnie również, panie. Nie musisz mi zlecać, bym dbał o moją małżonkę. Zazdroszczę ci, że wyruszasz na wojnę. Gdybym nie miał tak ważnych obowiązków, pojechałbym z tobą. Niech Bóg cię strzeże, Wilhelmie!

Załadowane nocą na okręty konie stały spokojnie. Ostatni wojownicy wsiadali na łodzie. Wilhelm i jego dowódcy uklękli, by przyjąć po raz ostatni błogosławieństwo biskupa Bayeux. Zamachał ręką na pożegnanie i wszedł na pokład „Mory”. Trębacz stojący na dziobie dał sygnał do odcumowania. Wiosła

wolno poruszały flotyllę aż do cypla Hourdel, gdzie wciągnięto żagle na maszt.

Dwór jechał konno za nimi aż do cypla, gdzie ze wzgórza oglądał wspaniałą defiladę. Po kolei wciągano żagle na maszty. Górował nad nimi żagiel łodzi książęcej — czerwony ze złotym pasem — który błyszczał w świetle zachodzącego słońca. W milczeniu zachwycony dwór spoglądał na łodzie wyruszające na podbój Anglii. Anna i Matylda opuściły wzgórze, gdy na horyzoncie widać było już tylko niewyraźne punkciki.

Łódź książęca „Mora” była najszybsza ze wszystkich i znalazła się na czele flotylli. Wilhelm nie chciał przybijać do brzegu nocą, rozkazał więc, by zwinięto żagle. Rzucono kotwice i rozpalono pochodnie, które wskazywały drogę innym okrętom. Ta przerwa nie spodobała się jego towarzyszom. By ich uspokoić, kazał podać kolację i zaprosił ich na wspólny posiłek. Udał, że jest w doskonałym humorze. Hojnie rozlewane wino zdołało rozweselić kompanów. Nagle marynarz pełniący wartę na bocianim gnieździe zawołał z całej mocy:

— Łodzie na horyzoncie... Cztery, sześć, dziesięć, sto!

Wydawało się, że to gęsty las pod żaglami... Herold rozkazał zwinąć żagle. Zakotwiczone okręty kołysały się na wodzie w oczekiwaniu na wschód słońca.

Świt długo nie nadchodził. W końcu trębacz dał znak. Podniesiono kotwicę i rozwinięto żagle. Był ranek dwudziestego dziewiątego września, dzień świętego Michała, patrona Normandii.

Przychylny wiatr zaprowadził ich szybko na brzeg. Wylądowali około godziny trzeciej po południu w lagunie Pevensey. Była piękna pogoda. Ani śladu wroga, na brzegu zupełnie pusto. Na łodziach podniósł się okrzyk radości. Pierwsi wylądowali łucznicy. Z bronią w ręku pobiegli w stronę plaży i zajęli pozycje, by ubezpieczać lądowanie następnych oddziałów. Wszędzie panował bałagan. Po zejściu ludzi wyprowadzono konie. Niektóre z nich próbowały uciekać ku rozpaczystajennych, którzy biegali za nimi we wszystkich kierunkach. Ciesle zbierali narzędzia potrzebne do wznoszenia umocnień, kucharze żywność, giermkowie broń i zbroje. Marynarze zwijali żagle i chowali wiosła. Rycerze wkładali zbroje. Wilhelm doglądał wszystkiego. Jako ostatni wysiadł na ląd, gdzie pozdrowił wiwatujących żołnierzy na jego cześć. Potknął się i upadł, opierając się na wyciągniętych rękach. Wszyscy krzyknęli z przejęcia, a niektórzy pomyśleli: To niedobry znak! Lecz Wilhelm wstał, śmiejąc się, podniósł ręce do góry i krzyknął:

— Panowie, Bóg wspaniałomyślny zechciał, bym chwycił tę ziemię pełnymi garściami. Bądźcie pewni, że nigdy jej nie wypuszczę. Należy cała do nas. A teraz chcę przekonać się o waszej odwadze!

Na słowa księcia jakiś rycerz pobiegł w kierunku lądu, zerwał garść słomy z dachu opuszczonej chaty i wrócił. Przyklęknął przed księciem i rzekł:

— Panie, podejdz. Wez ten znak twojej wladzy. Czynie cie panem tej ziemi. Teraz bezsprzecznie nalezy ona do ciebie!

Wilhelm odpowiedzial z usmiechem na ustach:

— Przyjmuj. Niech Bog mnie wspomoz!

Znowu podniost sie okrzyk wzrod jego ludzi.

Intendent Wadard dwoil sie i troil. Jego pomocnicy rozbiegli sie po okolicy i lapali kury, barany, wieprze i woły. Rozpalono ogniska, a zwierzeta nadziewano na rozen. W niecale trzy godziny po zstapieniu na nowy lad Wilhelm spozył pierwszy posilek, który poblogoslawil jego brat Odon.

Po nocnym odpoczynku udal sie na rekonesans wraz z dwudziestoma piecioma rycerzami. Bagnisty teren uniemozliwial rozwinięcie oddzialow. Wilhelm zwolal rade i zdecydowal, ze nalezy dotrzec do polwyspu Hastings i tam wznieśc umocnienia. Oddzialy dotarly na to miejsce ladem i morzem.

Przez dwa tygodnie w miasteczku i na polwyspie Hastings rozlegalo sie stukanie mlotkow cieśli normandzkich, wznoszących drewniane fortyfikacje na kępkach traw badz na palisadach. Wilhelm czuwal nad wszystkim: sprawdzal umocnienia, stan koni i uzbrojenia, badal okolice. Wracajac z kolejnej inspekcji dowiedzial sie o klęsce armii norweskiej i smierci króla Haralda pod Stamford Bridge dwudziestego piątego wrzesnia. Wilhelm malo znal Haralda, lecz szanowal go za jego odwage. Natychmiast podyktowal list do królowej Anny, by zapewnic ja o swym wspolczuciu w jej smutku.

Do obozu księcia przybył pewien mnich — wyslannik Harolda. Chodzilo o wszczęcie pertraktacji w sprawie praw jego pana do tronu Anglii.

— Oto co ma do przekazania król Harold. Wkroczyles na jego terytorium podstepnie i zuchwale. Pamietaj, ze król Edward najpierw ciebie wybral na spadkobierce tronu Anglii i ze on sam osobiscie potwierdzil te sukcesje. Jednak królestwo Anglii prawnie nalezy sie jemu, bo król, jego senior, podarowal mu je w ostatnich chwilach zycia. Od czasu przybycia do Anglii blagoslawionego Augustyna z Canterbury panuje zwyczaj honorowania darowizn czynionych w ostatnich momentach zycia. Dlatego tez pros cię, panie, abys powrocił z ludzmi do twojego kraju. W przeciwnym razie bedzie musial zerwac przyjazn i wszystkie umowy, które zawarł z Normandia. Mój pan pozostawia ci pelny wybor.

Ksiązę wysluchal mnicha w wielkim skupieniu. Przez chwile myslal, a potem zapytal:

— Czy mozesz zagwarantowac, ze przeprowadzisz bezpiecznie mojego wyslannika do twojego pana?

— Panie, bede opiekowac sie nim jak samym soba.

Przyprowadzono Hugona Margota, kopistę z klasztoru w Fécamp. Wilhelm rzekł do niego:

— Przekaż dokładnie moje słowa Haroldowi, samozwańczemu królowi Anglii: „Przybyłem do tego kraju nie uciekając się do podstępu lub zuchwałości, lecz wiedziony rozważą i sprawiedliwością. Mój senior i krewny, król Edward, ustanowił mnie swym spadkobiercą. Przyznaje to nawet sam Harold. Edward uznał, że jestem najlepszym i najzdolniejszym spośród jego krewnych, że będę wspomagał go za życia i rządził królestwem po jego śmierci. Ten wybór był dokonany za zgodą wielkich panów, którzy potwierdzili przysięgą, że uznają mnie za swego seniora po śmierci Edwarda. Przysięgali, że nie będą próbowali zagarnąć tego kraju za jego życia i że mnie nie pozbawią prawa do niego. Król przysłał do Normandii swego syna i bratanka Godwina jako zakładników, a następnie i samego Harolda, aby ten w mojej obecności złożył przysięgę jak jego ojciec i inni panowie. W swym imieniu złożył mi hołd i składając swe dłonie w me ręce zagwarantował mi królestwo Anglii. Jestem gotów bronić mej sprawy zgodnie z prawem normandzkim lub raczej angielskim, jeśli woli. Jeżeli Normandczycy i Anglicy osądzą, że zgodnie ze sprawiedliwością i prawdą ma on prawo do tego królestwa, to niech nim rządzi w pokoju. Lecz jeżeli uzgodnią, że według prawa ma mi je oddać, to niech mi je odda. Jeżeli odrzuci tę propozycję, to nie chcę, by moi i jego ludzie ginęli w walce, bo nie są winni naszej waśni. Dlatego właśnie jestem gotów spierać się, za cenę mej głowy, że królestwo Anglii prawnie należy się mnie, a nie jemu'.

Bracia księcia, biskup Bayeux i hrabia Mortain, oraz obecni członkowie Rady zgodzili się ze słowami Wilhelma.

Harold nie wyraził zgody na pojedynek z księciem i rozkazał, by jego oddziały szykowały się do walki. Przynaglany do odpowiedzi przekazał w końcu:

— Zgodnie z prawem niech Bóg wybierze między mną i Wilhelmem.

Gdy przekazano te słowa, a także wieść o przybyciu oddziałów wroga Wilhelmowi, książę wpadł w straszny gniew. Wielka część jego wojska wybrała się po furaz i obóz był prawie pusty. Wilhelm rozkazał, by pozostali natychmiast przygotowali się do walki. Potem wraz z towarzyszami wysłuchał w wielkiej pobożności mszy. Zawiesił na szyi relikwie, na które przysięgał Harold. Gdy nakładano mu pancerz, ten przekręcił się na lewo.

— To zły znak — szeptali ludzie.

Książę jednak wybuchnął śmiechem.

— A ja w tym widzę raczej zapowiedź zmiany: dzisiaj jestem księciem, jutro będę królem.

Wilhelm stanął w pełnej zbroi na wzgórku twarzą do armii normandzkiej. Obok

niego w pancerzach nałożonych na alby duchownych dwaj biskupi: Odon z Bayeux i Gotfryd z Coutances. Syn Roya Blanc dzierżył chorągiew papieską. Wilhelm głośno zawołał:

— Czołem, towarzysze! Dziś wasze ramiona muszą dowieść swej siły i męstwa. Chodzi nie tylko o zwycięstwo, ale także o to, byście uszli z życiem mimo czyhającego na nas niebezpieczeństwa. Jeżeli będziecie walczyć jak mężczyźni, osiągniecie zwycięstwo, honor, bogactwa. W przeciwnym razie zostanieie wymordowani lub wzięci do niewoli, stając się zabawkami w rękach najbardziej okrutnych wrogów. Co więcej, okryje was wieczna hańba. Nie mamy możliwości odwrotu: z jednej strony zamykają drogę wojska, nieprzyjazny, nieznany kraj, z drugiej nie pozwalają na ucieczkę morze i dalsze oddziały. Nie przystoi mężczyźni bać się liczego wroga. Anglicy wiele razy ulegali żelazu nieprzyjaciela. Często bywali pokonani, pod obcym jarzmem nigdy nie wstawili się chwalebnyymi czynami orężnymi. Garstka odważnych rycerzy może okazać się silniejsza niż rzesze ludzi niezdolnych do walki, zwłaszcza wtedy gdy Bóg pomaga sprawiedliwości. Odwagi, a nic was nie zmusi do odwrotu i zwycięstwo rozweseli wasze serca. Liczę na was, rycerzcy wojownicy szlachetnej Francji, i na was, mężowie z Bretanii, którzy nie potraficie się cofać, na was rycerze z Maine, wstawieni na wojnach, na was, rycerze z Flandrii o mężnych sercach, z Kalabrii, z Apulii, z Sycylii o smagłych twarzach, na was Normandczycy, którzy przyzwyczajeni jesteście do szaleńczych ataków, liczę na was! Naprzód! „Thor a~ie”!

Echo poniosło wojenny okrzyk normandzki aż do przednich straży angielskich, napawając je strachem. Była piąta rano czternastego października 1066 roku. Wstawał błydy świt.

Rozdział XXXVIII

Pasowanie króla Filipa

na rycerza

Po powrocie z Normandii Anna i Raul, wciąż w sobie zakochani, spędzili jakiś czas na zamku w Cr~epy. Hrabia dowiedział się tam, że Thierry, biskup Verdun, mimo usilnych próśb nie zapłacił swej rocznej daniny, której jego poprzednicy nigdy nie zapominali przekazać, gdyż uważali, że opieka seniora warta była dwudziestu liwrów. Thierry był innego zdania. Raul nie lubił, gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Wpadł w straszny gniew i zwołał wojsko. Gdy najechał na hrabstwo Verdun, splądrował je doszczętnie, obległ miasto, które następnie puścił z dymem, mordując wielu mieszkańców. Annę szokowała ta gwałtowność i rozkazała odmawiać msze za spokój dusz nieszczęsnych ofiar.

Na wieść o śmierci szwagra, walecznego króla Haralda Norweskiego, Anna bardzo posmutniała. Niepokoiła się o los swej siostry Elżbiety i siostrzeńca, który był w Anglii. Raul z Cr~epy wysłał posłańca do Wilhelma Normandzkiego, by dowiedzieć się, co się z nimi stało. Odpowiedź nadeszła dwa tygodnie później. Harold dał dowód wielkoduszności i odesłał królową Norwegii i tych, którzy przeżyli, do ich kraju w zamian za obietnicę, że nie będą więcej napadać na Anglię. Na trzysta łodzi, które wyruszyły z Szetlandów, do portu przeznaczenia dotarło jedynie dwadzieścia cztery. Anna napisała długi list do siostry zapewniając ją, że zawsze jest mile widziana w królestwie Francji.

Młody król Filip z niecierpliwością oczekiwał na dzień swej pełnoletności. Nie dlatego, żeby ciążyła mu opieka, jaką roztaczał nad nim Baldwin z Flandrii, lecz dlatego, że pierwsze wieści o zwycięstwach Wilhelma, nazywanego nie inaczej jak Zdobywcą, rozogniły go do takiego stopnia, że marzył jedynie o tym, by dołączyć do słynnego zwycięzcy. Martwiło to opiekuna królewskiego, któremu udało się utrzymać Francję z dala od kłótni między Anglikami i Normandczykami. Zapowiedź koronacji księcia Normandii na króla Anglii, która miała nastąpić dwudziestego piątego grudnia 1066 roku, zmniejszyła niepokój Filipa. Wraz z nią kończyła się wojna.

W następnym roku Filip został pasowany na rycerze przez Baldwina z Mons, syna hrabiego Flandrii. Uroczystość odbyła się na głównym dziedzińcu zamku w Senlis.

Po nocy spędzonej na modlitwach u stóp ołtarza Filip wypowiadał się kapelanowi Godefroy, wysłuchał mszy i przyjął komunię.

Ustawiono dwie wysokie trybuny wyściełane flandryjskimi gobelinami. Zasiadły tam damy wraz z duchownymi i seniorami. Na trybunie przeznaczonej dla dam stała królowa matka we wspaniałej sukni ze szkarłatnego brokatu podbitego popielicami podobnie jak jej płaszcz z zielonego sukna z Brugii, spięty na ramieniu złotą broszą. Choć świeciło słońce, było bardzo zimno. Na długich szczypcach podawano kubki z grzanym winem korzennym. Obok królowej stały Adela z Flandrii, Adelajda z La Fert~e, Biotta z Pontoise, Hildebranda z Valois i Blanka z Arles. Anna pochyliła się ku drugiej trybunie, by przywitać skinieniem głowy swych starych i wiernych przyjaciół: Gosselina z Chauny, arcybiskupów Gerwazego z Reims i Waltera z Meaux oraz Raula, który wyglądał wspaniale w swym czarnym stroju ozdobionym złotymi i srebrnymi haftami.

Filip stał z gołą głową, ubrany jedynie w białą tunikę. Był wysoki i silny jak na swój wiek. Złożył ręce i zamknął oczy.

Gosselin z Chauny zszedł z trybuny i zbliżył się do niego. Wręczył Filipowi stalowe rękawice, a następnie założył pozłacane ostrogi. Raul z Cr~epy przywdział nań kolczugę, podczas gdy Baldwin z Mons recytował rycerskie przykazania:

— Masz wierzyć w to, co naucza Kościół, i przestrzegać dziesięciorga przykazań. Bądź jego opoką. Szanuj i broń słabszych. Miłuj kraj ojczysty. Nie cofaj się przed wrogiem. Bez wytchnienia i bez litości zwalczaj heretyków. Wypełniaj dokładnie twe rycerskie obowiązki. Nie kłam i dotrzymuj przyrzeczonego słowa. Bądź szczodry i hojny dla wszystkich. Zawsze i wszędzie broń prawa i dobra przed niesprawiedliwością i złem. Na szyję nałożono mu pas przytrzymujący tarczę, która należała do jego ojca. Filip uklęknął. Baldwin z Mons uderzył go w ramię, wręczył miecz i rzekł:

— W imię Boga, świętego Michała i świętego Jerzego, pasuję cię na rycerza. Bądź dzielny!

Najwidoczniej wzruszony nowo pasowany rycerz wstał i uklonił się matce. Anna pochyliła się i włożyła mu na głowę hełm z pozłacanego srebra.

Przyprowadzono jego ulubionego konia. Wskoczył nań energicznie bez użycia strzemion wśród okrzyków tłumu, chwycił kopię z jesionu ze stalowym ostrzem i ruszył galopem w stronę ćwiczebnego manekina, w który wbił włócznię.

Pomimo złej pogody zabawa trwała do wieczora.

Choć podczas uroczystości wydanych na cześć syna królowa matka ubrana była w futra i popijała grzane wino, pogoda okazała się dla niej fatalna w skutkach, gdyż nazajutrz położyła się do łóżka z wysoką gorączką. Na Wielkanoc nie była jeszcze na tyle silna, by uczestniczyć w przywitaniu Wilhelma, który powrócił do Normandii. Za zgodą Filipa ustalono, że w wypadku nieobecności króla i królowej matki Francję będzie reprezentował jego ojczym, hrabia Valois.

Przez długi czas mówiono z zazdrością na dworze Francji o hojności Wilhelma, o bogato haftowanych strojach jego baronów, o szlachetnych panach angielskich, którzy nosili długie włosy, o złotej i srebrnej zastawie, o rzeźbionych rogach bawolich, o obfitości nieznanych potraw, o muzykantach, o turniejach, gdzie stawali w szranki Angliacy i Normandczycy, o poświęceniu kościoła Najświętszej Marii Panny w Saint_Pierre nad rzeką Dives, o darach i dobrodziejstwach księcia króla, które spadły na jego lud. Po powrocie z Flandrii Filipem targają zazdrość.

Pierwszego września leciwy i otoczony zaszczytami hrabia Baldwin zakończył żywot. Kanclerz Gerwazy, arcybiskup Reims, zmarł dwa miesiące wcześniej. Syn Anny mógł sam rządzić krajem.

W maju następnego roku królowa matka udała się do Anglii na koronację księżny Normandii. Przystrojona w ciężkie stroje drobna Matylda aż błyszczała, gdy Ealdred, arcybiskup Yorku, wkładał w Westminsterze królewską koronę na jej czoło. Była znów w ciąży i pozostała z Anną w Anglii do rozwiązania. Powiła syna, któremu dano na imię Henryk. Za zgodą panów Wilhelm ustanowił go spadkobiercą wszystkich posiadłości angielskich. Ten czwarty syn przysporzył wielkiej radości Wilhelmowi.

Po powrocie do Francji Anna wraz ze swym synem Hugonem i mężem Raulem przebywała u boku króla w Paryżu, w Orleanie, w Compiègne i Soissons.

Zdawało się, że Filip i Hugon wybaczyli już matce jej powtórne zamążpójście. Byli uprzejmi wobec hrabiego Valois i jego synów, Waltera oraz Szymona. Szymon cieszył się dużym uznaniem książąt francuskich, gdyż towarzyszył Wilhelmowi w wyprawie do Anglii. Wprawdzie był zaledwie giermkim księcia i z powodu młodego wieku trzymano go z dala od ciężkich walk, ale przez długie wieczory na prośbę Filipa opowiadał o decydujących momentach bitwy. Książęta, hrabiowie, rycerze i giermkowie, wygodnie oparci o poduszki ułożone przed olbrzymim kominkiem wielkiej sali zamku Senlis, słuchali z zapartym tchem opowieści młodzieńca:

— Tustin, syn Rollona, dzierży chorągiew normandzką. Wspaniali rycerze rzucają się naprzód na dźwięk trąbki z okrzykiem: „Thor a~ie”! Nasi łucznicy strzelają pierwsi, niosąc śmierć w szeregi wroga. Ten zaś odpowiada kamiennym gradem tak gęstym, że wycofujemy się. Trwa to chwilę, ale angielskie topory tną

naszych wojów. Cofają się Bretończycy. Powstaje niesamowity zamęt, który zabija tak samo jak i angielskie strzały. Nagle w tłumie podnosi się krzyk: „Księżę nie żyje!... Księżę nie żyje!...” Wszyscy rzucają się do odwrotu, lecz nagle jakiś rycerz, cały zlany krwią, unosi w tłumie w górę miecz i stara się zatrzymać uciekających, którzy go potracają. „Spójrzcie wszyscy na mnie, żyję i z pomocą Boga zwyciężę! Co za szaleństwo popycha was do ucieczki? Co was prowadzi do odwrotu? Banda tchórzów, dajecie się odepchnąć i zabijać przez tych, których możecie wybić jak stado baranów! Rezygnujecie ze zwycięstwa i wiecznej chwały i biegniecie na waszą zgubę ku wieczystej hańbie. Jeśli uciekniecie, nikogo nie ominie śmierć!” Widok księcia, bardziej niż jego pełne gniewu słowa, dodaje odwagi Normandczykom, którzy rzucają się z takim zapałem do walki, że teraz Anglicy są ćwiartowani. Najbardziej żarliwym z nich jest Zdobywca, który macha swym ciężkim mieczem, tak jakby to był cep. Wokół niego leży już góra trupów. Żaden żołnierz, który go atakuje, nie uchodzi z życiem. Tylko jeden człowiek dorównuje księciu w walce. Stoi zawsze przy nim i znany jest jako Zamaskowany Rycerz lub Rycerz z Błyszczącym Obliczem. We dwóch wykonali robotę przeznaczoną dla setki walecznych rycerzy! Parę razy mieliśmy wrażenie, że nasz dowódca nie żyje. Trzy konie padały pod nim przebite włóczniami. Lecz on za każdym razem z niesamowitą zręcznością, mimo wzrostu i tuszy, skacze na ziemię i mści się za śmierć swego wierzchowca. Dwukrotnie rozkazuje wojsku udawać odwrót w celu zmylenia wroga; dwukrotnie udaje mu się ta sztuczka. Anglicy padają martwi w wielkiej liczbie. Normandczycy są zaczarowani powodzeniem, nie czują ani ran, ani zmęczenia i rzucają się do ataku z tym strasznym okrzykiem, którego nawet najdzielniejsi słuchają z trwogą. Ich zażartość w walce podgrzewa waleczny bard Taillefer, który podczas krótkich chwil oddechu siedzi na koniu i obojętny na spadające wokół pociski przyjaciół i wrogów opowiada epopeję Rolanda i jego mężnych rycerzy:

„Bitwa jest wspaniała; wszystko zaczyna się kłębić. Hrabia Roland nie oszczędza się. Uderza włócznią, póki drzewce całe; po piętnastu ciosach złamał ją i zniszczył. Dobywa Durendal, swój dobry miecz, cały nagi. Spina konia i rusza na Szernubla. Kruszy mu hełm, w którym błyszcza karbunkuły, przecina mu czapkę wraz ze skórą na głowie, przecina mu twarz między oczami, kolczugę o małych ogniwach i całe ciało aż do kroku. Przez siodło nabijane złotem miecz dosięga konia. Przecina mu krzyż nie macając stawów, wali go martwego na łąkę, na bujną trawę. Po czym mówi: „Synu niewolnika, zabiegłeś drogę nieszczęściu. Mahomet nie przyjdzie ci z pomocą. Takie ścierwo, jak ty, nie wygra bitwy” „... (Tłum. T. Boy_Żeleński.)

W tym momencie podniecenie słuchającej opowiadania Szymona młodzieży z otoczenia króla Filipa osiągnęło swój szczyt. Słysząc było okrzyki wojenne:

„Montojoi!... Saint_Denis!... Thor a~ie!...” Wybuchaly też śmiechy wśród pijących korzenne wino, podawane w pucharkach przez służących nie mniej podekscytowanych niż panowie.

— Ach! Jakże piękna jest wojna! — wykrzyknął Filip.

— Piękna i upragniona jak kobieta — dodał Walter, brat Szymona.

— Nie, mój bracie, wojna jest okrutna... Nasz senior Wilhelm zrozumiał to pod wieczór pierwszego dnia, gdy przechodził wśród trupów tych, którzy w większości byli jego druhami.

Mówię wam, widziałem go, jak płakał. On, najgwałtowniejszy ze wszystkich wojowników podczas tych ciężkich walk. Był ranny i opierał się o ramię Zamaskowanego Rycerza. Twarz miał zlaną krwią i łzami. Szeptał: „Dzieci moje, moje biedne dzieci!” Nogi grzęzły mu w bagnie. Osunął się na mech. Stałem blisko niego. Zapadał zmierzch. Służący przynieśli pochodnie i wbili je w błoto. Podano mu jedzenie, ale odsunawszy miskę, napił się tylko wina, powoli, w ciszy. Wokół słyhać było tylko jęki rannych, krakanie wron i popiskiwanie mew. Mimo odniesionego zwycięstwa wszyscy byliśmy przygnębieni. Wreszcie książe przemówił: „Niech nikt z was tego nie zapomni. Czy ziemia, do której mamy prawo, warta jest takich strat?” „Bracie, odezwał się biskup Odon zdejmując hełm, to Bóg pozwolił zwyciężyć naszym wojskom, to Bóg uzbroił nasze ramię i Bóg przyniósł śmierć tym walecznym żołnierzom, by stanęli po jego prawicy jako rycerze Boga. Kto płacze jak stara baba, obraża Go!” Wszyscy znieruchomieli. Jak Zdobywca zareaguje na tak ostre słowa? Wilhelm nie krył swych łez i podniósł twarz w stronę brata: „Modlę się do Pana naszego, abyś miał rację, biskupie Bayeux, lecz dłoń Boga jest taka ciężka!” „Bracie, niech stanie się wola boska, a nie twoja! Patrz, oto nadchodzi bard Taillefer, którego Bóg chronił przez cały dzień. Bardzie, opowiedz nam koniec hrabiego Rolanda!” Taillefer wyciągnął spod kolczugi małą lirę. Zagrał parę akordów i rozpoczął recytację:

Roland czuje, że śmierć go bierze całego: z głowy zstępuje do serca. Biegnie rycerz pędem pod sosnę, położył się na zielonej murawie, twarzą do ziemi. Pod siebie kładzie swój miecz i róg. Obrócił głowę ku zgrai pogan; tak czyni chcąc, aby Karol powiedział i wszyscy jego ludzie, że umarł jako zwycięzca i jako zacy hrabia. Raz po raz słabnącą ręką uderza się w piersi. Za grzechy swoje wyciąga ku Bogu swoją rękawicę... (Tłum. T. Boy_Żeleński.)

Słyszac to, cała młodzież płakała.

Szymon, we łzach tak jak i jego słuchacze, ukląkł:

— Przyjaciele, módlmy się za duszę walecznego Rolanda i jego towarzyszy. Módlmy się za Normandczyków i Anglików, którzy znaleźli śmierć dla większej chwały Pana Naszego i księcia króla!

Król ukląkł obok Szymona z Cr~epy. Za jego przykładem uklękli pozostali.

Lata, które nastąpiły po zdobyciu Anglii przez Wilhelma, były dla Anny najszcześniejszymi w jej życiu. Ze wzruszeniem uczestniczyła w zaślubinach Filipa z Bertą, córką Florenta, hrabiego Holandii, i Gertrudy Saksońskiej, pasierbicy Roberta z Fryzji. Nowej królowej nie spodobały się silne więzy łączące matkę i syna. Anna przyjęła to ze smutkiem i rzadziej pokazywała się na dworze.

Rok 1072, który rozpoczął się uroczystościami zaślubin królewskich, zakończył się łzami i żałobą. Walter, starszy syn Raula, został zabity podczas wojny prowadzonej przez króla w Vitry nie opodal Reims. Ból hrabiego po stracie starszego syna był ogromny. Wyprawił mu wspaniały pogrzeb, w którym uczestniczyli król Filip, jego brat i liczni baronowie i biskupi. Z tej okazji Raul uczynił dużą darowiznę na rzecz klasztoru w Saint_R~emi i polecił biskupowi H~erimanowi, by nakazał modlić się za spój duszy Waltera. Za zgodą Anny i Szymona udał się na jakiś czas do zakonu augustianów w Amiens, lecz nie znalazł tam ukojenia.

Gdy wrócił do Cr~epy, był zgorzkniałym, zmęczonym i niespodziewanie postarzałym człowiekiem. Tkliwość i opieka Anny nie zdały się na nic. Raul próbował utopić swój smutek w pijaństwach, które bardzo szybko zamieniały się w orgie. Zniknęło parę dziewczek, niektóre z nich odnaleziono nagie w lesie. Bełkotały jakieś niezrozumiałe zdania, w których dość często powtarzało się imię hrabiego. Wszystkie zostały zgwałcone, a niektóre nawet były torturowane. Hrabina zajęła się tymi nieszczęsnymi istotami, umieszczając je w pobliskich klasztorach. Nad hrabstwem krążyło widmo strachu. Znów pojawili się w otoczeniu hrabiego osobnicy o zakazanych obliczach, których tak niegdyś lubił: byli mnisi, upadłe dziewczki, kobiety podejrzane o czary, notoryczni bandyci, rabusie i zwyrodnialcy. Przez cały rok na ziemiach hrabiego Valois banda ta siała strach i łzy. Anna znalazła schronienie u boku swych dzieci. Spędzała czas na modlitwach i na niesieniu pomocy ofiarom męża.

Raul zginął w drodze powrotnej z jednej z orgii w pobliżu Montdidier. Był zmęczony po rozpuście, spadł z konia i skrzył sobie kark na kamienistej drodze. Jego podejrzani towarzysze ogołocili go i uciekli, zostawiając trupa na pastwę wilków. Odnaleźli go drwale i rozpoznali mimo licznych ukąszeń. Zabrali ciało do Montdidier, gdzie został pochowany w grobowcu, zbudowanym wcześniej na jego polecenie.

Anna długo spoglądała na ciało mężczyzny, którego kochała i który ją kochał tkliwie i do szaleństwa, zanim nie padł ofiarą demonów. Modliła się, by Bóg odpuścił mu grzechy i wybaczył tak, jak ona wybaczyła cierpienia i upokorzenia, jakich doświadczyła od śmierci Waltera. Błagała Najświętszą Panię, która cierpiała po stracie Syna, by wstawiła się za nim u Boga.

Hrabina Valois zamieszkała w zamku w Cr~epy razem z Szymonem.

Rozdział XXXIX

List Wilhelma

Po śmierci Raula Anna przebywała samotnie w Cr~epy mimo nalegań króla Filipa, który prosił, by wróciła na dwór, do niego i Berty.

„Mój synu — napisała do niego — zostaw mnie. Moje ciało i dusza potrzebują spokoju. Śmierć mego umiłowanego małżonka dotknęła mnie tak bardzo, że nie opuszczam łóżka. Nie martw się o mnie, mój pasierb Szymon dba o mnie jak o rodzoną matkę. Razem modlimy się za spokój duszy hrabiego i błagamy Boga, by przyjął go do Królestwa Bożego mimo jego ciężkich przewin i choć wyzionął ducha bez rozgrzeszenia. Wspólnie postanowiliśmy nie wracać do Montdidier i zdecydowaliśmy zwrócić te ziemie niesłusznie zajęte przez mego nieszczęsnego małżonka prawowitym spadkobiercom. Papież Grzegorz popiera nas w tych działaniach. Ze swej strony usilnie proszę cię, synu, byś wstawił się u seniora Broyes, by zwrócił Szymonowi miasta Vitry, Bar nad rzeką Aube i La Fert~e, które zdradziecko zajął. Mówiono mi, że to ty wszcząłeś tę wojnę, która jest według mnie bratobójcza. Nie chcę w to wierzyć. Jeszcze nie tak dawno ty i Szymon byliście jak bracia. Jednocześnie chcę ci podziękować za dobrodziejstwa, jakimi obdarzyłeś kanoników od Świętego Wincentego, i za utrzymanie tego drogiego dla mnie kościoła. Niech minie trochę czasu, a i ja udam się na wieczny spoczynek. „Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka!”, ale zanim opuszczę ten świat, chciałabym udać się na grób mej matki w Nowogrodzie. Błagam pokornie mego królewskiego syna, by pozwolił mi pojechać do mego rodzinnego kraju, skoro tylko odzyskam zdrowie. Błagam Najświętszą Panienkę i Świętych Apostołów, by otoczyli cię swą opieką. Twa kochająca i nieszczęśliwa matka zapewnia cię o swej opiece.”

W odpowiedzi na list królowej matki król Filip najechał na ziemie hrabstwa Valois dochodząc aż do Amiens. Szymon udał się do Rzymu do papieża z prośbą o radę. Grzegorz odpowiedział mu, by bronił swych dóbr. Wzmocniony tym poparciem Szymon powrócił do Francji i pokonał Filipa w wielkiej bitwie, a po podpisaniu traktatu pokojowego odzyskał schedę.

Te wydarzenia mocno dotknęły Annę. Miała jednak na tyle sił, by udać się do

Matyldy i pocieszyć ją po stracie syna Ryszarda, który zginął w Anglii podczas polowania. Przyjaciółki padły sobie w objęcia i płakały razem. Wilhelm cierpiał w milczeniu po śmierci ukochanego potomka. Widział w tym karę za zbrodnie popełnione przez Normandczyków w hrabstwach Sussex i Hampshire. Dla odpokutowania winy kazał rozdawać hojne jałmużny i odprawiać liczne msze. Spędził długie miesiące samotnie na zamku w Falaise. Przyjazd Anny sprawił, że wyszedł ze swej kryjówki i rozchmurzył swe zasepione oblicze, które tak martwiło jego otoczenie. Znowu polował na jelenie i lisy. Widać było, że pokonał swój smutek. Pewnego razu, gdy wracał z polowania, Anna spytała go:

— Nie widziałam wśród twoich rycerzy tego, którego zwą Pokierszowanym. Czy nie należy już do twego dworu? Co się z nim stało?

Wilhelm rzucił w jej kierunku ostre spojrzenie.

— Czego od niego chcesz? — spytał bardziej niegrzecznie, niż tego chciał.

Zdziwiona jego gwałtownym tonem Anna powiedziała po prostu:

— Chciałam go znowu ujrzeć.

Teraz książę udał zdziwienie tą prostą odpowiedzią.

Przez długą chwilę trwali w milczeniu. W końcu Wilhelm przemówił:

— Wybacz mi, droga przyjaciółko. Odpowiedziałem tak, bo martwi mnie los Pokierszowanego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mija dwa lata, jak udał się do Ziemi Świątej, i od tego czasu nie miałem o nim żadnej wieści. Kupcy, którzy go tam widzieli, donieśli mi, że dotarł do celu. Odtąd nic...

Anna zbladła jeszcze bardziej.

— Niech Bóg sprawi, żeby wrócił — wyszeptwała.

Wilhelm zamyślił się i spojrzał na królową. Pomimo wieku, który sprawił, że jej rude warkocze przeplatały teraz siwe włosy, dla niego wciąż była piękna. Wydawało się, że czas nie ma nad nią władzy. Macierzyństwo nie zmieniło jej sylwetki łowczyni, a twarz zachowała młodzieńczy wygląd. Nie znała mężczyzn od czasu wdowieństwa i nosiła w sobie jakąś niepojętą tęsknotę. Czyżby wiedziała, kim jest Zamaskowany Rycerz? Filip nie ujawnił mu powodu swego wyjazdu do Jerozolimy, lecz Wilhelm Zdobywca był pewien, że miało to związek z Anną. Dlaczego tak zbladła? Skąd ten zmieniony głos?

— Poprosiłam króla, by zgodził się, bym udała się do mego kraju...

— Twoje miejsce jest przy nim, a nie tam, daleko.

— Wilhelmie, tutaj jestem już nikim. Królowa Berta jest zazdrosna o mój tytuł i

moja obecność stała się dla niej nie do zniesienia. A mój syn mści się za moje małżeństwo z Raulem Cr~epy i najeżdża jego ziemie. Czuję, że długo nie pożyję. Bez ustanku myślę o moim ojcu, wielkim Jarosławie, o mojej matce, świętej Ingegerdzie, o braciach...

— Wszyscy już nie żyją, nikt tam na ciebie nie czeka — odpowiedział ostro książę.

— Wiem, przyjacielu, ale ci drodzy zmarli wołają mnie. Co noc widzę we śnie lasy, rzeki Rusi, a zwłaszcza wielki Nowogród. Walczyłam z tymi drogimi wspomnieniami, ale na próżno. Muszę tam wrócić.

— Czy to dlatego chcesz ujrzeć Pokierszowanego?

Anna zmieszała się.

— Jest znikąd, myślałam więc, że mógłby mi towarzyszyć.

— Królowo, czy możesz przysiąc przed Bogiem, który na nas spogląda, że nie ma żadnego innego powodu?

Królowa spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała uśmiechając się smutno:

— Nie ma.

Znowu zamilkli. Teraz Anna pierwsza przerwała ciszę:

— Drogi Wilhelmie, jeżeli są jakieś powody, to są one wyłącznie moją sprawą. Wiedz jednak, że jest pewien związek między tym mężczyzną i mną i że nikt nie może go zerwać, nawet Bóg.

— Błuźnisz! A co się stanie, jeśli po spotkaniu z tobą Bóg skarże go na wieczne potępienie?

— Jeśli jest naprawdę tym, o którym mówi mi serce, to nie musi obawiać się piekła.

— Anno, oszalałaś! Jesteś wszak kobietą, która niegdyś zaczarowała mnie jednym spojrzeniem! Jesteś Morą!

— Nie oszalałam i nie ma w tym żadnych czarów. Jest tylko mężczyzna i kobieta, których Bóg postawił naprzeciw siebie w sobie jedynie wiadomym celu. Jeśli Bóg pozwolił nam się spotkać w głębi niemieckich lasów, to może dlatego, byś mi teraz pomógł?

— Żeby ci pomógł?

— Tak. Najpierw abym odnalazła tego człowieka, a potem aby pozwolił mi, jeśli król się zgodzi, wrócić nad brzeg jeziora Ilmen i tam umrzeć.

— Nie oczekuj niczego ode mnie! Mam nadzieję, że twój syn będzie na tyle mądry, że zabroni ci tej podróży. Byłaś królową Francji i jesteś królową matką. Twoje miejsce jest tutaj.

— Nie, drogi Wilhelmie. Proszę, weź to. Gdy ujrzysz Zamaskowanego Rycerza, daj mu to i powiedz, że czekam na niego.

— Nie zrobię tego!

— Zrobisz przez miłość do mnie.

Anna wróciła do Cr~epy, gdzie spędziła długie miesiące na pielęgnowaniu pasierba, ciężko ranionego przez żołnierzy króla Filipa. Szymon modlił się do Madonny, by zachowała go przy życiu, gdyż pragnął naprawić winy ojca. Matka Boża, pocieszycielka chorych, wysłuchiwała jego prośb. Szymon złożył śluby, że opuści świat i przywdzieje habit. Za zgodą macochy kazał przenieść ciało ojca z Montdidier do Saint_Arnoul w Cr~epy. Podczas ekshumacji zwłok Szymon zapragnął ujrzeć po raz ostatni oblicze ojca, zanim nie rozłoży się ono doszczętnie.

— Czy to jest ciało Raula, wielkiego żołnierza, który wzbudzał taki postrach podczas oblężeń? Oto jak kończą wiecy tego świata! — wykrzyknął.

Widok ten utwierdził go w postanowieniu odejścia od świata.

Postanowił oddać hrabstwo Vexin królowi.

Królowa matka spełniła wreszcie życzenia syna i osiadła w Melun, a następnie przeniosła się do Senlis. Znow odwiedzała biedaków oraz szkoły, które ufundowała.

Dwudziestego trzeciego maja 1075 roku udała się z Filipem do Blois, gdzie podpisała darowiznę na rzecz klasztoru w Pontlevoy.

Gdy powróciła do Senlis, czekał na nią wysłannik księcia normandzkiego. Wręczył jej list od swego pana oraz pierścień, na widok którego Anna krzyknęła i straciła przytomność. Nadbiegły sługi, ale omdlenie trwało krótko. Wysłannik uklęknął na ziemi i spoglądał zaniepokojony na królową. Księżę nakazał mu donieść o każdym jej geście i słowie. Czy go nie ukarze za to, co uczynił, oddając jej list? Od jakiegoś czasu wzrok Anny pogarszał się. Nie mogła już odczytać listu Wilhelma. Przywołała więc młodzieńką Blankę z Chauvigny, jedyną spośród jej dam dworu, która potrafiła czytać, i poprosiła ją o pomoc. Stojące wokół damy cofnęły się. Blanka zaczęła literować pismo:

„Królowo Anno! Gdy przeczytasz ten list i będziesz trzymała w ręku pierścień, zrozumiesz, że mój wasal i druh, Zamaskowany Rycerz, powrócił do kraju. Na widok tego pierścienia o mało nie umarł. To, czego nie uczynili niewierni, mogło uczynić wspomnienie o Tobie. Przez miłość do Ciebie i do niego godzę się być wyrazicielem waszej woli wobec króla Filipa. Czynię to z głębokim smutkiem, lecz cierpienie mojego druha, jego szczerą wiarą w Boga i jego wola, by uszanować przysięgę, oraz Twoja usilna prośba sprawiają, że dzisiaj godzę się na to, czego jeszcze wczoraj ci odmówiłem. Wysłannik stojący przed Tobą ma list dla Twego

syna króla, w którym mu donoszę, że nie przeciwstawiam się, aby hrabia Szymon oddał mu hrabstwo Vexin pod warunkiem, że pozwoli ci udać się na grób matki, oraz że oddaję do Twojej dyspozycji okręt i rycerzy, abyś mogła odbyć swą pobożną pielgrzymkę. Okręt, o którym mowa, jest Ci dobrze znany. Powstał dzięki Twojej szczodrobliwości oraz hojności mojej szlachetnej i umiłowanej małżonki. To dumna i śmiała łódź, która zawiozła mnie na podbój Anglii. To jest „Mora”. Domyślasz się, że powierzając Twoje cenne życie naszemu ukochanemu okrętowi, królowa Matylda i ja dajemy dowód naszej miłości do Ciebie. Niech Bóg Wszechmogący, Najświętsza Maria Panna i archanioł Michał poprowadzą Cię w tej długiej i niebezpiecznej drodze. Już dzisiaj nakazałem modły o powodzenie Twojej podróży i o Twój szybki powrót do nas. Wilhelm, książę Normandii i król Anglii”.

Blanka z Chauvigny, klęcząca przed królową, skończyła czytanie. Teraz patrzyła na Annę ze łzami w swych ładnych oczach.

— Nie opuszczaj nas, królowo! Co się z nami stanie bez ciebie?

— Wzruszają mnie te łzy, moje dziecko. Wytrzymaj oczy, bo, jak widzisz, jestem szczęśliwa.

— Pozwól mi jechać z tobą!

— Jeżeli król pozwoli, to zgadzam się, moja mała. Zastąpisz mi oczy, bo już wkrótce nie będę nic widzieć.

Filip uniósł się wielkim gniewem, gdy otrzymał list Wilhelma. Zagroził nawet, że zerwie dopiero co podpisany pokój. Królowa Berta, która nigdy nie lubiła świekry, zauważyła, że neutralne stanowisko Normandii w sprawie hrabstwa Vexin jest o wiele ważniejsze niż pielgrzymka królowej. Król dał się łatwo przekonać, zwłaszcza gdy dowiedział się, że to go nic nie będzie kosztowało: Anna posiadała moc dóbr, które ofiarował jej Raul z Cr~epy.

Uzgodniono, że wyjazd nastąpi na wiosnę następnego roku.

Rozdział XL

Powrót Anny

O dwóch latach spędzonych w Palestynie Zamaskowany Rycerz nie chciał powiedzieć nic mimo usilnych, ponawianych próśb Wilhelma i jego baronów. Ograniczył się jedynie do stwierdzenia, że nigdy nie sprzeniewierzył się honorowi i ucałował grób Chrystusa. W złotej szkatułce przywiózł kurz z Bożego Grobowca. Ofiarował ją księciu królowi.

Po uczcie wydanej z okazji powrotu Filipa Wilhelm zapragnął porozmawiać z nim w cztery oczy. Powiedział mu, że jest rad, iż widzi go ponownie, i że pragnie zatrzymać go na zawsze przy sobie. Aby wzmocnić więzy ich łączące, księżę zaproponował mu rękę jednej ze swych córek. To był niezwykle zaszczyt i Filip zrozumiał ten gest. Przyklęknął na jedno kolano i odpowiedział wprost, nie kryjąc wzruszenia:

— Królu, nie ma drugiego człowieka tak hojnego jak ty. Chcesz związać los księżniczki z losem biednego błędnego rycerza nie posiadającego nic prócz konia i zbroi, którą zawdzięcza twej dobroci? Dałbym dowód niewdzięczności i braku miłości, gdybym zgodził się na to, co proponujesz mi z przyjaźni. Za tę odrobinę, którą uczyniłem dla ciebie, czuję się spleciony po tysiakkroć, gdyż przyjąłeś mnie... jak brata.

— Masz rację, uważam cię za brata i chcę w dalszym ciągu tak cię traktować. Nie jesteś biedny. Masz dobra, ponieważ dziś podpisałem akt darowizny zamku w Cerisy oraz dużych posiadłości w Anglii. Mój przyszły zięć powinien być godny swej nowej rangi.

— Panie jesteś zbyt łaskawy, lecz nie mogę tego przyjąć.

— Obrażasz mnie...

— Nie mogę tego przyjąć — powtórzył głuchym głosem Filip — i ty wiesz, dlaczego.

Teraz Wilhelm okazał wzruszenie. Długo przyglądał się przyjacielowi.

— Wybacz mi. Próbowałem cię skusić, sprawdzić, czy nie zapomniałeś o

niej...

— Królu, sam próbowałem zapomnieć o niej. Próbowałem w modlitwie, w rozpuście, nawet we krwi. Nie mogłem. Święty mnich zwolnił mnie z przysięgi, ale tak naprawdę tylko ona może to uczynić.

— Wciąż ją kochasz mimo upływu czasu...

— Czas tylko zwiększył mą miłość. Jeśli nawet jest staruchą o zmarszczonym czole, rozpoznam moją księżniczkę z Nowogrodu...

— Nowogród... Ty też nie zapomniałeś tego miasta?

— Dużo podróżowałem, lecz nigdy nie widziałem piękniejszego miasta i bardziej przyjaznych ludzi.

— Chciałbyś tam wrócić?

Filip długo milczał, po czym odpowiedział ze wzruszeniem:

— Bez niej? Nie rozumiesz, królu, że to miasto dlatego było tak piękne, bo było do niej podobne, dumne i wolne jak ona? Bez księżniczki Nowogród nie jest tym samym miastem, lecz zwykłym grodem.

— Dobrze. Zobacz, dała mi to dla ciebie.

Gdy Filip wziął do ręki pierścień, który podarowała mu wiele lat temu, o mało nie umarł ze szczęścia. Wilhelm zaniepokoił się, gdy ujrzał, jak jego ciało sztywnieje.

— Przyjacielu, opanuj się... Nie chcesz zemdleć jak słaba kobieta?

Po srebrnym obliczu płynęły łzy. Wilhelm wstał i zdjął Filipowi maskę. Ukazała się pozszywana, żalonna twarz. Książę objął go i rozplakał się wraz z nim.

— Bracie, królowa Anna wzywa cię do siebie. Chce udać się na grób matki. Pragnie, abys jej towarzyszył w podróży.

Filip poczuł się jak rażony piorunem. Padł na kolana. Wilhelm uklęknął przy nim i zaczął się modlić.

W posiadłości w Verneuil_l'Etage Anna czyniła ostatnie przygotowania przed podróżą. Adelajda z La Fert~e i Blanka z Chauvigny pomagały jej w porządkowaniu spraw i rozdawaniu sukni i klejnotów. Synowi Filipowi ofiarowała Madonnę z Nowogrodu, która zawsze jej towarzyszyła i do której była bardzo przywiązana.

— Wygląda na to, że jedziesz, by tam umrzeć, bo tak rozdajesz swe dobra — rzekła do niej Adelajda.

Królowa matka odwróciła twarz zlaną rumieńcem. Przestraszyła ją przenikliwość przyjaciółki. Była zmęczona, chora, powoli traciła wzrok. Wiedziała, że wkrótce umrze. Chciała, żeby to się stało na ruskiej ziemi. Wyteęzała wszystkie

swe siły, by móc tam dotrzeć. Wiedziała, że jest bardziej chora, niż mówili medycy, lecz ukrywała prawdę, by nikt nie zechciał jej zatrzymać. Trudno było jednak kłamać przed Adelajdą, która dobrze ją знаła. Mimo to Annie udało się ją oszukać.

Za zgodą syna Filipa podpisała przywilej dotyczący opactwa Świętego Wincentego w Senlis:

„Wszyscy synowie Kościoła świętego wiedzą, że Stwórca Wszechświata, Bóg Ojciec, stworzył wszelkie rzeczy, by przygotować i upiększyć związek swego jedyne Syna z Kościołem.

Nie tylko Ojciec, ale też Syn razem z Duchem Świętym wziął Kościół za małżonkę według słów, które Syn osobiście kieruje do Niej w „Pieśni nad Pieśniami”:

*„Z Libanu przyjdź oblubienico,
z Libanu przyjdź i zbliż się!
Zstąp ze szczytów Amany,
z wierzchołka Seniru i Hermonu”.*

Ja, Anna, pojmując sercem a rozmyślając w duchu nad tą cudowną pięknnością i tą wielką chwałą oraz pamiętając to, co zostało napisane: „Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka”, i to, co powiedziała w innym miejscu oblubienica Chrystusa: „Ci, którzy mnie wywyższają, dostąpią życia wiecznego”, zadałam sobie pytanie, jak mogłabym uczestniczyć w tej uczcie, w tym szczęściu i życiu wiecznym. W głębi serca postanowiłam wznieść Chrystusowi kościół po to, bym była przyjęta i włączona do świętej wspólnoty, bym połączyła się poprzez wiarę z Chrystusem. Kazałam więc wznieść kościół i poświęcić go Chrystusowi na chwałę Trójcy Świętej, Marii Najświętszej Matce Bożej, poprzednikowi Pana i męczennikowi Świętemu Wincentemu i w darze przekazałam mu swe dobra oraz te, które mój małżonek król Henryk podarował mi podczas trwania naszego małżeństwa.

Wszystkie te dobra, za zgodą mego syna, króla z łaski bożej, i za przychylnością panów królestwa, przekazuję temu kościołowi, by w tym miejscu mogli żyć mężowie cisi i spokojni, religijni, służący Bogu, którzy wyrzekli się świata i wybrali drogę zakonną, kościelną, zgodną z regułą ustanowioną przez Apostołów i świętego Augustyna.

Niech modlą się dzień i noc za grzechy króla Henryka, mych dzieci i mych przyjaciół, za me własne grzechy i niech swymi modlitwami uproszą, bym mogła się stawić przed Panem bez skazy tak jak pragnie tego Chrystus dla swego

Kościola.

A więc: ziemia znajdująca się obok kościoła, którą zakupił i posiada opat Yves, piekarnia i dochody z ziemi; dziewięciu wolnych chłopów wraz z dochodami, które posiadałam uprzednio na tym terenie; podatek pobierany za sprowadzanie żywności do miasta, w którym zbudowany jest kościół; wszystko to, co podlega miastu, młyn w Gouvieux, ferma zwana Blanc_Mesnil; miasteczko zwane Cr~epy w Laon.

Lecz żeby nikt w przyszłości ich nie nękał, przekazuję swoje prawa i dochody kościołowi pod wezwaniem Świętego Wincentego i jego kanonikom”.

Królowa wyzbyła się wszystkiego na tyle, na ile pozwalała jej godność, którą musiała zachować podczas podróży, oraz zwyczaję, i pożegnała się z tymi, którzy wiernie jej służyli przez długie lata. W otoczeniu królowej Berty przyjęto jej odjazd z nie ukrywaną radością. Król starał się załagodzić złe wrażenie i chciał towarzyszyć matce do miejsca odjazdu. Przybyli więc do Rouen pewnego czerwcowego wieczoru. Wilhelm przyjął ich ze swą zwykłą hojnością. Po ucztach, bankietach, turniejach, które trwały trzy dni, nadszedł moment odjazdu.

Już od świtu dzień zapowiadał się wspaniale. Na Sekwanie lekko kołysała się odnowiona „Mora”. Głośny i kolorowy tłum oczekiwał przybycia orszaku towarzyszącego królowej matce. Zabrzmiały trąby. Najpierw na bogato przystrojonych stępakach jechali rycerze gwardii książęcej w szamerowanych strojach. Jechali dumni i wyprostowani, bez jednego spojrzenia w stronę tłumu. Za nimi szli panowie, hrabowie, baronowie, książęta i biskupi, wszyscy w strojach haftowanych złotem i srebrem. Na samym końcu kroczyli królowie Francji i Anglii. Gdy się na nich patrzyło, trudno było zdecydować, który nosił wspanialsze szaty. Dalej jechały powozy dam: powóz Matyldy w barwach Normandii i Anny w barwach Francji. Królowa matka przywdziała bizantyjską suknię w kolorze białym z ciężkimi złotymi haftami. Jakże błyszcziała ona w letnim słońcu! Tego dnia wszystko wokół wydawało się takie piękne! Ale Anna patrzyła tylko na „Morę” i na pewną niewyraźną postać w błyszczącej zbroi i masce, stojącą na dziobie łodzi. Płacząc pożegnała się z synami i udzieliła im swego błogosławieństwa. Filip miał ściśnięte serce i żałował, że zgodził się na tę podróż. Przyglądał się matce, tak jakby nie widział jej od dawna. Do głowy cisnęły mu się wspomnienia z dzieciństwa. Przypomniało mu się, jak w pewien letni dzień, sama z rozwiązanymi długimi włosami, włożyła mu na głowę wianek z kwiatów i nazwała „dzieckiem wiosny”, jak cwałowała z nim na koniu, jak piękna i wzruszona uczestniczyła z dumą w jego koronacji. To dla niej nauczył się tego dnia na pamięć rytualnych formułek...

— Matko! — jęknął i przyklęknął na ziemi.

— Synu — niech Bóg cię strzeże. Codziennie będę się modlić za ciebie i za piękną Francję.

Następnie pożegnała się z parą księżącą Normandii. Matyldę siłą wyrwano z ramion przyjaciółki. Była tak bardzo wzruszona, że musiały ją odprowadzić służki.

Książe król zbliżył się do Anny i ujął jej dłoń. Był zwinny mimo swej tuszy i pomógł Annie wejść na kładkę prowadzącą na pokład. Włożył jej chłodną dłoń w rękę człowieka z maską na twarzy, swego przyjaciela Pokierszowanego...

— Większa!

Filip był zbyt wzruszony, by powiedzieć cokolwiek. Przyklęknął na ziemi i schylił głowę przed swą odnalezioną miłością.

— Większa, wstań i spójrz na mnie. Jesteśmy oboje starzy, zwolnieni z przysięgi. Bóg nie może nas ukarać za to, że spotykamy się u schyłku naszych dni — odezwała się do niego w ojczystym języku. Odczuła jakąś zmysłową radość na dźwięk tej drogiej mowy.

— Nasz Pan w swej wielkiej dobroci pozwolił wam się spotkać. Dobrze wykorzystajcie ten czas, by mu za to składać dzięki. Rycerzu, powierzam ci tę damę, której ślubowałem czystą miłość i której jestem wierny. Chroń ją przed innymi i z pomocą bożą przywieź ją z powrotem do nas — rzekł Wilhelm.

— Królu, to wielki zaszczyt dla mnie przyjąć tę damę z rąk twoich. Bądź pewien, że póki żyję, nie spotka jej nic złego. Przysięgam na Morę, która tobie zawsze wiernie służyła! — odpowiedział Filip kładąc rękę na mieczu.

Książe Normandii, król Anglii, uściśnął swego przyjaciela bez imienia i bez twarzy.

— Będzie mi ciebie brakowało, bracie.

— Mnie ciebie również.

Po raz ostatni Wilhelm uklęknął przed Anną.

— Pobłogosław mnie, pani, pobłogosław Moro...

Przeszył go dreszcz, gdy uczuł jej delikatne palce na swym czole.

Tego było już za wiele dla królowej, która osunęła się w ramiona Blanki z Chauvigny, stojącej tuż za nią wraz z dwiema służkami.

Wilhelm zszedł ze statku, wyciągnięto kładkę i podniesiono żagle.

Stojący na brzegu tłum modlił się, zakonnicy śpiewali, a arcybiskup Rouen w otoczeniu duchowieństwa miasta błogosławił „Morę” i jej pasażerów.

Podtrzymywana przez służącą, Anna przeszła na tył statku i stała tam nieruchomo tak długo, aż nie zniknęli za zakrętem Sekwany ci, których nie miała już więcej ujrzeć. Mimo łez i ściśniętego serca odczuwała młodzieńczą radość.

— Pani, chodź odpocząć — zwróciła się do niej Blanka.

Królowa poszła za nią bez protestu i ułożyła się na poduszkach pod baldachimem. Podano posiłek.

— Poproście Zamaskowanego Rycerza, by się do mnie przyłączył.

Filip stawił się na wezwanie.

— Usiądź i posil się ze mną.

Przez chwilę jedli w milczeniu, popijając korzenne wino.

— Czy jesteś rad, że ujrzysz naszą ojczyznę?

— Tak, bo ujrzę ją razem z tobą. Ale obawiam się, że nie zastaniesz tego, co tam zostawiłaś. Nie ma już twego ojca ani matki. Z braci żyje jedynie wielki książę Wsiewołod. Twoi przyjaciele umarli lub rozpierzchli się...

— Wiem o tym. Mój brat Wsiewołod ma córkę Jankę, która ufundowała w Kijowie klasztor dla niewiast. Jeśli Bóg pozwoli, pojedę z Nowogrodu do Kijowa, do tego klasztoru, do świętej, nie znanej mi bratanicy.

— Jeśli takie jest twoje życzenie, zawiozę cię do Kijowa i oddam w ręce wielkiego kniazia.

Lekka bryza popychała szybko statek. Anna przyglądała się umykającym wierzchołkom drzew, oddychała pachnącym powietrzem letniego poranka. Czowała, że odżywa jej ciało. Już od dawna nie było jej tak dobrze. Była w zgodzie z samą sobą i z naturą. Widać Bóg zgadza się na tę podróż.

Podniosła się zwawo niczym młoda dziewczyna i przeszła na dziób statku. „Mora” dostojnie pruła łagodne fale. Filip stanął obok Anny.

— Nie żałujesz, że opuszczasz tak piękny kraj? — spytał wyciągając przed siebie rękę.

Królowa zawahała się.

— Tak, zapewne... Francja to piękny kraj, ale mnie zawsze brakowało tu przestrzeni... Jak ci to powiedzieć: niebo nie jest tak szerokie, horyzont jest zamknięty... Lasy rosną tak wysokie, tak gęste! Zamki są małe, ciemne i zamyka się w nich kobiety! Pierwsze lata były dla mnie bardzo ciężkie: nie tylko utraciłam ciebie, ale nie miałam od ciebie żadnych wieści. Rzadko otrzymywałam wiadomości od najbliższych. Wydawało się, że wszyscy zapomnieli o mnie. Miałam wrażenie, że już nie żyję. Odrobinę szczęścia dały mi moje dzieci, miły Oliwier, którego wciąż oplakuję... Och, wybacz. Widzę, że to wspomnienie jest wciąż bolesne dla ciebie...

— Tak, ciągle cierpię z powodu jego śmierci.

— Umierając wyszeptał twoje imię, a nie mojego syna, jak myślałam. Chciał

mi powiedzieć, że to jesteś ty, Filip, mój przyjaciel z dzieciństwa. Czemu wtedy nie zrozumiałam!

— Wtedy nie nadszedł jeszcze czas, żebyśmy się spotkali. Zbyt wiele dzieliło królową Francji i biednego rycerza bez imienia i bez twarzy...

— Jak to się stało? — spytała i dotknęła koniuszkiem palców srebrnej maski.

— Nieważne, jak. Stało się i tyle — odpowiedział cofając się.

Annę przeszył dreszcz.

— Jestem zmęczona. Słońce rani me chore oczy. Poproś, by opuszczono zasłony.

Filipa uderzyła jej nagła bladość i zaczerwienione oczy. Przywołał Blanę z Chauvigny, która natychmiast zajęła się swą panią.

W podróży wzdłuż wybrzeży Francji, Danii i Niemiec towarzyszyła im piękna pogoda. „Mora” płynęła spokojnie łagodną bryzą. W sierpniu dotarli do Rygi, gdzie opuścili statek. Królowa poleciła kapitanowi „Mory”, by przekazał podziękowanie księciu królowi. W Rydze przywitała ich delegacja wysłana przez kniazia Kijowa. Anna była zbyt zmęczona, by uczestniczyć w uroczystościach. Gdy poprawił się jej stan zdrowia, poprosiła, by wyruszyli bez zwłoki do Nowogrodu. Popłynęli więc Dźwiną na długiej barce wymoszczonej futrami. W Połocku zeszli na ląd i przesiedli się do wozów lub na konie. Potem płynęli rzeką Wołchow. Przed ostatnią częścią podróży Anna długo rozmawiała z Filipem.

— Większa, boję się, że nie dojadę do Nowogrodu... Nie, nie przerywaj. Do moich chorych oczu dochodzi tylko słabe światło. Na czole czuję promienie słoneczne, lecz nie widzę już słońca. Zapewne Bóg chce mnie ukarać za to, że opuściłam dzieci, i nie pozwoli, bym ponownie ujrzęła Nowogród. Obiecuj mi, przyjacielu, że będziesz moimi oczami, jeżeli żywa dojadę do mego umiłowanego miasta.

— Nie mów tak. Zobacysz, będziesz żyć.

— Nie. Może będę żyć, ale nie ujrzę miasta mych przodków. Nigdy nie chciałam, bym zobaczyła twą twarz. Teraz, gdy oczy mam prawie martwe, zdejmij maskę, niech me palce przypomną sobie twe rysy.

— Ale po co!

— Proszę cię. Twoja ręka trzymała moją przez całą podróż. A teraz moja dłoń chce dotknąć twej biednej twarzy.

Filip usłuchał. Odwiązał rzemyki przytrzymujące maskę. Łagodne, świeże powietrze było przyjemne, ale to, co poczuł w momencie, gdy jej drogie palce dotknęły jego biednej twarzy, było najmiłsze ze wszystkiego, czego doznał w swym życiu.

— Mój ukochany, jakże musiałeś cierpieć! — zapłakała. — Lecz mimo blizn jesteś taki sam. Pod moimi palcami jesteś piękny, piękny i młody... Jakiś ty młody, Większa! Muszę wydawać ci się bardzo stara!

— Ty stara? Nigdy nie będziesz stara! Bóg stworzył cię wiecznie piękną i dziękuję mu, że dał mi szczęście, że mogę cię podziwiać. Gdyby mi starczyło życia, patrzyłbym na ciebie wiecznie... Och tak, śmieję się!... Śmiejesz się jak wtedy, gdy pozwalałem ci wygrywać ze mną...

— To nie ty mi dawałeś wygrywać, to ja cię wyprzedzałam!

— Dlatego, że powstrzymałem konia.

— Och!

Zacisnęła pięść i chciała dać mu kuksańca. Teraz on się roześmiał.

— Nigdy nie chciałaś się przyznać do porażki! Pozwalałem ci wygrywać, ale i tak jesteś najlepszą amazonką, jaką znam.

— A więc przyznajesz!

Gawędzili do chwili wejścia na pokład. Przekomarzali się, śmiali, czasem ogarniała ich zaduma.

— Obiecuję, że opiszesz mi dokładnie wszystko, co ujrzysz. Nie omiń niczego: koloru nieba, kształtu chmur, lotu ptaków, strojów kobiet, siły mężczyzn, uśmiechu dzieci, a zwłaszcza Nowogrodu... Chcę wszystko zobaczyć twoimi oczami. A teraz zostaw mnie. Muszę oszczędzać siły, jeśli mam przybyć do celu.

Filip odszedł i udał się do Blanki z Chauvigny, która płacząc klęczała na pokładzie.

— Rycerzu, obawiam się, że królowa umiera. Jest z nią coraz gorzej. Pomimo wysiłków, jakie czyni, żeby to skryć przede mną, widzę przecież dobrze.

Filip był załamany. Wpatrzony w horyzont nie odrzekł nic.

Powoli Annę opanowywała gorączka. Skarżyła się na silne bóle głowy, a z jej biednych oczu spływała jakaś ciecz zmieszana z krwią. Ukojenie przynosił jedynie wieczór. Filip jej nie odstępował. Spał przy niej, kładąc między siebie i Annę swój miecz, Morę.

Pewnego rana gorączka ustąpiła, zmniejszył się ból, a z oczu nie lały się łzy. Napiła się odrobinę mleka i rozkazała, by służące obmyły ją i uczesały. Filip się przeraził, gdy ujrzął, jak bardzo jest chuda. Owinął Annę w białe płótno i zaniósł na przód statku, gdzie Blanka uczesała jej długie włosy, które jak niegdyś błyszczały w słońcu. Gdy warkocze były wysuszone i zaplecione, Anna zapragnęła przejść parę kroków wsparta o ramię Filipa.

Gdy zapadła noc, królowa rozkazała, by ją ubrano w najpiękniejsze szaty i

klejnoty. Wyglądała teraz jak bogini. Jej towarzysze podróży przeżegnali się, gdy ujrzeli, jak bardzo jest blada, piękna i delikatna.

— Większa, jutro przybędziemy do Nowogrodu. Nie zapomnij o obietnicy i mów mi wszystko, co widzisz.

— Obiecuję, ukochana.

Tej nocy Anna spała w ramionach Filipa.

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy podróżni ujrzeli zbliżające się liczne łódki przystrojone kwieciami. Siedzieli w nich młodzieńcy i panny w świątecznych ubiorach. W każdej łódce stał mnich, który błogosławił wszystkich wokół. Filip wyniósł Annę na dziób statku. Jej martwe oczy nie widziały nic, lecz słyszała śpiewy i dzwony Nowogrodu. Na jej twarzy malowało się ogromne szczęście.

— Którego dzisiaj mamy? — spytała.

— Piątego września, królowo — odpowiedziała Blanka z Chauvigny.

Anna złożyła ręce na piersi i próbowała uciszyć bicie serca.

— Większa — wyszeptała — opowiadaj.

Filip opowiadał cichym głosem. W miarę jak mówił, rysy królowej rozjaśniały się: nie zmieniło się nic. Piękne miasto z lat dzieciństwa wciąż wyglądało tak, jak w jej wspomnieniach.

— Czy niebo jest wciąż takie wielkie?

— Jest olbrzymie, tak olbrzymie jak moja miłość do ciebie.

— Mój kochany, ja kocham cię tak samo. Dzisiaj mogę ci to powiedzieć przed Bogiem, który na mnie czeka. Zbliź się, Większa. Nie mogę zatrzymać życia, które ze mnie uchodzi... Wydaje mi się, że tracę czucie... Nie wiem, czy zdążę dotknąć ojczystej ziemi... Jeśli umrę, wynieś mnie z łodzi i połóż na brzegu. Włóż do mych dłoni po grudce ziemi. Cicho, nie mów nic... Chcę, żebyś potem zaniósł mnie znowu na łódź wypełnioną słomą. Proś biskupa, by pobłogosławił moje zwłoki... A później podpal łódź i pchnij na wodę...

— Ale to pogański obrządek naszych przodków!

— Wiem, ale taka jest moja ostatnia wola... Wiesz, Większa, nie należę już do Rusi, to nie jest moja ziemia. Chcę, by wiatr uniósł me prochy, a gdy spadną, niech zmieszają się z ziemią, bym odżyła pod postacią trawy czy liści.

— Nie żądaj tego ode mnie, to zbyt okrutne!

— To nie jest okrutne, ale sprawiedliwe. Tak czuję, Bóg i dusze naszych przodków tak mi nakazują. Obiecuj, Większa, że mnie posłuchasz.

— Obiecuję.

Gdy przybyli do brzegu, Anna była umierająca. Szeptał jej do ucha — ale czy mogła coś słyszeć? — i opisywał to, co widzi: zgromadzony radosny tłum, duchowieństwo z biskupem Nowogrodu na czele, wojowników drużyny kniazia, jej brata Wsiewołoda... Całe miasto przyszło powitać powracającą kniaziównę.

Wszyscy zamilkli, gdy ujrzeli wysokiego mężczyznę o zniekształconej twarzy w stroju normandzkiego wojownika, który potykając się zszedł na ląd. Niósł w ramionach bogatą kobietę. Jej przybrane perłami warkocze ciągnęły się po ziemi. Przestraszony tłum rozstąpił się przed nim, a on kroczył z twarzą zlaną łzami w stronę pierwszej bramy miasta. Gdy doszedł do celu, uklęknął i złożył ciało na ziemi. Wsypał trochę piasku w dłonie kobiety. Biskup odmówił modlitwę za zmarłych. Po chwili zabiły dzwony we wszystkich kościołach. Tłum rzucił się na kolana i zaczął odmawiać modlitwy. Filip wstał w końcu i powiedział coś do biskupa, który osłupiały spojrział na niego z przerażeniem. Biskup przywołał członków rady i powtórzył słowa człowieka bez twarzy. Po chwili rozległy się krzyki:

- To szaleństwo!
- Błuznierstwo!
- Nie możemy na to pozwolić!
- Nasi dawni władcy tak byli chowani!
- Ale tego prawo boskie zabrania!
- Jesteśmy chrześcijanami jak Włodzimierz!
- Niech ją pochowają obok matki i brata!
- Ale to jest jej ostatnia wola!
- Nie wiedziała już, co mówi!

Kniaź Nowogrodu zbliżył się i spytał Filipa:

- Jesteś pewien, że taka była jej ostatnia wola?
- Tak, nie mam żadnych wątpliwości.
- A więc niech tak się stanie.

Kniaź rozkazał, by usypano na brzegu kopczyk, wypełniono łódź słomą. I przykryto ją drogocennymi szkarłatnymi materiałami.

Przez cały dzień ciało Anny, królowej Francji, było wystawione na widok publiczny. Tłum przechodził w milczeniu i rzucał kwiaty. Wieczorem Filip zaniósł ciało na łódź przybraną kwiatami, listowiem i jedwabnymi wstążkami. Na rozkaz kniazia biskup udzielił ostatniego błogosławieństwa. W końcu Filip podpalił słomę i pchnął łódź na wodę.

Nagle tłum krzyknął: w ostatnim momencie Filip wskoczył do płonącej łodzi.

Pomagając sobie wiosłem, odbił od brzegu, nim ktokolwiek zdołał go zatrzymać. Był już daleko. Stał na rufie i wznosił swój miecz, Morę, w stronę miasta. Potem ucałował jego klingę, zamachnął się i wrzucił broń do jeziora Ilmen.

Mieszkańcy Nowogrodu patrzyli w osłupieniu, zapominając nawet o modlitwie. Płomienie były coraz wyższe. Filip położył się obok ciała, które wziął w ramiona. Złożył pocałunek na zimnej i bladej twarzy. Ogarnęło go kojące szczęście. Teraz Anna należała do niego. Płomienie obejmą ich i stopią, aż staną się jednym ciałem. Czule przemawiał do niej:

— Ukochana, już nigdy się nie rozstaniemy. Ujrzymy tych, których kochaliśmy. Wkrótce dołączą do nas ci, którzy nas kochają. Wróciliśmy już na zawsze do Nowogrodu... Nasze złączone dusze zamieszkają w niebie. Wiły będą nam śpiewać miłosną pieśń. Anno ukochana... Przybywam, już jestem...

Przez wieki w Nowogrodzie i w Senlis piątego września kościół święcił dzień Anny, której grobem było niebo nad Nowogrodem.

Paryż, grudzień 1988

KONIEC